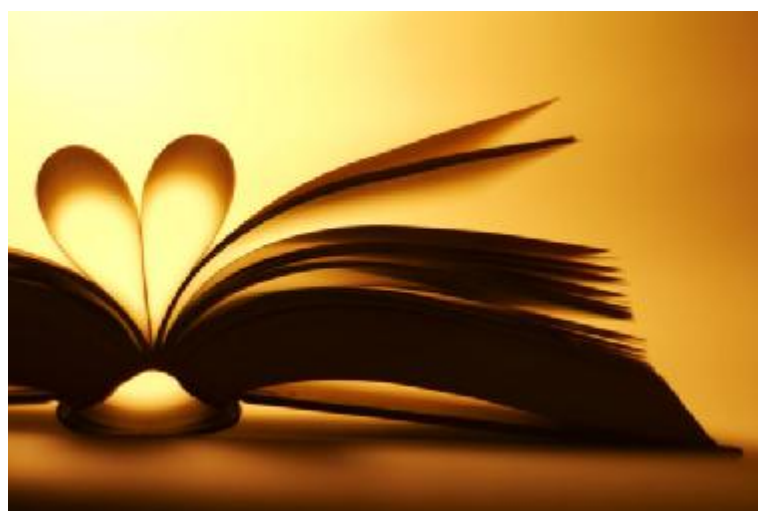




*SARAH KATE  
LYNCH*



*BIESIADA  
Z ANIOŁAMI*

## PROLOG

Gdyby kiedykolwiek przyszło mi do głowy sporządzić listę osób zdolnych przewrócić moje życie do góry nogami, szczerze wątpię, czy Woody Allen znalazłby się w pierwszej dziesiątce, nie wspominając o chlubnym miejscu pierwszym.

Jasne, nigdy nie przepadałam za filmami, które nakręcił po „Hannah i jej siostry”, i miałam określone zdanie na temat śliskiej sprawy poślubienia adoptowanej córki własnej partnerki, ale to chyba nie powód, aby pozbawiać mnie chęci do życia, prawda? Niszczyć wszystko to, co niegdyś ceniłam sobie najbardziej? I sprawić, że zakwestionowałam (wcale nie żartuję) powód, dla którego znajduję się na tym świecie?

Rany, przez tego faceta mało nie znenawidziłam precli. Cóż za zdanie! Szczerze powiedziawszy, na widok precla zawsze zachodzę w głowę, co by było, gdyby owego dnia Woody zabrał z domu jabłko. Skoro zaś mowa o domu, o co w ogóle chodzi z tym Central Parkiem? To znaczy... hej, przecież w Nowym Jorku jest masa innych ciekawych miejsc. Jednak gdyby Soon-Yi upiekła Woody'emu ciastko albo gdyby nie kręcił wówczas filmu na Bow Bridge, moje życie płynęłoby dotychczasowym torem, zamiast roztrzaskać się na kawałki i ochlapać cały Manhattan (i nie tylko) niczym resztki pstrokatego, wielowarstwowego tortu z dużą ilością lukru. Ale zaraz, na pewno nie widzicie w tym żadnego sensu. Przynajmniej jeszcze nie: znam to uczucie, możecie mi wierzyć na słowo jak nic. Zanim więc pójdziemy dalej, pozwólcie udzielić sobie dobrej rady: wyluzujcie.

I nie próbujcie zbyt szybko wszystkiego ogarnąć.

Zrozumienie nastąpi stopniowo, podobnie jak w moim wypadku, najpierw wszystko wyda się pozornie oczywiste, a potem oczywiste naprawdę,

dzięki czemu pojmiecie, jak zagmatwane było na początku.

Nie ułatwiam wam zadania, co? No dobrze. Czy widzieliście kiedyś w czasopiśmie dla dzieci jeden z tych powiększonych obrazków? Fragment większej całości w ogromnym zbliżeniu, a jak się zgadnie, co to jest, można wygrać długopis? Patrząc na coś takiego, człowiek dostaje fioła: coś mu świta, ma nazwę na końcu języka, lecz ku swej nieopisanej irytacji za nic nie potrafi tego określić. Potem gdy czasopismo publikuje całe zdjęcie, przedmiot okazuje się tak znajomy i banalny (źdźbło trawy, ziarnko piasku), iż delikwent klepie się w czoło, zdumiony, że sam na to nie wpadł.

Chcę przez to powiedzieć, że poznacie tę historię stopniowo, po kawałku i w dużym zbliżeniu, podobnie jak niegdyś ja, lecz decydująca odsłona, czyli deser, nastąpi na samym końcu.

À propos deseru właśnie sobie uświadomiłam, że mogłabym zjeść konia (wyznam ze wstydem, że czyniłam to w przeszłości, i to z niemałym apetytem). Dzisiaj jednak chyba pozostawię Kasztanka w spokoju i może... Może co? Dawno, dawno temu wsiadłabym w metro i skoczyła do Joego na pizzę. Na samą myśl o parującej mozzarelli na chrupkim spodzie cieknie mi ślinka. I to tak, że aż bolą szczęki. Paskudne uczucie.

W chwili obecnej, wierście lub nie, chociaż intensywnie rozmyślam o pizzy od Joego, podświadomie staram się nie liczyć opasłych kryształków organicznego cukru nierafinowanego, który wsypałam do dużego kubka latte na wynos, gdyż klnę się na własną głowę, że czuję smak każdego z nich. Moje znękanne kubki smakowe znajdują się w stanie ciągłej gotowości. Jeśli uważacie, że przesadzam, to co powiecie na to: nawet stąd czuję, że krążek pleśniowego sera w lodówce za niespełna dziewiętnaście godzin osiągnie pełnię smaku, a w zakwasie chleba z piekarni Rock Hill, który zakupiłam dzisiaj rano, brakuje jednej dwudziestej łyżeczki soli. A truskawki z nowojorskich Sycamo-

re Farms? Dojrzałe i zdatne do natychmiastowego spożycia.

Wiem, co sobie myślicie. Myślicie: Odstaw kofeinę, Connie, bo gadasz jak nakręcona wariatka. Lecz gdy dobrniecie do końca mojej opowieści, zyskacie szerszą perspektywę i ogarniecie kontekst wydarzeń, zrozumiecie, dlaczego możliwość smakowania każdego okruszka sprawia mi tyle frajdy.

Oczywiście zanim to nastąpi, dojdziecie do nieuchronnego wniosku, że stanowią przypadek kliniczny i bynajmniej nie będziecie w tym odosobnieni, ale nie miejcie z tego powodu wyrzutów sumienia. Ejże, nawet ja w którymś momencie zwątpiłam we własną poczytalność, mając na poparcie owych podejrzeń szereg dowodów natury medycznej.

Zdołałam jednak pokonać piekło (i niebo) minionych miesięcy nie tylko bez większego uszczerbku, ale i z nowym, nieposkromionym apetytem na życie. Tego ostatniego być może nigdy mi nie brakowało, lecz nie w pełni zda wałam sobie z tego sprawę.

Podobno nic nie dzieje się bez przyczyny, złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom, a co nas nie zabije, to nas wzmocni... owszem, dawniej też uważałam to za bzdury. Ale teraz nie jestem już taka pewna. (Oho! Jeszcze osiemnaście godzin i ser osiągnie pełnię swych walorów smakowych). Tak czy inaczej wiem tylko, że przez to, co się stało, przez Woody'ego Allena i ten cholerny precel jestem taką osobą, jaką powinnam być, a nie taką, w jaką się zamieniałam, za co wszyscy powinniśmy być wdzięczni losowi. I choć może wam się wydać dziwne, że postanowiłam opowiedzieć tę historię ze wszystkimi jej zawiłościami, to właśnie ów subiektywny punkt widzenia nasunął mi odkrywczy i przełomowy wniosek, że za pięćdziesiąt dolarów można wprawdzie kupić hamburgera, żeberka i *foie gras*, ale smaczny, dojrzały pomidor jest bezcenny.

Też mi przełom jak na krytyka kulinarnego, powiecie. Zwłaszcza w No-

wym Jorku, gdzie ludzie zamiast warzyw wolą rzeczony hamburgera.

Kwestia gustu.

## ROZDZIAŁ 1

Skłamałabym, mówiąc, że gdy mąż nie stawił się na nasz drugi miesiąc miodowy, wcale mnie to nie obeszło. To było podłe. I kompletnie nieromantyczne.

Lecz oto tkwiłam jak kołek w klasie biznesowej na polu startowym lotniska Kennedy'ego, z walizkami pełnymi kusych (dość) czarnych sukienek oraz fikuśnych szlafroczków. Dziób samolotu celował w kierunku Wenecji, a po mojej prawicy ziała pustka, którą dawno powinien wypełnić szanowny małżonek.

- Przyjaciel coś się nie spisuje. - Ashlee, stewardesa, z uśmiechem naląła mi szampana do kieliszka. Odruchowo chciałam spytać, dlaczego rodzice nie zadali sobie trudu, by sprawdzić poprawną pisownię jej imienia, wliczając ją tym samym w poczet Tiffinich i Taylów, którzy wypełniliby niejeden samolot, ale ugryzłam się w język. Jestem zbyt uprzejma. Zbyt uprzejma, by okazać, że gdy moje życie właśnie się wali na oczach stewardesy, ja w odwecie postanawiam dokuczyć jej z powodu imienia.

- Ach, na pewno zaraz się zjawi - odpowiedziałam. - Spóźnił się na ślub, dlaczegóż by więc nie miał się spóźnić na miesiąc miodowy.

Ashlee, która nosiła na palcu pierścionek zaręczynowy z kamieniem wielkości piłki baseballowej (trzeba by być ślepym i raczej głuchym, żeby go nie zauważyć), z głupkowatą miną przycisnęła do piersi butelkę szampana i przygryzła pełną dolną wargę.

- Nowożeńcy? - spytała, z zachwytem unosząc ładne brwi.

- Sprzed dziesięciu lat - odrzekłam, entuzjastycznie kiwając głową. - Chodzi o drugą odmianę miodowego miesiąca. - Pociągając z kieliszka, zobaczyłam, jak z twarzy stewardesy znika uśmiech. Raz jeszcze zerknęła na puste miejsce obok mnie i przeszła do następnego rzędu. Zrozumiałam, że idea drugiego miesiąca miodowego nie cieszy się już takim uznaniem jak dawniej. Pewnie większość kobiet udawała się w tę podróż z drugim mężem, co przydawało eskapadzie więcej barw. W każdym razie na pewno więcej niż miesiąc miodowy bez męża.

Tak na marginesie, Tom naprawdę spóźnił się na nasz ślub. Zgodnie z tradycją wszyscy czekają na pannę młodą, ale ja od urodzenia byłam punktualna (co matka z lubością powtarza mnie i wszystkim w promieniu dziesięciu kilometrów). Według jej słów moje narodziny zepsuły świetną partię remika. A podobno pierworodni zawsze przychodzą na świat po czasie. Ulubione krzesło Myrny Linkloft nadawało się tylko do wyrzucenia. Zdziwilibyście się, ile razy muszę tego wysłuchiwać, zwłaszcza że ów ubolewania godny incydent z wodami obwieszczającymi moje przybycie miał miejsce ponad trzydzieści lat temu. Na dodatek matka wcale nie musi przecież siadać na tym krześle. W aferę wmieszany był też walet pik oraz rękaw swetra. Litości, naprawdę nie chcecie znać szczegółów.

Wracając do tematu, Tom i ja byliśmy ze sobą od liceum. Gwoli ścisłości, znaliśmy się od przedszkola, gdzie przyłożyłam mu ciężarówkę po tym, jak pociągnął mnie za warkocz, za to chciałam zjeść jego żółto-różowe ciasto z plasteliny. Co zrozumiałe, wspomniane wydarzenie zaowocowało długoletnią niezgodą, ale w drugiej klasie szkoły średniej zaczęliśmy się umawiać na randki i zakochaliśmy się w sobie bez pamięci. Pobraliśmy się dwudziestego pierwszego października 1991 roku, nie tylko z powodu łączącego nas uczucia, ale i wiecznych utyskiwań mojej matki, która nosiła żałobę i pluła jadem, od chwili

gdy zamieszkaliśmy razem trzy lata wcześniej.

W chwili ślubu byłam początkującą dziennikarką niezwiązaną na stałe z żadną gazetą, a Tom pracował na Bleecker Street w West Village w Il Seconde, włoskiej restauracji, gdzie najpierw zmywał naczynia, sprzątał talerze, obierał marchew i siekał cebulę, a potem został pierwszym kucharzem (tak się mówi, kiedy jest was dwóch, a tamten drugi jest szefem). Osiągnięcie tego niebotycznego szczytu zajęło Tomowi osiem lat i zapewniło mu względy rodziny Marzano, do której należał lokal. Tom był wniebowzięty: nigdy nie przepadał za własną rodziną. Pomimo bladej karnacji, rumianych policzków oraz wielu innych cech na potwierdzenie irlandzkich korzeni nade wszystko pragnął być Włochem. Początkowo uważałam to za urocze. Któż z nas nie miewa pokusy, aby zrzucić pęta rodowego dziedzictwa? Któż nie marzy, aby być adoptowanym albo uprowadzonym przez kosmitów? Lecz podczas gdy większość z nas koniec końców akceptuje smutną prawdę i żyje dalej w klanie półgłówków, wśród których miała pecha przyjść na świat, Tom z biegiem czasu zyskiwał coraz więcej włoskich cech.

Wiem, że to nieładnie, ale zdradzę wam pewną tajemnicę. Przysięgałam, że nigdy nikomu o tym nie powiem, lecz chyba zmieniłam zdanie: włosy Toma mają z natury mysi odcień. Tak jest, ową czuprynę smolistych włosów, którą tak się szczyci, zawdzięcza plastikowemu flakonikowi z drogerii. Sięga po nią, odkąd skończył dziewiętnaście lat: *au naturel* pewnie nie rozpoznałby samego siebie. Ba, nikt by go nie rozpoznał. Zakomunikował mi, że ciemniejsze włosy bardziej pasują do jego karnacji. A w kiepskim oświetleniu Il Seconde kruczoczarna strzecha i bladoniebieskie oczy stanowiły iście śródziemnomorski mariaż, nadając Tomowi cień podobieństwa do Pippa, właściciela restauracji, traktującego Toma jak syna, którym ten tak usilnie pragnął zostać.

Nic dziwnego zatem, że Pippo został naszym świadkiem, przyjęcie we-



selne zaś miało się odbyć w Il Seconde. Jediną niespodzianką było to, że gdy przyszedł czas na złożenie przysięgi małżeńskiej w kościele Pani Nieustającego Cierpienia, pan młody nie dotarł na czas. Ostatni raz widziano go pochłoniętego sprzeczką z kierowcą, który przywiózł pęk nieco przywiedłych kwiatów cukinii, zamówionych specjalnie z Florydy. Zaimponowało mi, że tak bardzo dbał o najmniejszy szczegół pierwszego posiłku, który mieliśmy spożyć jako małżeństwo. Wkurzyłam się jednak, że stawia to na pierwszym miejscu, nie bacząc na swoje haniebne spóźnienie.

- Coś ty mu zrobiła? - syknęła moja matka (druga Pani Nieustającego Cierpienia) przez opuszczoną szybę limuzyny kuzyna Kevina, która po raz piąty z rzędu zaparkowała przed kościołem. Matka nigdy nie przepadała za Tomem: szef kuchni stał w jej oczach na równi z woźnym, ale i tak lubiła go bardziej niż mnie. Przynajmniej takie odnosiłam wrażenie. - Oczywiście musiałaś mi popsuć ten wyjątkowy dzień? Jakżeby inaczej. Środa! Kto bierze ślub w środę? - Rzuciwszy mi oskarżycielskie spojrzenie, ostentacyjnie wytarła oczy jedwabną chustką pod kolor kanarkowego kostiumu. Kupiła go pięć lat wcześniej, przekonana, że właśnie wtedy się pobierzemy. Obecnie robił żałosne wrażenie: zakiet i falbaniasta spódnica nadawały matce wygląd zacietrzewionego kurczaka. Do tego dochodziły chude nogi, kapelusz z żółtym piórkem oraz oczy zaczerwienione z gniewu tudzież zakłopotania wobec faktu, że jedyna córka zostaje w dniu ślubu wystawiona do wiatru.

- Typowe, Mary-Constance. Typowe! Ale właściwie czemu ja się dziwię? Że moja córka psuje mi każdą przyjemność? Nie pierwszy raz. Ha! - Wyemitowała zduszony szloch. - Dobrze sobie. - Odsunęła się od samochodu i plasnąwszy dłońmi w cienkie uda potoczyła dokoła wzrokiem jakby w nadziei, że zobaczy inną, lepszą córkę, która weźmie ślub w weekend, jak Bóg przykazał. Jej spojrzenie spoczęło jednak na czymś niemal równie atrakcyjnym, a miano-



wicie na audytorium. Garstka nieznanych mi osób utkwiała w orbicie matczy- nego rozczarowania, nie szczędząc współczujących spojrzeń oraz słów pocie- chy. O ile się nie mylę, jakaś tandetnie ubrana pięćdziesięciolatka popatrzyła na mnie wzgardliwie, na co matka jedną ręką zasłoniła oczy, a drugą machnęła chustką w moim kierunku, jakby chciała powiedzieć: „Dosyć. Zabierzcie ją”.

- Jeszcze jedna rundka, Kevin - rzuciła Fleur, moja najlepsza przyjaciół- ka, po czym nachyliła się, by zamknąć okno, i ruszyliśmy naprzód w obłoku spalin.

- Popsuć jej wyjątkowy dzień? - Wstrząśnięta przełknęłam łzy. Naszła mnie obawa o makijaż, który kosztował nas godzinę oraz pół butelki szampa- na. - A co ze mną? Narzeczony nie zjawia się na ślubie, ale to oczywiście moja wina! Co ona sobie myśli?

Bez względu na to, o jaki - prawdziwy bądź wyimaginowany - problem chodziło, matka nie przepuszczała okazji, aby zwalić winę na mnie. Gdy byłam w siódmej klasie, w kuchni w mieszkaniu położonym trzy piętra pod nami wybuchł pożar: winę oczywiście ponosiłam ja, ponieważ dałam mieszkającej tam Mindy Brokawski swój ulubiony przepis na ciasteczka maślane. Biedaczka próbowała upiec je samodzielnie, w wyniku czego według słów matki puściła z dymem niemal całe mieszkanie, budynek, ulicę oraz resztę Manhattanu.

Pozostali zgodnie przyjęli wersję straży pożarnej o wadliwym okapie, ale nie mama. Musiałam wielokrotnie przeproszać panią Brokawski, która w koń- cu zaczęła unikać mnie w windzie i na korytarzu. Niedługo po pożarze cała rodzina przeniosła się do New Jersey.

To tylko jeden z wielu przykładów. Od tamtej pory wszystko ruszyło la- winowo; zrozumiecie, kiedy opowiem wam o nerce. Teraz jednak obróciłam się na siedzeniu i przez tylną szybę popatrzyłam na matkę, otoczoną wia- nuszkami współczujących popleczników, po czym przeniosłam wzrok na swo-

je obleczone satynowymi rękawiczkami dłonie, które miał na podołku powinny zacisnąć się na szyi rodzicielki.

- Ktoś powinien uświadomić twojej matce, że w żółtym jej wybitnie nie do twarzy - rzuciła pocieszająco Fleur.

- Tom przyjdzie, Connie. Nie przejmuj się tym głupim gadaniem.

Ale było już za późno. Może załazłam mu za skórę. I może naprawdę wszystko popsułam.

- Ślinił się do Angeliny, no wiesz, tej nowej kelnerki - odpowiedziałam i strach chwycił mnie za serce, ściśnięte gorsetem zwiewnej sukni. Tom notorycznie się spóźniał, przez co dotąd nie przyszło mi do głowy, że być może odrzucił zaproszenie na własny ślub. - W dodatku ochrzaniłam go za zaproszenie sąsiada sąsiadów Pippa. Jezu, Fleur, chyba nie myślisz, że naprawdę puścił mnie kantem, co?

Fleur odrzuciła za ramię miodowy kosmyk fachowo rozjaśnionych włosów i parsknęła śmiechem.

- Connie - powiedziała - jeśli na świecie jest coś, czego jestem absolutnie pewna, to że Tom Farrell całym sercem kocha ciebie i tylko ciebie. Zobacysz, staniecie przed ołtarzem i będziecie razem, dopóki śmierć was nie rozłączy, bla, bla, bla, więc przestań się zamartwiać. I nie rycz, te rzesy kupiłam na przecenie. Są trochę przeterminowane.

I rzeczywiście, gdy Kevin ponownie zaparkował przed kościołem, Tom czekał przy wejściu w asyście mojej zaaferowanej matki, zabójczo przystojny, ze smolistą (!) czupryną, błyskiem w niebieskim oku i uśmiechem od ucha do ucha. Pełna wdzięczności za to, że oszczędził mi wstydu wobec ponad setki krewnych i przyjaciół, nawet się nie piekliłam o cukinię. Spoglądając wstecz, uważam to za omen. W dodatku raczej niezbyt szczęśliwy.

- Przykro mi, pani Farrell - powiedziała Ashlee, usiłując nie patrzeć na

pusty fotel Toma. - Startujemy. Proszę zapiąć pas.

- Czy nie moglibyśmy zaczekać jeszcze parę minut? - zapytałam, siląc się na beztroski ton. - Mąż na pewno zaraz tu będzie. Spóźniłby się nawet na własny pogrzeb.

Pomimo udawanej nonszalancji słowa uwięzły mi w gardle.

Zaczerwieniona Ashlee schyliła się po mój kieliszek.

- Naprawdę mi przykro - powtórzyła, machinalnie obracając na palcu pierścionek, którego kamień zniknął mi z pola widzenia. - Właśnie rozmawiałam z ekipą naziemną. Pozostali pasażerowie są już na miejscu, dlatego wylot nastąpi planowo. Proszę zapiąć pas, pani Farrell. I podnieść stolik.

Pozostali pasażerowie są już na miejscu? Wylot nastąpi planowo? To ci dopiero precyzja, pomyślałam. Czy nikt nie raczy zauważyć, że nieobecność jednego pasażera burzy moje plany na urlop, przyszłość i całe cholerne życie? Skoro kapitan ma czas pstryknąć światelko przypominające o zapięciu pasów, mógłby zadać sobie trud, żeby przeprosić za narażenie na szwank mojego małżeństwa w imię dobrego samopoczucia wieży kontrolnej. „Nie czekamy na żadnego pasażera, a już na pewno nie jest nim Tom Farrell - zabrzmiałby głos z kabiny pilotów. - Tym sposobem Connie Farrell (tak, ta z miejsca 6A) polecą do najromantyczniejszego miasta na ziemi w... (chwila konsultacji z drugim pilotem) ... w pojedynkę. Z przyjemnością donoszę, że polecimy z wiatrem, dzięki czemu dotrzemy na miejsce przed czasem. Aha, proszę spróbować ryby, smakuje jak kurczak!\".

Dopiero gdy koła samolotu oderwały się od ziemi, zrozumiałam, że Tom naprawdę nie przyszedł. Na chwilę spanikowałam, tak samo jak podczas pierwszego miodowego miesiąca, kiedy mieliśmy jechać do Wenecji, a wylądowaliśmy na zachodnim wybrzeżu. Odkąd sięgam pamięcią, łączyła mnie z Wenecją miłość na odległość i marzyłam, by spędzić tam pierwsze dni po ślu-

bie (rozmawialiśmy o tym jeszcze w szkole), jednakże to Tom rezerwował bilety i jego wybór padł na San Francisco, gdzie zabrał mnie do Chez Panisse. Wenecja to nie prawdziwe Włochy, oznajmił. Tamtejsze jedzenie nie wyróżnia się niczym szczególnym. Nie jest nawet włoskie: stanowi jedynie hybrydę stworzoną na użytek gnuśnych turystów, którzy nie odróżniają tortellini od tiramisu. Za to w Chez Panisse zjemy jeden z najlepszych posiłków w życiu, zapewnił. I miał rację. Wciąż czuję w ustach smak grillowanych gołębi w sosie anyżowym i mam przed oczami rozanieloną minę Toma, kiedy z kuchni wyszła Alice Waters w rudej aureoli nastroszonych włosów i zapytała, czy ma przyjemność z tym młodym, włoskim szefem kuchni z Nowego Jorku.

To doświadczenie otworzyło mi oczy na rzeczywisty potencjał jedzenia, uświadamiając zarazem, że dysponujemy w Ameryce wszystkimi składnikami oraz talentem kulinarnym Francuzów i Włochów, lecz nasza osobowość jest niezbędna, by zrobić z nich odpowiedni użytek. Można by zaryzykować tezę, iż wniosek ten przesądził o mojej błyskotliwej karierze. Oto siła Chez Panisse. Tak czy owak nie poleciliśmy wówczas do Wenecji. I gdy po latach samolot oderwał się od płyty lotniska Kennedy'ego i pruł w kierunku Europy, poczułam, jak mój żołądek rozpaczliwie ciąży ku ziemi, podobnie jak za pierwszym razem. W takich chwilach zawsze panikuję, tłumiąc niepohamowaną pokusę, by wrzasnąć do pilotów: „Stać! Zawracamy! Zapomniałam coś zabrać!”. Naturalnie podczas pierwszego miodowego miesiąca miałam u boku Toma, który trzymał mnie za rękę, szepcząc do ucha kojące słowa. Tym razem to on mi się zawieruszył.

Słyszę, jak wołacie: a jeśli zdarzył się wypadek? Może Tom jedzie na własny pogrzeb. Może leży w rowie, zemdlał za kierownicą albo przyciął sobie genitalia zamkiem walizki i leży na podłodze w sypialni, brocząc krwią. A może moja matka wreszcie wpadła na trop prawdziwej Connie, którą podmie-

niono w szpitalu, i przekonała Toma, aby udał się w podróż razem z nią?

Być może. W głębi serca czułam jednak, że Tom jest cały i zdrowy. Wcześniej tego dnia pokłóciliśmy się przez telefon, choć w sumie nie pamiętam o co. Czyżbym chlapnęła coś, co skutecznie zniechęciło go do wspólnego wyjazdu? Wprawdzie nic takiego sobie nie przypomiinałam, lecz w ciągu ostatnich miesięcy tak często skakaliśmy sobie do oczu, że mogłam stracić czujność.

Samo to nasuwało przygnębiające wnioski. Na pierwszy rzut oka widać, że skoro wszystkie kłótnie zlewają się człowiekowi w jedno, los jego małżeństwa wisi na włosku. Zdaniem mojej matki mam tyle intuicji, co kamień na pustyni, ale nawet ja wiedziałam, że nieustające pasmo konfliktów zwiastuje kłopoty. Kochałam Toma, zawsze go kochałam, inna możliwość nie wchodziła w grę, kiedy jednak siedziałam obok jego pustego miejsca, niepewność wzbierała mi w żołądku niczym kiepski barszcz, którego miałam pecha skosztować przy co najmniej trzech różnych okazjach.

Drugi miesiąc miodowy miał załatać dziury w szalupie ratunkowej naszego małżeństwa. Lecz cóż mogłoby nas teraz ocalić? Pograżona w niewesołych rozmyślaniach patrzyłam na pozostające w dole wieżowce Manhattanu, stopniowo zasnuwane chmurami.

Z chwilą gdy Ashlee wznowiła kurs między fotelami, zawołałam ją i poprosiłam o dolewkę szampana. Wiem, że alkohol na dużych wysokościach rzadko wychodzi na zdrowie, jednakże przychodzą chwile, kiedy ostatnią deską ratunku jest francuski szampan. Była to właśnie jedna z takich chwil.

Popijałam moëta, czując na podniebieniu taniec bąbelków. W samolocie trunek zyskał bardziej wytrawny smak, mimo to doskonale odegrał swoją rolę, nastrojając mnie nieco bardziej optymistycznie. Lubię moëta, chociaż większość arbitrów smaku preferuje kruga: ja też, o ile rachunek pokrywa osoba

towarzysząca. Moëta od czasu do czasu kupuję sobie sama.

Naturalnie Tom nie lubił szampana: wolał (co nie powinno nikogo dziwić) czerwone wytrawne wina włoskie, które Pippo przywoził ze starego kraju, tudzież przyzwoite pinot grigio, o ile gdzieś je wytropił. Jeśli piłam szampana, zwykle czyniłam to w towarzystwie Fleur, która nie gardziła zawartością żadnej butelki (bądź wyszczerbionej filizanki). Tom nie znosił wszystkiego, co pochodziło z Francji. Klasyfikował tamtejszą nację jako bandę aroganckich imbecylów, przez co niejednokrotnie sam sprawiał wrażenie jednego z nich. Chyba znałam źródło owej niechęci, zwłaszcza że reagował złością na jakąkolwiek wzmiankę w tej kwestii. Nowy Jork jest mekką restauratorów, wszyscy o tym wiedzą, oprócz może mieszkańców San Francisco i większości populacji Vancouver. Zapomnijmy o pretendentach do tronu: Nowy Jork niepodzielnie i w pełni zasłużenie piastuje berło, godnie przyjmując hołdy wiernych wasali na poszczególnych szczeblach drabiny społecznej. Na samym dole znajdują się uliczni sprzedawcy precli (wrócimy do nich później, niech cię diabli, Woody!) i hot dogów, potem bary z kawałkami pizzy na wynos oraz chińskie jadłodajnie, dalej osiedlowe trattorie, drogie lokale z kuchnią regionalną, eleganckie bistra, na samym wierzchołku zaś miejsca takie jak Jean Georges, Le Bernadin czy Daniel, czterogwiazdkowe restauracje, uczęszczane przez śmietankę towarzyską Manhattanu, lubującą się w specjach monsieur Daniela Bouluda. Wielu najlepszych kucharzy zdobywało umiejętności pod okiem M. Bouluda, po czym samodzielnie pięło się na piedestał. Oczywiście Tom nie należał do ich grona i być może w głębi duszy gardził swą pozycją na poziomie osiedlowej trattorii.

Zabrałam go kiedyś do Daniela na romantyczną kolację. Z chwilą gdy skręciliśmy z Wschodniej Sześćdziesiątej Piątej w elegancki hol wiodący do pulpitu szefa sali (mijając prywatną salę bankietową oraz ekskluzywny bar po



prawej stronie), Tom zjeżył się. W drodze do stolika, ustawionego na wyniesionej części zewnętrznej dwukondygnacyjnej sali jadalnej, łupał z furją na Bogu ducha winnych gości i członków personelu. Aksamitne kotary i kompozycje kwiatowe w połączeniu z nadzianą klientelą, nienaganną obsługą oraz hipnotyczną wonią napływającą z kuchni wpędziły go w zgoła posepny nastrój. Co do mnie, byłam bez reszty zafascynowana tamtejszym blichtrzem i niestrudzonym tańcem kelnerów, pływających po sali ze zwinnością baletmistrzów. Lecz rzeczona wspaniałość nie wywarły na Tomie najmniejszego wrażenia. Warknął na kelnera, syknął, że mam więcej pieniędzy niż rozumu, po czym... skosztował jedzenia.

I umilkł.

Zupa z karczochów z podgrzybkami i olejem szałwiowym złagodziła nieco jego srogie spojrzenie, ale tortellini z dziewięcioma ziołami i pianką parmezanową na dobre zamknęło mu usta. Porcja perliczki z borowikami i glazurowanymi suszonymi śliwkami wystarczyła, aby krew doszczętnie odpłynęła mu z twarzy. Z każdym kęsem stawał się coraz bardziej przybity, kiedy zaś sięgnęłam po ostatni kawałek jego tarty figowej, uporawszy się najpierw ze swoim sufletem czekoladowym, mało się nie rozplakał. Taka była pyszna.

Inny młody kucharz na jego miejscu wyciągnąłby z incydentu nauczkę i potraktował podobną maestrię jako wzór do naśladowania, ale nie Tom. On potraktował ją jako przestrożę. Francuskie potrawy zasmakowały mu do tego stopnia, że znienawidził wszystko, co choćby kojarzyło mu się z Francją.

- Dolewkę? - zapytała z uśmiechem Ashlee. Na jej twarzy malowało się nieskrywane współczucie. Nie wiedziałam, czy odwzajemnić uśmiech i przytaknąć, czy też rozbić kieliszek o podłokietnik i pofolgować morderczym instynktom. Ograniczyłam się do tego pierwszego.

- Z chęcią - odrzekłam, unosząc kieliszek, po czym odwróciłam twarz do



okna, aby ukryć wstyd. Puchate obłoki dwoiły się i troiły, aby zasłonić dystans dzielący nas dwoje, lecz każdy oddech pogłębiał go o dziesiątki kilometrów.

Jakim cudem do tego doszło? Raz po raz zadawałam sobie w duchu to pytanie, podczas gdy Ashlee nieustrudzenie częstowała mnie przesolonym, prążonym świństwem, błyskając szyderczo przerośniętym brylantem. Na czym polegał błąd?

Wysokość jedenastu tysięcy metrów uświadomiła mi dotkliwie, że w ciągu ostatnich kilku lat bardzo się od siebie oddaliliśmy. W końcu nie powinienam się dziwić, że miejsce obok mnie świeciło pustką. Tom i ja mieliśmy inne podejście do wszystkiego, nawet do jedzenia, które oboje ubóstwialiśmy i które stanowiło oś naszego życia osobistego i zawodowego. Uwielbiałam jeść i gotować: można by pomyśleć, że trudno o bardziej wymarzony układ. Cóż, w pewnym sensie tak było, lecz pod niektórymi względami zasiadaliśmy na przeciwległych końcach stołu. Weźmy na przykład incydent z ciężarówką: podczas gdy Tom siąkał zasmarkanym nosem i lał łzy, ja nie posiadałam się ze zdumienia. Pomijając plastelinowy aspekt sprawy, do czego miało służyć ciastko, jeśli nie do zjedzenia? Wyglądało tak kusząco - różowe, z żółtym lukrem - cóż więc innego miał zamiar z nim zrobić?

W liceum z wielkim zaciekawieniem porównywaliśmy swoje kanapki, a różnica między nami sprowadzała się do tego, że ja pochłaniałam nawet to, czego nie lubiłam, Tom zaś odmówiłby spożycia zwykłej kromki z pomidorem, jeśli była niedosolona bądź odrobinę czerstwa. Co do dżemu i masła orzechowego, sprawa była z góry przesądzona. Tom nie zadowalał się byle czym. Strasznie mi tym wówczas imponował. Imponowało mi, że wie, czego chce, i gardzi półśrodkami. Miał w nosie kontakty z rówieśnikami, zawsze wolał iść pod prąd. I tak zamiast imprezować wyruszaliśmy po szkole szlakiem egzotycznych jadłodajni.

Tom otworzył moje kubki smakowe, dosłownie. Odmienił mój świat. Zanim pojawił się w moim życiu, pożywienie było czymś, co połykałam bez zastanowienia (patrz ciastko z plasteliny) lub w tajemnicy przed matką wyrzucałam do śmieci.

Mama była (i jest) najpodlejszą kucharką pod słońcem. Wiem, że to nie-  
zbyt miłe z mojej strony, ale naprawdę trudno o łagodniejsze określenie. Do-  
prawdy nie wiem, gdzie mieści się jej zmysł smaku, bo na pewno nie w jamie  
ustnej. Położenie zmysłu węchu również budzi wątpliwości. Wystarczy wejść  
do jej domu i powąchać nieco zleżałą pierś kurczaka w marynacie z sake i jo-  
gurtu acidofilnego, a wszystko staje się jasne. W przeciwieństwie do innych  
podłych kucharzy, którzy zazwyczaj kupują mrożonki bądź powierzają goto-  
wanie komu innemu, matka kipi niespożyтым entuzjazmem kulinarnym, kom-  
pletnie nieświadoma jakości kleconych przez siebie potraw. Jej ignorancja w  
dziedzinie smaków i aromatów nie budzi najmniejszych wątpliwości.

Zważcie, proszę, że część winy ponosi tutaj mój ojciec. Jest w stanie  
przyswoić dosłownie wszystko. Nigdy nie widziałam, aby zawahał się lub  
zzieleniał po skosztowaniu potrawy, przeciwko której buntowały się młodo-  
ciane żołądki mój i Emmeta, nim zahartowały się w bojach z kulinarnymi po-  
tworami matki. Tata nie tylko pochłania niejadalne potrawy szanownej mał-  
żonki, ale wręcz jej sekunduje. „Znów przeszłaś samą siebie, Estelle - mówi,  
gładząc się po brzuchu i rozpierając na krześle. - Szczęściarz ze mnie, bez  
dwóch zdań”.

Matka puszcza jego uwagę mimo uszu (to ich małżeńska dynamika), za-  
raz jednak pochyła się nad „Sekretami kuchni francuskiej” Julii Child, zmie-  
niając składniki stosownie do nastroju tudzież aktualnych zapasów w lodówce,  
w wyniku czego efekt końcowy nie ma nic wspólnego z nazwą potrawy wyj-  
ściowej ani - gwoli ścisłości - żadnej innej. Nigdy nie mogłam dociec przyczyn

uwielbienia, jakim darzy tę książkę kucharską, ponieważ twardo wyznawała zasadę swobodnego „zestawiania” składników, co moim zdaniem uchodzi płazem jedynie naprawdę utalentowanym kucharzom. Jednakże ingrediencje, które „zestawia” ze sobą moja matka, nie powinny występować w duecie w tym samym mieście, na jednej ulicy ani - Boże uchojaj - na jednym talerzu. Powinno je się czym prędzej rozrzucić w przeciwnych kierunkach, a następnie podążyć do najbliższej restauracji.

- Omlet żurawinowy? A cóż może w nim nie smakować? - pyta matka, serwując potrawę o wyglądzie zmasakrowanych narządów wewnętrznych i dźwięcznej nazwie „Niespodzianka Estelle”. - Spróbuj go z dojrzałym salami, jest pyszny - namawia, choć określenie „dojrzały” nasuwało u nas w porze posiłków zgoła niemiłe skojarzenia. - Patrz, tata je.

Kiedyś błagałam ją, aby trzymała się przepisów, choćby po to, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie, lecz ona uparcie odmawiała. „Tylko mieszają ludziom w głowach - mówiła, nawet pod adresem Julii. - O co tyle hałasu? Przecież to tylko jedzenie”.

Tak, moja matka jest bardzo skomplikowaną kobietą. Z jednej strony rozwija swój „talent” kulinarny, z drugiej zaś umniejsza jego znaczenie w hierarchii wszechświata. Możecie sobie wyobrazić, jak była przejęta, kiedy jej córka została krytykiem kulinarnym i żoną zawodowego kucharza.

W każdym razie kiedy w wieku piętnastu lat Tom i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić, nic dziwnego, że kipiałam żądzą poznania potraw, które po pierwsze były smaczne, a po drugie nie powodowały sensacji żołądkowych. Mniej więcej w tym samym czasie Tom zjednął sobie sympatię Pippa, dzięki czemu gorliwie zamiatał podłogi i polerował szklanki, z każdym dniem coraz bardziej wkradając się w łaski rodziny Marzano. Najbardziej na świecie pragnął stanąć tam kiedyś przy garnkach: wprawdzie nie były to zbyt wygórowane aspiracje,

ale jego zapał bardzo mi imponował.

Znajomość jego sytuacji domowej pozwoliła mi zrozumieć przywiązanie, jakim obdarzył Pippa. Ojciec Toma był brutalnym osiłkiem, który bez większego trudu zapewnił sobie nienawiść wszystkich czterech synów, mama zaś kłębkim nerwów z pociąganiem do sherry, za co nie sposób jej winić. Tom miał do niej żal, lecz wszyscy pozostali świadkowie jej upokorzeń, którzy widzieli, jak posiniaczona kuśtyka po schodach, dziękowali Bogu za chociaż to jedno źródło pociechy.

I tak mały Tommy, najmłodszy z całej czwórki, wyłamał się z klanu Farrellów i wstąpił w szeregi rodziny Marzano, *pronto*. Pippo i jego żona 'Cesca, których dwie córki dawno wyfrunęły z gniazdka, nie przejawiając najmniejszego zainteresowania *Il Seconde*, nie kryli radości. A że Tom czuje się we włoskiej kuchni jak ryba w wodzie, nie budziło niczyich wątpliwości. Powtarzam, że w pewnym, zazwyczaj mdłym oświetleniu, nawet wyglądał jak Włoch. Kiedy mu to oznajmiłam, najeżył się i fuknął, ale w głębi duszy był zachwycony. Wiem, ponieważ przyrządził mi moje ulubione risotto, które owego wieczora nawet nie figurowało w menu.

Jako że z większości przedmiotów nie byłam orłem, dostałam się na uniwersytet nowojorski głównie dzięki protekcji nauczyciela od angielskiego, pana Johansena, który wedle podejrzeń Toma zawsze miał do mnie słabość. Matka była wstrząśnięta, że wybrałam dziennikarstwo, nawet kiedy jeszcze mój wybór nie miał nic wspólnego z jedzeniem. Tam, skąd pochodziła, przekazywanie informacji na temat innych odbywało się za zamkniętymi drzwiami, przez szczelinę w zasłonach i z ręką zaciśniętą na słuchawce. W każdym razie na pewno nie publicznie, z nazwiskiem autora widniejącym jak byk pod tekstem. Mój młodszy brat Emmet wykazał pewne ożywienie, gdy wbił sobie do zaćmionej marychą mózgowicy, że któregoś dnia poznam wielkie gwiazdy

rocka z nieskrępowanym dojściem do dragów, tata zaś uśmiechnął się tylko i powiedział: „Wspaniale, kotku”, tak jak mawiał, gdy wносиłam do domu gazetę bądź komunikowałam, że wyprowadziłam psa, Frankiego pierwszego, drugiego, trzeciego (który nie zagrzał u nas długo miejsca) oraz czwartego. (Rodzice zawsze mieli jamniki i zawsze chrzcili je tym samym imieniem, moim zdaniem dość niefortunnym, zważywszy na gabaryty typowych przedstawicieli rasy).

Nawet Tom nie przejawiał szczególnego entuzjazmu wobec obranej przeze mnie ścieżki kariery. Możliwe, że w tym wypadku zawiniłam sama, gdyż przez blisko dziesięć lat tałam przed nim swoje plany.

- Ależ mała - zauważył z troską - naprawdę uważasz, że posiadasz niezbędną do tego morderczy instynkt?

- Niezbędny do czego? - zapytałam. Szczerze mówiąc, nie wybiegałam myślami poza lataniem z mikrofonem i wywiadami ze sławnymi ludźmi. Do diaska, czy Leeza Gibbons miała morderczy instynkt?

- Do biegania za karetkami, nagabywania polityków - odrzekł Tom. - Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że tym właśnie zajmują się dziennikarze?

- Oczywiście - odpowiedziałam. Mimo to zabił mi ćwieka i obudził wątpliwości, czy istotnie posiadam ów dar. Wątpliwości, które jak sądzę, towarzyszą mi po dziś dzień. Celował w tym, podobnie jak moja matka: oboje błędnie umieli zachwiać fundamentami mojej pewności siebie.

- Poradzę sobie - skwitowałam wówczas, usiłując zatuszować pobrzmiewającą w głosie niepewność.

No i sobie poradziłam. Może nie grałam w pierwszej ani w drugiej lidze, ale jakoś szłam do przodu i nawet odłożyłam trochę grosza, dorabiając w Il Seconde, gdzie mój chłopak niestrudzenie budził podziw pracodawcy, przewyższając włoskością rodowitych Włochów.

Potem dostałam fuchę, polegającą na ocenianiu restauracji dla darmowej

gazety śródmiejskiej. Szef działu kulinarnego (stojący zarazem na czele działu motoryzacji, mody, aranżacji wnętrz oraz reklamy) należał do stałych bywalców *Il Seconde* i za podszeptem 'Cesci zlecił mi napisanie recenzji paru nieciekawych tajskich restauracji w Village. Zanim się obejrzałam, miałam stałą pracę. Naturalnie przy stawce dwadzieścia dolarów za artykuł plus wydatki nie mogłam marzyć o przeprowadzce do Soho, jednakże satysfakcja płynąca z faktu, że moje nazwisko widnieje w gazecie, którą ktoś przejrzy w drodze do pracy lub użyje jej jako podkładki do obierania ziemniaków, warta była całej herbaty Indii (będącej największym dostawcą owego szlachetnego napoju, wbrew powszechnie panującej opinii, jakoby *gros* światowej produkcji pochodziło z Chin).

- Proszę, idzie nasza Lois Lane - piał Pippo, owiewając mnie oddechem przesiąkniętym wonią bazylii i oregano. - Co ty z nią poczniesz, Thomas? No co?

Z uśmiechem przywdziewałam czarny fartuch i przystępowałam do siekania szalotek, tarcia parmezanu tudzież pomocy 'Cesce, polegającej czasem na zmywaniu naczyń z Mikeyem, jej siostrzeńcem specjalnej troski. Mieliśmy mnóstwo frajdy w tej gorącej, hałaśliwej kuchni, gdzie Pippo i Tom płąsali jak tancerze przy grillu i piecu do pizzy, promieniejąc ze szczęścia, że robią to, co ukochali nade wszystko na świecie.

Co do mnie, przesiadywałam tam, bo potrzebowałam forsy na podręczniki, a nikt prócz gościa z darmowej gazety nie zaproponował mi pracy. Poza tym czułam się bezpieczna w pobliżu Toma, pod opiekuńczymi skrzydłami Pippa i 'Cesci. Studiowanie porządnie dało mi się we znaki. Czułam się biedniejsza, głupsza i mniej ambitna od innych.

Nie miałam sprecyzowanych planów na przyszłość, co irytowało wykładowców niemal tak samo jak mnie. Po skończeniu studiów i kolejnych kilku



latach spędzonych na pisaniu recenzji oraz różnych dorywczych zajęciach dochrapałam się posadki pełnoetatowego krytyka gastronomicznego dla „Village Voice”. Była to naturalna kolej rzeczy. Tom i ja uwielbialiśmy Village. Uciekliśmy tam, kiedy tylko mogliśmy sobie na to pozwolić, i nienawidziłyśmy powrotów na Upper East Side. Zamieszkaliśmy w zgoła eklektycznej okolicy. Człowiek nigdy nie wiedział, kto wyskoczy z taksówki na Bleeker Street: wygłodzony artysta, supermodelka, menel czy też makler giełdowy. Pasowali tam dosłownie wszyscy, a praca dla lokalnej gazety stanowiła dla mnie źródło wielkiej radości.

- Wiesz co, z twoją urodą mogłabyś być telewizyjną prezenterką wiadomości - oświadczyła kiedyś Fleur. - Widzowie oszaleliby na twoim punkcie. W każdym razie kariera w mediach jest ci pisana.

- Akurat. - Roześmiałam się zakłopotana i zmieniłam temat. Niby wiedziałam, że niczego mi nie brakuje, naprawdę. Jednak matka pilnowała, bym za bardzo nie urosła we własnych oczach. Za to urosłam w rzeczywistości. Podczas gdy matka mierzy zaledwie metr pięćdziesiąt pięć, ja w wieku dwunastu lat osiągnęłam niebotyczny wzrost metr sześćdziesiąt pięć, co w oczach mojej rodzicielki zyskało rangę grzechu śmiertelnego.

- Kto jeszcze jest taki wielki? - pytała, szarpiąc mnie za przykrótkie rękawy swetra i obciągając kusą spódnicę. - Kto jeszcze nie wie, kiedy przestać rosnać? - Zachowywała się tak, jakbym swoim wzrostem celowo robiła jej na złość, na co kuliałam się w sobie, usiłując zajmować jak najmniej miejsca. - Wykapana sziksa - mówiła do ojca, targając mnie za włosy. Pomyślałby kto, że się ucieszy, ale gdzie tam. Pod tym względem byłam z góry na straconej pozycji. Nie rozumiałam, dlaczego fakt, że nie mam żydowskich rysów nie budzi w niej zadowolenia, skoro przed ślubem przeszła z judaizmu na katolicyzm i od tamtej pory przewyższała świętością samego papieża. Jej zasadniczym celem



życiowym było oczywiście działanie na nerwy mojej babce. Co tam twarz i nos, matka najchętniej odrąbałaby sobie całą głowę, aby zatrzeć ślady żydowskiego pochodzenia. Zaczęło się od poślubienia syna odźwiernego, po którym nastąpiła przeprowadzka do kamienicy czynszowej, położonej w bezpośrednim sąsiedztwie apartamentowca, w którym dorastała. Punktem kulminacyjnym było posłanie córki (o imieniu Mary-Constance) do katolickiej szkoły, dokąd ta dreptała w uroczym mundurku tuż pod nosem babki, która zapewne chciała umrzeć, ażeby móc do woli przewracać się w grobie.

Nigdy z nią nie rozmawiałam, ale wiedziałam, jak wygląda. Ojciec pokazał mi ją w jednej z owych rzadkich chwil, gdy matka przebywała poza zasięgiem słuchu. Babcia była drobna, smągła i zadbana; celowała nosem w niebo, tak jakby wszystko znajdujące się poniżej trzech metrów zasługiwało na odrazę. Miała psa, wyjątkowo szpetnego buldoga angielskiego, którego, wzorem moich rodziców, zapewne wymieniała co kilka lat na kolejnego, gdyż czasami wydawał się mniejszy niż poprzednio. Zazwyczaj podróżowała wynajętą limuzyną. Kiedyś próbowałam ją zagadnąć, choć od kołyski dawano mi do zrozumienia, iż jest to jedyny grzech śmiertelny niewymieniony w katechizmie. Musiałam mieć sześć, siedem lat, szłam ze szkoły do domu, uważnie patrząc pod nogi, gdy naraz mój wzrok padł na parę czarnych, skórzanych półbucików zwieńczonych delikatnymi pęciami. Uniosłam oczy i oto ujrzałam przed sobą babkę, wpatrującą się we mnie z czymś, co dziś poczytałabym za zgrozę. Chciałam coś powiedzieć, przywitać się, lecz nagle jedna dłoń zasłoniła mi oczy, druga zaś wystrzeliła do przodu, co skutecznie odebrało mi ochotę do rozmowy. Nazwalibyście to brakiem intuicji? Spowita w czerń, babka nosiła naszyjnik z pereł i kolczyki do kompletu, a tak zgrabnie skrojonego płaszczyka nie powstydziałaby się sama Audrey Hepburn. Pies wykorzystał okazję, by zająć się jakimś świństwem na chodniku, a ja poszłam swoją

drogą.

Moim zdaniem byliśmy rodziną dysfunkcyjną, zanim jeszcze wymyślono to pojęcie. W każdym razie ze strony matki. Rodzice ojca, Conlanowie, byli zupełnie normalni, chociaż babcia uwielbiała koty i trzymała ich w domu całe mnóstwo. Tak, zniechęciła mnie do kotów, ale za to piekła sama chleb i to była nowość.

Jak łatwo się spodziewać po osobie, która zmienia wiarę na złość rodzicielce i przenosi się do budynku obok, aby więcej nie zamienić z nią słowa, mama miała kompleks matki, w wyniku którego jej zdaniem nie miałam prawa wychylić nosa poza przeciętność. Przekroczenie owej granicy zakrawałoby na haniebną próbę zwrócenia na siebie uwagi. Kiedy jednak skończyłam trzynaste lat, z pulchnego podlotka zmieniałam się w atrakcyjną nastolatkę. Niemal z dnia na dzień każdy nękaną trądzikiem i napompowany testosteronem bubek w szkole zaczął smalić do mnie cholewki. Żebyśmy się jasno zrozumieli: żadna ze mnie Cindy Crawford. Zwykle mam około pięciu (no dobrze, raczej siedmiu) kilo nadwagi, ale za to natura obdarowała mnie nieskazitelną cerą (przynajmniej za to mogę być wdzięczna matce) i znośną twarzą z niebieskimi oczami (nawet jeśli mój ćwierćinteligentny brat Emmet z upodobaniem powtarza, że w policzkach mogłabym przechowywać zapasy na zimę). Moje włosy noszą dość mysi odcień, są jednak gęste i przy użyciu odpowiednich narzędzi mogę wyczarować z nich gładkie pasma à la Sandra Bullock. Oczywiście w zamierzczłych czasach licealnych nie opanowałam jeszcze sztuki posługiwania się suszarką ani pędzlem do pudru, lecz szczerze powiedziawszy, chłopcy i tak koncentrowali wzrok wyłącznie na moim biuście i widok ten wybitnie przypadł im do gustu. W owych czasach podobny i jakże niespodziewany przejaw zainteresowania stanowił dla mnie nie lada niespodziankę. Przywykłam bowiem do bycia zbyt wysokim, zbyt grubym i zbyt ciemnowłosym

elementem tła przeciętnej scenerii, w związku z czym ów nagły awans społeczny zbił mnie z tropu. Zważywszy na okoliczności, Tom spadł mi jak z nieba, zapewniając upragnione poczucie bezpieczeństwa.

Ostatnia myśl sprawiła, że czknęłam w kieliszek, pozwalając, by łza spłynęła mi po policzku i skapnęła na serwetkę. Pustka miejsca 6B, gdzie powinien znajdować się mój mąż, sprawiła, że poczułam się jak kurczak na rożnie. Ale to nie dlatego płakałam. Przestałam czuć się bezpieczna, a co gorsza, znałam to uczucie nie od dziś.

## ROZDZIAŁ 2

Pomiędzy Nowym Jorkiem a Wenecją miałam co najmniej cztery kace giganty. Ból głowy, którego zapowiedź poczułam na pasie startowym, z całą mocą dał o sobie znać nad Atlantykiem i towarzyszył mi podczas przesiadki w Rzymie, po czym zelżał odrobinę nad lotniskiem imienia Marca Polo, gdzie rozciągające się w dole połączenie błękitu i indygo Wenecji nieco złagodziły moje cierpienie.

Nawet dotkliwe poczucie zawodu płynące z faktu, że ukochany z dzieciństwa tak haniebnie wystawił mnie do wiatru, nie zmąciło radości z widoku miasta, osadzonego niczym migoczący klejnot pośrodku rozległej laguny. Serce podskoczyło mi w piersi, nie ze strachu, lecz uczucia zbliżonego do zachwyty. Odczułam przy tym zapowiedź lekkiej niestrawności, będącej wynikiem spożycia samolotowych specjałów. Dziś już wiem, że niektórzy krytycy kulinarni zabierają na pokład własny prowiant: chleb na zakwasie z szynką prosciutto i paroma listkami rucoli z wybranego deli przy Drugiej Alei tudzież sałatkę z kozim serem i blanszowanymi szparagami, przyrządzaną przez niewiastę w poncho, która raz na kilkanaście tygodni odwiedza aglomerację na

swoim ośle. Ja jednak nadal czerpię niejaką przyjemność z konsumpcji bliżej niezidentyfikowanego ptactwa lub owoców morza w klasie biznesowej. Nie wspominając o szampanie hojnie serwowanym przez Ashlee, którego nadmiar groził katastrofą podczas kontroli celnej.

Wywlekłam na zewnątrz walizkę pełną sukienek koktajlowych i zaczęłam w płuca srebrzystego powietrza, czując, jak wenecki tlen pozbawia mnie animuszu. Usiłowałam nie patrzeć na mijające mnie parki gruchających kochanków, uradowanych perspektywą pobytu w mieście miłości. Zachodziłam w głowę, gdzie podzieli się wszyscy single. Czyżbym była jedyną osobą, świętującą samotnie miesiąc miodowy? Dlaczego wszyscy mieli takie maślane oczy? Podobne pytania kłębiły się w mojej głowie, kiedy ciągnęłam walizkę (w której jak na złość popsuło się jedno kółko) na postój taksówek wodnych. Co ja tam robiłam? Dlaczego w Rzymie nie wsiadłam w samolot powrotny, aby ostatecznie poukładać sprawy rodzinne? Dlaczego w ogóle brałam pod uwagę pobyt w romantycznym hotelu bez Toma? Co się ze mną dzieje?

- Halo. Halo. Czy pani mnie słyszy?

Jasne, że cię słyszę, miałam ochotę odburknąć pod adresem taksówkarza, trzymasz głowę dwa centymetry od mojej. Zachodzące słońce jaśniało za plecami mężczyzny, uniemożliwiając mi dokładne oględziny jego twarzy, lecz głos zabrzmiał głośno i jakby nie z tego świata. Cofnęłam się o krok.

- Gritti Palace - oznajmiłam. Być może kiedy dotrę na miejsce, odzyskam jasność umysłu. Mężczyzna poprowadził mnie do wypieszczonej drewnianej motorówki, w której z chęcią zasiadłaby Grace Kelly w białej sukni wiązanej na karku, chustce na głowie, z odchyloną głową, przymkniętymi oczami i tajemniczym uśmiechem błakającym się na wargach. Tajemniczy uśmiech przerażał wprawdzie moje możliwości, ale przynajmniej odchyliłam głowę.

Taksówkarz nie odezwał się więcej ani słowem, tylko w drodze na dziób

wrzucił moją walizkę do kabiny, po czym wypłynęliśmy na rozmigotaną przestrzeń okalającą wyśnione miasto. Widziałam tylko wodę, niebo oraz zarysy dalekich iglic, zamglonych kopuł i rozkołysanych wież, owych bezcennych klejnotów zdobiących łańcuch archipelagu.

Zapadał zmierzch, przede mną rozciągał się imponujący zachód słońca. Świat broczył feerią odcieni różu, fioletu i srebra: wystarczy, że przymknę oczy, a widzę to do dziś. Zupełnie jakbym ni stąd, ni zowąd przeniosła się do bajkowej krainy. Wspomniany widok zaparł mi dech w piersi, a dziurę ziejącą w sercu wypełniła przejmująca radość życia. Oto znalazłam się w mieście, o którym marzyłam od tak dawna, i kiedy podpłynęliśmy do ławicy dryfujących wysepek, pozostawiając w tyle resztę świata, na przekór sytuacji poczułam nagły przypływ optymizmu.

Skręciliśmy łagodnie w szeroki kanał i Wenecja wchłonęła mnie do swego krwiobiegu arterią wiodącą prosto do serca. Po obu stronach pochyłały się kruszejące mury miasta. Budynki przywodziły na myśl workowate spodnie starszej kobiety, bezskutecznie tuszujące smutną zawartość, której okres świetności dawno już przeminął.

Kiedy znalazłam się pośród nich, podmiejska natura wiekowych zabudowań wzbudziła we mnie niemałe zdziwienie. No, może nie tyle podmiejska, ile mieszkalna. Oczywiście widziałam zdjęcia bazyliki, kampanili, placu. Kto nie widział? Lecz ten konkretny kanał, te konkretne budynki pełniły funkcję miejsca zamieszkania prawdziwych, zwykłych weneccjan. Widziałam ich suszącą się bieliznę. Przepływałam w pobliżu okien, za którymi popijali kawę i rozwiązywali krzyżówki. Obserwowałam prozaiczne wycinki ich codziennego życia. Kiedy skonstatowałam to z nabożeństwem towarzyszącym zwykle turystom podczas wizyty w Wenecji, mój wzrok padł na tegoż mężczyznę, który w jednym z okien tak zawzięcie dłużył w nosie, jakby lada chwila palec miał

mu się wykluc z czubka głowy. Było to nieco zbyt prozaiczne jak na mój gust.

Odwróciłam się gwałtownie, próbując zatrzeć w pamięci ów niesmaczny widok, co przyszło mi bez większego wysiłku. Dokoła nie brakowało wspaniałości. Niepostrzeżenie znalazłam się pośród lśniącej laguny, przypominającej niebiańską dekorację teatralną. Trasa łagodnie zakreśliła w prawo, a ja mimowolnie otworzyłam usta. Po mojej lewej stronie, osnuta mleczną poświatą, akwamarynowa powłoka oceanu wysadzana światłami różnorodnych łodzi, rozciągała się aż do odległych wysp. Wysoko w górze z nieba spływały liliowe kaskady fioletu, przechodzące w różowopomarańczowy kobierzec, otulający krawędzie majestatycznego kościoła Santa Maria della Salute, co wyglądało tak, jakby kopuły i dzwonnice emanowały kolorami.

Po biegnącym po prawej stronie nadbrzeżu tłumy wciąż sunęły w kierunku placu Świętego Marka, gęstniejąc w miarę, jak zbliżaliśmy się do Pałacu Dożów. Wyciągnęłam szyję, aby dojrzeć Most Westchnień. Most Westchnień! Sama nazwa zapierała mi dech w piersi.

Taksówka wodna minęła bliźniacze kolumny u wejścia na słynny plac i znaleźliśmy się w Canale Grande.

Rzeczywistość przerosła moje wyobrażenia. Miasto dosłownie było blaskiem. Oczywiście wiedziałam, że tworzy je zbiór setek maleńkich wysp oddzielonych kanałami i złączonych mostami, lecz jakoś nie uświadamiałam sobie braku samochodów, motorów i hałasu ulicznego. Naturalnie słyszałam szum i postukiwanie *vaporetto*, weneckiego tramwaju wodnego, który zatrzymywał się na przystankach, wypluwając i wsysając stada autochtonów i turystów po obu stronach kanału. Zewsząd dobiegały również cichsze odgłosy mniejszych łodzi, rozwożących ludzi, wino, meble, a nawet ku mojemu zdumieniu klatki z ptakami, ale poza tym panowała względna cisza. Żadnego ryku klaksonów, zgrzytu metalu, pisku opon.



Minęła nas maleńka, sfatygowana motorówka, prowadzona przez dwóch nastoletnich chłopców, z radioodbiornika dobiegły dźwięki muzyki hiphopowej: wenecki odpowiednik nowojorskich szpanerów, pędzących przez miasto w oparach megadecybeli. Ujrzałam też posiwiąłego rybaka w starym kutrze, w którym pies siedział dumnie na dziobie, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Drogę przecięło nam *traghetto*, duża łódź pływająca pomiędzy brzegami kanału, gdzie pasażerowie na stojąco czytali gazety, palili papierosy lub po prostu tkwili w miejscu, spoglądając w przestrzeń. Wokół nie brakowało też słynnych smukłych, czarnych gondoli, wygiętych na kształt skromnych uśmiechów. Gondolierzy nawoływali do siebie, wspierając się na wiosłach, unosili ręce w pozdrowieniu bądź pochylali głowy, słuchając swych urzeczonych pasażerów. Uderzył mnie ich wdzięk oraz wzajemna sympatia. Tworzyli zgrany zespół. Zastygli w czasoprzestrzeni, ze swymi tradycyjnymi łodziami, w identycznych strojach, pokrzykujący po włosku nad głowami rozmarzonych i nie nierozumiejących turystów. W tamtej chwili postanowiłam, że wybiorę się na wycieczkę gondolą, chociaż w pojedynkę to wątpliwa frajda. Ale co tam, nie pozwolę, by wyskok Toma popsuł mi romantyczny nastrój.

W tym momencie mój uroczy kierowca wykonał gwałtowny manewr motorówką, sypiąc inwektywami jak z rękawa, a ja straciłam równowagę i też zmełam w ustach kilka przekleństw. Kiedy usiadłam prosto, zobaczyłam obiekt irytacji przewoźnika. Był to wysoki, dobrze zbudowany gondolier; przeciął nam drogę w grafitowej łodzi, której blask chwilowo odebrał mi jasność widzenia.

Usłyszawszy śmiech gondoliera, przysłoniłam ręką oczy, aby lepiej widzieć. Był smagły i przystojny, jak każdy gondolier z prawdziwego zdarzenia. Gdy z wprawą ustawiał łódź w kierunku przeciwnym do naszego, zwróciłam uwagę na gładkie wypukłości jego muskularnych ramion. Płynność ruchów



przy każdym machnięciu drewnianego wiosła nasuwała skojarzenie z baletmistrzem. Mimowolnie omiotłam spojrzeniem jego sylwetkę: wierście mi, każdy by to uczynił na moim miejscu. Kiedy jednak dokonałam oględzin, zahaczywszy po drodze o biodra, brzuch, ramiona, kark oraz kształtne uszy, mój wzrok ponownie spoczął na jego oczach i spostrzegłam przerażona, że mężczyzna odwzajemnia moje spojrzenie. Z uśmiechem uniósł brew.

Świat jakby stanął w miejscu.

Owładnęła mną żądza, żywcem wyjęta z powieści Jackie Collins.

Było to najbardziej zmysłowe doznanie, jakiego w życiu doświadczyłam. Wiem, co sobie myślicie: podczas miodowego miesiąca? Ale bądźcie łaskawi pamiętać, że w grę wchodził drugi miesiąc miodowy z tym samym mężem, co - przyznacie - umniejsza nieco jego rangę. Zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności.

Tak czy siak stał tam z uśmiechem, unosząc brew. Mało nie umarłam. Ponieważ zaś nie starczyło mi przytomności umysłu, by zamknąć usta rozdziawione od momentu, kiedy go ujrzałam, on sam nie uległ zapewne magii chwili. I gdy tak wlepiałam weń cielejące spojrzenie, on roześmiał się tylko i odpłynął. Patrzyłam jeszcze, jak tańczy na swojej gondoli, po czym nieoczekiwanie skręcił z Canale Grande w jedną z bocznych tras, pozostawiając mnie w fazie roznamietnienia zgoła nielicującego z godnością do niedawna szczęśliwej (no cóż...) mężatki. Na szczęście moja taksówka przystanęła przed Gritti Palace, gdzie uśmiechnięty odźwierny podał mi rękę i pomógł wyjść na pomost.

Widok mojego nowego lokum odsunął na bok wspomnienie boskiego gondoliera. Gritti Palace nie dorównywał mauretańskiej ekstrawagancji co po niektórych sąsiednich budynków, należał jednak do najszlachetniejszych hoteli w mieście. Wybrałam go, ponieważ było to ulubione miejsce pobytu Ernesta Hemingwaya, podobno też podczas słynnych przypiływów, gdy woda zalała

hotelową restaurację, kelnerzy w kaloszach zanosili gości do stolików. Takie poświęcenie dla jednej z zasadniczych funkcji życiowych naturalnie musiało zrobić na mnie wrażenie.

Pokój okazał się idealny. I to pod każdym względem. Pomalowano go na odcień zieleni, za którym dotąd wprawdzie nie przepadałam, był to jednak kolor pistacjowy (pistacje to po makadamii moje ulubione orzechy), daleki od tego, jakim sieć sklepów z konfekcją określa barwę kanarkowych spodni na wyprzedaży.

Z lustrem w złoconej ramie, wezglowiem zdobionym w motyw roślinny, szklanymi kloszami i sutymi zasłonami i gobelinami z brokatu, pokój zdawał się wprost stworzony dla świeżo upieczonych małżonków. Rozejrzałam się, zdjeta przeświadczeniem, że owa myśl wznieci falę rozgoryczenia i strachu, ale nic z tych rzeczy. Nie chciałam mieszkać w tym pięknym miejscu bez Toma, no przecież że nie. Nie tak miało być. Jednakże z drugiej strony nie ma tego złego... Zaraz, zaraz, upomniałam się w duchu. Stałam w ciszy, usiłując nie myśleć o brunatnych ramionach w gasnącym blasku zachodzącego słońca. Co się ze mną dzieje? Powinnam płakać i rwać włosy z głowy, a nie skrycie zacierać ręce, skuszona perspektywą nowego obiektu westchnień. Wobec przytłaczającej ciszy podeszłam do malowniczego okna i otworzyłam je na oścież, wpuszczając Wenecję do środka. Obiecująca woń karmelizowanej cebuli natychmiast odwróciła moją uwagę. Z tarasu poniżej dobiegł perlisty wybuch śmiechu przy wtórze cichego brzęku kieliszków i postukiwania sztućców. Oparłam się o parapet, chłonąc widok. Na lewo, po drugiej stronie kanału, tkwiła spoczywająca obecnie w cieniu kopuła bazyliki Santa Maria della Salute, której liliowe zabarwienie przeszło w sto odcieni stłumionej szarości. Na prawo widziałam rzeźby na położonym od strony kanału tarasie muzeum Peggy Guggenheim. W dole przepłynął *vaporetto*; wzburzone fale obmyły ściany

hotelu. Ktoś krzyknął, chrapliwy wrzask poniósł się echem, ponownie brzęknęły naczynia, woda pluskała jednostajnie.

Ogarnęło mnie dziwne wrażenie. Miasto zdawało się zanikać i zjawiać ponownie w pastelowych oparach niczym fatamorgana. Żarliwie zapragnęłam przymknąć oczy, a mój umysł błagał o ciemność: byłam skonana. Bycie opuszczoną przez męża odbiegało od moich oczekiwań i muszę przyznać, że wymęczyło mnie okrutnie. Nie zamykając okna, wślizgnęłam się do łóżka, zachaczając po drodze wzrokiem o aparat telefoniczny. Powinnam zadzwonić do Toma, pomyślałam. Jasne, że powinnam. Lecz ukołysana odgłosami swojej weneckiej fantazji zapadłam w sen.

Obudziłam się w środku nocy, niepewna, gdzie się znajduję i bez kogo. Zwlokłam się z łóżka i ponownie stanęłam przy oknie, błędząc wzrokiem od hotelowych dachówek z terakoty do Canale Grande. Panowała niemal absolutna cisza, miasto spało. Jednakże w mroku wyczuwałam coś nieokreślonego, coś, co dotyczyło mnie samej. Wiem, że to idiotyczne, ale czy nigdy nie mieliście wrażenia, że ktoś was obserwuje? I wasze podejrzenia okazały się słuszne? Gdy wbiłam oczy w ciemność, zmęczenie mąciło mi wzrok. Nic nie widziałam, ale do moich uszu doleciał jakiś dźwięk, jakby chlupot, może plusk wiosła burzącego tafle kanału. Tak, w dole znajdowała się łódź. Płynęła tak wolno, że niemal stanęła w miejscu. Z trudem wyodrębniłam jej kształt, atramentowy półśmiech naprzeciw hotelowego wejścia po drugiej stronie kanału. Wychyliwszy się z okna, mocniej wyteżyłam wzrok, ale na zewnątrz było ciemno jak w studni. Mimo to wydało mi się, że widzę znajomą postać. To niemożliwe! A jednak zarys barczystych ramion i bioder nie pozostawiał wątpliwości. Co mężczyzna, z którym wymieniłam tylko jedno (aczkolwiek znaczące) spojrzenie, robił przed moim hotelem w środku nocy? Albo kompletnie traciłam rozum, albo w grę wchodził niezwykle zbieg okoliczności tudzież totalna znie-

waga. Wstrzymując oddech, dokonałam pospiesznej analizy sytuacji, a serce tłukło mi w piersi jak szalone. Czułam się jak najbardziej przy zdrowych zmysłach, nie wierzyłam w zbieg okoliczności, a myśl o totalnej zniewadze była, o zgrozo, wcale kusząca. Oto skutki niespełna dwudniowej rozłąki z mężem.

Odsunęłam się od okna i ciarki przeszły mi po plecach. Rozpakowałam czekoladkę z niedoszłej poduszki Toma. Cóż, skoro postanowił mnie rzucić, przyjdzie mu za to zapłacić. Czekolada była gorzka (uwielbiam), z kakaowymi chrupkami. Tom nie zaliczał się do entuzjastów czekolady. Wolał krem waniliowy i wszelakie przekładance z bitą śmietaną. Zerknęłam na telefon. Ciekawe, co teraz robi?

I która to może być godzina w Nowym Jorku? Dlaczego sam do mnie nie zadzwonił? Wiedział, gdzie jestem: na naszym drugim miesiącu miodowym. W pięknym pokoju z miękkim, małżeńskim łóżem i pistacjowymi ścianami. Ległam na łóżku i sięgnęłam po słuchawkę, lecz za nic nie potrafiłam określić różnicy czasu. Cyferki skakały mi przed oczami i nie mogłam sobie przypomnieć naszego numeru domowego. Cóż, nie należeliśmy do małżeństw, które bez przerwy do siebie wydzwanają. W ogóle do siebie nie dzwoniliśmy. Powinam jednak bardziej skupić się na numerze aniżeli błędzić myślami w kierunku ciemnej łodzi i jej jedyne go pasażera, sunących z wolna po kanale pod oknem. Odłożywszy słuchawkę, zacisnęłam powieki i ponownie zapadłam w sen.

Kiedy się obudziłam, słońce właśnie wstawało zza horyzontu i zapowiadał się przepiękny dzień. Byłam głodna jak wilk. Zadzwoniłam na obsługę i zamówiłam wszystko, co tylko przyszło mi do głowy, jęcząc z zachwytu na widok podgrzanej tacy, nakrytej z przepychem godnym nie przymierzając koronowanej głowy. Z ogromnej srebrnej wazy nabrałam łychę niewiarygodnie kremowej, słonej, jedwabistej owsianki. Pachniała bosko i smakowała nie-

biańsko, chociaż pozostawiła mi w ustach dziwny słodkawo-gorzki posmak, przywodzący na myśl syrop od kaszlu. Zagryzłam owsiankę świeżym melonem oraz ciastkami z nadzieniem, którym nie mogłam się oprzeć. Kawa nie sprostała moim wymaganiom, a te do małych nie należały: musiała być kolumbijska z kroplą podgrzanego, pełnotłustego mleka, ale przynajmniej na dobre wyeliminowała apteczny posmak owsianki. Tak się najadłam, że znowu musiałam się położyć. Mam spust, który zawsze budzi zdumienie, a nawet przestrasza osób, które nie miały dotąd okazji zasiąść ze mną do stołu. To pewnie przez ten słuszny wzrost i pokaźne biodra, trzeba je jakoś wypełnić. Jednym z pytań najczęściej zadawanych przez ludzi na temat mojego zawodu jest to, czy kiedykolwiek mam dosyć jedzenia. Zawsze udzielałam odpowiedzi przeczącej i w tym chyba tkwi klucz do sukcesu w branży. Nawet wówczas, leżąc odłogiem na łóżku w hotelu Gritti, z żołądkiem wypełnionym po brzegi węglowodanami i tłuszczem zwierzęcym, nie mogłam się opędzić od myśli o lunchu. Ciekawe, czy smakowałyby Tomowi. Postanowiłam jednak nie zaprzętać sobie głowy Tomem i rozmyślnie zajęłam jego stronę łóżka, dotąd pustą i gładką.

Chociaż za wszelką cenę usiłowałam o nim nie myśleć, po chwili zdałam sobie sprawę, że brakuje mi jego zapachu. Tom zawsze tak ładnie pachniał. I nie chodzi tu wcale o zapach wody kolońskiej, Tom nie miał czasu na kosmetyczne zabiegi. Roztaczał wokół siebie słodkawą woń męskiego ciała, zmieszaną z odrobiną czosnku, szalwii, jednej ze swych ulubionych przypraw, oraz potu, co większość ludzi uważa za odstręczające, a ja wręcz przeciwnie. Wspomnienie sprawiło, że ponownie sięgnęłam po słuchawkę i bez namysłu wykreśliłam numer.

- Halo - usłyszałam senny głos Toma. - Halo?

A więc był w domu. Otworzyłam usta, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. A więc nie umierał od rany postrzałowej i nie konał w rowie po kolizji z

tirem. Leżał w łóżku. Sam. W Nowym Jorku.

- Halo? - powtórzył rozbudzony, z nutą irytacji w głosie. - Kto tam? Jezu, odezwij się. Pytam, kto dzwoni?

A jak myślisz, krzyknęłam w duchu. Twoja żona, kretynie. Ta, z którą nie pojechałeś na wakacje. Leżę w łóżku. Sama. W Wenecji.

Byłam tak wstrząśnięta, że odłożyłam słuchawkę. Wiem! Sama nie cierpię, kiedy robią to w filmach, ale w tamtej chwili nie przyszło mi do głowy nic lepszego. Leżałam bez ruchu, z rozkołatanim sercem, zachodząc w głowę, czy już zjadłam śniadanie. Jeśli on ma mnie w nosie, nie będę tracić ani chwili na rozważania o naszym małżeństwie. Skoro upewniłam się, że jest cały i zdrowy, mam zamiar wykorzystać urlop do maksimum. Zerwawszy się z łóżka, wciągnęłam dzinsy, podkoszulek oraz najsolidniejsze buty, które wcale nie były takie solidne, po czym ruszyłam wyludnionymi jeszcze uliczkami Wenecji.

Szłam, miotając pod nosem przekleństwa, co było wcale do mnie niepodobne. Jak on mógł? Jak śmiał? Szczerze powiedziawszy, sama miałam problem z określeniem kalibru zbrodni. Wiem, że to bez sensu, ale opowiadam, jak było. Byłam wściekła, bez dwóch zdań, a także dotknięta, skołowana i z troskana o przyszłość, jednakże mój gniew zdawał się cokolwiek jednowymiarowy lub udawany. Gdzieś w głębi serca czaiło się przekonanie, że wiem więcej, niż dopuszczam do świadomości. Ale jak to możliwe? Niezdolna określić własnych uczuć, maszerowałam przed siebie. Postanowiłam iść na słynny targ spożywczy na Rialto. Stukot butów na kocich łbach skutecznie pomagał mi się wyciszyć.

Wenecja stwarza wymarzoną okazję do spacerów, co ochoczo wykorzystałam. Wiem nie od dziś, że zbyt wczesny posiłek oznacza dodatkową porcję kalorii w ciągu dnia, tego zaś należy unikać za wszelką cenę. Jak już wspomniałam, potrafię wcisnąć w siebie więcej aniżeli przeciętny zjadacz chleba,



ale nie mogę folgować wszystkim swoim zachciankom. A przynajmniej nie bez wsparcia elastycznych majtek i rajstop wyszczuplających. Kiedy w liceum rozpoczęliśmy wraz z Tomem krucjatę szlakiem jadłodajni Manhattanu, moja pupa rozdeła się do zgoła zastraszających rozmiarów, skazując mnie na pastwę stretchowych getrów z przeceny.

Wreszcie przyznałam sama przed sobą, że pora pozbyć się nadmiaru kilogramów, ale jak? Odchudzanie nie wchodziło w rachubę, konsumpcja stanowiła moje hobby. Zrozumiałam, że nie obejdzie się bez aktywności fizycznej. Miałam wzrokowo-ruchową koordynację węża, co wykluczało większość dyscyplin sportowych. Kiedyś spróbowałam aerobiku i od razu skręciłam kostkę (a było to w drodze do sali gimnastycznej), w związku z czym gimnastyka też odpadała. Nienawidziłam joggingu, gdyż była to opcja dla chudzielca z kitką, zatem pozostawała mi tylko bulimia. Lecz jako osoba, która spędziła dzieciństwo, usiłując zatrzymać w żołądku spożyty przed chwilą posiłek, nie wyobrażałam sobie, aby wymiotować na komendę.

Poskarżyłam się Tomowi na swój los, kiedy pewnego dnia kierowaliśmy się w stronę metra. Wtedy on przystanął, wyrwał mi bilet z ręki i chwyciwszy mnie za ramię, popchnął z powrotem ku schodom.

- Na piechotę - oznajmił i od tamtej chwili własne nogi stały się moim ulubionym środkiem transportu. I tak wolałam oglądać Nowy Jork z chodnika. Dawało to przewagę nad turystami, umożliwiając swobodny wgląd w miejsca, opisywane dotąd po łebkach w kiepskich przewodnikach.

Tamtego ranka - właśnie minęła ósma - zafascynowana dreptałam wąskimi uliczkami Wenecji, opędzając się od myśli o swym cokolwiek niepewnym stanie cywilnym. Zaliczyłam zaledwie tuzin ślepych zaułków, nim wreszcie natknęłam się na strzałkę wskazującą drogę do placu Świętego Marka. Ściśle rzecz biorąc, była to dość okrężna trasa do Rialto, lecz w Wenecji nic nie



leży po drodze do czegoś innego, dlatego nie wzięłam sobie tego zbyt do serca.

Weszłam na plac od zachodu, wkroczyłam na jego gigantyczną przestrzeń nieświadoma przebytej odległości.

Przede mną wznosiła się bazylika, z kopułami i iglicami połyskującymi w słońcu. Było to wymarzone miejsce na siedzibę szubrawca rodem z filmów o Jamesie Bondzie, planującego zawładnąć wszechświatem. Kampanila stała tuż obok. Niebo wydawało się zbyt niebieskie, sceneria zbyt wielobarwna. Ni stąd, ni zowąd ugięły się pode mną kolana. Byłam sama. Zważcie, że na placu nie było praktycznie nikogo, czego się zupełnie nie spodziewałam. Wszystko, co dotąd słyszałam o Wenecji, przygotowało mnie na widok nieprzebranych tłumów. Moja przyjaciółka Roberta, która pisze do szuflady i słynie ze swojej prawdomówności, przed rokiem wróciła z Wenecji z gorącym postanowieniem ostudzenia mojego entuzjazmu i raczyła mnie opowieściami o rzeszach obutych w sandały (ze skarpetami) turystów z Europy Wschodniej. Twierdziła, że miasto cuchnie i rozpada się ze starości oraz nadmiaru wilgoci. Byłyśmy już kiedyś razem na wakacjach i wiedziałam, że moja przyjaciółka najbardziej lubi na urlopie bar z mętnym oświetleniem odmładzającym ją o dziesięć lat, dlatego potraktowałam tę relację z przymrużeniem oka. Tom jednak z radością słuchał, jak torpeduje moją wizję. Kierując się w stronę północnej części placu, przypomniałam sobie, że później się o to pokłóciliśmy. Zupełnie jakby odmawiał mi prawa do marzeń. Czy kiedykolwiek mu o tym powiedziałam? Ba, czy choćby o tym pomyślałam? Usiłowałam przypomnieć sobie szczegóły sprzeczki, ale nie mogłam. Finał również zdawał się dość mętny. Hm, a może był nim mój samotny wyjazd?

Naraz moją uwagę zwróciły zręczne podróbki torebek Louisa Vuittona, ustawione na schodach tuż przed sklepem z autentycznymi wyrobami produ-

centa.

- Podoba się? Kupujesz? - zapytał sprzedawca o skórze w odcieniu melasy.

Pokusa była aż nazbyt silna. Otworzyłam usta, aby się potargować, coś, do czego jestem zdolna tylko w wypadku torebek i butów, lecz naraz się zawstydziałam. Czyż właśnie nie rozważam przyczyn rozpadu mojego małżeństwa? Która kobieta, żona tak łatwo da się omamić? I to czym? Podróżkami? Zdegustowana przyspieszyłam kroku, usiłując nie myśleć, że z bliska torebki pozostawiały wiele do życzenia.

Nie przestając się strofować, dotarłam na most Rialto. Widywałam go wielokrotnie: w czasopiśmie, książkach, filmach, na starych obrazach i rycinach w niezliczonych galeriach sztuki. I proszę, oto miałam go przed sobą, niezmienny od setek lat, ze schodkami po obu stronach i straganami pośrodku. Poczulałam ucisk w gardle. Pragnęłam odwrócić się do kogoś z okrzykiem zachwytu, który tak bardzo irytował Toma, ale nie miałam do kogo. Otaczało mnie wprawdzie mnóstwo ludzi, lecz zabrakło wśród nich osoby, z którą mogłam podzielić się wrażeniami.

Ale co tam, świeciło słońce, a ja byłam w Wenecji. Na moście Rialto, nieopodal targu, który od dawna marzyłam zwiedzić. Co tam samotność, co tam rozpad małżeństwa, liczy się tylko chwila. Potrząsnęłam włosami i z wysoko podniesioną głową wkroczyłam na most, spoglądając na kanał, gdzie dostawcy wyładowywali towar na sprzedaż, a restauratorzy uzupełniali zapasy na nowy dzień.

Najpierw usłyszałam pogwar targu, ochryple głosy płynące po wodzie. *Radicchio due e cinquanta, cavolo uno cinquanta al kilo, carciofi soltanto un euro al kilo.*

Liznęłam odrobinę włoskiego dzięki Pippowi Marzano, mogłam więc się

poszczycić niezłą znajomością nazw warzyw i owoców, przyzwoitą orientacją w dziedzinie mięs oraz ryb, przekleństwa zaś miałam w małym palcu. Kiedy podeszłam bliżej, serce żywiej zabiło mi w piersi. Uwielbiam targi spożywcze. W większość dni targowych możecie mnie z samego rana zastać na Union Square, wachającą rucolę oraz szalwię i wybierającą z namaszczeniem główki czosnku. Hm, właściwie chodziliśmy tam razem. Tom też przepadał za targowiskiem. Na pewno by mu się tu spodobało.

Zeszłam z mostu i ruszyłam w kierunku czerwonych markiz historycznych straganów, potrącana bezceremonialnie przez Włochów. To nie cyrk, prawie słyszałam, jak mruczą pod nosem, tu się robi interesy. *Maledetti turisti*, mruknął chyba jeden z nich, co oznacza „cholerni turyści”. Nagle pożałowałam swoich džinsów, podkoszulka i jasnoróżowych pantofli od Gucciego. Wyglądałam jak turystka, podczas gdy pragnęłam owinąć głowę chustką, włożyć luźne spodnie i chodaki i buszować między straganami jak na prawdziwą kucharkę przystało.

Oczywiście mój wzrok z miejsca padł na pomarańczowe kwiatki cukinii, które z nadzieją wychylały główki ze skrzyń, jakby dzięki temu mogły uniknąć przepysznej, chrupiącej panierki. „Pięć euro za kilogram borowików” - burknęła pod moim adresem sprzedawczyni grzybów. Podeszłam bliżej do kwiatków cukinii. Miały idealny odcień, były jędrne i wilgotne. Kiedy lustrowałam je wzrokiem (kwiaty warzywa, które mało nie zrujnowało mojego małżeństwa), nastąpiła pierwsza dziwna rzecz z całej serii dziwnych zdarzeń, które wkrótce stały się moim udziałem.

Najpierw to poczułam, mówię wam, coś niesamowitego. Zaczęło się od skoku temperatury: pomimo żaru, który lał się z nieba, nagły chłód przypawił mnie o gęsią skórę. Spojrzałam na Canale Grande, jeszcze przed chwilą roziskrzony feerią barw. Teraz nic. Szara, wilgotna mgła wypełzła znikąd, tłumiąc

wszystkie odcienie weneckiej palety. Warto było to zobaczyć. Nawet głosy zgromadzonych wokół ludzi zniecka wydały się przytłumione. Rozejrzałam się z lekkim przestraszeniem, ale że pozostali zdawali się nieświadomi sytuacji, odeszłam od cukinii i ruszyłam w kierunku stoisk z rybami, położonych bliżej wody otulonej białoszarym pleciem mgły. W przeciwieństwie do znanej mi dobrze Citalerelli, tutaj ryby patroszono na miejscu, przez co bruk ociekał oślizgłą cieczą, która nie wróżyła nic dobrego zamszowym butom. Ja jednak brnęłam naprzód, dopóki charakterystyczny odgłos nie zwrócił uwagi mojej oraz osób przebywających w bezpośrednim sąsiedztwie. Okazało się, że nadepnęłam na coś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyglądało na porzuconą cystę jakiejś ogromnej ryby, która rozprysła się pod moim ciężarem, obryzgując cuchnącą zawartością nie tylko moje stopy, ale i buty wszystkich dokoła. I chociaż lubię targ, lubię też buty (zwłaszcza swoje), przez co - jak łatwo się domyślić - nie byłam zachwycona, podobnie jak otaczający mnie ludzie, którzy jak jeden mąż jęli potrząsać nogami, szurać obcasami o bruk i rzucać mi obelżywe spojrzenia. Nietrudno zgadnąć, że moje buty doznały największego uszczerbku. Balansując z jedną ręką opartą o wiekową kolumnę na skraju kanału, ostrożnie uniosłam nogę, by oszacować rozmiar szkód. But ociekał śluzem. To było obrzydliwe.

W tej samej chwili mgła uniosła się równie szybko jak opadła. Poczułam, jak słońce ogrzewa mi dekolt. Podniosłam głowę i oto na wprost mnie zmaterializował się mój gondolier, wsparty z wdziękiem na wiosle. Spoglądał prosto na mnie, tak jakby wiedział, że tam będę, kiedy zaś podchwycił mój wzrok, uśmiechnął się szeroko.

Żądza rodem z Jackie Collins ponownie dała o sobie znać.

Postawiłam na ziemi stopę upstrzoną żółtymi i czerwonymi plamami rybiej cieczy. Ręce zwisły mi bezwładnie wzdłuż boków, ale przynajmniej tym

razem domknęłam usta, na wszelki wypadek przygryzając dolną wargę. Zobaczyłam, że mężczyzna nie ma na sobie tradycyjnego stroju gondoliera, czyli białej marynarskiej koszulki i opasanego wstążką słomkowego kapelusza, tylko czarny, obcisły t-shirt oraz czarne spodnie z niskim stanem. Miał krótko przycięte ciemne włosy nastroszone na czubku i z bliska wydawał się jeszcze wyższy i bardziej barczysty, a jego twarz nieprzyzwoicie wręcz piękna, o regularnych rysach i idealnym orzechowym odcieniu. Na oko oceniłam jego wiek na dwadzieścia parę lat. Jednym słowem miałam przed sobą modelowy egzemplarz samca.

Zwrócony w moją stronę odpływał coraz dalej, znikając pod arkadami mostu. Ogarnął mnie smutek, jaki nachodzi nas rankiem po szczególnie miłym śnie i zdałam sobie sprawę z ciszy, która wypełniła dzielącą nas przestrzeń.

- Nie pozwolę pani odejść - oznajmił perfekcyjną angielszczyzną. Słowa zabrzmiały tak blisko i namacalnie, że ani przez chwilę nie wątpiłam w ich prawdziwość. Mężczyzna odwrócił się, po czym jego sylwetka znikła w cieniu mostu.

Wypuściłam powietrze z płuc. Poczułam zawroty głowy: musiałam wstrzymać oddech od chwili, gdy mgła uniosła się znad wody. Niebo na powrót przybrało jaskrawobłękitny odcień, słońce piekło mi twarz. Warstwa śluzu na moim bucie zaczęła wysychać i trzeszczeć.

Co się właściwie stało? W uszach dźwięczało mi echo słów gondoliera, ale w powietrzu krzyżowały się obecnie również inne dźwięki, okrzyki handlarzy, huk rozładowywanych skrzyń oraz głosy kupujących, którzy targowali się o cenę towaru. Kim był mężczyzna, który jak bumerang powracał w moją rzeczywistość, przyprawiając mnie o palpacje serca?

Z roztargnieniem wróciłam do handlarki grzybów, odzianej w sukienkę w biało-brązowe esy-floresy. Scena, poranek, a dokładnie rzecz biorąc, całe moje

życie wydało mi się zgoła surrealistyczne. Co miał na myśli, mówiąc, że nie pozwoli mi odejść? Skoro zaś o tym mowa, nigdy przedtem nie czułam się bardziej opuszczona.

- *È vero - non ti lascier à scappare* - mruknęła życzliwie dama w esy-floresy. Zrozumiałam, że daje mi do zrozumienia, żebym coś kupiła albo czym prędzej znikła jej z oczu. Posłusznie zesłam na bok i przystąpiłam do zeskrobywania z buta mazi za pomocą metalowego pręta porzuconego wózka. Jakoś straciłam ochotę na spacer w tłumie i oglądanie płodów weneckich ziem i wód. Odczułam potrzebę, by przycupnąć w jakimś cichym zakątku, wysączyć latte i odzyskać rezon. Na miłość boską, byłam osamotnioną pseudo-oblubienicą o niezdrowym pociągu do weneckiego gondoliera! Ile jeszcze mogę znieść? Czysty obłąd.

Na początek zapewniłam się w duchu, że kocham męża, chociaż siedzi w domu, przeklinając do słuchawki, podczas gdy ja tkwię tutaj sama jak palec. Należałam do Toma, odkąd osiągnęłam wiek stosowny do tego, by do kogoś należeć, i tyle, koniec kropka. Poza tym nie zasługiwałam na miano flirciary, o niezdrowym pociągu do obcych nie wspominając. To po prostu nie byłam ja. Podczas licznych wypadów z przyjaciółkami nie brakowało okazji do skoków w bok czy choćby niewinnej przygody, lecz ja nigdy nie zawracałam sobie tym głowy, choć moja najlepsza przyjaciółka Fleur zawsze flirtowała, ile wlezie. Gdybyśmy grały w „Seksie w wielkim mieście”, o którym niemało rozprawiałyśmy, Fleur byłaby rozhulaną Samanthą, choć bardziej przypominała Carrie, tyle że z ładniejszymi włosami i większym tyłkiem. Ja wyglądałam raczej jak Charlotte, przy czym byłam wyższa i bardziej zaokrąglona, ale zachowywałam się jak Miranda w nieco głupszym wydaniu i bez tak gruntownej orientacji w dziedzinie seksu, jako że miałam na koncie wyłącznie seks z własnym mężem. W sumie, kiedy to napisałam, widzę jak na dłoni, że nie przypominamy żadnej



z bohaterek serialu.

Tak czy inaczej Fleur nie była może klasyczną piękną (przypominała nieco z wyglądu Monę Lizę), ale charyzmy jej nie brakowało, o nie. Mężczyźni wprost za nią przepadali. Wystarczyło, że weszła do pokoju i wyciągnęła papierosa, a musiała się od nich opędzać jak od komarów, sypiąc na prawo i lewo pieprznymi aluzjami oraz iskrząc dowcipem. Przy Fleur byłam cienka jak barszcz. W czym tkwił jej sekret? W pewności siebie, ukrytej w kosmyku włosów, wygięciu brwi, odzieży uwypuklającej to, co inne kobiety spieszyły skrzętnie zatuszować.

Fleur była drugą od końca z pięciu córek. Wszystkie były uwielbiane przez rodziców, nawet najstarsza, Christina, która w wieku piętnastu lat zaszła w ciążę z facetem, którego imienia nie chciała zdradzić. W każdej szanującej się operze mydlanej stałoby się to przyczyną rozłamu w rodzinie, prowadząc do trwającej pokolenia wojny, jednakże w domu McBride'ów dziecko stało się po prostu kolejnym obiektem miłości. Brzmi staroświecko, ale to szczerą prawdą. McBride'owie emanowali życzliwością, chociaż pan McBride wiecznie chodził splukany, a jego żona czasem ciągnęła trzy posady, aby mieć co włożyć do garnka. Uwielbiałam ich odwiedzać. I przepadałam za Fleur. Była taka pewna siebie, podobnie jak jej siostry. To zasługa ich rodziców.

Dzięki owej pulsującej w żyłach pewności siebie Fleur nie narzekała na brak życia towarzyskiego. Mogła zmieniać facetów jak rękawiczki i robiła to z rozkoszą. Podziwiałam ją za to z całego serca, niepokojąc się zarazem, że podobna rotacja uniemożliwi jej znalezienie odpowiedniego mężczyzny, który mógłby zostać jej mężem. Wiedziałam, że marzy o macierzyństwie. Jednakże po kilku latach zrozumiałam, że moja przyjaciółka czerpie ze swego trybu życia tyle uciechy, iż za nic nie zamieni go na powtarzane cyklicznie seanse „Przyjaciół”, zastępując grono wielbicieli gromadką usmarkanych pociech.

Zapewne umarłaby z nudów pierwszego wieczora.

Tom i ja też nie marnowaliśmy czasu na wieczorne powtórki seriali: oboje pracowaliśmy do późna i to nie wchodziło w grę. Nie, prowadziliśmy znacznie ciekawsze życie. Tak czy siak, nie mając u boku Toma, nie mogłam liczyć choćby na ułamek frajdy będącej udziałem Fleur, hulającej bez męża.

Szłam przez most, kiedy ostatnia myśl uderzyła mnie z całą mocą, sprawiając, że stanęłam jak wryta. Przecież nie miałam u boku Toma. Byłam bez męża. Co za koszmar. Rozpacz wreszcie dała o sobie znać. Byłam głupia, sądząc, iż tak się nie stanie: bolało, bolało jak diabli.

Kiedy uniosłam głowę, moje spojrzenie padło na zdążającą z naprzeciwka szykowną parę w moim wieku. Kobieta z pewnością nawet by nie spojrzała na podróbkę markowej torby; miała na ramionach duży szal i żaden szczegół jej ubioru nie pozostawiał wątpliwości co do statusu majątkowego właścicielki. Mężczyzna, odziany w niebieski blezer i lśniące buty, taksował z aprobatą idącą przede mną turystkę o wyglądzie Szwedki. Kiedy go minęła, mężczyzna prześlizgnął się wzrokiem po mnie, po czym utkwił go w osobie znajdującej się za moimi plecami. Gdybym nie zeszła mu z drogi, pewnie by na mnie nadepnął. Byłam niewidzialna.

W moim rankingu złych chwil ów incydent natychmiast uplasował się na pozycji lidera. Tuż obok precla Woody'ego, o którym rzecz jasna nie miałam jeszcze wówczas pojęcia.

Oto kobieciarz, esteta z wbudowanym radarem atrakcyjności, któremu staje na widok sprzątaczkę, prześlizguje się po mnie wzrokiem jak gdyby nigdy nic. Tak ma teraz wyglądać moje życie bez Toma, pomyślałam ze smutkiem: jestem skazana na rolę mikroba w krainie wiecznych godów.

Odwróciłam się na pięcie, przelykając łzy i upokorzenie, po czym wpadłam (dosłownie) w muskularne ramiona swojego urodziwego prześladowcy.

- *Finalmente* - powiedział.

## ROZDZIAŁ 3

Wiem, że to idiotyczne, naprawdę wiem. Cała ta szopka z powtórnyim miesiącem miodowym w Wenecji nosi znamiona szmirowatej komedii romantycznej, nie musicie mi tego mówić. I chociaż wiedziałam, że niektórym kobietom naprawdę się to przytrafia - spotykają miłość swego życia, sięgając po ostatnie ciasto z czekoladą albo wychodzą za muskularnego surfera, który uratował je przed utonięciem na Karaibach - nie zaliczałam się do grona tych szczęściar. Ja spotkałam swego przyszłego męża w wieku czterech lat i wzięłam ślub, żeby zagrać na nosie mamusi.

A jednak stałam na moście Rialto, spoglądając w rozbawione, niebieskie oczy wybitnie przystojnego gondoliera, który przytrzymał mnie za łokieć, mówiąc „wreszcie” tonem tak nieznośnym sprzeciwu, że zupełnie odebrało mi mowę.

- Co wreszcie? - wydusiłam w końcu irytująco piskliwym głosem.

- Wreszcie cię znalazłem - odrzekł nieoczekiwanie zwyczajnym tonem. -

*Ti ho cercato dovunque*, wszędzie cię szukałem.

Z bliska był jeszcze przystojniejszy niż z daleka. Miał rysy modela z reklamy Calvinia Kleina i reprezentował typ mężczyzny, którego normalnie uznałabym (nie żebym normalnie musiała wyciągać podobne wnioski) za stanowczo poza swoim zasięgiem. Nawet Fleur nie mierzyłaby tak wysoko, kierując celownik na jego mniej atrakcyjnego kolegę, o ile takowy w ogóle by istniał. Zawsze powtarzała, że należy mierzyć siły na zamiary. A tu proszę, stoję przed Adonisem, który wpija we mnie żarliwe spojrzenie, unosząc cudowną brew (moja ulubiona część ciała), i najwyraźniej wie więcej niż ja.

- Mam na bucie zepsutą rybę - oznajmiłam.

Nigdy nie umiałam bajerować, to fakt. Oto męskie bożyszczce zastępuje mi drogę, przekonane, że wreszcie udało mu się mnie wytropić, a ja co? Wytynam palcem najmniej powabny *aspect du jour*, czyli w tym wypadku rybią ciecz rozprysniętą na moim bucie. Żenada.

O dziwo bożyszczce wybuchnęło śmiechem, jakbym powiedziała coś najzabawniejszego na świecie, a moje znekane serce roztopiło się jak masło.

- Jestem Marco - oświadczył, a następnie kucnął i uniósł nogawkę moich dzinsów, delikatnie ujmując mnie za kostkę.

Jego dotyk był ciepły i aksamitny niczym łyk gorącej czekolady. Z niewiarygodnych ramion wyrastała niczego sobie szyja, a drobne uszy przywiodły mi na myśl paszteciki. Miałam ochotę go skubnąć, tu i tam. Oczywiście zamiast snuć jurne rozmyślania powinnam skupić się na przyczynach, które skłoniły go do wyżej wymienionych czynności, gdyż dopiero kiedy szarpnął mnie za nogawkę, po raz trzeci mówiąc „do góry”, zrozumiałam, że usiłuje zdjąć mi but.

Postąpiłam, jak kazał, wtedy on pozbawił mnie zbrukanego obuwia, a następnie wstał i przykazawszy, że mam pozostać na miejscu, zbiegł po schodkach i ruszył w kierunku przycumowanej gondoli. Zwinnie wskoczył na pokład (kolejna chwila rodem z Jackie Collins) i tak zręcznie przeszedł na tył łodzi, że ta prawie się nie zakołysała. Poszperał za cudną, obitą niebiesko-złotym brokatem ławeczką i dobył szczotkę. Zamoczywszy tę ostatnią w wodach kanału, usiadł i zajął się butem od Gucciego, najpierw ostrożnie, potem ze wzmożoną werwą, po czym spojrzał na mnie i uśmiechnął się rozbrajająco.

Stojąc chwiejnie na jednej nodze, rozejrzałam się niepewnie, ale nikt nie zwracał uwagi na jednonogą turystkę i gondoliera-pucybuta. Było to doprawdy dziwne, lecz wzruszywszy lekko ramionami, jęłam dalej paść oczy widokiem

czarującego wybawcy. Za jego plecami podskakiwał na wodzie tuzin pustych gondoli, których właściciele, odziani w pasiaste koszule i słomkowe kapelusze, stali grupkami na pomoście, paląc lub rozprawiając zawzięcie, pochłonięci wypatrywaniem potencjalnych klientów. Oni również zdawali się obojętni wobec zaistniałej sytuacji oraz Marca, którego łódź lśniła mocniej od pozostałych. Złota farba na misternym ornamencie za ławką połyskiwała subtelnie, a umieszczona z przodu mała niebiesko-złota flaga łopotała przy najlżejszym wietrzyku, podczas gdy reszta proporców zwisała bezwładnie ze swoich masztów.

Marco wstał i popatrzawszy z dumą na but, wskoczył na pomost, a następnie ruszył w moim kierunku. Nawet idąc, był zniewalający...

- Proszę. Gotowe - oznajmił.

Skinęłam głową, obezwładniona jego zainteresowaniem. Wiedziałam, że robię z siebie kompletną idiotkę, ale nic nie mogłam na to poradzić.

- Ha! - zawołałam idiotycznie, spoglądając na but. Rozumiecie, co mam na myśli?

But wyglądał prawie jak nowy i właściwie nawet nie było go czuć rybą. Podniosłam nogę, a wtedy Marco ukląkł i wsunął mi pantofelek na stopę. Poczulałam się prawie jak Kopciuszek i zachichotałam w duchu, uderzona absurdem sytuacji. W porę jednak odzyskałam przytomność umysłu.

- Jestem Connie - powiedziałam, kiedy Marco ponownie się wyprostował, przytłaczając mnie gabarytami modela z reklamy seksownej bielizny. - Constance. Mary-Constance. Farrell.

- Constanzia Farrelli. Maria-Constanzia Farrelli - odpowiedział, obracając na języku włosko brzmiące słowa. Tom byłby wniebowzięty, pomyślałam. Dziwne, że sam na to nie wpadł. Jedna mała literka na końcu nazwiska uczyniłaby zeń rodowitego Włocha.

Myśl o utraconym mężu rzecz jasna brutalnie ściągnęła mnie na ziemię, powodując gwałtowną falę wyrzutów sumienia.

- Co miałeś na myśli, mówiąc że mnie szukałeś? - zapytałam lekko zaczepnie.

- No, przecież widziałem, jak wczoraj przyjechałaś - odpowiedział ze zdziwieniem. - Zaiskrzyło. Nie pamiętasz?

Było to trochę zbyt szczere i bezpośrednie jak na mój gust. Pomijając przypadki, kiedy piszę recenzję i siłą rzeczy muszę walić prosto z mostu, zazwyczaj jestem gorącą zwolenniczką owijania w bawełnę, zanim po wielu męskach dobrnę w pobliże sedna sprawy. Wzmianka o iskrzeniu stanowczo odbiegała od moich standardów.

- Ja tylko wyszłam na spacer - rzuciłam bez sensu.

Raz jeszcze wybuchnął głębokim, zmysłowym śmiechem, mało nie przyprawiając mnie o omdlenie. Mówię wam, doszczętnie straciłam głowę i nie wiedziałam, jak się nazywam, jak zwykł mawiać mój ojciec. Jakaś część mnie chciała zeskoczyć z mostu, dopłynąć na lotnisko i pierwszym samolotem powrócić w ramiona męża, a inna część rwała się, by paść w zgoła inne objęcia. Te, które znajdowały się znacznie bliżej. Dosłownie na wyciągnięcie ręki.

- Podczas spaceru spala się dużo kalorii - powiedział Marco. - Musisz być wygłodzona. Chodźmy coś zjeść. Znam jedno fajne miejsce.

Nie musicie znać mnie na wylot, by zgadnąć, że zareagowałam na tę propozycję niczym pies Pawłowa. Nawet gdyby Marco był szpetnym karłem o owłosionych plecach, płaskim tyłku i piwnym brzuszysku, poszłabym za nim jak w dym. Moim zdaniem słowa typu „Chodźmy coś zjeść. Znam jedno fajne miejsce” nigdy nie padają wystarczająco często.

I choć wiedziałam o nim tylko tyle, że ma mocny żołądek i smykałkę do zamszu, przyjąłm zaoferowane ramię. Poprowadził mnie wąskimi uliczkami



za targowiskiem i po licznych zakrętach, których nie miałam szansy spamiętać, zatrzymaliśmy się przed niskimi drzwiami, gdzie na prawie niewidocznej, drewnianej tabliczce widniało nazwisko Do" Mori. Mikroskopijne wnętrze baru okazało się słabo oświetlone, drzwi na przeciwległym końcu wychodziły na inną ulicę. Nie dostrzegłam żadnych krzeseł ani stołków, wzdłuż jednej ściany, od podłogi do sufitu, w zakurzonych, glinianych rurach ułożono butelki, wzdłuż drugiej ciągnął się zastawiony talerzami z przekąskami kontuar, za którym stała korpulentna matrona ze zmierzwionym, siwym kokiem. Z jej życzliwej twarzy bił dziwny, rzadko spotykany blask.

- Marco! - wykrzyknęła. - Ratujesz kolejną? - Mówiła z tak silnym akcentem, że dopiero po chwili zrozumiałam jej słowa. Następnie moją uwagę doszczętnie pochłonęły leżące na barze przekąski.

- Wyglądają bosko - oznajmiłam. - *Squisito*. - Na sam widok ślina napływała do ust. Oblizalam wargi i spojrzałam na Marca.

- Dwa kieliszki pinot bianco, signora Marinello - poprosił gondolier. Nie było jeszcze dziesiątej, lecz rozejrzawszy się, zobaczyłam, że grupki stojących opodal starszych mężczyzn raczą się winem.

Marco zaśmiał się, rozbawiony moim zdziwieniem.

- Wenecjanie piją więcej niż inni Włosi - wyjaśnił. - I są z tego dumni.

Jakby w odpowiedzi na te słowa rumiany jegomość po mojej prawej stronie z hukiem umieścił pustą szklanekę na kontuarze i gestem kazał signorze Marinello ją napełnić.

Uniosła brwi i postawiwszy przed nami kieliszki, odwróciła się, aby spełnić jego żądanie.

- Teraz - powiedział Marco, kiedy stuknęliśmy się kieliszkami - opowiem ci o *cicchetti*. Jak dotąd Wenecja nie słynęła z jedzenia, wiesz o tym? Cóż, te czasy to przeszłość. Nieważne, że wenecjanie wiedli niegdyś prym w handlu

oraz wynaleźli niepozorny widelec. W gruncie rzeczy tutejsze potrawy są równie dobre, jeśli nie lepsze niż w pozostałej części Włoch, o ile wiadomo, gdzie ich szukać. Każdy weneccjanin z krwi i kości zaprowadzi cię prosto do La Vedova w Cannaregio albo tutaj, do Do" Mori na *cicchetti*. To nasza ulubiona tradycja, nie spotkasz tego gdzie indziej. Przypomina *tapas*, ale po wenecku.

Marco pochylił się nad barem i sięgnął po kilka białych talerzyków.

- *Questi?* - zwrócił się do signory Marinello, wskazując na kragły, brązowy krokiet wielkości pomarańczy. Kobieta z uśmiechem skinęła głową i nałożywszy krokiet, podała gondolierowi talerz. - *Tonno* - powiedział Marco. - Będzie ci smakować. Uwierz mi.

Podniósł krokiet, a ja otworzyłam usta i ugryzłam spory kęs miękkiej masy. Tuńczyk, lekki, słodkawy, wymieszany z bułką tartą, pietruszką i cytryną i delikatnie podsmażony w tłuszczu. Nie wiem, jakim cudem tak smakował, ale oniemiałam z zachwytu. Przymknęłam oczy i jęknęłam, a Marco wsunął mi do ust ostatni kawałek. Z każdym kolejnym kąskiem nie mogłam doczekać się następnego. Delicje. Signora Marinello z zadowoleniem splotła pulchne ręce na okazałym biuście, jej policzki promieniały.

- *Polpette* - zakomenderował Marco.

Szynkarka delikatnie uniosła kulkę mięsa z tacy na kontuarze i z pietyzmem położyła ją na talerzu. Z pomocą Marca podjęłam degustację. Pulpecik był zwarty, pikantny i różowy, a jego środek wprost rozpływał się w ustach, suto przyprawiony pieprzem i nieprzyzwoicie wilgotny. Innymi słowy, wyborny. Nim się spostrzegłam, pochłonełam całą porcję i moje kubki smakowe błagały o więcej.

- Ach - westchnął Marco, przysuwając się bliżej i spoglądając na talerz z warzywami, ustawiony obok mnie. - *Peperoni* - powiedział do signory Marinello - i *melanzane*.

Włoszka zgarnęła na talerzyk kilka grillowanych czerwonych papryk wraz z długimi, cienkimi plasterkami bakłażana, po czym nabożnie wręczyła go Marcowi, który tym razem nakarmił mnie widelcem. Warzywa były lekko osolone i skapane w oliwie z oliwek, która zatańczyła w moim przełyku. Trafiłam do nieba, bez dwóch zdań.

- Miła, prawda? - spytała głośno signora Marinello, zwracając się do Marca. - Fajna dziewczyna.

Powinnam się dziwnie poczuć, karmiona w ten sposób na widoku (bądź co bądź było to bardzo intymne doświadczenie), lecz wydawało się zupełnie naturalne, że kobieta nie spuszcza ze mnie oka, rejestrując każdy pomruk zadowolenia i westchnienie zachwytu. Brzmi perwersyjnie, ale wcale tak nie było. Ostatecznie rzecz dotyczy jedzenia, niczego więcej.

Potem przyszła kolej na cienkie kromki cudownie świeżego chleba ze smażoną cukinią i krewetkami, udekorowane siekaną pietruszką i przyprawione sokiem z cytryny i świeżo zmielonym czarnym pieprzem. Ubóstwiam pieczywo - na samą myśl o diecie Atkinsa dostaję skrętu kiszek - to zaś nie pozostawiało nic do życzenia. Nie *ciabatta*, raczej bagietka, ale bardziej zwarta i, według słów Marca, wypiekana każdego ranka na miejscu przez signorę Marinello. Moim zdaniem nie ma lepszego chleba niż ten upieczony w promieniu kilku metrów od miejsca, gdzie go spożywamy. Tak właśnie uważam.

Tak czy inaczej podczas gdy Marco dalej raczył mnie weneckimi przysmakami, signora Marinello wyszła, by powrócić za chwilę z usmażoną w czosnku kałamarnicą o lśniących mackach. Powietrze wypełniła ostra woń świeżo przyrządzonej potrawy. Pochłonęłam ją w mgnieniu oka. Następnie Marco sięgnął po małe porcyjki grillowanego miecznika i zawijając je we wstążki marynowanej wołowiny kładł mi na języku, po czym to samo uczynił z *sarde in saor*, mięsistymi sardynkami, ugotowanymi w sosie będącym ideal-

nym melanżem wina i octu balsamicznego.

- Lubisz jeść - zawyrokował rzeczowo, wycierając kciukiem oliwę z mojego podbródka.

To prawda, sama o tym dobrze wiedziałam. Niektórzy krytycy kulinarni uwielbiają gotować, inni pisać, a ja lubiłam jeść. Nie dbałam o to, czy ktokolwiek zagłębia do ocenianych przeze mnie lokali, nieważne, czy zdaniem innych pisałam zbyt czy może nie dość kwiecistym stylem. Chodziło o to, aby dać czytelnikowi przedsmak delicji, przyrządzonych przez właściwą osobę na właściwym miejscu. Ponieważ nie posiadałam się z zachwytu. I koniec.

Naraz uświadomiłam sobie z niepokojem, że Marco zniknął. Nie widziałam, żeby wychodził. Czyżby ciążyło na mnie jakieś fatum? Stałam, rozglądając się z pozorną obojętnością, po czym wytarłam zatłuszczonym palcem podbródek, wciąż czując na skórze dotyk śniadej dłoni Marca. Jego nieobecność wzbudziła mój niepokój i ze ściśniętym żołądkiem poszukałam otuchy w życzliwych oczach signory Marinello. Utkwiła we mnie badawcze, nieodgadnione spojrzenie, w którym dostrzegłam coś na kształt troski.

- Wszystko w porządku - zapewniłam ni z gruszki, ni z pietruszki. - Naprawdę. - Na te słowa nachyliła się nad kontuarem i ująwszy moją rękę, zamknęła ją w swoich ciepłych, spracowanych dłoniach. Poczułam nagły ucisk w gardle. Miałam ochotę przesadzić bar i ukryć twarz na jej okazałym biuście.

- Powinnaś spróbować naszego *spaghetti con le seppie nere* - rzuciła z przekonaniem, świdrując mnie brązowymi oczami i mocniej ściskając moją dłoń. - Po tej stronie Rialto nie skosztujesz lepszego.

Tępo skinęłam głową, walcząc z pokusą zrelacjonowania jej całego swojego życia. Istne wariactwo.

- Mam męża - wypaliłam mimowolnie. - Ale on ze mną nie przyjechał. To znaczy, miał to zrobić...

Ale signora Marinello potrząsała głową.

- Nic się nie martw, Constanzio - powiedziała swoim donośnym głosem. - Marco się tobą zaopiekuje.

O wilku mowa.

- Najadłaś się? - spytał, wyrastając jak spod ziemi u mojego boku.

Mogłabym go słuchać przez okrągły dzień. Mówił bez śladu akcentu, perfekcyjną angielszczyzną. Właściwie odpowiedź brzmiała nie: skosztowaliśmy mnóstwo potraw, porcje były jednak mikroskopijnej wielkości. Starczyłoby miejsca na jeszcze. Jednakże w moich ustach ponownie zaistniał metaliczny posmak porannej owsianki, niweczając wspomnienie specjałów Do" Mori. Wzruszyłam ramionami jak gdyby nigdy nic i z uśmiechem popatrzyłam na Marca.

- Dobrze - rzucił energicznie. - Chodźmy.

Pomachałam na pożegnanie signorze Marinello, tłumiąc absurdalną chęć zabrania jej ze sobą, lecz ona tylko czule skinęła mi ręką i przeniosła uwagę na spragnionego siedemdziesięciolatka. Wróciliśmy tą samą drogą na most Rialto. Wstyd przyznać, ale bałam się zapytać Marca, dokąd idziemy w obawie, że usłyszę „My? Jakie znowu my?”. Podobało mi się to nasze „my”. Myśl o byciu „ja” przez resztę dnia, tygodnia, miesiąca i całego życia budziła we mnie umiarkowany entuzjizm. Ale czy to naprawdę byłam ja, sama w obcym kraju i mieście, ganiająca z wywieszonym językiem za przystojnym nieznajomym, który równie dobrze mógł siekać bezbronne niewiasty na kawałki i chrupać je z chlebem signory Marinello w ramach porannej przekąski? Sama nie wiem.

Zwolniłam kroku, zwiększając dzielącą nas odległość. Słońce prażyło bez litości. Początkowo miłe i krzepiące, teraz przypiekało i dławiło dech w piersi. Poczułam, jak wino, tak orzeźwiające w chłodnym wnętrzu Do" Mori, odwadnia moje ciało, powodując pulsowanie w skroni i suchość w gardle. Stanę-

łam w miejscu, kołysząc się na nogach. Tkwiłam na schodach u zwieńczenia mostu, turyści trącali mnie łokciami, spychając z drogi. Tył głowy Marca zgiął w tłumie.

- Mary-Constance - zabrzmiał z tyłu cienki głos. Brzmiał dokładnie jak głos mojej matki; odwróciłam się z impetem, potrącając dziewczynkę o kulach. Wpadła prosto w ramiona ojca, który syknął coś do mnie w niezrozumiałym języku. Spociłam się, serce waliło mi jak młotem. - Mary-Constance! - ponownie dobiegł poirytowany głos matki. Raz jeszcze potoczyłam wzrokiem dokoła, ale nie dostrzegłam nigdzie drobnej, rozczarowanej życiem Amerykanki. Minał mnie za to tęgi staruszek z trzema aparatami fotograficznymi na szyi, który widocznie źle ocenił rozpiętość swoich bioder, gdyż mało nie zbił mnie z nóg. Poleciałam na bok, gorączkowo szukając rękami oparcia i chwała Bogu znajdując je w postaci rozgrzanej, kamiennej barierki mostu. W dole rozciągała się iskrząca wstęga wody, której blask na chwilę mnie oślepił.

- Marco! - zawołałam słabo, gdyż choć wszystko dokoła zatraciło kontury, jednego mogłam być pewna, a mianowicie tego, że zaraz zemdleję. A znając siebie, ani chybi wyląduję na czymś, co właśnie zdążyło się rozłożyć i zaśmiardnąć. - Marco - szepnęłam, kiedy ogarniała mnie ciemność. Potrzebowałam pomocy, bez względu na to, czy miałam do czynienia z seryjnym mordercą, czy nie.

Zapadł mrok. Zemdlałam.

Kiedy odzyskałam przytomność, leżałam (jak łatwo się domyślić) w gondoli Marca. A gdzież by indziej? I biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, bynajmniej mnie to nie zdziwiło. I wiecie co, poznałam później pewną osobę, która zemdlała w Wenecji i też obudziła się w gondoli, a więc nie ma w tym ani odrobiny przesady. Z tym że ona przebywała w gondoli przed omdleniem, ale co tam.



Tak czy inaczej leżałam sobie na niebiesko-złotej ławce, a gondola sunęła bezszelestnie ruchliwą trasą. Chwilę trwało, zanim się połapałam w sytuacji. Najpierw odniosłam wrażenie, że tkwię w miejscu, a budynki uciekają po bokach. Ogarnęło mnie dziwne uczucie odseparowania od własnej świadomości, jakbym frunęła we śnie. W sumie czułam się podobnie jak wówczas, gdy Fleur namówiła mnie na wieczorek z tequilą w roli głównej. Powiodłam ręką po gładkim obiciu i znalazłam chwost, który pomacałam jak niewidomy czytający brajlem. Jestem w Wenecji, w gondoli, pomyślałam, próbując odzyskać miarowy oddech. Jestem z Markiem, dodałam w myślach, słysząc krzepiący plusk fal. Przynajmniej tak mi się wydawało. Byłam z Markiem czy nie? A może uprowadza mnie jakiś nieznajomy gondolier? Odwróciwszy się, zobaczyłam wiosłującego Marca. Kiedy popatrzył na mnie z uśmiechem, strach minął jak ręką odjął.

- Co się stało? - zapytałam nieswoim głosem.
- Nie martw się - odpowiedział. - Zajmę się tobą.
- Ale dokąd płyniemy?
- Tu jest za gorąco - odrzekł. - Zabieram cię w chłodniejsze miejsce.

On mnie uratuje, pomyślałam z ulgą. Przyszło mi do głowy, że gdybym o dziesiątej rano w obcym mieście nie raczyła się winem w upalny dzień i na dodatek bez mężowskiej opieki, nikt nie musiałby mnie ratować. Ale stało się. Wino zostało wypite. Mąż został w Nowym Jorku. A gondolier transportował mnie w chłodne miejsce.

Tym sposobem ległam z powrotem na plecach i zapatrzyłam się na weneckie słońce, które przesłoniło mi widok na resztę świata. Wolałam nie myśleć, czy owa wyprawa w nieznaną w towarzystwie Marca (którego nie znałam, ale w głębi serca bardzo pragnęłam poznać) aby na pewno jest dobrym pomysłem. Wiedziałam, że to dość dziwne, ale wszystko było mi obojętne. Po-

stanowiłam wczuć się w rolę zwykłej turystki, z tą różnicą, że nie musiałam płacić za kurs.

Wpłynęliśmy w mniejszy kanał i po sześciu zakrętach, gdzie każdy kolejny kanał był węższy i ciemniejszy od poprzedniego, dotarliśmy do drewnianej kraty, umieszczonej w ścianie budynku. Przytrzymując się kruszejącego muru, Marco podniósł kratę i przeprowadził łódź na drugą stronę. Jego koszulka powędrowała w górę, odsłaniając pasmo włosów, prowadzące do... zresztą nieważne.

Domyślałam się, że jesteśmy w weneckim garażu, w suterenie czyjegoś *palazzo*, gdzie trzymano łódzie. Lecz szczerze mówiąc, zbyt mało się nad tym nie zastanawiałam. W ogóle o niczym nie myślałam. Oprócz Marca. Pasma włosów. Jędrna, opalona skóra. Słuchajcie, mogłabym tak wyliczać w nieskończoność i udawać, że nie jestem rozwiązłą zdziwą na wakacjach, ale chyba wiemy, do czego to wszystko zmierza, więc darujmy sobie przydługie wstęp i przejdźmy do sedna sprawy.

Marco przycumował gondolę do słupa i ukląkł obok mnie, kładąc chłodną dłoń na moim rozpalonym czole troskliwym, a zarazem zmysłowym gestem. Chciałam, żeby okazywał mi czułość, ale marzyłam o czymś więcej. Chciałam, żeby mnie posiadał. Co za banał. Kto? Przystojny gondolier? W Wenecji?

Tak jest. Przystojny gondolier. W Wenecji. Posiadał mnie bez reszty. I to dwa razy.

W jednej chwili jego dłoń znajdowała się na moim czole, w drugiej zaś poczułam na skórze jego usta i wygięłam plecy w łuk, aby znaleźć się bliżej niego. Wiedziałam, że nie ma sposobu, aby tego uniknąć. Wiedziałam to od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam go po przyjeździe, a on z uśmiechem uniósł brew. A nawet gdybym tego wówczas nie wiedziała, scena z butem po-

winna skutecznie rozwiązać moje wątpliwości. Marco stanowił ucieleśnienie marzeń wszystkich niedawno rozwiedzionych (i co poniektórych jeszcze zamężnych) kobiet na świecie.

Położył mnie na podłodze gondoli; uniosłam ręce, żeby mi zdjął podkoszulek. Myśl o gąbczastych „boczkach” oraz warstwie sadelka wystającej spod przyciasnego biustonosza nawet nie powstała mi w głowie. Obsypał pocałunkami moją szyję i piersi, mało nie doprowadzając do powtórnej utraty zmysłów. W pośpiechu zsunęłam spodnie i stringi (zestaw na miesiąc miodowy, zazwyczaj wolę coś bardziej zabudowanego) i przyciągnęłam go do siebie, po czym znów odepchnęłam, aby go pozbawić odzieży.

Leżeliśmy chwilę nadzy na dnie gondoli, wpatrując się w siebie z przerażającą wręcz żarliwością. Następnie bez słowa dźwignęłam się do pozycji siedzącej i opasałam go udami, co mi się zazwyczaj nie zdarza, ponieważ okrągły brzuch wygląda znacznie korzystniej w pozycji horyzontalnej. Lecz oto siedziałam wyprostowana jak struna w czeluści weneckiego garażu, gondola kołysała się lekko w tonacji naszych ruchów, a ciała pasowały do siebie niczym elementy układanki. Gdzieś z tyłu co kilka sekund opasła kropla wody z pluskiem rozbijała tafłę w jednostajnym rytmie.

Nie będę was zanudzać szczegółami samego aktu, bo przecież czytanie o seksie nie jest w najmniejszym stopniu tak interesujące jak jego uprawianie, zwłaszcza gdy w grę wchodził seks z Markiem. Możecie mi wierzyć na słowo. Sam dotyk jego skóry był elektryzujący. Drżałam, że w miejscach, gdzie stykała się z moim ciałem, na udach, brzuchu, piersiach, lada chwila wybuchnie pożar, obracając mnie w pył. Trudno to wyrazić słowami. Porażające doświadczenie. W życiu nie uprawiałam takiego seksu i szczerze wątpiłam, czy kiedykolwiek jeszcze przeżyję coś podobnego. To było niezwykłe doświadczenie.

Potem leżeliśmy w gondoli, ciasno spleceni ramionami.

- Nigdy tego nie robiłam - wyznałam w ciemność - z nikim oprócz męża.

Oczywiście Marco nie miał pojęcia, że jestem mężatką, lecz najwyraźniej obchodziło go to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nawet nie drgnął. Obejmował mnie mocno, a ja leżałam z głową na jego piersi, wsłuchana w miarowy, krzepiący łoskot serca.

Naraz jednak przed oczami stanęła mi droga, kochana twarz Toma i postkoitalne zadowolenie prysło jak bańka mydlana, powodując falę wyrzutów sumienia i przyływ nienawiści do samej siebie. Zaczęłam płakać i nie były to żadne tam pensjonarskie łezki, ale ryk co się zowie. Raz po raz wstrząsał mną głośny szloch, a łzy płynęły po policzkach jedna za drugą.

Jak mogłam mu to zrobić? Jak mogłam go zdradzić, postępując tak haniebnie? Postępując tak, jak przecież nigdy w życiu bym nie postąpiła? Jasne, przechodziliśmy trudny okres, ale czy mąż i żona nie powinni w takich chwilach trzymać się razem, zamiast szukać pocieszenia u obcych? Nawet gdy to pocieszenie było pierwsza klasa? Ba, pierwsza klasa, super-hiper, palce lizać?

Przestałam płakać. Poczułam, jak Marco delikatnie zmienia pozycję. Mój płacz wywarł na nim takie samo wrażenie jak wcześniejsze wyznanie. Dziwnie było tak leżeć obok niego, kiedy łączyła nas w gruncie rzeczy tylko fizyczność. Wciąż był mi obcy. Praktycznie nic o nim nie wiedziałam, nie miałam jednak ochoty zadawać mu żadnych pytań. Sęk w tym, że był dla mnie za dobry i nie chciałam zrobić nic, co mogłoby go spłoszyć. Wystarczy, że machnie wiosłem, a setka osamotnionych i zagubionych mężatek pójdzie za nim jak w dym. Jeszcze nie nasyciłam się jego bliskością, o nie.

Ku memu zawstydzeniu, a jako zbłąkana katolicka ekszydówka wiem, kiedy poczuć wstyd, zakłuło mnie w żołądku. Nie była to jednak tęsknota za straconym małżeństwem ani poczucie winy czy nawet zakłopotanie chybiony-

mi decyzjami ostatnich godzin. Był to głód.

Byłam głodna.

Marco delikatnie wyswobodził się z moich objęć, usiadł i wręczył mi stąnik. Jego szczere spojrzenie nie kryło żadnej tajemnicy.

Proszę, pomyślałam, proszę. Niech powie to, co należy.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział, wstając i podając mi rękę. - Pewnie umierasz z głodu.

## ROZDZIAŁ 4

Ludzie kochani, gdybym nie leżała, to chyba bym się przewróciła. Marco przed chwilą uprawiał ze mną seks stulecia, a teraz chciał mnie zabrać do restauracji. A podobno ideały nie istnieją. Przez chwilę spoglądałam nań w nabożnym zachwycie, po czym przyszło mi do głowy, że może miał na myśli głód seksu. Być może zachłanność, z jaką przyjmowałam jego pieszczoty, uzmysłowiła mu dobitnie, jak rzadko kochałam się z Tomem przez ostatnie miesiące. Albo nawet lata? Nie pytajcie, co się stało z namiętnością w moim związku. Doceniłam to, co miałam, kiedy zostałam z pustymi rękami. Kiedy było już za późno.

Ale przecież Tom i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, przepadaliśmy za sobą. Jednak przestałam być dla niego atrakcyjna. Często spoglądał na mnie zachmurzony, ze zmarszczką dezaprobaty na czole, która skutecznie tłumiała moją własną, sporadyczną żądzę.

- Spodoba ci się Bentigodi - oznajmił Marco, odcumowując gondolę. - Ich kucharka to prawdziwa wizjonerka. Poczekał, aż skosztujesz jej *sarde incinte in agrodolce*. Bomba.

Czyli jednak miał na myśli prawdziwy głód. Uff. Wyglądało na to, że

upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu. Nie mogłam oprzeć się myśli, że moje plany urlopowe może nie całkiem wzięły w łeb. Umościłam się wygodnie na ławce, podczas gdy Marco ponownie wyprowadził łódź na wody kanału i zamknął drewnianą kratę. Panowała niewiarygodna cisza, nie licząc prawie niesłyszalnego skrzypienia wiosła i szmeru butów Marca na dywaniku wyściełającym dno gondoli.

Patrzyłam na pranie rozwieszone na sznurkach pomiędzy budynkami. Prześliczna, błękitna pościel w chmurki łopotąła na tle pierwowzoru, dwie pary jaskrawoczerwonych ogrodniczek czuwały nad rzędem wielgachnych, beżowych majtek.

- *Sinistra* - zawołał Marco i skręciliśmy w lewo, w szerszy kanał. Leniwie spojrzałam w bok, kiedy inny gondolier odkrzyknął coś w odpowiedzi. W powietrzu wisiało tyle pytań, ale jakoś nie potrafiłam ubrać ich w słowa. Odnosiłam wrażenie, że kołują nade mną niczym gwiazdki nad postacią z komiksu, uderzoną w głowę patelnią, bang, bang.

Myśli o Tomie wracały nieodparcie, usiłując przebić twardą barierę cząstki, ale nie miałam zamiaru im na to pozwolić. Pragnęłam zaznać odrobiny szczęścia, bez wdawania się w zbędne rozważania. Zastanawiałam się, czy poślubię Marca, przeniosę się do Wenecji i urodzę mu gromadkę dzieci. Potem uświadomiłam sobie, że miało się obyć bez rozważań, i upomniałam się w duchu. Następnie zadałam sobie w myślach pytanie, jakim cudem biorę pod uwagę urodzenie dzieci Marca, którego poznałam przed chwilą, a nie Toma, mojego męża od dziesięciu lat. Refleksja ta przygnębiła mnie do tego stopnia, że przestałam myśleć o czymkolwiek, i tylko prześlizgiwałam się wzrokiem po okolicznych oknach i drzwiach, kiedy podążaliśmy gładkimi wodami La Sere-nissima.

Mimo idyllicznego krajobrazu kwestia dzieci nie dawała mi spokoju.



Domyślałam się, że to właśnie ona tkwiła u podstaw naszych problemów małżeńskich. Tom chciał mieć dzieci, a ja nie byłam pewna, i tyle. Ale właściwie czego nie byłam pewna? Skoro brałam pod uwagę wydanie na świat małych Marców, dlaczegoż nie miałyby to być małe Tomy? Podrapałam się po nosie i zmieniłam pozycję. Małe Tomy. Czemu nie? Ale jeśli znałam odpowiedź na to pytanie, błędziła gdzieś poza moją świadomością, nijak nie dając się zlokalizować.

- Spokojnie - powiedział Marco na widok mojego grymasu. Z pewnym wysiłkiem ponownie wyprowadził łódź na ruchliwy szlak kanału Grande. - Jesteś w najpiękniejszym mieście na świecie i wybrałaś najlepszy sposób zwiedzania.

Miał rację, dlatego odepchnęłam kłębiące się myśli, skupiając wzrok na otaczających mnie wspaniałościach w postaci ekskluzywnych hoteli, wykwinnych *palazzi* oraz ich skromnych kuzynów po obu stronach głównej ulicy.

- Zabieram cię do Cannaregio - oświadczył Marco. - To stara żydowska dzielnica, turyści rzadko tam zagląдают. Będzie okazja, żeby zjeść coś dobrego.

Powietrze kipiało odgłosami tętniącego wokół życia; pozwoliłam otulić się magii miasta, dzięki której zapominałam, co u diabła wyprawiam. Co rusz odwracałam się z uśmiechem do Marca, sprawdzając, czy nadal tam jest i czy się aby nie zdematerializował w paralelnym wszechświecie, gdzie nie czekało mnie nic dobrego. Ale nie, wciąż tam był i spoglądał na mnie roziskrzonym wzrokiem, z załazkami drobnych zmarszczek w zewnętrznych kącikach oczu.

- Ile masz lat? - zapytałam w pewnym momencie.

- Dwadzieścia dziewięć - odpowiedział. - A ty?

Zapadłam się w siebie, udając, że nie słyszałam pytania.

Dzieliły nas zaledwie cztery lata, ale to ja byłam starsza.

Na szczęście, nim zdążyłam na dobre pogрузić się w ponurych rozmyślaniach, dotarliśmy do molo Ca" d'Oro. Marco zostawił łódź pod opieką innego gondoliera i poprowadził mnie kolejnym labiryntem nieoznaczonych ulic i alei, wśród których najwyraźniej czułam się jak ryba w wodzie, po czym doszliśmy do położonej na uboczu osterii, z białymi ścianami, ciemnym, drewnianym umeblowaniem oraz czystej, wykafelkowanej posadzce.

Od ostatniego posiłku minęły tylko dwie godziny, ale jak już mówiłam, mam wilczy apetyt. Kiszki dosłownie grały mi marsza.

Gdy tylko usiedliśmy przy stole, podeszła do nas dwudziestokilkuletnia zaróżowiona kelnerka z odręcznie napisanym menu. Marco zbył ją gestem dłoni.

- *Sarde incinte in agrodolce* - powiedział. - *I fondi di carciofo*. Dla dwóch osób. - Ciężarne sardynki - przetłumaczył. - Tutejsza kucharka przyrządza najlepsze faszerowane sardynki. Zobaczysz, jak różnią się od *sarde in saor*, które jadłaś w Do" Mori. Tamte ugotowano według tradycyjnego, weneckiego przepisu, ale tu zawsze można się spodziewać innowacji. I to mi się właśnie podoba. A *fondi*, serca karczochów, też są przepyszne. Raczej nie spotkasz ich poza Wenecją.

- Jakim cudem znasz się tak dobrze na jedzeniu? - spytałam.

Mogłam słuchać go w nieskończoność.

- Znam się na wszystkim - odpowiedział.

Roześmiałam się, myśląc, że żartuje, ale na jego twarzy malował się wyraz kamiennej powagi. Wyglądał po prostu bosko. Błądził wzrokiem po sali, zahaczając o kuchnię, kelnerkę i cudze talerze. Bębnił palcami po stole. Nawet jego palce wyglądały apetycznie. Jezu, ależ byłam głodna.

Ciężarne sardynki robiły tak imponujące wrażenie, że prawie nie chciałam psuć harmonii, nakładając je sobie na talerz. Spoczywały na gładkim, bia-

łym półmisku, pulchne, mięsiste i lekko podsmażone, pękate od nadzienia w postaci okruchów chleba, zmieszanych z sokiem pomarańczowym, rodzynkami, orzeszkami piniowymi, oliwą z oliwek oraz natką pietruszki. Obyliśmy się bez sztuców: Marco oblizywał lśniące od oliwy palce, wyglądając przy tym ponętniej niż kiedykolwiek. *Fondi* prezentowały się mniej okazale; szarozielonkawe i odrobinę przypominające języki tkwiły w marynacie z oleju i cytryny, przy czym smakowały niebiańsko, niemal jak kęs doskonale przyrządzonej wołowiny. Czy to nie wspaniałe, kiedy warzywa smakują jak mięso? Lecz gdy ekstaza gastronomiczna dobiegła końca, raz jeszcze poczułam w przełyku dziwny posmak lekarstwa, jakże sprzeczny z tym, co przed chwilą zjadłam.

- Wszystko w porządku? - zapytała różowolica kelnerka. Początkowo uznałam ją za nieuprzejmą, ale teraz widziałam, że dosłownie pada z nóg.

- Oczywiście - odrzekłam z szerokim uśmiechem. Zawsze żał mi obsługi. Sama kiedyś pracowałam w kuchni i wiem, że to jeden z najbardziej stresujących zawodów. My, ludzie, przywiązujemy wielką wagę do jedzenia, zwłaszcza jeśli słono za nie płacimy.

- Był tu twój brat - powiedziała kelnerka, na co mało nie wyplułam tego, co miałam w ustach, zwracała się bowiem nie do Marca, lecz do mnie.

- Mój brat? - spytałam z niedowierzaniem. - Raczej nie. - O ile wiedziałam, Emmet nie planował żadnych zagranicznych podróży. Skąd na Boga miałby się wziąć w Wenecji? Pewnie nawet nie miał paszportu. Nie, to absolutnie niemożliwe. Rzeczywiście, wydawało mi się, że wcześniej na moście słyszałam matkę, ale było to tuż przed omdleniem i najwyraźniej stanowiło rezultat porannego upału.

- Czy tam ktoś był? - zapytałam na wszelki wypadek Marca. - Kiedy zemdlałam?

Zgarnął resztę sosu skórką białego chleba.

- Ja - odpowiedział, odgryzając kawałek skórki nieskazitelnymi zębami.

Uznałam, że zawiódł mnie słuch. Kelnerka była w błędzie. Dziewczyna sprzątała obecnie inny stół, z roztargnieniem poprawiając kosmyk platynowych włosów. Marco zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Czy nie zainteresowałby się na wieść o przyjeździe mojego brata? To oczywiste.

Oparłam ręce na brzuchu z gorącym postanowieniem, by dłużej tego nie roztrząsać. Czułam się fantastycznie. Marco popatrzył na mnie z zadowoleniem.

- Nie ma lepszego ukoronowania posiłku niż małe lody - oznajmił. - Paolin na Campo Santo Stefano zmienił pracownika, ale lody anyżowe wciąż są chyba najlepsze. - Odsunął krzesło i wstał.

Wróciliśmy do gondoli i ponownie wypłynęliśmy na kanał. Poruszaliśmy się wolniej z uwagi na wzmożony ruch. Widząc wypełnione po brzegi gondole, doszłam do wniosku, że zabieram Marcowi czas, który normalnie poświęciłby pracy.

- Przeze mnie tracisz czas - powiedziałam, odwracając się w ławce. - Tak mi przykro.

- Nic nie tracę - skwitował, a ja poczułam kolejną falę radości. - Mam jeszcze dwanaście innych gondoli - uzupełnił. - To dobry sezon.

- Sądziłam, że gondolier może mieć tylko jedną gondolę - odrzekłam. - Że to tradycja przekazywana z ojca na syna. - Gdzieś to wyczytałam, łącznie z informacją, że gondolierzy nigdy nie śpiewają swoim pasażerom.

- Czasem to rzeczywiście tradycja - potwierdził Marco, zręcznie manewrując pomiędzy łodzią dostawczą a dwiema złączonymi gondolami, wypełnionymi tuzinem szkliskooskich turystów - ale niekoniecznie. Według przepisów gondolier istotnie może mieć tylko jedną łódź, ale niewielu młodych ludzi na nią stać, dlatego udzielam im pożyczki na procent.

Muszę przyznać, że owo zdroworozsądkowe podejście do sprawy trochę mnie zdziwiło.

- Jak zostałeś gondolierem? - zapytałam.

- Mój ojciec pracował w branży, a przed nim dziadek - odpowiedział. - Rodzinna tradycja.

Pogłaskałam niebieską, aksamitną poduszkę, którą ściszałam w rękach. To już bardziej przypadło mi do gustu.

- Czyli to gondola twojego ojca?

- *Destra* - wrzasnął Marco, wskazując właściwy zakręt. - *Destra*. Nie, ojciec prędzej padłby trupem, niż wsiadł do czegoś takiego.

- Ale dlaczego? Jest piękna.

- Owszem, ale w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. - Pod wpływem wysiłku zaczął wydłużać samogłoski. Brzmiało to jak najśłodsza muzyka. - Produkuje je mój przyjaciel w Szwajcarii. Są z włókna szklanego i kosztują dwadzieścia tysięcy euro, czyli niespełna połowę tego, co drewniana gondola, wykonana w tradycyjny sposób.

Mocniej ścisnęłam poduszkę. Nie wiedzieć czemu, poczułam się zawiedziona. Potrząsnęłam głową. Spodziewałam się, że Marco będzie człowiekiem bez wad, choć tak naprawdę nie miałam prawa niczego oczekiwać. Skąd ta irytacja jego mało romantycznym podejściem do tradycji i przedsiębiorczością? Za to pod innymi względami romantyzmu mu nie brakowało. Przyznałam z niechęcią, że jego poczucie humoru również nieco szwankowało, ale jakie to miało znaczenie, skoro inne walory rekompensowały to z nawiązką?

- Gdzie jest Campo Santo Stefano? - zmieniłam temat.

- W pobliżu twojego hotelu - odpowiedział - o ile chcesz tam jechać. Łody nie uciekną. Mogą poczekać do jutra.

Wstrzymałam oddech, bojąc się powiedzieć to, co miałam na końcu ję-

zyka. I choć nie jestem skora do odkładania uczty, w tym wypadku zalecało mi na czymś innym aniżeli na lodach.

- Do hotelu - wydusiłam. Dotyk rąk tego mężczyzny obudził we mnie tęsknotę, jakiej nigdy dotąd nie zaznałam. Co tam tradycja, żałowałam, że gondola nie ma wbudowanego silnika, który pozwoliłby nam prędzej dotrzeć na miejsce. Odzież krępowała mi ruchy, oddech stał się płytki. Jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy na określenie ówczesnego stanu, to desperacja. Desperacko pragnęłam znaleźć się blisko tego mężczyzny. Było to obce i cokolwiek przerażające uczucie, gdyż doskonale zdawałam sobie sprawę, że gdyby przyszło mu do głowy wysadzić mnie na pierwszym lepszym pomoście, chyba uschłabym z rozpaczy.

Ale Marco skręcił na przystanek Santa Maria del Giglio i po krótkiej wymianie zdań z gondolierem, który kopcąc papierosa, nonszalancko czytał sobie gazetę, przycumował gondolę i wziął mnie za rękę. Pięć minut później staliśmy w pistacjowym pokoju i drżałam pod dotykiem palców Marca, gładzących mnie po obojczykach. Staliśmy naprzeciw siebie przy otwartym oknie i Marco powoli zdjął ze mnie każdą sztukę odzieży, aż zostałam jak mnie Pan Bóg stworzył.

Słuchajcie, jeśli waszym zdaniem łatwo mi o tym wszystkim opowiadać, naprawdę jesteście w błędzie. Nie należę do osób, które chętnie paradują, jak je Pan Bóg stworzył. Przez ostatnich dziesięć lat życia wkładałam do łóżka podkoszulki ze śmiesznymi nadrukami i odkąd sięgam pamięcią, Tom był jedyną osobą prócz mojej matki, która oglądała mnie na golasa. Dlatego obnażanie pięciu (hm, hm) zbędnych kilogramów w obecności nieznanego przystojniaka było całkiem nowym doświadczeniem. Cudownym doświadczeniem. Czulałam się, jakby dawna „ja” wyfrunęła przez okno i kołowała nad kopułą bazyliki, lekka jak piórko, pozostawiając nową mnie w kleszczach żądy.



Trudno o bardziej adekwatne określenie, biorąc pod uwagę to, co nastąpiło chwilę później. To było cu-dow-ne. Kochaliśmy się dopóty, dopóki nie odkryłam w sobie każdego najmniejszego skrawka ciała, którego istnienia nawet nie podejrzewałam, i robiliśmy rzeczy, na widok których Casanova zarumieniłby się ze wstydu.

A potem postanowiliśmy iść na kolację. Naprawdę, gdyby każdy romans wyglądał w ten sposób, ludzie romansowaliby, ile wlezie. I to bez wytchnienia. Nie zaprzętałam sobie głowy Tomem. Wcale a wcale.

Wzięliśmy z Markiem razem prysznic, co trwało dłużej niż kąpiel, którą kiedykolwiek wzięłam w pojedynkę. Następnie włożyłam małą czarną, na nogi wsunęłam swoją jedyną parę pantofli od Jimmy'ego Choo i raz jeszcze pozwoliłam Markowi wieść się między wodą i kamieniami; wędrówka ta zmieniała mnie zaś w zupełnie inną kobietę.

- Spodoba ci się tutaj - zapewnił Marco, kiedy stanęliśmy na progu Trattoria Alla Madonna, bezpretensjonalnej, staroświeckiej restauracji z olbrzymią winoroślą, wypełzającą przez dziurę w dachu. - Tu jadają weneccjanie.

Po sali krążyli mrukliwi, podstarzali kelnerzy: poczułam się prawie jak w lokalu Petera Lugera w Brooklynie, tyle że bez piwiarni. Na lód co rusz dokładano świeżych ryb, w powietrzu unosił się gwar rozmów. Poczulałam krzepiący zapach fasolki szparagowej i czosnku, który z miejsca dodał mi otuchy. Ruszyliśmy objęci w kierunku stolika w bocznej alkwie, a zrędlivi kelnerzy witali się z Markiem skinieniem głowy. Prawie nie dotykałam stopami podłogi. Płynęłam w powietrzu.

- Poproszę piwo - powiedział Marco pod adresem przysadzistego, łysego jegomościa o krzaczastych brwiach, który zaprowadził nas do stołu.

- Kto pije piwo, dożyje setki - oznajmił posepnie tamten.

- Dla mnie kieliszek soave - wtrąciłam. - Ilu lat dożyję?

Kelner udał, że nie słyszy, i cudem unikając zderzenia z półmiskiem *spaghetti alle vongole*, zniknął na zapleczu.

Moje wino dostarczono po kilku minutach, a piwa jak nie było, tak nie było.

- Kto czeka na piwo, dożyje dwustu lat - zakomunikował kelner i tym razem dostrzegłam pod krzaczastymi brwiami figlarne iskierki.

Złożyliśmy zamówienie i urządziliśmy sobie prawdziwą ucztę. Mikroskopijne mięczaki, które wysysałam dopóty, dopóki nie piekło mnie podniebienie, kielbaski w sosie fasolowym, spaghetti ze smażoną cukinią i natką pietruszki, kotlety cielece zapieczone w słodkawym maśle, miękkie pajdy chleba, nasączone oliwą z oliwek, fasolka szparagowa i groszek gotowane w rosole, na końcu zaś tort czekoladowy, tak sycący i przepyszny, że wystarczył mi zaledwie jeden kęs.

Szczerze powiedziawszy, więcej bym nie zmieściła. Kelnerzy tymczasem rozchmurzyli posępne lica i rzucali mi pełne podziwu spojrzenia.

Kiedy wstawałam od stołu, Pan Krzaczaste Brwi był łaskaw nawet odsunąć mi krzesło, co raczej nie należało do jego zwyczajów.

W milczeniu ruszyliśmy w stronę hotelu, mijając po drodze grupki roześmianych turystów i zakochane pary. Dopiero widok naszego odbicia w witrynie sklepu z przepiękną włoską pościelą uświadomił mi, że niczym się od nich nie różnimy. Przynajmniej ja, gdyż odbicie Marca rysowało się cokolwiek mgliście. Ja znajdowałam się na pierwszym planie, natomiast zarys sylwetki gondoliera ginął na tle prześcieradeł i kołder, udrapowanych teatralnie po drugiej stronie szyby.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, ledwo trzymałam się na nogach ze zmęczenia. Oczy same mi się zamykały. Czułam, jak senność obmywa mnie jak fale kamienisty brzeg, nie pozostawiając miejsca na nic prócz znużenia.

Marco rozebrał mnie bez słowa i położył do łóżka. Przed zaśnięciem czułam na brzuchu ciepło jego ręki. W moich snach ciemność wirowała niczym złowrogie malowidło, upstrzone kropkami innych barw, rozpryskiwanych tuż przed moimi zamkniętymi powiekami. Było to bardzo niepokojące. Taki Jackson Pollock dla ubogich. Nic dziwnego, że obudziłam się rozbita.

- Marco? - szepnęłam sennym głosem, szukając otuchy w jego ramionach.

Lecz druga strona łóżka była rzecz jasna pusta. Znikąd otuchy. Marco zniknął.

Pewnie czuliście, co się święci. Gdyby nie zaślepienie żądzą, pewnie też w porę bym się połapała.

Rozglądając się po swoim pięknym pokoju, nie dostrzegałam ani śladu bytności mężczyzny, za sprawą którego zapomniałam o mężu. Nie było sensu sprawdzać w szafie ani pod łóżkiem. W głębi serca wiedziałam, że zniknął. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Zniknął. Rozpacz prawie pozbawiła mnie tchu.

Jasne, od początku wiedziałam, że to idiotyczne. Ja i on? Niemożliwe! A jednak sytuacja rozwinęła się tak, że skrycie czułam, iż w pełni na to zasługuję. Nie kiwnęłam palcem, aby temu zapobiec. Nie wmawiałam sobie, że wziął mnie za kogoś innego, nie próbowałam żartem wykręcić się z jego objęć, nie pozwoliłam, by poczucie winy zagłuszyło zadowolenie z rozwoju wypadków. Czerpałam z życia pełnymi garściami i bawiłam się jak nigdy przedtem.

Zdławiłam szloch. Cokolwiek rozbudził we mnie Marco, nadal płonęło w środku bez względu na okoliczności. Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna czułam, że żyję. Jego wspomnienie pulsowało we mnie z całą mocą. Jak miałam żyć bez jego dotyku, pocałunków, gorącego oddechu na skórze?

Był ranek, przez okno sączyły się odgłosy miasta, słońce rzucało cienie

na pistacjowe ściany. Uciszyłam rozkołatanę serce. Znalazłam antidotum na wątpliwą przyszłość z Tomem i nie pozwolę mu się wymknąć.

Włożyłam dzinsy i kaszmirowy kardigan, który dostałam na ostatnie urodziny od Fleur, po czym wybiegłam z hotelu. Znajdę go, postanowiłam. I sprowadzę z powrotem. Raz jeszcze będziemy się kochać, a potem postanowię co dalej. Było to jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mi do głowy, gdyż tęsknota za cudnym gondolierem doszczętnie zaćmiła mi umysł.

Naturalnie na Traghetto Santa Maria del Giglio jego łodzi nie było, a gondolier, którego poznałam poprzedniego wieczora, wspaniałomyślnie zaofiarował mi kurs za sto euro. Dmuchał mi w twarz dymem z mocnego papierosa i lustrował mnie bezczelnie od stóp do głów. Miał sfatygowany kapelusz, postrzępiony kołnierzyk i czerwoną plamę na koszuli. Na jego zębach widniały brązowe plamy, palce były zażółcone od nikotyny i w ogóle pachniał niezbyt zachęcająco.

- Marco - powiedziałam z naciskiem, uświadamiając sobie, jak niewiele o nim wiem. Nie znam nawet jego nazwiska. - Na pewno zna pan Marca. Jest wysoki, bardzo wysoki, nosi czarny podkoszulek i spodnie. Jest właścicielem dwunastu gondoli. Był tu ze mną wczoraj wieczorem, musi pan pamiętać.

Na twarz gondoliera wypełził obleśny uśmiech.

- Ach, a więc byłeś z Markiem - odrzekł. Poczułam przyływ ulgi. Być może pomoc znajdowała się w zasięgu ręki. - Powiem ci coś, moja mała Miss Americano: Marco nie da ci nic, czego nie mogłabyś dostać ode mnie. - I w sprośnym geście przesunął dłoń w okolice krocza, mało nie przypalając sobie przy tym papierosem akrylowych spodni.

- Jest pan obrzydliwy - odpowiedziałam wyniośle.

Gondolier wybuchnął śmiechem.

- To nie ja jestem obrzydliwy, signorina - zauważył, spluwając do kanału.

- Wszystkie uważacie się za kogoś lepszego.

Na próżno usiłowałam puścić jego słowa mimo uszu.

- Wszystkie? Jakie znowu wszystkie?

- A co, myślisz, że jesteś pierwszą ładną dziewczyną, która zakochała się w Marcu? - Mężczyzna skrzywił twarz w nieprzyjemnym grymasie. Kto jak kto, ale on nie był raczej obiektem westchnień ładnych dziewcząt. - Te kanały spływają krwią ze złamanych serc głupich kobiet. Wracaj do domu, signorina. Zapomnij o nim. Wracaj do domu.

Odwróciłam się i uciekłam, nie zważając na łzy płynące po policzkach. Ale bieganie nigdy nie było moją najmocniejszą stroną (brak odpowiednich atrybutów itp.) i uciekając od kłamstw, albo co gorsza prawd, brzydkiego gondoliera, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że wyglądam jak kaczką. Zwolniłam kroku. Postanowiłam, że pójdę na Rialto, tam gdzie wczoraj spotkałam Marca. Naturalnie! Przecież on musi pracować! Na pewno tam będzie, a w każdym razie w pobliżu, zaczekam na niego. I wszystko dobrze się skończy.

Podbudowana tą myślą przeszłam przez Rio de San Moise; zapach kawy przypomniawszy mi, że muszę znajdować się opodal Pasticceria Marchini, gdzie podobno można zjeść najlepsze ciastka w Wenecji. Jednakże potrzeby serca stanęły ponad potrzebami żołądka, a poza tym po wczorajszej uczcie wciąż cisnęły mnie spodnie, więc bez wahania ruszyłam w kierunku Rialto.

W połowie drogi dostrzegłam w przelocie wysokiego, ciemnowłosego gondoliera, który zniknął za węgiem w swojej gondoli. Dobiegł mnie donośny, gardłowy śmiech jego pasażerki. Brzmiał identycznie jak śmiech Fleur.

Czyż to nie byłoby do niej podobne, pomyślałam, cichcem podkraść mi faceta, chociaż sama ma ich na pęczki? Ponownie puściłam się biegiem w kierunku, gdzie popłynęła gondola. Lecz w przeciwieństwie do własnych nóg łódź jest w Wenecji bez mała najlepszym środkiem transportu, w związku z czym

na każdym kroku napotykałam jakieś przeszkody. Po dwóch minutach stanęłam w ślepych zaułku i wiedziałam, że nigdy nie dogonię Marca i Fleur. Nie, to nie mogła być Fleur, jeśli zaś istotnie widziałam plecy Marca, to na pewno jest już w drodze powrotnej do Rialto.

Kiedy dotarłam na miejsce, widok grupki obcych gondolierów na moło wpędził mnie w czarną rozpacz.

- Widzieliście Marca? - zapytałam pierwszych z brzegu, lecz oni odwrócili się do mnie plecami.

- Marco? - zwróciłam się do kolejnych trzech, którzy poszeptawszy między sobą, wybuchnęli śmiechem, a jeden, o nieruchomych, głęboko osadzonych oczach, nawet dźgnął mnie swoim telefonem komórkowym.

Wiedziałam, jak to wygląda. Wiedziałam, co sobie myślą. Ale nie mogłam uwierzyć, że Marco naprawdę mi to zrobił. Dlatego czekałam. Czekałam. I czekałam bez końca. Lecz o jedenastej nabrałam pewności, że przystań odwiedził już każdy z tysiąca weneckich gondolierów, tymczasem Marco wciąż nie dawał znaku życia.

- Jeśli przyjdzie - powiedziałam do stojących najbliżej gondolierów - powiedzcie mu, że poszłam do Do" Mori.

- *Quello lì, non lo vedrai mai più* - odparł najwyższy, potrząsając głową. Wprawdzie nie znałam znaczenia jego słów, ale czułam, że rokowania nie są pomyślne.

Odszukanie Do" Mori nastreczyło mi pewnych problemów. Lokal znajdował się dość blisko mostu, jednakże ulice były wąskie i ciemne, a na dodatek jedna do złudzenia przypominała drugą. Wreszcie rozpoznałam drewniany szyld.

- Signora Marinello! - wykrzyknęłam z ulgą, wtaczając się do baru. Marca co prawda nie było, lecz widok rumianych policzków właścicielki lokalu z



miejsca napełnił mnie otuchą. - Widziała go pani? Widziała pani Marca?

Signora Marinello nalała do kieliszka wina i przesunęła go po sfatygowanym kontuarze.

- Owszem, widziałam - odpowiedziała. - Ale ty już nie potrzebujesz Marca, Constanzia.

Odsunęłam kieliszek. A ja myślałam, że jest po mojej stronie. Poczułam falę gniewu, która nieoczekiwanie ustąpiła miejsca totalnej pustce.

- Ależ tak - wyszeptałam, obojętnie przesuwając wzrokiem po krokietach z tuńczykiem. - Potrzebuję go bardziej niż kiedykolwiek. Dlaczego pani tak mówi?

- Bo tak jest. - Signora Marinello wytarła ręce w ścierkę, którą nosiła wciśniętą w fartuch, przewiązany w pokaznej talii. - Tak właśnie jest, Constanzia. Życie toczy się dalej.

W jej oczach nadal malował się nieznośny wyraz troski. Pewnie od początku wiedziała, że Marco rzuci mnie w kąt jak znoszoną koszulę. Przesunęła nieco tacę *polpette*, których widok nie wywarł na mnie żadnego wrażenia. Nie byłam sobą. Metaliczny posmak w ustach przybierał na sile. Ból głowy, który wczoraj nieco zelżał, ponownie dał o sobie znać, i to w dwójnasób.

- Staniesz na nogi - oznajmiła kategorycznie. - Będzie ci lepiej niż przedtem. Już nie potrzebujesz Marca, wierz mi.

Chciałam coś powiedzieć, zaproponować, błagać ją o wskazówki, które pomogą mi dotrzeć do mojego gondoliera, lecz w tym momencie w lokalu pojawiła się znajoma twarz, której widok sprawił mnie w najwyższe zdumienie. Należała do Tya Wheatleya, pyszałkowatego wydawcy prasowego, którego poznałam kiedyś na Manhattanie. Podszedł do mnie jak gdyby nigdy nic.

- Jesteś - powiedział, po czym przysunął się i pocałował mnie w usta.

Ty Wheatley nie należał do mężczyzn, którzy mogli całować mnie w usta

ani gdziekolwiek. Kompletnie nie był w moim typie. Znacnie takich cwaniaczków: zaczął od jakichś szemranych interesów, po czym w wieku dwudziestu kilku lat dzięki pomocy dalekiego krewnego doszedł do dużych pieniędzy. Następnie wyjechał z Idaho tudzież Iowy bądź Oklahomy szukać szczęścia w Nowym Jorku i kupił akcje pewnej gazety, co w wyniku nieoczekiwanego skoku na giełdzie okazało się nader intratną inwestycją. Może nie odpychający, ale i niezbyt atrakcyjny, miał brzusek, gadał z fałszywym brytyjskim akcentem i zawsze nosił kremową lnianą odzież, co budziło we mnie nieopisaną odrazę.

Jadał we wszystkich eleganckich restauracjach, bywał na przyjęciach, na których bywać należało, i tak świetnie znał zasady rządzące życiem nowojorskiej elity, że nigdy nie zdołał się do niej wkreślić. Na kilometr wyczuwałam w nim znajomą desperację, za sprawą której ponownie stawałam się zakompleksioną licealistką.

Stojąc przy barze w Do" Mori, zgrzana i rozplomieniona, z sercem bijącym tak mocno, że łomotało mi w skroniach, za nic nie mogłam sobie przypomnieć, skąd to wszystko o nim wiem. Spotkałam go zaledwie kilka razy, raczej w przelocie. Kiedy ostatnim razem chciał ze mną o czymś porozmawiać, zbyłam go w połowie wywodu, wymawiając się nagłym parciem pęcherza.

- Najdroższa - powiedział Ty i, o zgrozo, czule otoczył mnie ramieniem. - Jesteś taka blada.

Popatrzyłam na signorę Marinello, na której twarzy malował się dziwny wyraz. Nie rozczarowania - to rozpoznam od razu - ale w każdym razie czegoś bardzo doń zbliżonego.

- Spróbuj na Guidecca - poradziła, na co wyplątałam się z objęć Wheatleya i uciekłam.

## ROZDZIAŁ 5

Guidecca to długa, wąska wyspa na południu laguny, która zdaniem spoconego turysty, wciśniętego we mnie na *vaporetto*, najbardziej słynęła ze swych podupadających pałaców, ogrodów oraz luksusowego hotelu Cipriani.

Łódź wysadziła mnie przy Il Redentore, głównym zabytku wyspy. Z chwilą gdy tłum ruszył w kierunku kościoła oraz szerokiego moła z widokiem na miasto, stanęłam na betonowym placu, nie mając pojęcia co dalej.

Łupało mi w głowie i pulsowało w skroniach. Lekki wietrzyk chłodził ciało - zmarzłam pomimo wysokiej temperatury - twarz jednak wciąż miałam czerwoną i rozgorączkowaną. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, ale czułam się kompletnie rozbita. Co gorsza, towarzyszyło mi poczucie, że tylko Marco może temu zaradzić, a przecież nie byłam pewna, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczę. Guidecca zaiste nie zasługiwała na miano enklawy gondolierów. Woda pomiędzy wyspą a miastem nie zachęcała do rejsów łódką, budynki zaś raziły industrialną szarzyzną.

Mój spocony towarzysz zniknął we wnętrzu kościoła wraz z pozostałymi pasażerami *vaporetto*. Przed Il Redentore pozostało jedynie dwóch staruszków, z których każdy sprawował pieczę nad śpiącym w wózku malcem. Obaj kopcili papierosy, prowadząc ożywioną wymianę zdań.

- Przepraszam - wpadłam im w słowo. - Panowie wybaczą?

Umilkli.

- Nie wiecie panowie przypadkiem, gdzie znajdę jakichś gondolierów?

Czy możecie sobie wyobrazić głupsze pytanie? Wątpię.

- To znaczy, nie chodzi mi o jakichś tam gondolierów - podjęłam w panice, kiedy staruszkowie wymienili znaczące spojrzenia, tak jakby zaraz mieli postukać się w czoło.

- Mam na myśli konkretnie jednego. Tak, jednego! Jednego gondoliera. - Staruszkowie jednocześnie pchnęli swoje wózki, pospiesznie ruszyli z miejsca, byle jak najdalej ode mnie. - Marco - zawołałam. - Znacie go? Chodzi o to, że... - Lecz oni już znikli mi z oczu.

Moją uwagę przyciągnęło plaskanie kaloszy i zobaczyłam nadchodzącego nabrzeżem rybaka o śniadej, pomarszczonej twarzy. Miał siwe, postrzępione włosy i targał wiaderko pełne ruchliwych rybich ogonów, co niezmiernie rozpraszało biegnącego obok brązowego kundla.

Pomna incydentu ze staruszkami, podeszłam do niego ostrożnie.

- Przepraszam - zawołałam. - Nie orientuje się pan, gdzie znajdę Marca, gondoliera?

- *Gondoliera?* - Przynajmniej dotarło doń moje pytanie. Jego oczy ginęły w gęstej siateczce zmarszczek. Odchyliwszy do tyłu głowę, zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, po czym wskazał na drugą stronę wyspy. - *Squero* - powiedział przy wtórze trzepotu rybiego ogona, na co jego pies zawył tęsknie. - Przystań. Łodzie.

Żwawo ruszyłam przed siebie, aż znalazłam drogę prowadzącą na drugą stronę, gdzie znajdowało się węższe, podniszczone moło, wychodzące na rozległą lagunę.

- *Squero?* - zwróciłam się do pomarszczonej babuni, siedzącej przed zrujnowanym domostwem tuż obok skrzynki z dawno uschniętymi kwiatami. Wskazała na prawo, a ja posłusznie poszłam w tamtą stronę, nie wiedząc, czego właściwie szukam, dopóki nie stanęłam przed wejściem do budynku przypominającego starą fabrykę. Zaglądając do środka, ujrzałam szkielet gondoli, błądy niczym kości małego wieloryba, nad którym pochylał się siwowłosy mężczyzna w czerwonej koszulce polo.

- Halo? - zawołałam.

Podniósł głowę, a następnie starannie odłożył narzędzia na warsztat i podszedł bliżej. Pomimo siwizny był młodszy, niż myślałam. Miał około pięćdziesiątki, może nawet nie. Jego jasnozielone oczy były tak przejrzyste, że ich widok przejął mnie chłodnym dreszczem. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Uśmiechnął się przyjaźnie. Miał ogorzałą od słońca twarz.

- Szukam Marca - powiedziałam. - Nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

- Luca - odpowiedział, wyciągając rękę. - Miło mi cię poznać.

- Ach, bardzo przepraszam. - Twarz płonęła mi żywym ogniem, ból głowy stawał się nie do wytrzymania. - Connie. Connie Farrell. Mnie również miło. - Ujęłam podaną rękę, była ciepła i silna. Poczułam zgrubienia we wnętrzu dłoni i do moich nozdrzy doleciał nikły aromat cytryn. Męczyzna osobliwie na mnie działał, ni stąd, ni zowąd poczułam, jakbym dryfowała w powietrzu. Nigdy nie brałam extasy (Emmet nadużywał narkotyków za nas oboje), zastanawiałam się jednak, czy nie budzi aby identycznych doznań. Pomimo chłodu dziwne ciepło ogarnęło mi wnętrzności, a głowę miałam jak z waty.

- Wejdz, Connie - zaprosił. Chociaż mówił dość przytłumionym głosem, jego angielszczyzna również nie pozostawiała nic do życzenia, podobnie jak akcent. Oszołomiona podążyłam za nim do warsztatu, gdzie podeszliśmy do szkieletu nieukończzonej gondoli.

Sięgnął po narzędzia, które według mnie przypominały przybory ginekologiczne.

- Pozwolisz? - spytał.

Jak otumaniona skinęłam głową w nadziei, że nie wyrażam zgody na badanie medyczne. Dręczyło mnie tak okropne pragnienie, że język przywierał do podniebienia. Chciałam poprosić o wodę, ale słowa uwieźły mi w gardle.

Luca podniósł hebel i odwrócił się do dziobu łodzi, szlifując jej już i tak idealnie gładką powierzchnię.

- To wymierająca sztuka - powiedział. Pod czerwoną koszulką dostrzegłam zarys żeber, a pod pachami niewielkie plamy potu. W powietrzu nadal unosiła się woń cytrusów.

- Mówię o budowaniu gondoli. Zostało nas tylko trzech.

- Przejechał dłonią po wyszlifowanej desce, tam i z powrotem, a potem jeszcze raz, jakby chciał wygładzić resztę nierówności. - Łodzie się nie liczą. Wszyscy myślą tylko o pieniądzach.

Sposób, w jaki pochylał się nad gondolą, trzymając w wyciągniętych rękach narzędzia, przypominał mi bilardzistę, kogoś w rodzaju Paula Newmana w „Cool Hand Luke”, ze srebrnymi włosami, orzechową skórą i świdrującym spojrzeniem.

- Trudno uwierzyć, że jeszcze pięćdziesiąt lat temu głównym środkiem transportu tutejszych mieszkańców były łodzie - podjął, a jego głos obmywał mnie niczym wody Canale Grande mury Gritti Palace. - Jasne, turyści dopisują, ale gdybyś chciała dopłynąć gondolą stąd do Burano, jak pięćdziesiąt lat temu? - Przykucnął, tak że jego oczy znalazły się na wysokości łodzi. - Wykluczone - odpowiedział sam sobie, wstając. - A chcesz wiedzieć dlaczego? Ponieważ aby tego dokonać, gondolier musiałby opanować sztukę wiosłowania i kontroli nad gondolą. Najpierw zaś musiałby przyjść do mnie, żebym pomógł mu zbudować łódź, która wytrzymałaby rejs do Burano. I nie wlokła się przy tym jak żółw. Zabijając go po drodze. Tak, przede wszystkim musiałby zainteresować się łodzią.

Głos męczyzny tak gładko płynął między rafami słów, że czułam, jakbyśmy podjęli przerwany wątek. Atmosfera warsztatu działała na mnie kojąco, ale wyschnięty język uniemożliwiał konwersację.

- Zostało nas trzech i tylko my znamy tradycyjne metody budowy łodzi. Dwóch z nas stoi już nad grobem, a nie znaleźliśmy choćby jednego czeladni-



ka, który zainteresowałby się tym, co mamy do powiedzenia. Tradycja zamiera. To prawdziwa tragedia. Po prostu brak mi słów. Tragedia. Nie uważasz?

Odwrócił się do mnie, a ja energicznie skinęłam głową, uważając, by się nie przewrócić. Miałam ręce i nogi jak z ołowiu. Na wszelki wypadek zamrugałam, chcąc sprawdzić, czy posiadam jakąkolwiek władzę nad własnym ciałem.

- Przecież to nie są zwykłe łodzie, ale gondole! - Luca podjął przerwane zajęcie. - To symbol Wenecji, na miłość boską, nasz emblemat, nasze logo. Widać je na malowidłach sprzed kilkuset lat, przez cały ten czas nic się nie zmieniły. Dzięki nim nie jesteśmy jeszcze wielkim aquaparkiem dla grubych turystów, których większość spędza tu zaledwie jeden dzień swego marnego życia. Lecz era gondoli dobiegła końca. Już po niej. *Finito*. Co rusz ktoś wrywa się z pytaniem: „Dlaczego tradycja zamiera?”, ale nikt nie kiwnie palcem, żeby coś na to poradzić. Naszych synów bardziej interesuje wyciągnięcie stu euro za godzinę za wiosłowanie po kanale niż zachowanie tradycji, która przetrwała dziesięć wieków, a za dwadzieścia lat nie będzie po niej śladu. Potem zobaczysz, wszyscy zapłoną świętym oburzeniem, wołając: „Ach, jak oni mogli?” i „Dlaczego nikt nic nie zrobił?”. A gdy nasze piękne łodzie znikną, równie dobrze możemy zatopić albo wydrenować to cholerne miasto i postawić na każdym rogu taksówkę, ponieważ nie będziemy się różnić od żadnego innego ośrodka turystycznego na tej planecie.

Odłożywszy narzędzia, wstał i wyprostował plecy, po czym otarł spocone czoło, spoglądając na mnie przelotnie. Miał spłowiałe, niebieskie spodnie, wąskie biodra i rozłożyste, umięśnione barki. Widziałam, że nie jest zgorzkniały. Ale nosił w sobie smutek oraz brak złudzeń, które poruszały we mnie jakąś czułą strunę.

Pomyślałam o Marcu i jego tanich gondolach ze Szwajcarii. Zrozumia-

łam, dlaczego jego tyrada tak bardzo mnie zirytowała. Ja też wierzyłam w tradycję, po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Przepraszam - powiedział Luca. - Wygląda na to, że niechcący dosiadłem swojego konika.

Zakołysałam się niebezpiecznie.

- Hej - wykrzyknął zaniepokojony i chwycił mnie za łokieć. - Źle się czujesz? Connie? Mam ci coś przynieść?

- Szklankę wody - wychrypiałam. - Czy mogę napić się wody?

- Przepraszam, od razu powinienem ci coś zaproponować - odpowiedział.  
- Od początku wyglądałaś na spragnioną. Wyjdźmy na zewnątrz, zaczerpniesz świeżego powietrza. I tak miałem zrobić sobie przerwę.

Wyprowadził mnie na dwór i ustawił w cieniu dwa rozchwiane krzesła, po czym na chwilę zniknął, by zaraz powrócić z butelką wody i dwiema szklankami.

Wypiłam duszkiem pierwszą szklankę, jakbym miała za sobą czterdzieści dni na pustyni, po czym osuszyłam drugą, trzecią i czwartą, co bynajmniej nie ugasiło mojego pragnienia, a metaliczny posmak doskwierał mi bardziej niż kiedykolwiek.

- Aleś spragniona - zauważył, odchylając się na krzesło. - Powiesz mi, co się dzieje?

- Właśnie spędzam najbardziej koszmarne drugie miesiące miodowy stulecia - wydusiłam, odklejając język od podniebienia. - Przechodziliśmy kryzys i przyleciałam sama. Tom został w Nowym Jorku, a ja wylądowałam w wielkim aquaparku, co zważywszy na okoliczności nie jest przyjemne, nawet mimo gondoli.

Luca parsknął śmiechem, a ja poczułam, jak ogarniający mnie chłód powoli ustępuje.

- Tom chce mieć dzieci. Jak się dobrze zastanowić, jest to zasadnicza przyczyna naszych problemów, ale w sumie głowy nie dam. - Jak widać, unieruchomiony dotąd język szybko nadrabiał zaległości.

- Wiem, że to truizm i pewnie mnóstwo kobiet narzeka na to samo, ale trudno mi określić, czego tak naprawdę chcę. Wiem, czego chcą inni. I wiem, czego według nich powinnam chcieć. Ale sama ani rusz. Mam świetną pracę i kocham Nowy Jork, ale pozostałe części równania nijak mi nie pasują.

- Na czym polega twoja praca? - zapytał Luca.

- Jestem krytykiem kulinarnym dla „Village Voice” - odpowiedziałam, puchnąc z dumy, jak zawsze, kiedy o tym mówiłam. - Piszę recenzje.

Luca uniósł brwi.

- Czyli znasz się na jedzeniu.

- Owszem - odparłam. - I mam wilczy apetyt. Ponownie parsknął śmiechem, ja też się uśmiechnęłam.

- Wygląda na to, że powinnaś być najszczęśliwszą kobietą na świecie.

- Cóż, praca to nie wszystko - odrzekłam ku własnemu zdziwieniu. Jak to nie? - Powinnam myśleć o macierzyństwie, ale mam wstrętą matkę i chyba podświadomie czuję lęk, że się do niej upodobnię.

- Prawie wszystkie znane mi kobiety mogą się pochwalić tym samym - zauważył rzeczowo Luca, spoglądając na horyzont - a jednak same stały się dobrymi matkami. Może więc owe wstrętne matki nie były jednak takie wstrętne.

- Daj spokój - rzuciłam mimowolnie. - Moja matka poinformowała mnie kiedyś, że nazwie swojego psa Connie, żeby się wreszcie dowiedzieć, jak to jest, gdy ktoś reaguje na jej słowa.

Luca ponownie wybuchnął śmiechem i napełnił moją szklanę.

- A więc - zagał. - Marco.

- Znasz go? - zapytałam. Prawdę mówiąc, za sprawą siedzącego obok mężczyzny moja namiętność do Marca odrobinę zelżała, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Przecież wiedziałam tylko, że podobnie jak ja ma w sobie pasję do czegoś, na czym jego zdaniem nikomu innemu nie zależy. Lecz w przeciwieństwie do mojego gondoliera nie emanował zwierzęcym magnetyzmem.

- Ależ tak, znam - odpowiedział. - Dokąd cię zabrał?

- Do Do" Mori - odrzekłam. - Na *cicchetti*.

- Kosztowałaś *polpette*? - spytał.

- A jakże - powiedziałam. - I tuńczyka, sardynek oraz świeżego chleba signory Marinello ze smażonymi krewetkami i cukinią.

- Aaa - westchnął z aprobatą Luca. - Signora Marinello. A potem gdzie?

- Poszliśmy do Bentigodi w Cannaregio, gdzie zjadłam kolejną porcję sardynek z orzeszkami piniowymi, chlebem i *fondi*, najpyszniejszymi karczo-chami, jakich w życiu kosztowałam. Byłeś tam?

- Oczywiście. Co dalej?

Cóż, nie miałam ochoty udzielać odpowiedzi na to pytanie. Zarumieniłam się na myśl o naszych wyczynach w pistacjowym pokoju i przeszłam do następnego posiłku.

- Potem odwiedziliśmy Alla Madonna, gdzie zjedliśmy skorupiaki i kiełbaski w sosie fasolowym, fasolkę szparagową z groszkiem i...

- Tort czekoladowy - uzupełnił Luca. - Tort czekoladowy Madonny. Tak smaczny, że wystarczy jeden kęs, co?

Kiwnęłam głową.

- Rzeczywiście lubisz jeść - zauważył ciepło Luca.

Marco powiedział to samo, ale bez podobnej czułości. Ostatnie słowo odbiło się echem w mojej głowie, poczułam gulę w przełyku. Czułość. Dlaczego proste słowa życzliwego nieznajomego podziały na mnie jak ożywcze

krople deszczu po długiej suszy?

Ponownie skinęłam głową. Luca przysunął bliżej krzesło i otoczył mnie ramieniem.

- Lubisz jeść, ale nic nie smakuje jak należy - wyszeptał mi prosto do ucha.

Dalej kiwałam głową, a łzy kapały mi na dłonie, spoczywające beczynnie na kolanach. Co się ze mną działo? Skąd on to wszystko wiedział?

- Lubisz jeść, ale nic nie smakuje tak, jak powinno. Nic nie eksploduje ci na języku. Nie tańczy w ustach.

Rozszlochałam się na całego, uwalniając drzemiące w środku zasoby rozpaczy.

- Connie - westchnął Luca. Moje imię nigdy nie zabrzmiało cieplej i bardziej swojsko. - Wiem, czego potrzebujesz - usłyszałam. - Nie znajdziesz tego w żadnej trattorii ani czterogwiazdkowej restauracji, ani w najbardziej wykwintnej karcie dań. Mam to, czego pragniesz. Uwierz mi. Mam to tutaj, na wyciągnięcie ręki. Dokładnie to, o czym marzysz. Kiedy skosztujesz, wszystko powróci do normy. Naprawdę. Wszystko będzie dobrze.

Zwróciłam się ku niemu i uniosłam głowę, Spoglądając w zielone oczy emanujące taką szczerością, że miałam ochotę zatonać w nich bez reszty. Wierzyłam mu na słowo. Czułam, że mogę mu zaufać. I że wszystko będzie dobrze. Było to doprawdy najdziwniejsze uczucie, jakiego w życiu doznałam. Pragnienie ustąpiło, a ból w skroniach zelżał niepostrzeżenie. Poczułam, jak ogarnia mnie spokój, dotąd nieznan i niezaznany. Następnie Luca podniósł rękę do mojej twarzy i poczułam na policzku jego dotyk, delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla. Powiódł palcem wzdłuż mojej żuchwy i założył mi kosmyk za ucho, po czym zatrzymał dłoń na moim karku, spoglądając mi głęboko w oczy. Chwila była tak intymna, że nie sposób jej opisać. W ułamku se-

kundy poczułam, jakbym znała Lucę jak nikogo na świecie, a on znał mnie, i że jesteśmy ze sobą głęboko związani na płaszczyźnie podświadomości, o której istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Tak, wiem, że to brzmi absurdalnie, że on był stary, a ja wykończona upałem, ale próbuję tylko wyjaśnić, co się wtedy działo, oddać magię chwili, której poddałam się bezwarunkowo. Pod przy-  
mkniętymi powiekami ujrzałam wachlarz możliwości; żadna z nich nie dotyczyła Marca, który nieoczekiwanie stanął na progu z miną kwaśną jak ocet, za co - przyznacie - trudno go winić.

Gwałtownie zaczerpnęłam tchu, wyrywając się z objęć Luki, w wyniku czego mało nie spadłam z krzesła, którego nogi zgrzytnęły o beton. Trafiłam pośladkiem na krawędź siedziska i fala dotkliwego bólu ogarnęła mój kręgosłup.

- Widzę, że poznałaś kogoś innego, Constanzio - powiedział Marco. -  
Chociaż „poznałaś” to chyba niezbyt trafne określenie.

Mój język ponownie przywarł do podniebienia. Zakręciło mi się w głowie i poczułam przyływ gorąca. Czar prysł. Ból pleców stał się nie do wytrzymania.

- I co, dalej częstujesz ludzi smętną opowiastką o śmierci tradycji? O końcu epoki? - zabrzmiał odpychający głos Marca. Chciał rozmyślnie zrobić Luce przykrość, ale widziałam, że on nie jest urażony ani zakłopotany, a jedynie pozbawiony złudzeń, jak na początku naszej rozmowy.

- Myślę, że... - Nie wiem, co myślałam. Świat dokoła wirował, czułam przejmujący ból w plecach, w klatce piersiowej.

- Marco - wtrącił cicho Luca. - Proszę.

Dzwonienie w uszach prawie zagłuszyło jego słowa.

- O co? - burknął Marco. Pomimo mętliku w głowie bezbłędnie rozpoznałam gniew w jego głosie. - Co ty tam wiesz?



- Nie muszę nic wiedzieć, Marco. To zasadnicza różnica między nami. -  
Ton starszego mężczyzny nie zdradzał żadnych emocji, w przeciwieństwie do  
głosu młodego gondoliera.

- No proszę - wybuchnął Marco. - Niech zgadnę: znowu gadka-szmatka  
w rodzaju pieniądze albo miłość? Możesz się wypchać, mam to gdzieś.

Byłam tak słaba, że nie mogłam utrzymać otwartych oczu, ale serce za-  
tłukło mi w piersi jak szalone. O czym oni u diabła mówili?

- Zrób, co należy, Marco - powiedział łagodnie Luca. - Proszę. Zrób, co  
należy.

- Nie mogę - wtrącałam ni w pięć, ni w dziewięć. - To nie tak.

- Popatrz na nią - odezwał się Luca z dobrze znaną mi już czułością. -  
Przestałeś o niej myśleć? Myśleć tak naprawdę. Kim jest? Czy jest szczęśliwa?  
A może smutna? Dla kogo jest całym światem?

Jego słowa łamały mi serce. Dosłownie. Łamały mi serce, gdyż mimo  
chaosu, w jaki przeistoczyło się moje życie, nie dość że sama nie znałam od-  
powiedzi na te pytania, to wcale nie wierzyłam w istnienie osoby, dla której  
byłam całym światem. Była to tak tragiczna konkluzja, że mało znów nie zala-  
łam się łzami.

- Guzik wiesz, tato - powiedział Marco.

- A ty uważasz się za Boga - odparował Luca - którym wcale nie jesteś.

Oślupiałam. Tato? Co tu jest u licha grane? Spałam z Markiem, oszala-  
łam na jego punkcie, by zaraz przeżyć coś niesamowitego z jego ojcem? Nie  
byłam pewna kalibru popełnionego grzechu, ale wiedziałam, że sczezną zań w  
piekle, już moja matka tego dopilnuje. Będę się smażyć przez całą wieczność.  
A czarty będą dorzucać do ognia. Zrobiło mi się tak gorąco, że czułam przed-  
smak tego, co mnie czeka.

- Jesteś głupim starcem, który żyje przeszłością zamiast iść do przodu -

wypalił Marco.

- Mam pięćdziesiąt jeden lat, gówniarzu - odparł spokojnie Luca. - Żyję tym, w co wierzę i w co wierzyli twój dziadek i pradziadek. Trochę trwało, zanim to wszystko sobie poukładałem, dlatego powinieneś wyciągnąć wnioski z moich błędów. W tym mieście, na tym świecie są dwa rodzaje ludzi, Marco. Ci, którzy żyją dla miłości, oraz ci, którzy żyją dla pieniędzy.

- No jasne - warknął Marco. - I chcesz mi wmówić, że w tym wypadku chodzi o to pierwsze? - I machnął ręką w moim kierunku.

Luca zerwał się na równe nogi. Widziałam, że choć nie jest gwałtownym człowiekiem, ma ochotę sprawić Marcowi (swojemu synowi!) porządne lanie. Czułam, że powinnam stanąć między nimi, że to w końcu moja wina i że nie mogę dopuścić do ewentualnych rękoczynów. Ale członki ciążyły mi tak bardzo, że ciało odmówiło posłuszeństwa. Luca stał z zaciśniętymi pięściami, napięty jak struna. Był niższy od Marca, ale istniało między nimi podobieństwo, które powinnam zauważyć wcześniej.

- Proszę, proszę - usłyszałam znajomy głos. - Co się tu dzieje, na miłość boską? - Ku mojemu przerażeniu Ty Wheatley wyrósł jak spod ziemi i wziął się pod boki, śledząc przebieg wydarzeń. Ból w klatce piersiowej narastał, odniosłam wrażenie, że się dławię, nie mogłam chwycić tchu. To było straszne.

- Wiecie co - spróbowałam raz jeszcze, lecz lodowate palce zacisnęły mi się wokół szyi i poczułam ostre klucie w mostku.

- Co ona mówi? - Dźwięk tego głosu ściał mi krew w żyłach. - Możecie mi powiedzieć, co ona mówi? Wołała ojca? Wydaje mi się, że wołała ojca.

Ciemność ponownie zasnuwała mi wzrok, ale zwróciłam się ku lagunie, promieniującej blaskiem połaci błękitu. Głos nie pozostawiał wątpliwości.

- Co ona mówi? - powtórzył. Tym razem jednak wraz z fonią szła w parze wizja.

- Ostrzegam cię, Mary-Constance - matka pochylała się nade mną z nieprzeniknionym wyrazem ciemnych oczu. - Nie rób mi tego, Mary-Constance. Ależ co ja mówię? Oczywiście, że mi to zrobi. Pod tym względem jest niezawodna.

Rozejrzałam się za Luca, chciałam odszukać jego rękę, potrzebowałam jego siły i opanowania, lecz mężczyzna zniknął we wszechogarniającej bieli, która z ogłuszającym rykiem wirowała wokół mnie.

Zwróciwszy głowę w drugą stronę, ujrzałam za plecami matki signorę Marinello.

- Dajcie jej czas - mówiła. - Potrzebuje czasu.

Oszołomiona wróciłam myślami do samolotu, Ashlee, kierowcy wodnej taksówki, sprzedawczynie grzybów w esy-floresy, seksownego Marca, kelnerki w Bentigodi, Fleur w gondoli, Luki, który popatrzył na mnie raz, i to wystarczyło, no i Tya.

O mój Boże, pomyślałam, na próżno usiłując chwycić oddech. Stęknęłam przerażona: człowiek na pewno czuje to samo, kiedy się dusi, tonie, odchodzi na zawsze.

- Oddychaj - ponagliła signora Marinello. - Na miłość boską! Oddychaj, Connie.

I z dreszczem, który wstrząsnął całym moim ciałem, zaczerpnęłam powietrza w płuca.

W uszach zabrzmiała mi kakofonia dźwięków, rozwarłam powieki. Nadal otaczała mnie wszechogarniająca biel, zbieranina lśniących, metalowych przedmiotów raziła w oczy, zewsząd dobiegał szum i warkot nieznanymi urządzeń.

To niemożliwe. Naprawdę. Nie-moż-li-we. Ale powoli zaczynałam rozumieć.

Nie byłam w Wenecji na nieudanym drugim miesiącu miodowym.

Nie siedziałam w cieniu warsztatu na Giudecca, będąc świadkiem konfliktu pomiędzy moim przystojnym kochankiem a jego pozbawionym złudzeń ojcem, którego dotyk wciąż czułam na policzku.

Ależ skąd.

Byłam w szpitalu. I to nie jako odwiedzająca.

## ROZDZIAŁ 6

Nie patrzcie tak na mnie, zdziwiłam się tak samo jak wy. No bo jakże to tak: spędzam urocze chwile w najbardziej romantycznym mieście świata, aż tu nagle budzę się w obcym łóżku, podłączona do maszyn, poirytowany głos matki brzęczy mi w uszach i nie mogę zebrać myśli.

Pamiętam, że pytałam wszystkich, czy to możliwe, lecz mój głos przypominał pełgający płomyk, który tlił się przez chwilę, a potem zgasł.

Wiedziałam tylko, że nie jestem sama. Wydawało mi się, że towarzyszy mi signora Marinello: zachowałam wspomnienie pochylonej nad łóżkiem krągłej postaci z biustem kipiącym z pielęgniarzkiego fartucha, sterczącymi z koka luźnymi kosmykami włosów oraz aureolą padającego z tyłu światła. Anioł. No ale przecież jak to możliwe? Signora Marinello piekła chleb, smażyła kalamarnice i dolewała staruszkom pinot bianco w jednej z bocznych uliczek Wenecji. Odniosłam przelotne wrażenie, że łapię w nozdrza woń czosnku i pieprzu w oliwie z oliwek, poczułam w ustach smak wytrawnego wina. Lecz wszechobecny smród lizolu przegonił miłe wspomnienia, budząc tęsknotę za świeżym powietrzem.

I co tam robiła moja matka? Skąd się wzięła? Przypomniałam sobie jak przez mgłę, że była na *squero*, lecz mimo to miałam niezbitą pewność, że

przebywała również w szpitalu, siedziała na moim łóżku z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, świdrując mnie oskarżycielskim spojrzeniem.

Mówię, że miałam pewność, ale to nieprawda. Niczego nie byłam stu-procentowo pewna. Nie pamiętam obecności matki, pozostało jedynie wrażenie jej bytności, białe światła i hałas, ciąg szarpanych sekwencji rodem z serialu sensacyjnego. Zupełnie jakbym oglądała film z własnego życia, a jakiś wariat przewijał taśmę.

Pomyślałam przelotnie o Marcu, naszych wyczynach w gondoli, jego dłoni na moim nagim brzuchu, twarzy ściągniętej rozkoszą. Następnie pojawił się Tom, z lubością przebierający czosnek na targowisku, i serce wezbrało mi czułością. Nawet mój oplakany stan nie zmniejszył staroświeckiego, katolickiego poczucia winy. Co u licha we mnie wstąpiło? Jak mogłam mu to zrobić? Jak spojrzę mu w oczy? Nie spojrzę. Wstyd mi na to nie pozwalał.

Potem wariat w mojej głowie przeskoczył na kolaż z Wheatleyem, matką i staruszkami z Giudecca, którzy nadawali jeden przez drugiego, domagając się uwagi. Próbowałam potrząsnąć głową, aby pozbyć się ich widoku.

- Musi odpocząć - zabrzmiał głos signory Marinello. - Tylko tego jej trzeba.

Uczepiłam się tego słowa jak rzep psiego ogona. Odpocząć. Grunt to odpocząć. Sen zsyłał upragnione poczucie bezpieczeństwa. Perspektywa odpoczynku napępiała mnie ciepłem i uczuciem zbliżonym do ulgi. Pamiętałam powiew oddechu Luki i tęskniłam za jego spojrzeniem. Tęskniłam. Wtedy pomyślałam o Tomie i wyrzuty sumienia przegoniły wspomnienie Włocha.

- O, patrzcie, ona płacze - powiedział nieznajomy głos. Kobieta, kimkolwiek była, wydawała się porządnie wystraszona. Usiłowałam otworzyć oczy, po czym spostrzegłam, że już są otwarte, tylko coś przyćmiewa mi wzrok. Nie pamiętam, kiedy dzień przechodził w noc, biel pomieszczenia zacierała

wszystkie szczegóły. Otaczały mnie ruchliwe sylwetki, przesadnie wysokie, szare i wychudzone, niczym kosmici w filmie science fiction.

- Płacze? - powtórzyłam, lecz zabrzmiało to inaczej, niż zamierzałam. Nie chciałam płakać. Nie czułam łez. Chciałam otrzeć policzek, ale ku mojemu przerażeniu ręce dalej spoczywały wzdłuż boków, ignorując polecenia. Obudziliśmy się? Boże, czy ja w ogóle żyję?

- Poruszyła ustami! - krzyknął ten sam przestraszony głos. - Siostrze! Siostrze! Ona poruszyła ustami.

Nie sposób wyrazić rozpacz, jaką wówczas czułam. Jeśli sądziłam, że to uczucie towarzyszyło mi już wcześniej, byłam w błędzie. Czułam się równie pozbawiona znaczenia jak pyłek kurzu. Nie miałam nad niczym kontroli. Nie panowałam nad snem, jawą, nacierającymi zewsząd bodźcami. Nad niczym. Po prostu leżałam, choć i za to nie dałabym sobie ręki uciąć. Otaczały mnie strzępy obrazów i dźwięków, lecz nie byłam w stanie określić ich częstotliwości ani czasu trwania. Czasem wiedziałam, że nie śpię, i śledziłam przebieg wydarzeń, innym razem wiedziałam, że śnię: Luca szeptał łagodnym głosem, Tom dwoił się i troił przy piecu w Il Seconde. Marco oplatał mnie długimi nogami, a Ty pokazywał mi nowe buty od Prady. Miałam świadomość upływu czasu, ale doszczętnie straciłam jego poczucie: mijał falami, które zdawały się nie dłuższe niż sekundy, choć równie dobrze mogły być godzinami, a nawet dniami. Pomyślcie, że mogłam dodać dwa do dwóch i wywnioskować, że coś ze mną nie tak, a jednak tego nie zrobiłam. Wszystkie elementy równania tkwiły w oddzielnych przegródkach, pozornie nie mając ze sobą nic wspólnego. Wiedziłam tylko, że moja logika szwankuje i że nie mogę nawiązać z nikim kontaktu. Nie miałam pojęcia, co się dzieje ani co się stało, ani tym bardziej, co się jeszcze wydarzy. Dryfowałam na bezkresnych obłokach, nie mogąc wesprzeć nóg o ziemię, niezdolna pofrunąć ani pojąć cokolwiek z tego, co rozgrywało



się wokół mnie.

Byłam przy tym zmęczona, znużona jak nigdy przedtem. Zmęczenie przytłaczało mnie niczym z wolna chylący się sufit, wypychając mnie przez łóżko w głąb ziemi. Sen przestał być wybawieniem pomimo otuchy, jaką dotychczas czerpałam z owej pustki. Walczyłam, aby nie zasnąć, aby dowiedzieć się czegoś więcej, zrozumieć. Naturalnie gdy tylko traciłam czujność, mrok ponownie brał mnie w posiadanie, a potem znów się budziłam, wściekła na swą gnuśność i zaciekawiona, co tymczasem się stało.

Nie wiem, ile to trwało, kiedy jednak cofam się myślami do tamtego okresu, widzę w głowie coś w rodzaju alfabetu Morse'a - kreski śpiączki, przerywane kropkami stanu przytomności. Czas stracił swe dawne znaczenie: sekundy, minuty i godziny przypominały słowa w obcym języku. Na przemian budziłam się i zapadałam w sen, a moje sny zdawały się bardziej rzeczywiste niż jawa. Jednakże po pewnym czasie sny stawały się coraz krótsze, a przebudzenie kosztowało mnie mniej wysiłku, podobnie zresztą jak ponowne zaśnięcie. Alfabet Morse'a przeszedł w fale dźwiękowe o jednostajnej częstotliwości. Słowa układały się w całe zdania. Ludzie krążyli wokół mnie, wykonując czynności, których istota przestała być dla mnie zagadką. Coś się ze mną działo. Wyczuwałam zmianę. Jednym słowem, robiłam postępy.

A potem, w jednej chwili, ni z gruszki, ni z pietruszki ten sam przestraszony głos wdarł się w sen, w którym wołałam Toma, błagając go, żeby mnie zabrał do domu na *gnocchi*.

- Coś się dzieje! - pisnął głos. - Siostro! Coś się dzieje!

Spróbowałam otworzyć oczy, z dobrym skutkiem. Bomba. Chciałam je otworzyć, a one posłuchały. Odzyskałam przytomność. Poczułam lekki ucisk mięśni brzucha, przypływ paniki, którą nauczyłam się skutecznie dławić w zarodku. Nadal otaczała mnie biel, lecz już umiałam ją rozpoznawać, podobnie

jak sprzęty dokoła. Wiedziałam, że tkwię tu od jakiegoś czasu. Rozglądając się po pomieszczeniu, zrozumiałam, że wszechogarniająca biel dzieli się na różne odcienie szarości, krawędzie stawały się ostrzejsze, plamy przybierały rzeczywiste kształty. Dostrzegłam okno, ruchliwą przysadzistą postać (signora Marinello?) oraz należącą do innej kobiety smukłą sylwetkę, która ewidentnie nachylała się w moją stronę.

- Emsie - przestraszony głos wionął mi prosto do ucha. - Emsie, słyszysz mnie?

Jezu, pomyślałam, cokolwiek się stało, przepoczwarzyło mnie w inną osobą. Emsie? Kolejny ucisk w żołądku, nawrót paniki. Jak mam wyjaśnić nieporozumienie, skoro zawodzi mnie język? Jak mam wytłumaczyć tym nieznanym, kim naprawdę jestem? Może mam amnezję. Ale przecież wiedziałam, kim jestem: byłam Connie Farrell, zrzędlivą żoną Toma, córką Estelle i Patricka, siostrą kadeta przestrzeni Emmeta, krytykiem kulinarnym, przyjaciółką, mieszkanką Nowego Jorku, człowiekiem.

Tom. Stał mi przed oczami jak żywy, odniosłam wrażenie, że widzę go tuż obok i serce wezbrało mi nadzieją. Tom pomoże wszystko odkręcić, pomyślałam. Potem zażegnamy kryzys i będziemy dalej wieść spokojne życie, z dala od turystycznych atrakcji zagranicznych kurortów.

- Emsie? - powtórzył głos. - Emsie, czy to ty?

- Kim do cholery jest Emsie? - odpowiedziałam. Jestem pewna, że tak się stało, lecz z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Czułam, że moje wargi układają się w słowa, ale głos uwiązł mi w gardle i w pomieszczeniu dalej panowała cisza.

Obca kobieta zajrzała mi prosto w twarz i w jednej chwili zniekształcony obraz z ciemnymi kreskami oczu i różową plamą ust wykrystalizował się w zestaw ostrych konturów i stonowanych barw. Twarz była nadzwyczaj starannie

umalowana, jednakże rysy raziły ostrością i gdyby nie przejawiana przez właścicielkę wybitna zdolność do autokreacji, zasługiwałyby na miano raczej szpetnych. Ufarbowane na blond włosy przystrzyżono na pazia, równo jak pod linijkę.

- Emsie - powiedział głos. Oczy osoby rozwarły się szeroko, a podbródek wydłużył się jak u czarownicy. - Wróciłaś. Siostro! - Głowa zwróciła się w przeciwną stronę, lecz włosy pozostały nieruchome jak kask. - Ona wróciła!

Przymknęłam oczy i ponownie odpłynęłam w sen. Nie byłam gotowa na wyzwanie w postaci odgrywania roli Emsie. Sama myśl o włosach kosmitki doszczętnie zbiła mnie z pantałyku. Jednocześnie powoli do mnie docierało, że mam powody do radości. Obudziłam się, otworzyłam oczy, wiedziałam, gdzie jestem, i rozumiałam, co się wokół mnie dzieje. Wszystko jak należy. Strach przechodził w zapomnienie. Co za bajeczne uczucie.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, zamiast kanciastej twarzy ujrzałam przed sobą krągłe, przyjazne lico signory Marinello.

- Constanzia - powiedziała, a ja rozplakałabym się ze szczęścia, gdybym tylko pamiętała, jak to się robi.

Grunt, że nie byłam Emsie.

- Constanzia - powtórzyła łagodnie signora Marinello, patrząc, jak śledzę wzrokiem ruchy jej warg. - Jesteś w szpitalu. Zraniłaś się w głowę. Byłaś w śpiączce, Constanzio. Rozumiesz?

Słowa powoli zapadały w moją świadomość. Na podstawie wyrazu jej oczu domyślałam się, że chodzi o coś bardzo ważnego, lecz znaczenie wypowiedzi odbiło się od mojego umysłu jak piłka od ściany.

- Zraniłaś się w głowę.

Przetworzyłam zdanie w myślach. Ktoś zranił się w głowę. Jasne, rozumiem. Wiem, o co chodzi. Poważna sprawa.

- Byłaś w śpiączce.

Śpiączka. Pomyślałam o Karen Ann Quinlan, jedynej osobie, z którą kojarzyłam wspomniane słowo. Ona umarła, prawda? Po latach w stanie nieprzytomności? Aha, czyli osoba, która zraniła się w głowę, zapadła również w śpiączkę. Sprawa wyglądała coraz gorzej.

- Rozumiesz?

Nie rozumiałam. Za nic nie mogłam dociec, co powyższa informacja ma wspólnego ze mną. Nie spuszczałam wzroku z twarzy signory Marinello, szukając w życzliwych rysach rozwiązania owej zagadki.

- Przeszłaś dwie operacje mózgu - dodała. - Masz szczęście, że żyjesz.

Przeszłaś dwie operacje mózgu.

Poczułam, jak coś chwyta moje serce w lodowate kleszcze i zaciska je z całej siły. Zapulsowało mi w uszach, policzki oblały się rumieńcem. „Przeszłaś dwie operacje mózgu. Zraniłaś się w głowę. Byłaś w śpiączce. Przeszłaś dwie operacje mózgu”. Zdania atakowały mnie niczym nacierający byk.

- Masz szczęście, że żyjesz. Żyję.

O mój Boże. Ona mówiła o mnie.

Zraniłam się w głowę? Byłam w śpiączce? Mam szczęście, że żyję?

Na widok paniki w moich oczach jej twarz zmarszczyła się jak orzech.

- Wszystko w porządku - zapewniła. - Sza.

Oczywiście, kiedy dokładnie to sobie przeanalizowałam, wszystko ułożyło się w logiczną całość. Miałam coś nie tak z mózgiem. To dlatego nie mogłam zebrać myśli, dlatego nie mogłam odróżnić jawy od snu. Ale cóż to mogło znaczyć? Jak długo potrwa i czy zasłona dymna w mojej głowie wreszcie rozwieje się na dobre? I kiedy wydostanę się z pułapki obcej osobowości? Pytania wirowały w mojej głowie, domagając się uwagi, a ja bezskutecznie próbowałam ustawić je w szeregu.

- Ale gdzie my jesteśmy? - wydusiłam wreszcie, ponownie dobywając z ust bezdźwięczne twory.

Signora Marinello położyła mi na policzku chłodną dłoń, co sprawiło mi tak niezmierną ulgę, że mało znów nie pożeglowałam do Nibylandii. Kurczowo trzymałam się nici zrozumienia, żadna uzupełnić luki informacyjne.

- Nic nie mów, Constanzio - powiedziała signora Marinello. - Zrobiliśmy tracheotomię, żeby ci ułatwić oddychanie. Jesteś podłączona do respiratora.

Naraz uświadomiłam sobie szum i ssanie mechanicznego płuca, dobiegające gdzieś z tyłu. Uniosłam rękę, która ku mojej radości nie pozostała biernie na kołdrze, lecz zgodnie z moją wolą powędrowała do szyi, natrafiając palcami na sterczącą z ciała twardą, plastikową rurkę. Wytrzeszczyłam oczy. Sytuacja przedstawiała się gorzej, niż myślałam: sterczały ze mnie rurki, nie oddychałam samodzielnie.

- W porządku, Constanzio - uspokoiła mnie signora Marinello. - Wkrótce to usuniemy. Na razie przyda ci się trochę pomocy. Wydobrzejesz. Musisz odpocząć. - Pogładziła mnie po policzku i mimo narastającej niepewności zapadłam w mroczny chaos snu.

Kiedy znowu się obudziłam, był dzień. Wiedziałam, że jest dzień, czyli zrobiłam krok we właściwym kierunku. Dobrze było cokolwiek wiedzieć. Mimo to wzdrygnęłam się na myśl o świeżo objawionych rewelacjach, według których ranną w głowę nieszczęśnicą w śpiączce byłam ja sama. Zraniłam się w głowę, w porządku. Czułam, że to prawda, chociaż nic mnie nie bolało, a po migrenie z Giudecca pozostało tylko koszmarne wspomnienie. To z pewnością tłumaczyło chaos w moim umyśle. Ale śpiączka? Tutaj pojawiały się wątpliwości. Jasne, wierzyłam signorze Marinello, nie miała powodu, żeby mnie okłamywać, lecz kosztowało mnie to sporo wysiłku. Nie znałam znaczenia słowa „śpiączka”. Tyłokrotnie obracałam je w głowie, że kompletnie straciło

sens. Doskwierało mi coś jeszcze, a mianowicie miejsce obecnego pobytu.

Wciąż nie byłam pewna, czy przebywam w Wenecji, czy w Nowym Jorku.

- Czy to się stało, kiedy upadłam na moście? - zapytałam.

- Ile razy mamy ci powtarzać, Emsie? - zapytała z wymuszoną wesołością wyfiokowana blondynka. Zaraz, zaraz, czy towarzyszyła mi przez cały czas? Nie pamiętałam, jak długo nie śpię. - Na przystani.

Na przystani? Obok warsztatu Luki? Jakim cudem doszło wówczas do wypadku, zachodziłam w głowę. Pamiętałam swoje fatalne samopoczucie, lecz o ile wiem, nic nie spadło mi wtedy na głowę. Pamiętałam tylko Marca i Lucę, gniew oraz brak złudzeń.

- Jaki dzisiaj dzień? Jaki mamy rok? Czy wiesz, gdzie się znajdujesz? - Obcy głos zasypał mnie pytaniami, na które nie znałam odpowiedzi.

Jaki dzisiaj dzień? Spanikowałam, czując kompletną pustkę w głowie, ale chwyciłam głęboki oddech z gorącym postanowieniem, aby skupić się na pierwszym pytaniu i nie martwić się pozostałymi. Potrafię, zapewniłam się w duchu. Krok po kroku rozwikłałam wszystkie zagadki. W niedzielę poleciałam do Wenecji, spędziłam tam dwie noce... A różnica czasu? Może była bez znaczenia. Gdyby mnie poinformowano, po której stronie Atlantyku przebywam obecnie, z pewnością byłoby mi łatwiej, ale odsunęłam tę myśl na bok. Dwa dni, czyli mamy wtorek. No tak, ale przecież zraniłam się w głowę i zapadłam w śpiączkę. Jak długo trwają śpiączki?

- Dzisiaj jest dzisiaj - odpowiedziałam. - A wczoraj było wczoraj.

Usłyszałam prychnięcie, które mogło pochodzić jedynie z nozdrzy mojej matki.

- Zawsze ma gotową odpowiedź. - Rzeczywiście, moja szanowna rodzicielka stała u wezgłowia, wyraźniejsza niż kiedykolwiek. Miała na sobie pomarańczową bluzę, którą widziałam po raz pierwszy w życiu, oraz wąskie



brązowe spodnie. Była mała, wygnieciona i sprawiała wrażenie niemal obcej. - Jest taka, odkąd nauczyła się mówić. Znaczy się, od urodzenia.

- Musi odpocząć - oświadczyła signora Marinello. Odpowiedziało jej stukanie matczynych obcasów na szpitalnym linoleum. - Ona może ci zaszkodzić - szepnęła mi do ucha signora Marinello. - Ona zaszkodzi każdemu.

Incydent nasunął mi dwa krzepiące wnioski, a mianowicie że matka doprowadza do szału nie tylko mnie, po drugie zaś udało mi się wyartykułować coś, co zostało zarejestrowane przez otoczenie. W tym momencie mgliste fragmenty układanki, które próbowałam dopasować w myślach, nabrały ostrości i rozpoczęły wędrówkę w kierunku wyznaczonych miejsc. Ponownie odpłynęłam w sen, uradowana, że odpowiedź jest na wyciągnięcie ręki i wszystko zmierza ku lepszemu.

Śniłam o Wenecji, lecz wszystko było czarne i złowrogie, a nie perłowe, jak w rzeczywistości. Biegałam uliczkami, nawołując Fleur i Marca, i słyszałam za plecami irytujący tupot Tya Wheatleya. Matka na każdym rogu przybierała postać chimery, staruszkowie z wózkami spoglądali na mnie z potępieniem, a gondolierzy ścigali mnie swym okrutnym śmiechem, który odbijał się echem wśród zawilgłych ścian, uniemożliwiających mi przejście.

Z ulgą ocknęłam się ze snu i choć nie odzyskałam w pełni jasności myślenia, czułam się lepiej niż poprzedniego dnia czy też kiedy to było.

Dokonałam oględzin pomieszczenia. Wciąż leżałam chyba na tym samym łóżku, ale wokół mnie było jakby ciszej. Pomyślałam, że może nie otacza mnie tyle maszyn. Uniosłam rękę do szyi i nie znalazłam tam rurki, tylko bandaż, lecz dźgnąwszy go palcem poczułam taki ból, że domyśliłam się dziury pod spodem.

Signora Marinello weszła w kadr, rozpierając pulchnym ciałem pielęgniarski fartuch, a jej twarz promieniała typową dlań mieszaniną troski i do-

brego humoru.

- Dzień dobry, kochana - powiedziała, sięgając po poduszkę. Poczułam, jak delikatnie unosi moją głowę, a następnie kładzie ją z powrotem na łóżku.

Usłyszałam szelest zmienianej powłoczki. Swojskie, rozpoznawalne odgłosy.

- Gdzie ja jestem? - zapytałam.

- Jesteś w szpitalu, Constanzio. Zraniłaś się w...

- Tak - mozolnie wpadłam jej w słowo. - Zraniłam się w głowę. Byłam w śpiączce. Wiem. Ale czy jestem... - Straciłam wątek, a następnie podjęłam go nie bez trudu. - Czy jestem w Wenecji? - Język mi zesztyniał, głos zaś brzmiał głucho i monotonicznie.

Signora Marinello z troską pogładziła mnie po ramieniu.

- Jesteś w Szpitalu Świętego Wincentego w Nowym Jorku, Constanzio. Spędziłaś tu blisko trzy tygodnie. Upadłaś i zraniłaś się w głowę, kochana, uszkodziłaś sobie mózg, ale już ci lepiej. - Jej dłoń powędrowała na moje czoło; chłodny dotyk uświadomił mi jasno, że jestem rozpalona.

Trzy tygodnie? Powinnam się zdziwić i przestraszyć nie na żarty, ale przypomniałam sobie, że moje kryteria upływu czasu ostatnio znacznie odbiegały od normy. Trzy tygodnie, no proszę. W pracy dadzą mi popalić. Czy miałam przed urlopem do napisania jakiejś recenzji? Nie byłam pewna.

- Upadłam? - zapytałam. W mojej głowie kłębiło się tyle pytań, że za nic nie mogłam ich uporządkować. - Po naszym spotkaniu w Do" Mori? Pewnie na Giudecca, opodal przystani. Sama nie wiem. Nic nie pamiętam.

Słowa nie płynęły tak gładko, jak bym sobie życzyła. Jednostajnie zlewały się ze sobą, pozbawione modulacji bądź zmiany tonacji.

Uciszyła mnie, wygładzając kołdrę.

- Bez obaw, Constanzio. To normalne. Nic się nie martw. Dostałaś dużo leków na zmniejszenie obrzęku mózgu, ale wszystko wraca do normy. Nie ma

już ucisku na czaszkę. Pora wrócić do rzeczywistości, ale powoli.

- Śpiączka trwała trzy tygodnie? - Wciąż nie bardzo rozumiałam, o co chodzi. Wiedziałam, że przez pewien czas było ze mną krucho, ale ile to jest „pewien czas”? Tyle?

- Ależ nie, nie śpisz już od dawna - zapewniła mnie wesoło. - Po prostu nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Pięć, sześć dni byłaś w śpiączce, potem zaczęliśmy cię wybudzać, co dzień po trochu, ale nie wszystko pamiętasz. Zawsze tak jest. Twój mózg musi nadrobić zaległości. Nic się nie martw, Constanzio. To normalne.

- Jaki dzisiaj dzień? - spytałam.

- Środa - odrzekła.

- Środa - powtórzyłam. - Środa. - Spojrzałam na zegar, wiszący naprzeciw łóżka.

Dziesięć po drugiej w środę. Signora Marinello sięgnęła po moją kartę pacjenta i zaczęła coś na niej zaznaczać. Rozejrzałam się dokoła. Zupełnie jak w „Oстрым dyżurze”, tyle że miałam własną salę. Po lewej stronie szumiała maszyna, której przewody prowadziły gdzieś na tyły łóżka. Naraz uświadomiłam sobie obecność rurek pomiędzy udami i odgadłam, że to cewniki. Drugą, drażliwszą kwestię wolałam pozostawić w spokoju.

Wpakowano mi do nosa obrzydliwą rurkę, prowadzącą w dół tchawicy, do ramienia podłączono kroplówkę, na palcu zaś znajdował się jakiś dziwny przyrząd. Moje ciało zdawało się przynależać do kogoś innego. Obliziałam spierzchnięte wargi. Przetykanie sprawiało mi niemało trudu.

- Jeszcze jest środa? - zapytałam. Signora Marinello parsknęła śmiechem, a ja ponownie przeniosłam spojrzenie na zegar. Było trzynaście po drugiej.

- Tak - powiedziała. - Środa. Dobrze dziś wyglądasz, Constanzio. Odzyskałaś rumieńce. Teraz już będzie z górki. - Też popatrzyła na zegar. - Niedłu-

go przyjdzie twoja przyjaciółka. Zawsze zjawia się o tej porze.

- Fleur? - Serce zabiło mi mocniej z radości, ale signora Marinello pokręciła głową.

- Nie, nie Fleur - odrzekła. - Nie znam żadnej Fleur. Mówię o Paris. No wiesz, ta elegancka paniusia.

Mój mózg nie bez trudu przetrwał tę informację. Wzmianka o Paris zabiła mi ćwieka, lecz nim zdążyłam poprosić o wyjaśnienia, jasnowłosa kobieta o wystraszonym głosie wparowała do sali. Na mój widok jej wiedźmowata twarz rozplynęła się w uśmiechu.

- Skarbie! - wykrzyknęła, podpływając do łóżka i cmokając nade mną umalowanymi wargami. - Wyglądasz bosko, Emsie. Czyż ona nie wygląda bosko, pani... hm, przepraszam, nazwisko wyleciało mi z głowy.

- Marinello - podpowiedziałam, ale nie jestem pewna, czy mnie usłyszała.

- Najwyższy czas - trajkotała. - Zamartwialiśmy się o ciebie na śmierć, Emsie, ta sprawa z mózgiem i w ogóle. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie odłączyć maszyn, prawda, pani... Tak czy siak nie było kolorowo, skarbie. Pora coś z tym zrobić!

Dlaczego była tu ta kobieta, skoro mąż nie dawał znaku życia? Nie miałam zielonego pojęcia. Spojrzałam bezradnie na signorę Marinello, lecz ona zajmowała się zawartością wielkiego worka na śmieci, a usta miała przy tym bardziej zaciśnięte niż zwykle.

- Możesz już jeść? - dopytywała się elegantka. - Czy ona może już jeść? - zwróciła się do signory Marinello. - Nie możemy pozwolić, aby to twoje cudowne podniebienie dostawało byle co, prawda?

Jeść! Na samą myśl omal ponownie nie zapadłam w śpiączkę. Czy to możliwe, że myśli o jedzeniu opuściły mnie na kilka tygodni? Na pewno nie. Zwykle nie mijały trzy minuty, żebym nie planowała kolejnego posiłku. Lecz

najwyraźniej choroba musiała zredukować mój apetyt.

- Mogę jeść? - zapytałam.

- Już niedługo, Constanzio - odpowiedziała signora Marinello. - Trzeba cię trochę podtuczyć. Na razie karmimy cię przez rurkę nosowożołądkową.

- Proszę, tylko nie to. - Elegantka z odrazą uniosła wypielegnowaną dłoń.

Sięgnęłam ręką do nosa i pociągnęłam za rurkę, ale signora Marinello pogroziła mi palcem. Elegantka wyglądała na bliską torsji.

- Przestań - zganiła. - To obrzydliwe.

- Kim jesteś? - zapytałam. Naprawdę chciałam się dowiedzieć, ale ona wybuchnęła tylko dźwięcznym śmiechem.

- To ja, Paris. Halo, tu ziemia!

Otworzyłam usta, żeby kazać jej iść do diabła, ale signora Marinello była szybsza.

- Już pani mówiłam, że Connie musi odpocząć, pani Tait. Może zajrzy pani jutro, co?

Rzeczona Paris wstała i obciągnęła spódnicę, na moje oko od Chanel. W życiu nie widziałam kogoś tak odstawionego, było to niemal przerażające. Sięgnęła po blad różową torebkę, dokładnie w odcieniu kostiumu, butów, lakieru do paznokci oraz szminki.

- Głowa do góry, skarbie - szepnęła, ponownie cmokając mi nad głową. - Niedługo cię stąd wyciągniemy. Ciao!

I już jej nie było.

Już chciałam nagadać na nią ile wlezie, lecz wyraz twarzy signory Marinello kazał mi ugryźć się w język. Zerknąwszy przez ramię, przysunęła się bliżej łóżka.

- Miła z ciebie dziewczyna - rzuciła pospiesznie. - Od początku wiedziałam, żeś miła dziewczyna.

Kiwnęłam głową. Chyba nawet pamiętałam, jak to mówiła.

- Wyzdrowiejesz, Constanzio. I dożyjesz setki. W tej główce kryje się mądry mózg. - Wzięła mnie za rękę. - Masz w sobie dużo życia. Ale nie będzie łatwo. Musisz być silna. Od tej pory musisz być silna. Dbaj o siebie. Rozumiesz?

Nie była pewna, czy rozumiem, ale odwzajemniłam uścisk.

- Widuję tu wielu krewnych i przyjaciół, którzy przychodzą w odwiedziny do chorych, Constanzio. - Ze smutkiem rozejrzała się po sali. - Ale muszę ci powiedzieć, że żadni nie są tak stuknięci jak twoi.

Początkowo uznałam, że się przesłyszałam, lecz wówczas na progu stanęła moja matka, obarczona szerokim wieńcem z napisem „DZIADEK”.

- Kupiłam w pobliskim domu pogrzebowym za śmieszne dwanaście dolarów - obwieściła pod adresem signory Marinello, nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem. - Wygląda na to, że jednak nie umarł. Te kolory! Kto by się oparł?

Signora Marinello i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Popatrzyłam na matkę.

- Mamo - powiedziałam. - To ja.

- Oczywiście, że ty - burknęła z rozdrażnieniem. - A któż by inny?



## ROZDZIAŁ 7

Ktoś inny mógłby uznać, że nadal znajduje się w śpiączce (obrażona na cały świat ciemnooka karlica przychodzi z wieńcem pogrzebowym), ja jednak wzięłam to za ostateczne potwierdzenie tego, że żyję i sytuacja wraca do normy.

- Kończę na dziś - oznajmiła signora Marinello. - Gdybyś czegoś potrzebowała, zawołaj Lois. - Rzuciwszy mi spojrzenie jasno nawiązujące do naszej wcześniejszej rozmowy, odwróciła się i wyszła, skrzypiąc białymi pantoflami na linoleum.

- Zatem raczyłaś do nas powrócić - powiedziała matka, przysuwając bliżej krzesło i wyciągając z torebki szarawą robótkę. - Najwyższy czas.

- Nadal nie mam pewności, co dzieje się naprawdę, a co nie - odrzekłam, chociaż powoli zaczynałam wszystko rozumieć. - O ile wiesz, co mam na myśli.

- Nigdy nie wiem, co masz na myśli - odparła, postukując drutami. - Twój ojciec jest w opłakanym stanie. Nie mógł się zdobyć na to, żeby przyjść do szpitala, kiedy cię tu przywieźli z głową w szwach. Przez tydzień nie wziął nic do ust. Przyrządziłam mu nawet *coq au vin* i w ogóle. Nawet nie skosztował.

W myślach podziękowałam Bogu, że chwilowo przyswajam pokarm przez rurkę w nosie. Matczyny *coq au vin* był przyrządzany z indyka zamiast *coq* i soku grejpfrutowego zamiast *vin*. I nie nadawał się do jedzenia, naprawdę. Ojciec nie wziął ani kęsa? Hm, kilkakrotnie widywałam, jak entuzjastycznie rzuca się na to paskudztwo, musiał być zatem porządnie rozstrojony, skoro tym razem nawet nie spróbował.

- Przykro mi, mamó - powiedziałam szczerze. Jak widać, śpiączka nie była kamieniem milowym w naszych nadwreżonych stosunkach.

- Ach, tobie zawsze jest przykro, Mary-Constance - odburknęła.

Miała rację: zawsze było mi przykro, ale tego ode mnie wymagała. W połowie przypadków nie wiedziałam nawet, za co przepraszam. To dziwne, lecz mimo przygnębiającej natury owych refleksji w kwestii matki w mojej głowie panowała całkowita jasność i przynajmniej za to mogłam być jej wdzięczna.

- Co do Emmeta - podjęła, z czułością wymawiając imię pupilka - twój brat zrobiłby wszystko, żeby ci pomóc. I to natychmiast, Mary-Constance. Bez chwili wahania.

Przymknęłam oczy. Wiedziałam, do czego pije. Wiedziałam też, za co tym razem powinno być mi przykro. Pokutowałam za to od dłuższego czasu, a ściśle mówiąc, przez jedną trzecią życia. Jak widać, moja pamięć funkcjonowała jak należy, czyli miałam choć jeden powód do radości. Nie mogłam tylko uwierzyć, że pierwsza rozmowa po moim przebudzeniu będzie nawiązywać do incydentu sprzed wielu lat, którego wspomnienie dusiło matkę niczym obroża z drutu kolczastego.

Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, mój durny braciszek Emmet, lider wśród idiotów, wbił sobie do łepetyny, że umiera na tajemniczą chorobę nerek i wymaga niezwłocznej transplantacji. Nie mam pojęcia, dlaczego matka dała się wciągnąć w tę farsę, niemniej jednak wzięła sobie jego słowa poważnie do serca. Jak większość jedyńskich synów, Emmet był jej oczkiem w głowie. Zaszła w drugą ciążę niespełna trzy miesiące po moim narodzeniu, i tym razem wydała na świat chłopca, którego rozpuściła jak dziadowski bicz. Ślepa na jego podłą naturę, przymykała oczy na to, co inni wyczuwali na kilometr.

- Ja jestem za stara - powiedziała głosem nabrzmiałym od łez, częstując mnie przez telefon wydumaną opowiastką o chorej nerce. - A ojciec wymiotuje na widok krwi. Przedyskutowaliśmy to i padło na ciebie, Mary-Constance -

uzupełniła. - To będziesz ty.

- A właściwie o co chodzi? - spytałam, nie rozumiejąc, o czym ona mówi. Awantury z udziałem Emmeta spowszedniały mi do tego stopnia, że i tę bez trudu sklasyfikowałam jako wytwór jego zdegenerowanej narkotykami fantazji. Moim zadaniem było zawsze udobruchanie rodziców: służyłam jako tarcza, podczas gdy Emmet nieodmiennie spadał na cztery łapy. Bądź co bądź byłam jego siostrą. Broniałam spokoju, ten zaś był w naszej rodzinie towarem wysoce reglamentowanym.

- Ty oddasz mu swoją nerkę - rzuciła niecierpliwie matka. - I to tę lepszą. Wybrakowana nie wchodzi w grę.

Oniemiałam. Ta kobieta potrafiła zdumiewać jak nikt. Zastanawiałam się, czy w ogóle posiadam zapasowy organ tego rodzaju. Pospiesznie przewertowałam archiwum pamięci pod hasłem „biologia”. Jedno serce, jedna wątroba, dwa płuca, jeden pojemny żołądek oraz - tak jest - dwie nerki. Ale czy naprawdę chciałam poświęcić jedną z nich na rzecz półgłówka, który żywił się farmaceutykami i fast foodem?

W chwili gdy ostatnia myśl przemknęła mi przez głowę, osoba po drugiej stronie linii gwałtownie chwyciła oddech. Tylko ona potrafi to robić tak jadowicie.

- Mary-Constance - powiedziała. Jej łzy obeschły, a głos drżał z gniewu, który niezawodnie wzbudzałam w niej przy każdej okazji. - I pomyśleć, że próbowałam ci wpoić miłość bliźniego. Gdzie popełniłam błąd? Czym sobie na to zasłużyłam? Dlaczego, Mary-Constance, powiedz mi dlaczego?

Przywykłam do podobnych inscenizacji. Znałam je od urodzenia i nauczyłam się puszczać je mimo uszu.

- Co ja takiego zrobiłam, mamó?

- Doskonale wiesz, co zrobiłaś, i będziesz żyć z tą świadomością aż do

grobowej deski, Mary-Constance. Niech Bóg (mówię to szczerze, chociaż inni zapewne nie będą tak łaskawi) zmiłuje się nad twoją duszą.

W podobnych chwilach zachodziłam w głowę, czy moja matka aby na pewno jest przy zdrowych zmysłach. Próbowałam zagaić ojca na temat jej histerycznych wyskoków, lecz zbył mnie, mówiąc, że po prostu lubi przesadzać.

- Mamo - westchnęłam. - Przecież nic nie zrobiłam.

Myślałam tylko o nerkach Emmeta.

- Nie myślałaś - odparowała. Czułam, że tylko czeka, żeby mnie dobić. - Ty się wahałaś - syknęła. - Zawahałaś się w kwestii życia i śmierci. Mój jedyny syn. Twoja krew. Niech Bóg ci wybaczy, Mary-Constance. Niech miłosiernie odpuści ci twoje grzechy. - I odłożyła słuchawkę.

Niesamowite. Ale to nie był koniec sprawy. O nie, jeszcze czego. Nawet gdy tego samego dnia wyszło na jaw, że przedagonalny stan Emmeta był wynikiem dokuczliwego zatwardzenia, wywołanego percodanem, matka nigdy mi nie wybaczyła. Rzekome wahanie prześladowało mnie przez ponad dziesięć lat i miało prześladować nawet w szpitalnym łóżku, skołowaną i ledwo żywą po operacji mózgu.

- Jeśli Emmet zgłosi chęć oddania swojego mózgu - powiedziałam - przekaz mu, że jestem wdzięczna, ale nie skorzystam.

Nonszalancja nie była najlepszą bronią w naszych potyczkach, lecz ostatnia uwaga wymknęła mi się, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Matka opuściła druty i rzuciła mi zbolące spojrzenie numer jeden.

- No proszę - rzekła. - A więc obudziłaś się jeszcze gorsza, niż byłaś.

Mówiono mi, że tak się zdarza i muszę ci wyznać, Mary-Constance, że od razu nabrałam złych przeczuć. - Pogrzebała w torbie i wyjęła medalik na błękitnej wstążce, podobny do tych, jakie rozdają zakonnice w dzień swoich patronów. - Powinnaś go nosić - zauważyła, przypinając medalik do mojej koszuli.

Przyjrzałam się uważnie. Był to święty Juda, patron beznadziejnych przypadków.

Opadłam z powrotem na poduszkę i przymknęłam oczy. Moim wybawieniem był tylko sen.

Budziłam się i znów przysypiałam aż do następnego ranka, gdy rozbudziłam się na dobre i pomyślałam, że pewnie jest czwartek. Jak się okazało, miałam rację. Signora Marinello była równie ucieszona jak ja tym małym zwycięstwem i spoglądała na mnie z uznaniem, jak gdybym rozwiązała skomplikowane równanie matematyczne.

- Teraz już z górki - zapewniła. - Zobaczysz. - Zmrużyła oczy. - À propos, zdjęłam ci z koszuli tego paskudę i powiesiłam go w łazience. Nic ci po nim. Ja lubię Honoriusza, patrona cukierników. Słyszałaś o nim? Lubisz ciasta, Constanzio? Tak czy siak, skoro dobrze się czujesz, umyjemy ci włosy.

Ostatnie słowa uświadomiły mi smutną prawdę o moim wyglądzie. Powoli uniosłam rękę do głowy. Nie wiem, co bardziej mnie zaszokowało, porowata połać skóry nad prawą skronią czy włosy.

- Jak to się stało? - zapytałam oszołomiona.

- Upadłaś i zraniłaś się w głowę - powtórzyła po raz setny. - Doznałaś uszkodzenia mózgu, ale chirurg otworzył ci czaszkę i usunął krwiniak. To się nazywa kraniotomia. Na szczęście miałaś dobrego lekarza, Constanzio. Najlepszego.

Prawdę mówiąc, nie mówiłam o bliźnie. Miałam na myśli włosy.

- Mówię o tym - powiedziałam, targając marne kosmyki. Od dwunastego roku życia nosiłam włosy do ramion. Miały tendencję do falowania, chyba że przez pół godziny maltretowałam je suszarką. Teraz jednak były krótkie. I proste.

- Musieliśmy ogolić je z jednej strony przed operacją. - Delikatnie po-

wiodła palcami po chropowatej bliźnie. - Ale poza tym jest bez zmian!

Poczułam ukłucie strachu. Coś tu nie grało. Oderwałam ręce od głowy i umieściłam je na wprost oczu, lustrując kościsty nadgarstek, cienkie palce oraz bladą, przezroczystą skórę przedramion. Wiedziałam, że należą do mnie i podlegają mojej woli, jednakże w ogóle nie przypominały moich rąk. Wyglądały jak ręce kogoś innego. Zdjęta nagłym lękiem, chwyciłam się za gardło, i zgodnie z moimi oczekiwaniami, palce napotkały brzydką bliznę po tracheotomii, po czym ześliznęły się na obojczyki, sterczące pomiędzy obcymi, kanciastymi ramionami. Następnie zsunęły się wzdłuż ciała, muskając wystające żebra, i dotarły do ukrytych pod koszulą kości biodrowych. Kości biodrowe? Sterczały niczym Alpy Szwajcarskie. Powiodłam palcami po gładkiej skórze między ich wierzchołkami. Miałam zapadnięty brzuch. Wklęsły jak Rów Mariański.

Byłam chuda, bez żadnych wątpliwości.

Pomacałam pośladki: drobne i twarde. Dotknęłam ud. Kościste. Naprawdę. Kościste. Nawet po wewnętrznej. Powiedzcie, kto ma kościste uda? Nikt, ot co. A już na pewno nikt, kto zagryzał hot doga trzema gałkami lodów, po czym pochłaniał dwa kawałki placka na dokładkę, i to wszystko w przeciągu godziny.

Myśli huczały mi w głowie jak szalone. Powoli zaczynałam rozumieć, ale byłam wstrząśnięta do głębi. Ja, którą znałam, nie miała chudego tyłka i wystających kości biodrowych. Całe życie opłakiwałam ich brak. Może jednak nie byłam Connie? Może byłam tajemniczą Emsie, z którą myliła mnie potworna Paris?

- Ile ważę? - zapytałam signorę Marinello, która delikatnie myła moją chłopięcą czuprynę, nieświadoma huraganu, który rozgrywał się w mojej głowie.

Poczułam, że odchyła się na krześle, aby odczytać coś z kartki zawieszono-



nej na ścianie.

- Na początku ważyłaś sześćdziesiąt pięć kilo, a teraz ważysz sześćdziesiąt.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio ważyłam sześćdziesiąt kilo. Musiałam mieć wtedy jakieś siedem lat. Co gorsza nie pamiętałam również, kiedy ważyłam sześćdziesiąt pięć. Wiedziałam tylko, że jeszcze miesiąc wcześniej z trudem wciskałam się w dzinsy rozmiar jedenaście i przeklinałam stan swojego gąbczastego brzucha. To nie miało najmniejszego sensu.

- Jest pani pewna, że ważyłam sześćdziesiąt pięć kilo? - upewniłam się z niepokojem.

Roześmiała się serdecznie.

- Skóra i kości, Constanzio. Przez depilację brazylijską nie wiedziałam nawet, czy jesteś naturalną blondynką. Wiesz co, my, Brazylijczycy, lubimy też piłkę nożną, szybkie samochody i taniec. Szkoda, że zasłynęliśmy z powodu depilacji intymnej.

Blondynką? Depilacja intymna? Z trudem znosiłam wosk na nogach, inne części ciała kompletnie nie wchodziły w rachubę. Moje ręce ponownie zanurkowały pod kołdrę i między uda. O mój Boże! Byłam chudą blondynką z wydepilowanym kroczeniem!

W tym momencie uznałam, że chyba nadal znajduję się w śpiączce. I że nagłe przebudzenie również należy do świata ułudy. Lecz moje oczy były otwarte, ciało posłuszne rozkazom, myśli zaś płynęły w miarę spójnie. Raz jeszcze uniosłam rękę do głowy, natrafiając na ruchliwe dłonie signory Marinello. Przytrzymałam je palcami.

- Dziś jest czwartek, prawda? - spytałam z narastającym strachem.

- Owszem.

- Czwartek w... - Przypomniałam sobie nazwę miesiąca, w którym wyjechałam na wakacje. - W listopadzie?

- W lipcu, Constanzio. Czwartek dwudziestego trzeciego lipca - uściśliła łagodnie. - Mamy lato. Dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Musisz znać dokładną datę. Musisz umieć ją określić trzy razy z rzędu. Wtedy uzyskamy pewność, że robisz postępy.

Lipiec? Co jest, do jasnej cholery? Zakręciło mi się w głowie. W październiku poleciałam do Wenecji. Teraz był lipiec. Jak to możliwe?

- Nic nie rozumiem - oznajmiłam drżącym głosem.

- W październiku pojechałam na wakacje. Spędziłam tu blisko miesiąc, a więc powinien być listopad, prawda? - Przeszło mi przez myśl, że pomyliłam kolejność miesięcy. Pospiesznie przypomniałam sobie ich nazwy: styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień. Lipiec z całą pewnością nie znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie listopada.

- Nie wiem nic o żadnych wakacjach - skwitowała signora Marinello, ponownie zataczając palcami kółka na mojej głowie.

Następnie znów odsunęła krzesło, odczytując informację na ścianie.

- Tutaj piszą, że trafiłaś do szpitala dwudziestego dziewiątego czerwca dwa tysiące czwartego roku z krwiakiem podtwardówkowym.

Nagle olśnienie.

- Chwileczkę! - krzyknęłam. - Dwa tysiące którego?

Przysunęła się z powrotem do łóżka, opuszczając dłonie na moje rozdygotane barki.

- Co się stało, Constanzio? Dwudziestego dziewiątego czerwca dwa tysiące czwartego roku. W czym problem?

Jak to możliwe? Jak to się stało?

- Pojechałam - wydusiłam, z trudem łapiąc oddech - pojechałam do Wenecji w październiku. Po jedenastym września. Chcieliśmy odwołać rezerwację... cóż, Tom i tak zrezygnował z wyjazdu... chcieliśmy zrezygnować z lotu z powodu tamtych wydarzeń, signora. - Boże, gdzie jesteś, Tom?

- Spokojnie - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze. Możesz jechać na wakacje, kiedy chcesz, Constanzio, podobnie jak wielu innych ludzi. Jedenasty września nie oznacza końca ery samolotów.

- Nie! - zawołałam. - Pani nie rozumie. Ja dopiero co tam byłam. Tuż zanim trafiłam do szpitala. Wypadek zdarzył się w Wenecji. Tam zapadłam w śpiączkę. Gdzie jest gazeta? Proszę mi pokazać gazetę, signora. Muszę się upewnić. - Wybuchnęłam płaczem.

- Uspokój się, Constanzio - poprosiła signora Marinello, obchodząc łóżko dokoła. - Tylko sobie zaszkodzisz. Ciii. Spokojnie. - Znalazła egzemplarz „The New York Timesa”, strzepnęła go i pokazała mi pierwszą stronę. - Chcesz?

Skinęłam głową i przysunęłam sobie gazetę pod nos. Czcionka była zamazana, nie wiem, czy z powodu łez czy też mgły w mojej głowie, jednakże data stopniowo rysowała się coraz wyraźniej i wreszcie przeczytałam czarno na białym: czwartek, 23 lipca 2004. Rzuciłam gazetę na podłogę i wybuchnęłam płaczem.

Mój mózg połknął dwa lata i dziewięć miesięcy z mojego życiorysu.

W październiku 2001 wyleciałam do Wenecji, a teraz był lipiec 2004. Czyli jednak moja pamięć poważnie niedomagała: kawał życia, począwszy od wycieczki do Europy aż do przebudzenia w szpitalu, zniknął w czarnej dziurze.

- Ale jak to możliwe? - załkałam w obfitą pierś signory Marinello, lejąc łzy w jej fartuch, a serce tłukło mi jak szalone. - Dlaczego?

- Cicho - uspokajała. - Cicho. Nie bój się. Nie ma dwóch takich samych

przypadków, Constanzio. Nikt nie doznaje takiego samego urazu, nikt w identyczny sposób nie powraca do zdrowia. Widziałam doktora Scarpę, powiem mu, żeby przyszedł i z tobą porozmawiał. Mózg posiada własny system samoobrony. Te lata powrócą. Nie zniknęły na zawsze. A teraz już cicho, ciii.

Próbowała mnie pocieszyć, zapewniając, że to bez znaczenia, że wspomnienia powrócą, lecz nic nie przemawiało mi do rozumu. No bo przecież jak to możliwe, że blisko trzy lata giną bezpowrotnie? To było przerażające, miałam dość powodów do strachu i bez tego. Potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa. Potrzebowałam otuchy, którą otrzymałam w postaci zwiększonej dawki lekarstwa. Nie pamiętam, kiedy mi je podano, wiem tylko, że ponownie zapadłam w niebyt. Przyjęłam to z wdzięcznością. Można powiedzieć, że prawie życzyłam sobie kolejnej śpiączki, z której obudzę się bez fragmentarycznych wspomnień, ze świadomością wszystkiego, co mnie dotąd spotkało.

Musicie zrozumieć, że moja opowieść nadal zawiera pewne istotne luki. Znekany mózg funkcjonował według własnego harmonogramu, w wyniku czego chwile wydłużały się w nieskończoność, a dłuższe okresy zdawały się upływać w mgnieniu oka. Dopiero patrząc wstecz, złożyłam wszystko w miarę logiczną całość. Zatem pamiętam tylko, że zasnęłam, a następnie obudziłam się po upływie kilku minut, a może godzin lub dni, i zobaczyłam matkę, która zaciekle robiła na drutach, świdrując mnie paciorkami oczu. Domyśliłam się, że signora Marinello poinformowała ją o ostatnim incydencie. Spoglądając na nią uważnie, nie mogłam wyjść ze zdumienia, że przeoczyłam zmianę, jaka w niej zaszła. W jej wieku trzydzieści trzy miesiące stanowiły kolosalną różnicę. Skóra, będąca dawniej słusznym powodem do dumy, wydawała się pofałdowana i dziwnie sucha, pod oczami zaś widniały ciemne, pomarszczone obwódki. Na dodatek trochę przesadziła z różem.

- Poleciałam do Wenecji - zaczęłam ochryple, czując, jak łza wymyka mi

się z oka i kapie do ucha. Nigdy się sobie nie zwierzałyśmy, ale nie miałam na podorędziu nikogo innego i zgryzota rozwiązała mi język. - Ale Tom nie przyszedł na lotnisko, mamó, zostawił mnie samą jak palec. To ostatnia rzecz, jaką pamiętam. Samotny pobyt w Wenecji. Miałam mokre policzki, poduszka prześląkła do cna. Rzadko płakałam w obecności matki, zwykle obojętnej na łzy, przynajmniej moje. Jednakże druty znieruchomiały i po jej twarzy przemknął dziwny wyraz.

- Cóż - powiedziała. - Dopóki żyję, nigdy cię nie zrozumieję, Mary-Constance.

Nagle z całego serca zatęskniłam za Tomem. Pomimo problemów, dzielących nas różnic, jego wad i mojego poczucia winy zawsze bronił mnie przed matką, chronił przed jej wybuchami oraz bólem, jaki mogła mi sprawić.

- Nieważne, dlaczego nie przyszedł - załkałam. - Wybaczam mu. Wybaczam mu wszystko. Niech tylko zabierze mnie do domu. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Chcę Toma. Dlaczego do mnie nie przyszedł?

Matka wyemitowała suchy kaszelek.

- Dlaczego nie przyszedł, Mary-Constance? Powiem ci dlaczego. Ponieważ, owszem, ktoś poleciał do Wenecji na drugi miesiąc miodowy, dobrze zapamiętałaś. Ale tą osobą nie byłaś ty, tylko Tom Farrell. To on utknął w obcym mieście, do którego w ogóle nie miał ochoty jechać, podczas gdy cały świat wyruszał na wojnę, a ty brylowałaś po Nowym Jorku ze swoim lalusem. Bóg jeden wie, że nigdy nie przepadałam za Tomem, zawsze uważałam, że stać cię na więcej, ale bynajmniej sobie na to nie zasłużył. Nawet pijany włóczęga przykryty gazetami na ulicy też zasługiwałby na coś lepszego. Oczywiście Tom ułożył sobie życie, ale w końcu czemu nie? Ty nie miałaś z tym żadnego problemu.

Na te słowa wydałam okrzyk tak bezdennej rozpacz, że signora Mari-

nello, która musiała przechodzić korytarzem, wbiegła do sali tak szybko, na ile tylko pozwalała jej okazała tusza.

- Lois! - zawołała przez ramię. - Lois!

Na progu stanęła potargana, różowolica blondynka z twarzą skrzywioną lekkim zniecierpliwieniem.

- Słucham? - zwróciła się do signory Marinello. - O co chodzi?

Ależ współczułam wtedy mojemu biednemu mózgowi. Najchętniej wyjęłabym go z wgniecionej czaszki i ucałowałam. Tak bardzo chciałam przesunąć wskazówki zegara, nieważne w przód czy w tył, byle wreszcie połapać się w sytuacji. Potargana blondynka nie była bowiem nikim innym jak kelnerką z Bentigodi w Cannaregio, która rzekomo widziała mojego brata.

Krzyknęłam jeszcze głośniejszym głosem, wtedy ona spojrzała na mnie z przyjaznym uśmiechem.

- Witaj, nieznajoma - powiedziała. - Miło cię zobaczyć z otwartymi oczami.

Nagły przyływ olśnienia sprawił, że zawirowało mi w głowie i straciłam wątek. Prawda zamajaczyła mi przed oczami, a następnie rozplynęła się i znikła. Oniemiałam, z kompletną pustką w głowie. Czułam, jakby moje ciało stanowiło wielką, ziejącą dziurę rozpacz i gniewu.

Trudno wytłumaczyć, co oznacza dla człowieka uraz mózgu. Teraz jest mi łatwiej, gdyż wszystkie elementy układanki trafiły na właściwe miejsce, a nawet jeśli tak nie jest, odrobina zdrowego rozsądku pomaga załatać luki. Tak jakbym łączyła kropki, tworząc pełny obraz zdarzeń. Ale wówczas, kiedy usiłowałam odtworzyć to, co ze mnie zostało, z postrzępionych fragmentów jawy i snu, przypominało walenie głową o ścianę. Jakim cudem kelnerka z Bentigodi znalazła się w szpitalu, spytałam. Też zadawałam sobie to pytanie, raczej z pewnym niedowierzaniem aniżeli sceptycznie. Za nic nie mogłam tego pojąć.



Istny węzeł gordyjski, mówię wam.

Widok Lois wysunął na pierwszy plan kwestię signory Marinello. Jak to się stało, że przeniosła się z Do" Mori do nowojorskiego szpitala? Tak do niej przywykłam, że przestałam się nad tym zastanawiać, złaknięta jej macierzyńskiej bliskości. Jak miałam uwierzyć matce, że nigdy nie byłam w Wenecji, skoro obraz miasta i wspomnianych wydarzeń stał mi przed oczami jak żywy? Tylko co ona robiła na przystani? Nie dawało mi to spokoju. I skąd się wziął Ty Wheatley? Kiedy próbowałam połączyć jedno z drugim, usiłując dociec, dlaczego ci ludzie skakali z kontynentu na kontynent, aby uprzykrzać mi życie, bezradnie dałam za wygraną. Moje myśli napotkały niewidzialną zapórę, której ani rusz nie dawało się przeskoczyć.

- Znam cię - powiedziałam do Lois. - Byłaś tam. Byłyśmy tam razem.

- Idź po doktora Scarpę - poleciła signora Marinello. - Widziałam go, jest na górze. Niech obejrzy Constanzię. - I Lois wyszła, zanim zdążyłam ją powstrzymać, unikając odpowiedzi, której domagały się moje szare komórki.

- Czy to prawda? - zapytałam signorę Marinello, chociaż sama nie byłam pewna, do czego nawiązuję. - Byłam w Wenecji, prawda? Jadłam *cicchetti* w Do" Mori. Pamiętam ich smak. I *polpette*! - Wspomnienie potraw nie wywarło wrażenia na moich kubkach smakowych, ale widziałam je jak dziś.

- Nie wiem - odrzekła signora Marinello, potrząsając głową. Następnie zwróciła surowe spojrzenie na moją matkę. - Dobrze pani wie, że Constanzia potrzebuje spokoju, pani Conlan. Proszę dać jej odetchnąć.

Poczułam, jak matka się jeży. W powietrzu nastąpiły lekkie wyładowania elektryczne: nie lubiła, żeby ją traktować jak byle kogo.

- Chyba wiem, co jest najlepsze dla mojej córki - odparła lodowatym tonem. - Znam ją od ponad trzydziestu sześciu lat, pani Marinello.

Ponad trzydziestu sześciu lat? Ukryłam twarz w poduszce i zawyłam.

Miałam trzydzieści sześć lat. Za cztery lata skończę czterdzieści. Sytuacja przybierała coraz gorszy obrót.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Lekkie kroki pielęgniarki i tupot męskich stóp obwieściły przybycie Lois i doktora Scarpy.

- Proszę, kogo my tu mamy - powiedział znajomy, aksamitny głos. - Pozwolę sobie wyrazić zachwyt nad tą piękną robótką.

Otworzyłam szeroko usta, widząc przed sobą boską sylwetkę, obleczone w czarne, dopasowane spodnie oraz t-shirt.

Był to Marco, mój gondolier.

## ROZDZIAŁ 8

Możecie sobie wyobrazić, przez co przechodził mój znękany mózg. Budzi się ze śpiączki, o której nie miał zielonego pojęcia, po czym dowiaduje się, że gdzieś zapodział trzy lata życia i widzi egzotycznego kochanka, który najprawdopodobniej wcale nie był egzotycznym kochankiem.

Nieszczęsny organ usiłuje za wszelką cenę wrócić do pierwotnych rozmiarów, odnaleźć wydeptane ścieżki i włączyć zapłon, tymczasem splot nieprzewidzianych okoliczności wali mu się na głowę, wprowadzając jeszcze większe zamieszanie.

Z perspektywy czasu widzę, iż rzecz była tak dziecinnie prosta, że każdy idiota by się połapał. Lecz perspektywa czasu w połączeniu z logiką to cudowny dar i nie każda ofiara urazu głowy ma szczęście go odzyskać. (Poza tym określenie „idiota” jest dalece niestosowne). Ci bardziej pechowi mogą główkować i patrzeć wstecz, ile dusza zapragnie, a i tak nie złożą wszystkiego do kupy. Teraz już o tym wiem. Wiem znacznie więcej niż przedtem. Jednakże

wówczas wiedziałam tylko, że gondolier, którego dosiadłam w bocznym zaułku Wenecji, stoi przede mną, wyciąga rękę i błyskając złotym rolexem, przedstawia się tak, jakbym pierwszy raz widziała go na oczy.

- Marc Scarpa - oznajmił. - Jestem pani neurochirurgiem.

- Marco - szepnęłam, kompletnie zbita z pantałyku, czując w lędźwiach cień dawnej namiętności.

- Tak. - Uśmiechnął się niepewnie, po czym przeniósł wzrok na signorę Marinello. - Constanzia. Zatem nadal pogrywasz w te swoje gierki. Dobrze widzieć cię przytomną. Doskonale zniosłaś operację. Jesteśmy bardzo zadowoleni z rezultatów.

Urwał, jak gdyby czekał na wsparcie, lecz wszyscy obserwowali go z nabożnym zachwytem, widocznym nawet dla osoby z niedawnym urazem głowy. Trudno się dziwić. Mój Marco! Te usta! Te biodra!

- Podobno mamy do czynienia z niepamięcią wsteczną lub amnezją dysocjacyjną - podjął hipnotycznym głosem Marco. - To nie moja działka, Connie, jestem chirurgiem. Skonsultuję się z kolegami, ale blizny ładnie się goją i nie ma raczej powodów do obaw. To częsty objaw u... Connie? Siostrze, czy ona mnie słucha?

Oczarowana wytrzeszczałam na niego oczy. Był zdecydowanie za przystojny na lekarza, mógł być aktorem grającym go w serialu, takim na przykład Joeyem z „Przyjaciół”, tylko wyższym, szczuplejszym i z lepszymi włosami.

- Po prostu dziwnie cię tutaj oglądać - odpowiedziałam. Marco puścił tę uwagę mimo uszu.

- To częsty objaw u pacjentów z urazem głowy: nie pamiętają, jak doszło do wypadku - uzupełnił urzędowym tonem, jak gdyby nic między nami nie zaśzło. Jego słowa przejmowały chłodem. Jeśli się dobrze zastanowić, dostrzegłam jego oschłość już wcześniej (choć tak bym jej wówczas nie nazwała), kie-

dy opowiadał mi o szwajcarskich gondolach. Uderzył mnie jego brak idealizmu. Mój rycerz z bajki był do cna pozbawiony romantyzmu. Oczywiście uznałam wtedy, że inne walory rekompensują to z nawiązką. I chyba nadal byłam tego zdania.

- Connie? - Ostry ton Marca wyraźnie dawał do zrozumienia, że ktoś tu marnuje jego cenny czas. Przepraszająco skinęłam głową i wysiliłam uwagę. - Pacjenci często nie pamiętają chwili wypadku - podjął ze zniecierpliwieniem. - Mózg to nadzwyczaj skomplikowany organ, ma swoje sposoby samoobrony przed stresem albo cierpieniem. Twój uraz był wyjątkowo rozległy. Miałaś krwiak podtwardówkowy w prawym płacie czołowym, ale na szczęście udało ci się uniknąć tak zwanego urazu odbicia po stronie przeciwnej do miejsca uderzenia. Gdyby to nastąpiło, twój mózg zatrzęsłoby się w statycznej przestrzeni czaszki. - Potrząsnął ręką, jakby grzechotał pudełkiem zapalek. - Naturalnie skomplikowałyby to rekonwalescencję. Jeśli masz jakieś pytania, jestem pewien, że siostra chętnie udzieli ci na nie...

Nie mogłam uwierzyć, że patrzy na mnie z chłodną dociekliwością naukowca. Bał się okazać uczucia w obecności mojej matki? A może się wstydził wobec signory Marinello po tym, jak zostawił mnie w Wenecji? Lecz wówczas przypominałam sobie z zakłopotaniem, że Wenecja była dawno temu, a poza tym przecież wcale tam nie pojechałam. No i jak Marco mógłby jednocześnie odgrywać rolę gondoliera i neurochirurga? Jęknęłam. Co działo się naprawdę, a co nie?

- Boli? - spytał Marco, przystępując do oględzin mojej rany. - Nie powinno. Jakie leki jej pani podaje? - Sprawdził moją kartę, a następnie nachylił się bliżej. Nie pachniał jak Marco, którego znałam, wanilią i świeżo zmielonym pieprzem. Ten Marco był bezwonny. Kiedy odchodził od łóżka, siląc się na współczujące spojrzenie, stłumiłam kolejny jęk.

- Powiedz mi, co pamiętasz - poprosił łagodniejszym tonem.

Rzuciłam signorze Marinello błagalne spojrzenie, lecz ona tylko posłała mi krzepiący uśmiech i skinęła głową. W tle zabrzmiało posykiwanie matki. Był to odgłos, który już dawno nauczyłam się ignorować.

- Pamiętam - zaczęłam - ale potem... - I urwałam.

- Tak - ponaglił Marco, hipnotyzując mnie wzrokiem.

Czy to gra? Chciał, żebym im powiedziała?

- Jestem tego pewna, niemniej jednak... - Ale nie byłam pewna. Gdzie tam. Na miłość boską, pamiętałam jego smak, a przecież był dla mnie obcym człowiekiem. Kompletnie obcym.

Jakby na potwierdzenie owej konkluzji Marco uśmiechnął się z przymusem, wypuścił nosem powietrze i wzorem rasowego dupka popatrzył na swój drogi zegarek. Wiedziałam, że jestem mu kulą u nogi, czemu dał wyraz, ponaglając mnie krótkim, gardłowym chrząknięciem.

- Naprawdę pamiętam - podjęłam pospiesznie. Mimo irytacji pragnęłam za wszelką cenę go zatrzymać. - Pamiętam ciebie. Gondolę, *cicchetti*, Do" Mori. Mówiłeś, że się mną zaopiekujesz.

Marco uniósł brwi i otworzywszy usta, przycisnął język do podniebienia tuż za przednimi górnymi zębami z miną człowieka, który nie ma czasu na podobne bzdury.

- Zaopiekowałem się tobą - oznajmił rzeczowo. - A teraz opowiedz mi o wypadku, Connie. Mam jeszcze innych pacjentów, w znacznie gorszym stanie niż ty. Oni też potrzebują mojej pomocy.

Moje serce krwawiło, nie wiem, czy w wyniku świeżej czy starej rany. Perspektywa czasu nadal nie przychodziła mi w sukurs. Byłam kretynką (przepraszam, tego słowa też nie powinnam używać), wierząc, że Marcowi na mnie zależy, czy to w tym, czy w wyimaginowanym świecie.

- Pamiętam, że byłam w Wenecji, na *squero* - powiedziałam z wahaniem, przełykając łyzy i usiłując oddzielić tę zimną, oficjalną wersję gondoliera od magnetycznej, która na dobre wryła się w moją świadomość. - Nagle pojawiła się tam moja matka, a ja obudziłam się tutaj. W szpitalu.

- Nie pamiętasz, jak biegałeś w Central Parku? - podpowiedział Marco. - Podczas joggingu upadłeś i zraniłeś się w głowę przy restauracji Przystań nad jeziorem. Czy nie tak właśnie było, siostrze?

Signora Marinello pokiwała głową, lecz ja wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia. Przecież nie uprawiałam joggingu. Nigdy. Nienawidziłam joggingu. Był zarezerwowany dla jędrnych chudzielców z kucykiem. Ja wolałam spacerować. Ale jak wytłumaczyć chudy tyłek i kościste uda? I chociaż wiedziałam swoje, musiałam przyznać, że obudziłam się z ciałem wielbicielki biegów przełajowych.

- Przecież pamiętasz Woody'ego Allena - wtrąciła piskliwie matka. - Umazałeś go krwią. Miał na sobie beżowe sztruksy, a ty przeszkodziłeś mu w pracy. Winona Ryder musiała zostać w przyczepie. No wiesz, ta mała złodziejka z domu towarowego. Allen poniósł straty w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Przymknęłam oczy z gorącym pragnieniem, żeby świat pozostawił mnie w spokoju, ale gdzie tam. Musiałam stawić czoło tak zwanej rzeczywistości.

- Connie? - W głosie Marca ponownie zabrzmiała irytacja. - Pamiętasz pobyt w Central Parku?

Kółka zębate w mojej głowie obróciły się z głośnym zgrzytem. Oczywiście, że pamiętam pobyt w Central Parku. Dorastałam w kamienicy położonej kilka przecznic na wschód od niego, tam się bawiłam. Lecz gdy usiłowałam przywołać związane z nim najświeższe wspomnienia, otaczała mnie mgła, w której błądziłam po omacku. Ujrzałam siebie w płaszczu, targaną przez wiatr.



Jednakże byłam to ja w starym, pulchnym ciele, jakże innym od tego, w jakim obudziłam się ze śpiączki. Zresztą nie przechodziłam przez park, ale mijałam cukiernię Magnolia w Village. Jezu, ależ przepadałam za tymi ciastkami.

- Nie jestem pewna - odpowiedziałam. - Niczego nie jestem pewna. Pamiętam, że szłam, a nie biegłam, i była to dawna ja, a nie obecna. Nie byłeś w Wenecji? - Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko mi się przyśniło. - Na Rialto?

- Pamiętałam wszystkie szczegóły jego anatomii, jego zapach, smak. Przecież nie mogłam tego zmyślić. Po prostu nie mogłam. - Wszystko wydaje się takie rzeczywiste. Marco uniósł brwi i popatrzył na signorę Marinello.

- Chyba nie obejdzie się bez konsultacji neuropsychologicznej - oznajmił. - Nic więcej tutaj nie wskóram, siostró. Rana ładnie się goi, a obrzęk nie stanowi już zagrożenia dla zdrowia, dlatego chyba mogę z czystym sumieniem powierzyć ją pani opiece.

Z tymi słowami obrócił się na pięcie i wyszedł.

Wszystkie obecne odprowadziły go tęsknym wzrokiem. Nawet twarz matki nosiła wygłodniały wyraz, jakiego zwykle u niej nie widywałam. Zaraz jednak wszystko wróciło do normy.

- Naprawdę, Mary-Constance, czy nie mogłaś bardziej się postarać? - zapytała, zanim kroki Marca zdążyły ucichnąć na korytarzu. - Ten człowiek ratuje ci życie, a ty tylko papłasz o tym, kto zna kogo i zasypujesz go absurdalnymi pytaniami. Co on sobie pomyśli? Jak to się mówi o manierach, pani Marinado? Podobno gdy ktoś budzi się gorszy niż przedtem, zapomina też o dobrym wychowaniu, prawda?

- Pora, żeby Connie odpoczęła, pani Conlan - odrzekła pielęgniarzka. - Proszę pamiętać, co mówiłam o jej mózgu. Potrzebuje ciszy.

Spierzchnięte usta matki musnęły mój policzek. Nagle poczułam się nie-

wyobrażalnie osamotniona.

- Mamo, zadzwoń po Toma, dobrze? - poprosiłam, łapiąc ją za rękę i przyciągając bliżej. - Potrzebuję go. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Boję się.

Rzekomy konflikt z mężem nie dawał mi spokoju, ale bez względu na wzajemne przewinienia potrzebowałam jego bliskości: wierzyłam, że wskaże mi drogę we mgle. Matka wyszarpnęła rękę i odeszła od łóżka.

W tym momencie do sali wpadła nieskazitelna Paris na absurdalnie wysokich obcasach, wymachując papierową torbą od Kate Spade.

- Skarbie! - zawołała. - *C'est ici!*

Wybuchnęłam płaczem.

- Idź sobie! - załkałam. - Chcę Toma. I Fleur. Gdzie jest Fleur? Potrzebuję jej. Zadzwoń do niej, mamo. Proszę, proszę, proszę.

- Wątpię, żeby... - zaczęła matka.

- Naprawdę nie ma po co... - usiłowała ją przekrzyczeć Paris.

- Cisza! - wrzasnęła autorytatywnie signora Marinello. - Proszę stąd wyjść, ale już. Zostawcie Constanzię w spokoju. Musi odpocząć. Potrzebuje ciszy.

- Ona ma na imię Mary-Constance - zaproponowała matka, kiedy ją wyprowadzano z sali.

- Chociaż fani znają ją jako Emsie - odparowała Paris.

Ostatnie słowa zawisły w opustoszałym pomieszczeniu.

Mary-Constance. Emsie. MC. Aha. Paris nazywała mnie moimi inicjałami. Odczułam idiotyczną ulgę. Rozszlochany chudzielec o nowym imieniu i lukach w życiorysie to naprawdę byłam ja. Ja! Zawsze jednak wolałam imię Connie, dlatego nie miałam pojęcia, co mogło mnie skłonić do zmiany. Tylko matka uparcie mówiła do mnie Mary-Constance, za czym nigdy nie przepadałam.

Warto zaznaczyć, że na tym etapie rekonwalescencji nie byłam już przykuta do łóżka. Pewnie założyliście, że tkwiłam w pozycji horyzontalnej, uruchamiając co jakiś czas jedynie kanaliki łzowe, usta i ręce, ale to moja wina, gdyż położyłam nacisk na intrygę, opuszczając szczegóły hospitalizacji. Nie-rozerwalnie związany z nią aspekt fizjologiczny również pomińmy milczeniem.

Krótko mówiąc, kiedy w pełni odzyskałam świadomość, w okresie, o którym teraz wam opowiadam, moja sprawność fizyczna nie pozostawiała wiele do życzenia. Nie potrzebowałam już cewnika ani całodobowego nadzoru oraz kroplówki. Wprawdzie pomagano mi przejść na wózek celem dotarcia do łazienki, było w tym jednak nieco przesady, gdyż całkiem dobrze przemieszczałam się o własnych siłach (pomijając fakt, że nogi wydawały się zbyt cienkie, by utrzymać resztę ciała). Poza tym doznałam tylko urazu głowy, w przeciwieństwie do większości pacjentów oddziału intensywnej terapii, którzy uczestniczyli w wypadkach samochodowych i zostali mocno poturbowani. Istotnie byłam szczęściarą.

Ale wcale się za taką nie uważałam, wręcz przeciwnie. Przerażała mnie myśl o utraconych latach; nie mogłam też pogodzić się z tym, że to, w co wierzyłam, okazało się wytworem mojej wyobraźni. Czemu mogłam zaufać? Do kogo się zwrócić? Marco, mój kochanek, traktował mnie jak obcą osobę, mąż zaś wedle słów matki przestał być moim mężem. Czułam, że jego nieobecność, brak jakiegokolwiek wzmianki na jego temat to zły znak. Tak strasznie za nim tęskniłam. Tęskniłam rozpaczliwie.

Po wyjściu matki i Paris zasnęłam. Co za dzień.

Kiedy się obudziłam, był piątek. Sen przyniósł mi upragniony spokój. Signora Marinello krzątała się po sali w oczekiwaniu na moje przebudzenie.

- Nie ma pani domu? - zapytałam. - Zawsze na posterunku?

Roześmiała się z rozbawieniem.

- Pracuję po dwanaście godzin - odpowiedziała. - Śpisz, kiedy mnie nie ma. Przesypiasz około piętnastu godzin!

- Byłam w Wenecji, z Markiem - oznajmiłam, pragnąc odsiać coś sensownego z chaosu panującego w mojej głowie. - Wiem, że to prawda. Dużo o nim wiem, signora. Na pewno sobie tego nie uroiłam. To intymne sprawy. No wie pani. Bardzo intymne.

Z wdzięcznością przyjąłem jej życzliwy uśmiech.

- Constanzio - mruknęła. - Musisz zrozumieć... Nagle doznałam olśnienia: mam dowód!

- Constanzio! - zawołałam triumfalnie. - Widzi pani! Nazwał mnie Constanzią. Nadał mi włoskie imię.

Ale signora Marinello tylko skinęła głową.

- Wszystkim pacjentom nadajemy włoskie imiona - wyjaśniła. - To taka tradycja, zapoczątkowana przez lekarza, który tu wcześniej pracował. Taki mały żarcik.

- Ale skąd mogłam wiedzieć, że tak mnie nazywał?

- Mgła w mojej głowie rozwiała się na tyle, abym pojęła rangę tej kwestii. Uchwyciłam się jej niczym ostatniej deski ratunku, lecz signora Marinello ponownie kiwnęła głową.

- Nieważne, ile wiemy o mózgu - powiedziała. - Nadal istnieją sfery, o których nie mamy pojęcia. Kto wie, co się z nim dzieje, kiedy jest uśpiony? Śpiączka nadal stanowi dla medycyny zagadkę. - Konspiracyjnie zniżyła głos, jakby prawdziwy spec od mózgu mógł nas podsłuchać. - A pomyślałaś o swoich uszach, Constanzio? One zasypiają ostatnie. To możemy potwierdzić na pewno. To, że mózg śpi, wcale nie oznacza, że uszy nie słuchają. Gdy śpisz, nigdy nie mówię ci nic, co zataiłabym przed tobą na jawie. I tak doktor Scarpa

przychodzi, prawi ci komplementy, nazywa Constanzią. Mówi, że się tobą zaopiekuje. Być może twoje uszy przeniosły tę informację do mózgu, a następnie zmieszały z morfiną i innymi środkami nasennymi, tworząc koktajl prawdy i złudzeń. Widzisz, przez pierwsze dni po operacji budziliśmy cię, żeby zbadać twoje reakcje, po czym znów zapadałaś w sen. Nikt nie wie, co się wtedy działo. - Raz jeszcze położyła mi na czole chłodną dłoń. - Nawet ty.

Przetrawiłam jej słowa. Brzmiały nader prawdopodobnie, ale przecież dokładnie pamiętałam smak tamtych potraw. Pomyślałam o pękatach sardynkach z Bentigodi, kipiących od farszu z orzeszków i pietruszki.

- Ale skąd bym wiedziała, jak on wygląda? - zapytałam.

- A pani? Skąd znalazłabym panią? - I ponownie ujrzałam ją opartą o kontuar w Do" Mori, gdzie zapewniała mnie łagodnie, że wszystko będzie dobrze.

- Constanzio, kiedy odzyskałaś przytomność? - odpowiedziała mi pytaniem.

- Trzy dni temu - odparłam, zachodząc w głowę, czy aby nie cztery.

- Trzy tygodnie temu - sprecyzowała. - Odzyskałaś przytomność ponad trzy tygodnie temu. Ale pierwszych dni nie pamiętasz. Często widywałaś doktora Scarpę i mnie, zanim zaczęłaś zdawać sobie z tego sprawę. Wiem, że trudno ci to pojąć, Constanzio. Ale wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, że niedługo będzie ci łatwiej. Miałaś dużo szczęścia.

Dobre sobie. Skoro miałam tyle szczęścia, dlaczego wyrznęłam głowę w kamień, zamiast dalej wieść życie supermodelki? Signora Marinello wyczuła mój sceptycyzm.

- A zresztą - rzuciła obojętnie - nie jesteś pierwszą pacjentką, która budzi się z przekonaniem, że miała do czynienia z doktorem Scarpą w nieco szerszym zakresie niż przewiduje terapia.

- Naprawdę?

- Oczywiście! - odparła z niezachwianą pewnością siebie. - Wciąż napotykam podobne przypadki. No, ale nie trzeba być w śpiączce, żeby fantazjować na jego temat, prawda. Przystojniak z naszego doktora. - Potrząsnęła głową. - Połowa pielęgniarek i pacjentek robi do niego słodkie oczy, choć moim zdaniem jest... - Rozważyła swoje słowa. - Mniejsza z tym. Niektórzy właśnie po to przychodzą na świat, ażeby inni mogli o nich śnić.

- O pani też śniłam, signora. Często się to pani zdarza?

- Raczej nie, kochana - odpowiedziała. - Dziękuję ci bardzo. Zawsze mówiłam, że miła z ciebie dziewczyna.

Nim zdążyłam coś dodać, drzwi otworzyły się cicho i na progu stanęła Fleur, moja prawdziwa przyjaciółka, może nie tak nieskazitelna jak Paris, lecz urocza jak zawsze. Wydawała się przy tym odmieniona, ale nie umiałam powiedzieć dlaczego. Wtedy przypomniałam sobie, że od ostatniego, zapamiętanego przeze mnie spotkania upłynęły przecież blisko trzy lata. Umówiłyśmy się na dzień przed moim wylotem do Włoch celem omówienia strategii na nadchodzący drugi miesiąc miodowy. Fleur była ekspertem od bielizny (to dzięki niej przekonałam się do stringów) i jeśli się dobrze zastanowić, pomysł z powtórką miodowego miesiąca wyszedł właśnie od niej. Zawsze powierzałam jej swoje sekrety. Umiała słuchać i mimo nieokiełznanej skłonności do flirtów zasługiwała na stuprocentowe zaufanie.

Rzuciła mi niepewny uśmiech, a ja gestem przywołałam ją do siebie. Zastanawiałam się, czy wie, że jestem chudą blondynką, czy może zdziwi się tak samo jak ja. Sama nadal nie mogłam w to uwierzyć.

- Fleur - powiedziałam. - Chwała Bogu, że jesteś.

- Ach, Connie - wykrzyknęła, podbiegając do łóżka i chwytając mnie w objęcia. - Tak bardzo mi przykro. Jezu, tak bardzo mi przykro. - Buczałyśmy jak bobry, dopóki płacz nie przeszedł w pełen zakłopotania chichot, który



ostatecznie wysuszył łyzy.

- Twoja mama mówi, że jesteś trochę nieswoja - oznajmiła Fleur, pociągając nosem.

- Nieswoja? Rany, to chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek o mnie powiedziała - zażartowałam, lecz niepokój odebrał mi chęć do śmiechu. - Nie pamiętam najważniejszych spraw! - zawołałam. - A to, co pamiętam, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To okropne, Fleur, nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, co się stało. Wszystko mi się miesza.

Fleur położyła się na łóżku, mocno tuląc mnie w ramionach. Schudła czy może raczej jej sylwetka zmieniła kształt: miała mniejszą pupę, ale większy biust, przytyła w talii, a jej piękne włosy były jeszcze bardziej lśniące i skręcone niż dawniej.

- Czy to prawda, że straciłaś pamięć? - zapytała. Żałośnie skinęłam głową.

- Po części tak. Podobno. Żadne tam klimaty z „Tożsamości Bourne'a”, wiem, kim jestem, poniekąd. A raczej kim byłam. Lecz ostatnie kilka lat znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Początkowo w ogóle nie byłam świadoma upływu czasu, sądziłam, że nic się nie zmieniło. Myślałam, że wszystko gra, mam szczęście, że żyję, po prostu nie umiałam określić daty. To takie dziwne, Fleur. Pamiętam lot do Wenecji, jakby to było wczoraj, a matka twierdzi, że w ogóle tam nie pojechałam. Spotkałyśmy się na dzień przed wylotem, pamiętasz? - Wróciłam myślami do stolika w Gotham Bar & Grill, gdzie wypiliśmy butelkę australijskiego chardonnay i zjadłyśmy homara z pieczonymi ziemniakami. - Pamiętam restaurację - dodałam - a potem już nic.

- Connie. - Fleur wyglądała na równie załamana jak ja. - Od tamtej pory tyle się wydarzyło. Jezu, nie mogłaś zwyczajnie złamać nogi jak normalny człowiek?

- Zobacz, jaka jestem chuda - powiedziałam, odrzucając kołdrę i demonstrując swoje kościste wdzięki.

- Okropność - przyznała.

- Wiem, ale zdarzyły się jeszcze dziwniejsze rzeczy. Wiedziałaś o tym?

- O twojej chudości? O, hm, jejku... - Zawahała się.

- Musisz wiele nadrobić, Connie...

- Liczę na twoją pomoc. Znowu wyczułam wahanie.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedziała.

- Wiesz coś o moim wypadku?

- Taa.

- No to zacznij od niego.

Z widoczną ulgą zmieniła pozycję i podparła się na łokciu.

- A więc biegałaś sobie w Central Parku, gdy naraz zobaczyłaś Woody'ego Allena, potknęłaś się i uderzyłaś głową w kamień. - Ze współczuciem przyjrzała się mojej bliźnie. - Trzymał w ręku bułkę czy coś w tym rodzaju, mówię o Allenie. Chyba właśnie to zwróciło twoją uwagę. Nie, to był precel! Miękki precel. W każdym razie musiałaś być strasznie głodna, gdyż pomimo nieprzytomności zdołałaś mu go wyrwać. Miałaś go w karetce. W szpitalu musieli ci go siłą wydzierać.

Milczaliśmy przez chwilę. Ona w oczekiwaniu na moją reakcję, a ja w nadziei na to, że się przesłyszałam. Mrożący krew w żyłach incydent nosił wszelkie znamiona kiepskiego dowcipu.

- Ukradłam precel Woody'emu Allenowi? - spytałam z niedowierzaniem.

- Po cóż miałabym to robić? Może on mi go zabrał i chciałam tylko odzyskać swoją własność? - Chciałam dodać, że przecież nie lubię precli, lecz byłoby to oczywiste kłamstwo. Sprzedawane na ulicach nowojorskie precle stanowiły jeden z zasadniczych powodów, aby tu zamieszkać. Gotowa byłam pójść o za-

kład, że wiem, gdzie Woody Allen nabył swój, ponieważ na rogu Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Central Park West stała zawsze zręczliwa handlarzka... Jej precle były na głowę wyroby z koncesjonowanych wózków w samym parku: były cieplejsze i posypane delikatniejszą solą. Gorąco pragnęłabym uwierzyć, iż nie ryzykowałam życia z tak błahego powodu, lecz opowieść o niepojętym apetycie na cudzy precel niestety nosiła wszelkie znamiona prawdy.

- Skąd o tym wiesz? - zapytałam.

- Z relacji świadków - przyznała Fleur. - Ten gość, który pływa czółnem w pasiastej koszuli, widział całe zdarzenie.

- Gondolier z Central Parku? - spytałam ze zgrozą.

- Ten sam. Akurat znajdował się w pobliżu. Widział incydent z preclem, a potem twój upadek. Rozmawiał z tobą, kiedy przyjechała karetka. Może sam ukradł ten precel i wcisnął ci do ręki, żeby ubarwić całą historię, ale w gazetach pisali inaczej.

- W gazetach? - Mało nie doznałam szoku. Docierały do mnie coraz bardziej nieprawdopodobne szczegóły.

- Owszem. I to na pierwszej stronie. Jesteś przecież...

- Przestań - szepnęłam. - Nic już nie mów. - Moja głowa potrzebowała czasu, aby uporać się z napływem danych. Biegałam w Central Parku, upadłam, próbując ukraść precel sławnemu reżyserowi, po czym znalazłam się pod opieką gondoliera. Cóż, nietrudno zgadnąć, jakim cudem Marco znalazł się w moim śnie uzbrojony w drewniane wiosło. Wenecja odpłynęła w dal i choć obecność Fleur dodawała mi otuchy, wciąż rozpaczliwie tęskniłam za Tomem. To on był moją opoką.

- Dlaczego Tom nie przyszedł, Fleur? Co się stało?

Fleur zeszywniała.

- Chodzi o to, Connie... - zaczęła nerwowo. - Nie wiem, jak to ująć, ale po prostu nie jesteś już jego żoną.

Domyślałam się tego, ale i tak jej słowa były dla mnie ciosem. Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Przecież by tu był, prawda? Signora Marinello wspomniałaby coś na jego temat. Chyba wiedziałam o tym od początku, jeszcze zanim dowiedziałam się o jego samotnym wyjeździe do Wenecji, czułam, że zniknął z mojego życia. W moim sercu ziała dziura jeszcze większa niż w pamięci. I bardziej pusta, niż mogłam to sobie wyobrazić. Mimo to tęskniłam za nim bardziej niż kiedykolwiek.

- Jesteś zaręczona z kimś innym - podjęła cicho Fleur, potęgując moje męczarnie.

- Z kimś innym? - Przecież to niemożliwe.

- Tak - potwierdziła. - Już byłby twoim mężem, ale rozwód jest jeszcze w toku.

Ogarnęła mnie fala takiej ulgi, że nie zwróciłam uwagi na znaczący ton przyjaciółki.

- Czyli jeszcze nie jest za późno - oznajmiłam stanowczo. - Może jeszcze wszystko da się naprawić. Czuję, że popełniłam wielki błąd, Fleur. Potrzebuję Toma. Myślałam, że tu będzie. Czy możesz go znaleźć? Możesz mu powiedzieć?

Fleur ponownie wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w szpitalnych poduszkach.

- Boże, jakie to trudne, Connie - wydusiła stłumionym głosem. - Tak mi przykro. Ja nigdy... Cholera jasna, psiakrew, tak strasznie mi przykro.

Błędnie odczytałam jej słowa.

- Hej - zawołałam - przecież nic się nie stało. To nie twoja wina. To nie jest niczyja wina. - Ściśle rzecz biorąc, całą winę ponosił Woody Allen, ale

wolałam się nad tym nie rozwodzić. - Cholerna śpiączka, nie?

- No - przytaknęła Fleur. - Jeszcze jak. Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko. - Jej drżący głos zapowiadał kolejny potok łez.

- Czy to prawda, że nie poleciałam do Wenecji? - spytałam. - Że wystawiłam Toma do wiatru?

- Tak, Connie. Nie przyszłaś na lotnisko. Zostawiłaś go, skarbie. Zostawiłaś go samego.

Wersję matki potraktowałam z przymrużeniem oka, lecz Fleur uwierzyłam na słowo. Ona by mnie nie okłamała. Biedny Tom, pomyślałam, widząc przed oczami lśniąca wstęgę kanału Grande. Biedny Tom, porzucony w miejscu, do którego nie miał ochoty jechać, bez żony, która go do tego zmusiła. Zastanawiałam się, czy wykorzystał miejscową gościnność podobnie jak ja uczyniłam to w swoich snach. Snach? Boże, wszystko mi się myli.

- Zupełnie jak z tą sceną pod prysznicem w „Dallas” - zauważyłam. - Budzę się i wychodzi na jaw, że nic się nie wydarzyło.

- Ależ wydarzyło się, Connie. Po prostu o tym nie wiesz. - Mówiliśmy o czymś innym, lecz obie miałyśmy rację.

Fleur odchrząknęła, po czym przemówiła drżącym, przestraszonym głosem obcej osoby. Po jej pewności siebie nie zostało ani śladu.

- Connie, jeśli naprawdę nie pamiętasz nic z ostatnich wydarzeń, pora uzupełnić luki. - Obróciła na palcu ładny, staroświecki pierścionek z rubinem.

- Też jesteś zaręczona?

- Tak - potwierdziła ściszym tonem. - I mam śliczną, jedenastomiesięczną córeczkę.

Teraz ja musiałam się rozplakać. Jak mogłam nie wiedzieć? Jak mogłam się nie domyślić, że kobieta, z którą od studiów dzieliłam wszystkie sekrety, wkroczyła w kolejny, jakże doniosły etap dorosłości? No tak, ale przecież za-

uważyłam różnicę w jej wyglądzie. Wypisz, wymaluj świeżo upieczona mama. Widywałyśmy to w przeszłości (i komentowałyśmy zjadliwie) u innych kobiet. Otaczała ją miękka aura, ów przysłowiowy blask, którego dotąd nie miała.

Blask macierzyństwa. Bardzo było jej z nim do twarzy.

- Jak ma na imię? - zapytałam.

- Agnes - szepnęła.

- Ach, jak ładnie, Fleur. Bardzo mi się podoba. Tak miała na imię babcia Toma.

- Tak - odrzekła z czułością, przeciągając głoski. Poczułam przyływ mdłości.

- Kto jest ojcem? - Coś, pewnie strach, zapulsowało mi w żołądku.

- Kochana - powiedziała Fleur z takim smutkiem, że z góry przewidziałam odpowiedź. - Tom.





## ROZDZIAŁ 9

Oszczędzę wam opisu sceny, która potem nastąpiła. Po pierwsze, pamiętam ją jak przez mgłę, po drugie zaś, moglibyście nabrać przekonania co do słuszności tezy mojej matki.

Dla Fleur musiał to być straszny cios, otrzymała bowiem powtórkę z tego, co usłyszała bezpośrednio po całym zdarzeniu. Spoglądając wstecz, bardziej mi żal jej niż siebie: wyobraźcie sobie, jak informujecie przyjaciółkę, że ukradłyście jej męża, a potem musicie to powtarzać, gdyż ona straciła pamięć? Oczywiście wtedy tak nie myślałam. Byłam pełna niedowierzania, urażona i wściekła. Przez chwilę miałam nawet ochotę dorwać nożyce chirurgiczne i ciachnąć tę kędzierzawą głowę. Jak ona mogła? Jak on mógł? Jak mogli? I do tego jeszcze dziecko! Gdybym miała siłę, zerwałabym się z łóżka i powaliła ją na obie łopatki, a potem zrobiła to samo z Tomem. Naturalnie miałam na sobie szpitalną koszulę związaną na plecach i jednorazowe majtki, dlatego wyprawa do U Seconde nie obyłaby się bez przeszkód. Ale w lepszy dzień nie zawahałabym się podjąć ryzyka.

- Ukradła mi męża - wrzasnęłam, kiedy nadbiegła signora Marinello, zwabiona hałasem. - Toma. Zabrała mi go.

Fleur skuliła się na krześle dla odwiedzających (zdążyła tymczasem umknąć z łóżka), czerwona i zapłakana, z tuszem rozmazanym pod oczami.

- Wcale nie - czknęła, spoglądając błagalnie na signorę Marinello, która taktownie wsadziła nos w swoje karteluszeki. - Sama go oddała.

- Niby dlaczego miałabym to robić? - warknęłam. - Dlaczego? Kocham go, Fleur. Kocham go, odkąd skończyłam cztery lata. - Była w tym odrobina przesady, czułam się jednak w pełni uprawniona, by zapłonąć świętym gniewem.

- Connie - perswadowała Fleur - kiedy zaczęłaś się spotykać z Tyem Wheatleyem, wyrzuciłaś Toma jak zużyta ścierkę.

O mało się nie udławiłam.

- Co takiego?

- Wyrzuciłaś go jak...

- Zaczęłam się spotykać z Tyem Wheatleyem?

- Jesteś z nim zaręczona.

W tamtej chwili poczułam się tak odcięta od prawdziwej „mnie”, że zwątpiłam w sens udanej operacji. Byłam obcą osobą, zaręczoną z gogusiem w lnianym garniturze. Była to najgorsza z zasłyszanych dotąd rewelacji.

Poczułam, jak w moich trzewiach otwiera się bezdenne otchłań, pogłębiająca się z każdym oddechem. Poczułam się wydrażona. Totalnie wydrażona. To było jak głód, potworny, świdrujący głód.

Usiadłam na łóżku. To nie było jak głód. To naprawdę był głód.

Byłam głodna.

To oczywiście, że zamieszanie związane ze śpiączką uspiło mój radar gastronomiczny, lecz z chwilą gdy wyszło na jaw, że mój mąż jest ojcem dziecka mojej najlepszej przyjaciółki, apetyt powrócił ze zdwojoną siłą, zagłuszając rozpacz. Może jednak miałam powód, aby żyć. Takie na przykład risotto z koperkiem i świeżo startym parmezanem.

Albo filet grillowanej dorady z sałatą i czymś cierpkim, dajmy na to z winegretem, sokiem cytrynowym i kolendrą.

- Czy mogę dostać coś do jedzenia? - spytałam, raptownie przenosząc uwagę na signorę Marinello. - Na przykład eskalopki? - Wyobraziłam sobie, jak rozplývają mi się w ustach, polane aksamitnym, maślanym sosem.

Signora Marinello spojrzała na mnie, jakbym była niespełna rozumu (z perspektywy czasu wcale mnie to nie dziwi).

- Myślisz, że gdzie jesteś, Constanzio? - zapytała. - U Ritza? Jajecznicza, proszę bardzo. Eskalopki nie wchodzi w grę. Dobrze, że zgłodniałaś. Mówię ci, teraz już pójdzie z górki.

Ruszyła w kierunku wyjścia, po czym tknięta nagłą myślą przystanęła i wycelowała w nas pulchnym palcem.

- Macie być grzeczne - upomniała surowo. - Pamiętaj, że potrzebujesz spokoju, Constanzio. Spo-ko-ju.

Fleur i ja jak na komendę pociągnęłyśmy nosami i kiwnęłyśmy głowami. Przypomniałam sobie, o czym rozmawiałyśmy, i myśl o jedzeniu odpłynęła w dal. Ty Wheatley. Ty Wheatley i ja.

- Chwileczkę - zawołałam za pielęgniarzką. - Czy był tu ktoś o nazwisku Ty Wheatley?

- Ten tam Anglik w białych gatkach z rozporkiem pod brodą? - Udała, że podciąga pasek spódnicy.

Skinęłam głową.

- Owszem - powiedziała. - Ale nie ucieszyłaś się na jego widok. Ciągle pytałaś o Toma.

Fleur jęknęła, a signora Marinello ulotniła się z ulgą, bo atmosfera w istocie była dość napięta.

- No ładnie - rzuciłam zgryźliwie.

- Może mi powiesz, w jaki sposób poinformować byłą przyjaciółkę, że żyjesz z jej eks-mężem, skoro mówiłaś jej o tym dwa lata wcześniej i też nie obyło się bez awantury?

Każdy głupi (no nie, znowu!) by zauważył, że Fleur ma bardzo nieszczęśliwą minę.

- Rozmawiamy ze sobą? - zapytałam. - Nadal jesteśmy przyjaciółkami?

Potrząsnęła głową, a loki zatańczyły tak wesoło wokół jej głowy, że

trudno było uwierzyć w jej przygnębienie.

- Kiedy zaczęłaś się spotykać z Tyem, zmieniłaś grono znajomych i straciłyśmy kontakt - oznajmiła. - Ale gdy Tom i ja...

Boże, ależ to bolało. Mój Tom. I moja Fleur. Razem? Czym sobie na to zasłużyłam? O ile mi wiadomo, Fleur zawsze w nas wierzyła. Czyż nie podsuwała mi sposobów na ratowanie naszego małżeństwa, kiedy zachwiało się w posadach? Czy nie powiedziała mi w drodze na ślub, że według niej Tom kocha mnie i tylko mnie z całego serca i duszy?

Raz jeszcze obróciłam powoli w myślach ostatnie zdanie. Fleur upierała się, że Tom kocha tylko mnie: uznałam to za słowa otuchy, być może jednak kryły w sobie podwójne dno? A może sugerowała, że stało się coś, co ostatecznie utwierdziło ją w tym przekonaniu?

- Czy Tom i ty... kiedykolwiek? Kiedy byliśmy jeszcze...?

- Jak mogłaś tak pomyśleć, Connie? Nigdy bym ci tego nie zrobiła. Przenigdy. Owszem, Tom bardzo mi się podobał, ale nic by z tego nie wyszło, dopóki nie odeszłaś z Tyem, Connie. Złamałaś Tomowi serce. Pomogłam mu się pozbierać, a potem... sama wiesz.

Poczułam ucisk w żołądku.

- Od jak dawna ze sobą nie rozmawiamy?

- Od blisko dwóch lat, lecz podobnie jak trzy czwarte Manhattanu czytam twoje recenzje, zwłaszcza po incydencie z lokalem, który splajtował, kiedy napisałaś, że wolałabyś jechać do australijskiego buszu i żywić się korzonkami aniżeli gościć tam ponownie.

- Ja tak napisałam?

- Owszem.

- W „The Voice”?

- Nie, Connie, w „The New York Timesie”!

- Słucham?

- Nie, nie przesłyszałaś się.

Popatrzyła na moją zbaraniałą minę i zrozumiała.

- O Boże - powiedziała z rezygnacją. - Nikt ci nie powiedział, że jesteś krytykiem kulinarnym „The New York Timesa”?

Krytykiem kulinarnym „The New York Timesa”? A ku-ku! Od kilku dni wysłuchuję bzdur na temat swego obrzmiałego mózgu i pogmatwanego życia uczuciowego, a nikt nie raczył mnie poinformować, że wspierałam się na wyżyny kariery zawodowej? Każdy krytyk gastronomiczny w Nowym Jorku, jeśli nie w kraju, marzy o tym, aby któregoś dnia naostrzyć ołówek dla „The New York Timesa”. Była to najbardziej prestiżowa posada w kulinarnym świecie. Pomyślałam o krytykach, których felietony łykałam z wypiekami na twarzy: Mimi Sheraton, Bryanie Millerze, Billu Grimesie (za nim akurat nie przepadałam), no i mojej guru Ruth Reichl, której recenzję Le Cirque 2000 mogłam cytować z pamięci.

- Fleur, chybaś mnie nie nabierała, co?

- Connie - odparła, przywołując na twarz uśmiech, który nadał jej dawny wygląd Giocondy - mówię prawdę. Jesteś prawdziwą McCoy. Nosisz peruki, kapelusze i ciemne okulary, a restauratorzy nie śpią przez ciebie po nocach. W połowie nowojorskich lokali wisi na zapleczu twoje zdjęcie z matury.

- Jezu, tylko nie to z trwała! - W latach osiemdziesiątych przechodziłam kryzys wizualny. Nie są to najmiłsze wspomnienia.

Opadłam na poduszkę. Niewiarygodne. Ja? Krytykiem kulinarnym „The New York Timesa”? Najwięksi kucharze z obydwu wybrzeży zaczytywali się w tych felietonach, niejednego kosztowały one utratę majątku, wielu zaś swą fortunę pomnożyło. Jakim cudem ktoś taki jak ja mógłby dostać taką świetną

pracę? Istnieje przecież co najmniej dziesięć tysięcy lepszych specjalistów w tej branży. Nie wiem, jak odnaleźć frontowe drzwi redakcji, co dopiero mówić o zdobyciu tak intratnej posady. Posady, którą rozślawiała Ruth Reichl swoimi ostrymi jak brzytwa felietonami. Ruth Reichl! Nie, ja po prostu nie byłam dość dobra. Balansowałam na granicy przeciętności z miernotą, jak mi kazano. „The New York Times” to nie przelewki, tam zatrudniano mądrych ludzi. Jakim sposobem weszłam tam bez ścierki i szczotki do zamiatania?

Jeśli myślicie, że przesadzam, pewnie nie zdajecie sobie sprawy z wpływu, jaki ta gazeta wywiera na nowojorczyków, a zwłaszcza miłośników dobrej kuchni, czyli praktycznie wszystkich. Jeżeli na pierwszej stronie „Timesa” ukaże się artykuł o otwarciu nowej restauracji, nigdy nie będzie ona świeciła pustkami. Nigdy. Jeżeli zaś ta gazeta postawi na kimś krzyżyk, jego telefon zamilknie na wieki. Pamiętajcie, w Nowym Jorku ludzie jedzą na mieście trzy, cztery, czasami pięć razy w tygodniu (w połowie mieszkań brakuje stołu) i wierzcie mi, nowojorczyk za wszelką cenę pragnie ubiec sąsiada w wyścigu do najdelikatniejszych pierożków, najbardziej soczystych skorupiaków oraz najpulchniejszej langusty z Luizjany. Środowy felieton kulinarny pożerany jest przez miliony oczu i omawiany przez rzesze wiernych czytelników. To naprawdę coś. To więcej niż coś.

- Przecież jestem nikim - zaproponowałam.

Kręciło mi się w głowie.

- Byłaś nikim - sprecyzowała. - Dopóki nie zajął się tobą Ty Wheatley.

- Jak tego dokonał?

- Zabrał cię do Francji, kazał obciąć włosy, nauczył co nieco o winie i załatwił pracę. On i twoja nowa przyjaciółka Paris. - Wymówiła to imię z nutą pogardy w głosie.

- Znasz ją?

- Każdy ją zna, dzięki tobie. Dawniej była szarą myszką od public relations. A potem Ty zatrudnił ją, żeby zrobiła z ciebie gwiazdę.

- Ale czy jestem dobra?

- Connie, jesteś na ustach wszystkich nowojorczyków. W ciągu dwóch lat doprowadziłaś do zamknięcia wielu lokali, a kilka osób uczyniłaś milionerami. „New York Magazine” opublikował o tobie artykuł, zamieszczając na okładce zdjęcie, na którym nie masz na sobie nic prócz kilku owocowych kompozycji w strategicznych miejscach. Tabun wielbicieli przyklaskuje każdemu twojemu słowu i dostajesz stosy listów z wyrazami uznania. Przez pewien czas byłaś nawet prześladowana przez kelnera, który stracił pracę po tym, jak napisałaś, że zalatuje desperacją i nieświeżą bielizną.

- Nie napisałam! - Zaraz, zaraz. Przecież nigdy nie napisałabym nic takiego o kelnerze. Uwielbiam kelnerów, sama byłam kelnerką. I pewnie zalatywało ode mnie desperacją i nieświeżą bielizną.

- Przykro mi, skarbie - odrzekła Fleur. - Napisałaś. Zmieniłaś się, Connie. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale było zupełnie tak, jakbyś znudziła się dawną sobą i postanowiła zostać jedną z tych bezkompromisowych karierowiczek, które zawsze wyśmiewaliśmy. I naprawdę byłaś w tym dobra. Lecz podobnie jak one wszystkie, zachowywałaś się jak ostatnia zołza.

- Mówisz tak, bo jestem wściekła, że zabrałaś mi męża.

- Nie zabrałam ci męża, Connie. Oddałaś go dobrowolnie.

- Ale - zająknęłam się - ale, ale, ale...

Po cholere być szczupłą, jasnowłosą felietonistką „The New York Timesa”, skoro zamiast męża ma się obleśnego narzeczonego, a do tego szwy na głowie i opinię zołzy?

Na szczęście Fleur i ja zdołałyśmy jakoś nawiązać nić porozumienia. Zaznaczyła, że dość już ją nadrczyłam telefonami, e-mailami oraz obraźli-



wymi tête-à-tête, jeśli więc mam ochotę na powtórkę z rozrywki, najlepiej od razu powróćmy do cichej nienawiści. Brzmiało nieźle, jednakże myśl o utracie przyjaciółki w sytuacji, kiedy tak bardzo jej potrzebowałam, wydawała się nie do zniesienia. W obliczu braku Toma Fleur była moim najważniejszym łącznikiem z przeszłością. Zresztą po pierwszym wybuchu złość wyparowała ze mnie bez śladu. Od początku nie sięgała zbyt głęboko, dzięki czemu zdobyłam się na dość sensowną propozycję.

- A może po prostu byśmy się pogodziły? - zasugerowałam. - Wierzę ci na słowo, że najgorsze chwile mamy już za sobą i możemy zamknąć ten rozdział.

- Naprawdę? - Fleur spojrzała na mnie rozpromieniona znad smug rozmazanego tuszu. - Mówisz serio?

- Pewnie - odpowiedziałam. - Czemu nie?

Zerwała się z krzesła i z powrotem wskoczyła na łóżko.

- Boże, nie uwierzysz, jak bardzo za tobą tęskniłam, Connie.

- Ja również w wiele rzeczy nie byłabym skłonna uwierzyć - odrzekłam - gdyby nie powtarzano mi, że to prawda. - „The New York Times”? Rany Julek.

Signora Marinello wróciła do sali, niosąc na tacy smętną kanapkę, mączyste jabłko oraz szklankę niezidentyfikowanego soku. Zapewne nie był to posiłek godny podniebienia najważniejszego krytyka kulinarnego na świecie, ale byłam głodna jak wilk. Fleur usiadła znów na krześle, a ja mogłam przystąpić do degustacji.

- Dobrze, że się pogodziłyście - zauważyła signora Marinello. - Constanzia potrzebuje prawdziwych przyjaciół.

Minęły tygodnie, odkąd miałam coś w ustach (cóż za niewyobrażalna myśl); w idealnym świecie pierwszy posiłek po takim poście byłby zapewne

bardziej wyszukany. W idealnym świecie - zerknęłam na zegar, właśnie minęła szósta - w ramach uwertury zjadłabym garść świeżo prażonych słonych orzeszków pistacjowych, a zaraz potem coś miękkiego i aromatycznego na przystawkę. Tom często przyrządzał mi latem prostą sałatkę z pomidorów, awokado i mozzarelli. Nic szczególnego, lecz gdy dojrzewały pomidory z Jersey, trudno o lepszy sposób ich podania. Kupował świeży ser u Murraya, a supersoczystą bazylię dostarczał mu farmer z Union Square. Odrobina oliwy z oliwek na ułożone z wierzchu awokado, a do tego chrupiąca *ciabatta*. W połączeniu z cierpkimi pomidorami i solą morską subtelny smak łagodnego sera i awokado przyjemnie zaostrzał apetyt. W idealnym świecie, marzyłam dalej, serce wyrywałoby mi się do słodkiej, różanej jagnięciny... no, ale było lato i problem jagnięciny odpadał. A może grillowany filec okonia chilijskiego? Wiedział, że biedaki są już na wymarcu, ale po jaki gwint Bóg podarował im tak smaczne mięso? Podałabym go na risotto ze skórką cytrynową, świeżo łuskanym groszkiem, smażonymi kaparami, najdelikatniejszymi homarami oraz prostą sałatką z rucolą z dodatkiem octu balsamicznego. Na deser... po takiej przerwie nie odmówiłabym sobie czekolady, i to w dużej ilości. Na przykład suflet albo mus. A na końcu espresso, tak mocne, że wywołałoby grymas na twarzach większości Włochów. Rozmarzyłam się na samą myśl. Wypiłabym... co bym wypić? Kruga. Bez dwóch zdań. I to całe wiadro.

- To chyba indyk - rzuciła z powątpiewaniem signora Marinello. - Nie zgodzili się na jajecznicę.

Obie z Fleur patrzyły, jak otwieram kanapkę w poszukiwaniu musztardy, której oczywiście nie znalazłam: zawartość nosiła jednolity szaro-bury odcień. Mimo to posypałam indyka solą oraz pieprzem i z wahaniem wbiłam zęby w kanapkę. Chleb przypominał świeżością krojone, białe pieczywo tydzień po zdjęciu z taśmy produkcyjnej. Jego spożycie dostarczyło mi przygnębiających

doznań. Obróciłam w ustach pierwszy kęs, mieląc go zębami, aby nadawał się do przełknięcia. Był bez smaku - nic dziwnego, nie wiem, czego się spodziewałam - w związku z czym odłożyłam nadgryzioną kanapkę i popiłam ją bezpłciowym sokiem, po czym wyczerpana ległam na łóżku.

- Na mnie już czas - oznajmiła Fleur.

Odpowiedziałam jej uśmiechem, czując, jak nadciąga zbawczy sen.

- A Tom? - Musiałam zadać to pytanie. - Wiem, że to dziwne, Fleur, ale naprawdę muszę z nim porozmawiać. Muszę ogarnąć myślami etap sprzed precla. Nie masz nic przeciwko temu? Poprosisz, żeby mnie odwiedził?

- Naturalnie - odrzekła. - Jak sobie życzysz. - Ale wychodząc z pokoju, miała bardzo nieszczęśliwą minę.

Ashlee, głupiutka stewardesa z samolotu do Włoch, następnego ranka zabrała mnie na fizjoterapię. Prawdę mówiąc, przywykłam do tego, że iluzoryczne strzępy mojej podświadomości ujawniały się w prawdziwym życiu. Przysadzisty, łysiejący kelner z Trattoria Alla Madonna okazał się gburowatym sanitariuszem imieniem George, który bezwstydnie flirtował z signorą Marinello, posługując się monosylabami oraz serią imponujących grymasów. Handlarka grzybów w esy-floresy z targu Rialto pracowała w szpitalnej kuchni i krążyła od sali do sali z wózkiem wypełnionym tacami. Widziałam też jednego z tych niemiłych staruszków z wózkami. Regularnie odwiedzał córkę, moją rówieśnicę, która dostała wylewu i miała przed sobą długi pobyt w szpitalu.

Dręczona głodem spróbowałam serwowanej na śniadanie owsianki, lecz ku widocznej niechęci pielęgniarki po kilku łyżkach dałam sobie spokój. Owsianka była szara, grudkowata i oddalona o lata świetlne od kremowej ambrozji, nakładanej ze srebrnej wazy w Gritti Palace. No i nie podawano jej z rogalikami, jak lubiałam.

Tak czy inaczej, kiedy Ashlee wparowała do sali, przedstawiając się jako

moja fizjoterapeutka, bynajmniej nie okazałam zdziwienia, odnotowując mimochodem spory pierścionek zaręczynowy na serdecznym palcu. Zabrała mnie do sali gimnastycznej, gdzie ku mojemu przerażeniu sięgnęła po wielką gumową piłkę.

- To nie jest dobry pomysł - uprzedziłam lojalnie. - Nie wiesz, czym to grozi.

- Odpręż się, Connie, mamy dużo czasu - odpowiedziała kategorycznym tonem stewardesy, która każe pasażerom zapiąć pasy. - Tutaj jest bezpiecznie. Nic ci nie grozi, muszę jednak dokonać oceny twojej sprawności fizycznej celem zaplanowania dalszej rehabilitacji. Dobrze? Zrobisz to dla mnie?

Sęk w tym, że Ashlee nie wiedziała o mojej sprawności fizycznej czegoś bardzo istotnego. A mianowicie tego, że w ogóle jej nie miałam. W latach szkolnych moją zmorą był zbyt wysoki wzrost w połączeniu z brakiem koordynacji ruchów. Zawsze wybierano mnie do drużyny ostatnią, potykałam się nawet w drodze na trybunę. Na moim biodrze wiecznie widniał siniak od obijania się o klamki i meble, a na kolanach wciąż mam blizny po upadkach na prostej nawierzchni. Zresztą co tu dużo gadać, obecny pobyt w szpitalu mówił sam za siebie.

Kiedy więc Ashlee zaczęła we mnie rzucać tą wielką, czerwoną piłką, z przerażenia całe życie przeleciało mi przed oczami. Przypominało to scenę z „Lotu nad kukułczym gniazdem”: jeśli chcieli ocenić postępy w kuracji na podstawie mojej zręczności, byłam w biedzie. Oczywiście ani razu nie udało mi się złapać piłki. Gdy tylko leciała w moją stronę, odruchowo zamykałam oczy.

- Zawsze taka byłam - powiedziałam, uganiając się za durną piłką i odrzucając ją do Ashlee. Nie umiałam jej porządnie chwycić, nawet gdy leżała na ziemi. - To nie ma nic wspólnego z preclem.

Zapisała coś w karcie. W duchu prosiłam Boga, żeby nie zrobić z siebie większej ofiermy, niż byłam.

- Spójrz! - zawołałam z entuzjazmem, usiłując zrobić pajaca, co kiedyś nawet mi wychodziło, jeśli tylko wpadłam w rytm. Niestety, tym razem miałam pecha. Lewa strona ciała funkcjonowała niezależnie od prawej, w wyniku czego zaprezentowałam serię niepodobnych do niczego wygibasów. Ashlee spojrzała bez przekonania, po czym gestem „wyjście awaryjne znajduje się po tej stronie” nakazała mi udać się do przeciwległej części sali, gdzie ku swemu przerażeniu ujrzałam bieżnię.

Być może obudziłam się ze śpiączki z ciałem lekkoatletki i rzekomym upodobaniem do joggingu, jednakże odkąd sięgałam pamięcią, biegi napawały mnie przemożnym wstretem. Wolałam uniknąć ich również teraz, zwłaszcza na maszynie treningowej i w ramach testu.

- Postaw nogi po bokach, zaczniemy od najwolniejszego tempa - oznajmiła Ashlee, prowadząc mnie do głupiego urządzenia i wciskając guzik palcem uzbrojonym w długi, polakierowany paznokieć. Kamień w pierścionku zaręczynowym błysnął fluorescencyjnie niczym rekwizyt ze „Star Treka”.

- Kiedy będziesz gotowa, po prostu wejdź na pas i ruszaj.

W mgnieniu oka znalazłam się na filcowym chodniku za bieżnią. Wydzielał niezbyt zachęcającą woń. Nie byłam pierwszą osobą, która nań spadała, lecz nie wszystkie ofiary mogły się poszczycić równie dobrą kontrolą pęcherza co ja. Moim zdaniem nie zasługiwało to na miano rehabilitacji.

Ashlee znów naskrobała coś na karcie i pomogła mi wstać.

- Zawsze taka byłam - powtórzyłam. - Lepiej to zapisz, bo jeszcze ktoś nabierze błędnego mniemania co do moich postępów.

Uśmiechnęła się z pełnym wyższości pobłażaniem (tak jakbym wręczyła jej przeciekającą torebkę z wymiocinami), a ja klapnęłam na wózek. Mogłam

wrócić do sali o własnych siłach, lecz upokorzenie odebrało mi wolę walki.

- Jak było, Constanzio? - spytała signora Marinello.

- Trudno powiedzieć - odrzekłam.

- Connie ma kłopoty z równowagą i koordynacją ruchów - oznajmiła Ashlee. - Musimy powiedzieć doktorowi Scarpie. Prosił, żeby go na bieżąco informować.

Czyli jednak Marco się mną interesował. Jak łatwo sobie wyobrazić, wydatnie poprawiło mi to humor, chociaż Ashlee wymówiła jego nazwisko z nabożnym uwielbieniem, pomimo pierścionka zaręczynowego. Wzbudziło to moje podejrzenia i gdy fizjoterapeutka opuściła salę, poprosiłam signorę Marinello, aby pomogła mi je rozwiązać.

- Marco nie jest zaręczony, prawda? - Cóż, wszyscy byli zaręczeni, łącznie ze mną, więc może Ashlee nie bez kozery zrobiła cielecą minę. Była śliczna, na pewno mu się podobała.

- Zaręczony? Doktor Scarpa? - Signora Marinello uznała to za świetny żart. - Moim zdaniem za dobrze się bawi jako kawaler.

Jej słowa sprawiły mi niewypowiedzianą ulgę. W kwestii Marca nadal miałam problemy z oddzieleniem rzeczywistości od fantazji. Myśl o jego dotyku i miętowym oddechu na moim karku kłóciła się ze statusem zwykłej pacjentki. Zadrżałam na wspomnienie ekscytującego zbliżenia w gondoli. Kiedy jednak rozmarzona przeniosłam wzrok na okno, moje oczy natrafiły na rzekomego narzeczonego, Tya Wheatleya we własnej osobie. Ponownie zadrżałam. Ale był to zupełnie inny dreszcz.

## ROZDZIAŁ 10

- MC, najdroższa - powiedział z tym swoim akcentem księcia Karola. - Nareszcie. - Trzymał okazały bukiet lilii, których nie cierpię. - Dla ciebie - dodał, podając mi je pseudowytwornym gestem. - Twoje ulubione.

Ludzie, trzymajcie mnie.

- Zostawiam was samych - rzuciła pospiesznie signora Marinello, ruszając w stronę drzwi. Nie potrzebowałam już całodobowej opieki i teraz musiałam ją dzielić z trzema innymi pacjentami.

- Nie, proszę nie odchodzić! - Ani myślałam zostać sama z Tyem. - Mogę potrzebować... - Nie miałam zielonego pojęcia, czego mogłabym potrzebować. Nowej tożsamości? Karabinu maszynowego?

- Tak? - Signora Marinello nie kwapiła się z odsieczą. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że wręcz usiłowała się wymigać. - Czego będziesz potrzebować, Constanzio?

- Chciałem przynieść szampana - wtrącił Ty. - Ale nie byłem pewien, czy można. Wyglądasz dziś dużo lepiej, najdroższa. Jesteś coraz bardziej podobna do siebie.

Wręcz przeciwnie.

- Zostawiam was samych - powtórzyła signora Marinello i tym razem dotrzymała słowa.

- Mam dla ciebie jeszcze coś - oświadczył Ty, wyjmując z kieszeni elegancko zapakowane, błękitne pudełeczko.

Tiffany. Dacie wiarę?

- Najdroższa - powiedział, podając mi prezent - mam nadzieję, że ci się spodoba.

Przepraszam, co zrobilibyście na moim miejscu? Tiffany! Wytrzeszczy-



łam na Tya oczy, następnie utkwiałam wzrok w pudełku i niecierpliwie zdarłam białą, satynową wstążeczkę. Na widok zawartości wyrwało mi się głośne westchnienie. Ujrzałam bransoletkę; nie żebym przepadała za bransoletkami, ale ta była doprawdy oszałamiająca. Splot złotych krzyżyków, wysadzanych małymi diamentami. Wyglądała jak najcudowniejszy wianuszek stokrotek. Osoby mojego pokroju nie otrzymywały takich prezentów.

- Pasuje do kolczyków, które dałem ci na urodziny - powiedział Ty.

Dobra, osoby mojego pokroju były w błędzie.

- Prześliczna - wymamrotałam.

Poczytując to za zachętę, wsunął mi bransoletkę na nadgarstek, gdzie (muszę przyznać) wyglądała bajecznie. Mimo to dziwnie było przyjmować taki podarunek od mężczyzny, o którym pamiętałam tylko tyle, że kiedyś wymieniliśmy parę lakonicznych uwag przy bufecie. A teraz mieliśmy wziąć ślub! Uznałam, że powinnam poruszyć ten temat; czułam, iż w owej materii należy postępować delikatnie, choć nie bardzo wiedziałam, na czym miałyby to polegać.

- Podobno mamy się pobrać - zagaіłam, bardziej w stylu Katherine Hepburn, niż miałam zamiar.

Ty z lekkim zdenerwowaniem poluzował kołnierzyk.

- Kiedy już się uporasz z rozwodem - odpowiedział - czyli najprawdopodobniej niedługo, najdroższa. Rozmawiałem z Thomasem Kellerem i wstępnie umówiliśmy się na wiosnę. Musiałem się nieźle napocić, ale jestem pewien, że stanie na wysokości zadania, a lokal jest wspaniały.

- Thomas Keller? - Nie mogłam w to uwierzyć. - Ten od French Laundry? - Yountville, jego restauracja w Kalifornii, słynęła na cały świat. Marzyłam, aby tam pojechać, ale wesele? Trudno się dziwić, byłam przecież mężatką.

- Oczywiście, najdroższa - odrzekł Ty. - Ale teraz jest w Nowym Jorku, w Time Warner Center. Byłabyś zachwycona. Cztery gwiazdki, najdroższa. Jest boski, wierz mi.

Wychodziłam za mężczyznę, który używał epitetu „boski”? Wiosną? Brakowało mi słów. Gorączkowo usiłowałam powiedzieć coś, co nie będzie wyrazem niedowierzania wobec faktu, że mam zostać żoną bogatego, łysiejącego biznesmena, którego po prawdzie uważałam dotąd za geja. Nawet jeśli miał świetny gust i kasę, aby zatrudnić na wesele jednego z najznamienitszych kucharzy Ameryki.

- O, czemu nic nie mówisz - zawołał podekscytowany, przerywając krępującą ciszę. - Widzę, że Paris przyniosła ci książkę! Pewnie jesteś w siódmym niebie, najdroższa. I co myślisz?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, on jednak sięgnął po torbę od Kate Spade, pozostawioną przez Paris po ostatniej wizycie. Otworzywszy ją, wyjął przeznaczony do korekty egzemplarz książki, czerwieniejąc przy tym w nader mało atrakcyjny sposób.

Na okładce widniało zdjęcie seksownej kobiety w dopasowanym kostiumie z minispódniczką, z twarzą ukrytą pod wielkim białym kapeluszem i smukłymi nogami w szpilekach, skrzyżowanymi skromnie pod stołem. W tytule było coś o gwiazdkach, niżej zaś widniał napis drobniejszym drukiem. Zmrużyłam oczy i wyteżyłam wzrok. Nazwisko autorki, wydrukowane wielkimi czerwonymi literami, brzmiało MC Conlan. MC Conlan? Matko święta, przecież to ja.

- Daj - wychrypiałam, wyciągając ręce i błyskając diamentami bransoletki, niezdolna dobrać właściwych słów. - Daj, daj, daj.

Biorąc moje przerażenie za przejaw zachwyty, Ty pospiesznie wręczył mi książkę.

- Jeffrey Steingarten uważa, że to będzie hit - oznajmił z zadowoleniem. - Musimy go zaprosić na drinka, jak już dojdiesz do siebie. Obiecał zamieścić recenzję w „Vogue'u”, mamy też chyba szansę na rubrykę „Typ Miesiąca” w „Vanity Fair”. Trzymam kciuki za listę bestsellerów „Timesa”, MC. Wszyscy uważają cię za czarnego konia sezonu.

„W pogoni za gwiazdkami”, brzmiał tytuł, niżej zaś dopisano: „W poszukiwaniu straconego smaku, czyli podróż szlakiem nowojorskich restauracji”. Zabrakło mi tchu. Czyżby przyszło mi do głowy napisać kulinarny pamiętnik? Na coś takiego zdobyłaby się jedynie Ruth Reichl. Tylko ona miałaby tutaj coś sensownego do powiedzenia i uczyniłaby to bez zadęcia. Na pewno nie ja. Kto jak kto, ale ja nie miałam nic do powiedzenia. Nie mieściło mi się w głowie, że mogłam napisać książkę. Jednakże po bliższych oględzinach rozpoznałam się w elegantce na okładce. Wyglądała na tak wytworną, pewną siebie i swoich walorów, dorosłą i zadowoloną. Innymi słowy, tak dalece mnie nie przypominała, że raz po raz kierowałam wzrok na jej prawą dłoń (celującą nożem w porcję żeberek), na której widniał charakterystyczny pieprzyk. Co więcej, z informacji na okładce wynikało, iż dama ta mieszka na Upper East Side ze swym narzeczonym wydawcą oraz dwoma kotami. Kotami? No proszę, a ja myślałam, że prędzej zjadłabym kota, aniżeli hodowała go pod swoim dachem. Zaraz, zaraz, czy aby nie Cytowano nawet tej wypowiedzi w „Village” (tudzież jej części)?

- Ja nie... - zaczęłam. - Nie mogę. To zbyt...

- Fantastyczne, wiem - uzupełnił Ty, choć gdyby wiedział, co miałam na końcu języka, bynajmniej nie przyznałby mi racji. - Jak tylko staniesz na nogi, spotkamy się z Paris i na nowo zaplanujemy twoje tournée. Wiem, że źle się stało, MC, ale przy odrobinie wysiłku nadrobimy zaległości, na pewno. Poza tym to, że wyszłaś cała z tej... hm, jak by to powiedzieć... tragedii, zwiększyło

zainteresowanie twoją osobą. Obecność w mediach mamy jak w banku.

Paris zaciera ręce.

Na przemian otwierałam i zamykałam usta, niczym jeden z niedobitków okoni chilijskich:

- Tak? Naprawdę? - Czułam, że jestem o krok od jakiejś sensownej uwagi. Gdybym tylko umiała się wysławić, bylibyśmy w domu. - Zrobiłam coś złego? - wydusiłam wreszcie. Nie mogłam uwierzyć, że taka grzeczna dziewczynka jak ja obudziła się w samym środku koszmaru. - Musiałam zrobić coś okropnego.

- Nie, nie, nie - uspokajał mnie Ty. - To był wypadek, aczkolwiek istotnie zdarzył się nie w porę. Poniekąd czuję się odpowiedzialny - przyznał, po czym dorzucił (uwaga, panie i panowie): - no bo przecież wszystko przez tego Atkinsa.

O tak. Dobrze widzicie. Atkinsa. A konkretnie jego niskowęglowodanową i wysokobiałkową dietę, której zawsze byłam zdeklarowaną przeciwniczką. Przekleństwo węglowodanów złożonych, wróg wszystkich miłośników dobrej kuchni. Strata czasu przeznaczonego na posiłek. Tymczasem przyczyną, dla której zaatakowałam Woody'ego Allena, była właśnie dieta Atkinsa: to dzięki niej miałam się wcisnąć w wybraną przez Tya suknię ślubną od Very Wang. Po kilku miesiącach bez węglowodanów coś nieoczekiwane we mnie pękło i kazało wyciągnąć rękę po zakazany owoc. Gdyby to nie było takie smutne, nawet bym się uśmieła. Ale było smutne. Tak smutne, że zaczęłam płakać i za nic nie mogłam przestać, mimo troskliwych zabiegów przyszłego małżonka, który jął poklepywać mnie po ramieniu niczym cennego kota birmańskiego.

- Proszę - załkałam - mam zły dzień. Powinieneś już iść. Ty przyjął moje słowa z wyraźną ulgą. Cofnął się i wyglądził zmiętą, lnianą marynarkę.

- Przyjdę jutro, najdroższa - obiecał. - Spróbuj trochę odpocząć. Jem dzisiaj kolację z Erikiem w Le Bernardin. Pytał o ciebie. A Mario Batali przysłał nam do domu prześliczny bukiet. Wstawiłem go do żardiniery, którą dostaliśmy od Jeana-George'a w prezencie zaręczynowym. Byłaś nieprzytomna, najdroższa, stwierdziłem, że nie ma sensu go przynosić. Aha, jutro mam spotkanie z twoim wydawcą z „Timesa”. Dopytuje się, co słyhać. Będzie lepiej, jeśli sam się tym zajmę. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? No, muszę lecieć. Trzymaj się i do zobaczenia jutro.

Ten człowiek był tak na wskroś zdumiewający, że na samą myśl rozboleł mnie brzuch. I to jego epatowanie koneksjami! Tom i ja zawsze wyśmiewaliśmy się z takich ludzi. „Emeril to, Alain tamto, a Jeremiaś bla, bla, bla”. Przecież jak ktoś się tak popisuje znajomościami, od razu wiadomo, że ci ludzie nie są wcale jego przyjaciółmi. Przypomniałam sobie, że Ty zawsze brylowałeś na peryferiach socjety. Nie przyjmował do wiadomości, że nigdy nie stanie się jej członkiem: niektórzy ludzie, w tym ja, nie mieli co liczyć na wstęp do wielkiego świata. Lecz bogacze tacy jak on mogli przynajmniej wsadzić but w drzwi, nawet jeśli te nigdy nie stały przed nimi otworem.

Po wizycie Tya czułam się bardzo znużona i rozedrgana, ale signora Marinello zapewniła, że w moim stanie to zupełnie normalne. Stwierdziła, że niektórzy pacjenci sięgają wówczas po środki antydepresyjne, i w razie potrzeby też nie powinnam się wahać, aby o nie poprosić.

- A pomogą mi odzyskać męża? - zapytałam.

- Ładna bransoletka - odrzekła wymijająco, zerkając na mój nadgarstek. - Prezent od Pana Białe Portki? Ma gust, Constanzio. Szczęściara z ciebie.

Akurat. Ponownie spojrzałam na bransoletkę, lecz diamentyki nie migotały już tak kusząco. Zsunęłam ją z nadgarstka i schowałam pod poduszkę, a potem obróciłam się na drugi bok i zamknęłam oczy.

- Hej tam. - Cichy głos wyrwał mnie pod wieczór z głębokiego letargu bez snów.

Jak zawsze po przebudzeniu przed oczami zatańczył mi korowód precli i dopiero po chwili przypomniałam sobie, gdzie jestem i dlaczego. Tom, mój rzekomo były małżonek, stał na progu z tym samym niepewnym wyrazem twarzy co Fleur poprzedniego dnia. W ręku trzymał wiecheć czerwonych gladioli, moich naprawdę ulubionych kwiatów. Tom mnie znał. On naprawdę mnie znał.

- Boże, Connie - powiedział, a jego znajomy głos przyprawił mnie o gęsią skórkę. - Czy musisz być taka cholernie piękna?

I cóż byście na to powiedzieli? Tom zawsze mówił dokładnie to, co czuł: słyszał ze swej bezpośredniości, nie przebierał w słowach, i choć czasem bywało to denerwujące lub co gorsza krępujące, człowiek nigdy nie miał wątpliwości co do jego prawdziwych intencji. Dlatego wiedziałam, że naprawdę uważał i uważa mnie za piękną. Dlaczego więc do licha, pomyślałam, siadając na łóżku, nie sypia ze mną, tylko z moją najlepszą przyjaciółką?

- Tak sądzisz? - zapytałam, po czym odrzuciłam kołdrę. - To jeszcze nie wszystko. Wyobraź sobie, że noszę rozmiar sześć. - Nie powiem, że to fair obnażać się przed mężczyzną związanym z przyjaciółką, ale co tam. Chciałam mu tylko pokazać, że przebudziłam się ze szczupłą figurą. Poza tym coś mi podpowiadało, że jego związek niekoniecznie musi być szczęśliwy. Fleur nie wspomniała na ten temat ani słowa. Tom też nie. Oczywiście dopiero tu wszedł, ale na pewno nie wyglądał na szczęśliwego. Wyglądał... jak Tom. Mój Tom. Wierny przyjaciel z dzieciństwa i mąż od lat... nie pamiętam dokładnie, kilku. Wcale nie wyglądał na ojca dziecka Fleur.

Widok mojego wyszczuplonego ciała zbił go z tropu, a zarazem nieco ośmielił. Rozpogodzony podszedł bliżej i nie przerywając oględzin, cmoknął

mnie w czoło. Nic dziwnego, że nie mógł oderwać wzroku. Sama nie mogłam. Moje uda były przecież tak szczupłe, że nawet się nie stykały. Uwierzyć? Zupełnie jak u Elle Macpherson.

Przypomniałam sobie chwilę, kiedy obiecywałam Bogu, że jeśli ofiaruję mi szczupłe ciało, zacznę chodzić do kościoła / zrezygnuję z czekolady / zapiszę się na siłownię, ale nie liczyłam, że moje życzenie kiedykolwiek się spełni. Nie zaczęłam chodzić do kościoła ani nie zrezygnowałam z czekolady, a przynajmniej sobie tego nie przypominam, czyli wiele mnie to nie kosztowało.

- Ziemia do Connie - powiedział Tom. - Halo. Jest tam kto?

Podciągnęłam wysoko kołdrę. Później się sobie poprzyglądałam, postanowiłam w duchu, ponownie kierując uwagę na Toma. Siedział na krześle wyprostowany jak struna, z bladą i przestraszoną twarzą, kwiaty rozsypały mu się na kolanach.

- Jezu, przepraszam - wymamrotał. - Nie miałem na myśli nic złego.

„Jest tam kto?” to nie jest raczej najszcześniejsze pytanie skierowane do osoby, która niedawno obudziła się ze śpiączki, Tom był jednak tak zdruzgotany, że postanowiłam nie drażnić tematu. Zanim zaczniemy się kłócić, muszę ustalić, dlaczego się rozstaliśmy.

- Ale się wpackowałam, co? - powiedziałam sztucznie beztroskim tonem. Może miałam skurczony żołądek, ale starczyło w nim miejsca na motylki.

- Fleur mówi, że straciłaś pamięć - odrzekł Tom z troską. - Nie pamiętasz, co się działo w ciągu ostatnich paru lat.

- Owszem - przyznałam, ignorując dreszcz, jaki mnie przejął na dźwięk imienia przyjaciółki. - Tam, skąd przybywam, nadal produkuję recenzje dla „Voice'a” i jestem szczęśliwą mężatką.

Ze smutkiem popatrzyliśmy sobie w oczy.

- Tom, wiem, że to...



- Connie, musisz...

Prawie wychodziłam ze skóry z zakłopotania. Niezręczne sytuacje stanowiły ostatnio moją codzienność, jednakże dotąd nie miałam do czynienia z Tomem. Gdy znamy kogoś od przedszkola, nie ma miejsca na niezręczność. Na miłość boską, od ponad trzydziestu lat nieraz asystowałam mu w toalecie.

- Ty pierwszy - zachęciłam z wymuszoną serdecznością, usiłując przełamać lody. - Mów. Ty jesteś w pełni władz umysłowych.

Tom potrząsnął głową.

- To wszystko jest takie, sam nie wiem... dziwne, Connie. Próbuję postawić się w twojej sytuacji, ale nie mogę sobie wyobrazić, przez co przechodzisz. Boże, czy to na twojej głowie bardzo boli?

- Masz na myśli moje włosy?

- Nie, mała, bliznę.

Na dźwięk tego „mała” poczułam gulę w gardle. Już zapomniałam, jaki Tom ma zmysłowy głos. Kiedy ostatnio mnie tak nazwał?

- Nie, nie boli. - Coś we mnie pragnęło wyskoczyć z łóżka i rzucić mu się w ramiona, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa runęłabym jak długa i zapadła w kolejną śpiączkę, która zaowocowałaby kolekcją nowych, poszatkowanych wspomnień. Porzuciwszy myśl o łzawym pojednaniu i dyplomatycznej gadce-szmatce, od razu przeszłam do sedna sprawy. - Co się z nami stało, Tom? Nic z tego nie rozumiem.

- Jezu, Connie. - W tym momencie wyglądał na starszego niż trzydzieści sześć (!) lat. Siateczka zmarszczek otaczała oczy, w których malowało się znużenie, spowodowane niedosypianiem za sprawą niemowlęcia albo świadomością, że żona nie pamięta, jak go porzuciła, w każdym razie miał zgryzotę wypisaną na twarzy.

W jego obecności krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach. Może nie

tak, jak na widok pewnego neurochirurga *vel* gondoliera, ale zawsze. Powiedzmy, że wcale nie czułam, że stoimy o krok od rozwodu. O nie.

Czytał we mnie tak jak ja w nim, omiatając spojrzeniem moją twarz. Czyżby myślał, że wyglądam na więcej niż trzydzieści sześć lat? Czy podobało mu się moje nowe ciało, moje włosy? Czy też nadal uważał mnie za atrakcyjną, podobnie jak ja jego? Czy zdawałam sobie sprawę, jakim szczęściem było życie u jego boku? Jak doszło do tego, że spoglądaliśmy na siebie w szpitalnej sali, zadając sobie w myślach setki pytań.

- Co się stało? - powtórzyłam. - Powiedz mi, Tom. Wiem, że to musi być dla ciebie szalenie trudne, naprawdę, ale ja błędzę w ciemnościach. Zupełnie jakbym ocknęła się w ciele obcej kobiety, która nie budzi mojej sympatii. Mimo to chcę wiedzieć, co się wydarzyło, a ty możesz mnie oświecić, a więc zrób to, bardzo cię proszę.

Zawahał się, ale wiedziałam, że spełni moją prośbę. Byliśmy starymi przyjaciółmi, bez względu na okoliczności.

- Ty Wheatley - rzucił głuchym tonem. - Oto co się stało.

Ba, tyle to i ja wiedziałam.

- Ale jakim cudem? - zapytałam. - Prawie nie znam faceta, a raptem jestem z nim zaręczona? To bez sensu. To nie w moim stylu, Tom. Poza tym znasz moje zdanie na temat wygniecionego lnu. Jezu, kogo stać na pralnię chemiczną? Jak to możliwe, że ktoś taki jak Ty Wheatley stanął nam na drodze?

- Mnie o to nie pytaj - odparł z widoczną irytacją Tom. - Sama powinnaś to wiedzieć. Nie byłem naocznym świadkiem rozwoju wydarzeń.

- Cóż, ja również nie mam informacji z pierwszej ręki - odpaliłam, czując, jak i we mnie budzi się złość. - Równie dobrze mnie też mogło tam nie być. - Przywołałam się do porządku: Tom nadal był najlepszym źródłem in-

formacji i nie mogłam go spłoszyć. - Daj spokój - poprosiłam. - Pomóż mi.

Zmiękł.

- Wiem tylko, że szłaś sobie ulicą, rozmawiając ze mną przez komórkę, po czym nagle się rozłączyłaś, żeby odebrać telefon od kogoś innego. Stałem jak kołek na lotnisku Kennedy'ego i ani się obejrzałem, jak wylądowałem w Wenecji. Oczami wyobraźni ponownie ujrzałam się na Bleecker Street, piękny rzeński poranek po uczcie w Gotham, płaszcz zapięty pod szyją, łzy w oczach, Ty Wheatley po drugiej stronie linii, woń polewy waniliowej w powietrzu. Zaraz, zaraz. Znowu nie wiedziałam, co myśleć. Coś tu nie grało. Ty Wheatley po drugiej stronie linii? Ogarnęło mnie narastające poczucie winy. Ale dlaczego? Co ja takiego zrobiłam?

- Kolacja. - Dama w esy-floresy wtargnęła do sali, niosąc talerz, na którym spoczywało coś, co przypominało starą tenisówkę, skąpaną w błotnistej mazi. Talerz był zimny jak lód, a po wierzchu pływały kawałki kukurydzy i marchewki. Obrzydlistwo.

- Nie, dziękuję. - Odsunęłam talerz, choć w akcie miłosierdzia dla towarzysza niedoli z sąsiedniej sali należałoby wrzucić potrawę do sedesu i naciśnąć spłuczkę.

- Jak sobie chcesz - burknęła salowa. - Mam to w nosie.

- Jako handlarka grzybów była pani uprzejmiejsza - rzuciłam w ślad za jej znikającymi plecami.

- No ba - burknęła na odchodne.

- Mam pomysł - oznajmił Tom i rozchmurzył się nieco, co upodobniło go do starego (młodszego) Toma, którego znałam. - Może zadzwonię do restauracji, chyba nie mają jeszcze za dużo roboty. Mam ci coś zamówić? Przywiozą, zanim zacznie się ruch.

Co za mąż, pomyślałam. Mąż idealny.

- Przywieź *mozzarella di bufala* - polecił swemu rozmówcy Tom - oraz *insalata di noci* z dodatkową porcją gorgonzoli.

Oczy rozbłysły mi na myśl o ostrym kremowym serze z karmelizowanymi orzechami i gruszką. Coś miękkiego i chrupiącego. Nie mogłam się doczekać.

- Poproszę *gnocchi di patate al tegamino* i dodaj do tego świeżą bazylię - mówił dalej Tom - dorzuć też *galletto al mattone*, tylko nie przesadź z sosem grzybowym, Paolo, widziałeś, co zrobiłeś wczoraj, nie utop biednego ptaka. Przywieź również szpinakową *focaccia*. Tylko się nie ociągaj, mam tu bardzo głodną kobietę.

Z taką swadą rozprawiał o jedzeniu mój kochany Tom. Taki pogodzony ze światem i sobą. Taki... obcy. Czy ja nie umiałam go uszczęśliwić, kiedy byliśmy razem? Czy ze mną nie był w zgodzie?

- Mów - ponagliłam, kiedy ponownie zwrócił się w moją stronę. - Opowiadaj, co wiesz.

- To się stało w ten dzień, kiedy mieliśmy jechać do Wenecji - podjął - no wiesz, żeby zacząć wszystko od nowa. Rano wybuchła między nami sprzeczka. Poszło o masło, solone czy niesolone. Boże, Connie, to takie zamierzchłe czasy... jesteś pewna, że musimy przerabiać to jeszcze raz?

- Dla mnie to nie są zamierzchłe czasy - odpowiedziałam. - Proszę, Tom. Mów dalej.

- No więc pokłóciliśmy się... naprawdę nie pamiętasz? Wypadłaś z domu jak huragan, mówiąc, że idziesz na spacer.

Rzeczywiście pamiętałam, jak wykrzykiwaliśmy coś przy śniadaniu, ale nie potrafiłam określić szczegółów. No i słynęłam z tego, że w czasie kłótni z hukiem wychodziłam z domu.

- No i?

- No i o czwartej po południu pojechałem na lotnisko, tak jak mieliśmy zaplanowane, po czym spędziłem nasz drugi miesiąc miodowy sam jak palec. Tymczasem ty wyprowadziłaś się z naszego mieszkania i rozpoczęłaś karierę jako królowa degustacji.

Było to tak niepodobne do mnie, że wprost nie mogłam uwierzyć. Takie zagrania nie leżały w mojej naturze. Nawet w snach ściśle stosowałam się do poleceń i zawsze przychodziłam punktualnie... przynajmniej do czasu Wenecji, kiedy postanowiłam zrobić drugiemu, co mnie niemiłe. I to podczas drugiego miesiąca miodowego, który powinien sprzyjać zacieśnianiu więzi małżeńskich. No proszę.

- Jesteś pewien, że nie stało się nic więcej? - zapytałam, próbując znaleźć usprawiedliwienie dla swego karygodnego zachowania. - Nie zostałam napadnięta, porwana, odurzona narkotykami lub poddana praniu mózgu? Może cierpiałam na syndrom sztokholmski?

- Nie wydaje mi się. - Spochmurniał, a ja obiecałam sobie solennie, że więcej nie będę wysuwać sugestii, jakoby Ty Wheatley uprowadził mnie siłą, zwłaszcza jeśli wszystkie dowody wskazują na coś wręcz przeciwnego.

- Zostałeś w Wenecji. Beze mnie. - Próbowałam odbić piłeczkę.

- Cóż to był za drugi miesiąc miodowy, mówię ci - oznajmił z zadziwiającym ożywieniem. - Żarcie do niczego, ale targowiska owszem. Rzecz jasna wychodziłem z pokoju tylko po to, żeby dokupić wódki.

Czy to możliwe? W miarę upływu czasu moje życie robiło się coraz dziwniejsze.

- A Fleur?

Tom ponownie zrobił niepewną minę i zdjął marynarkę. Miał na sobie ładną pasiastą koszulę z kołnierzykiem i mankietami w kwiatowy deseń. Wyglądał dobrze. Bardzo dobrze. Rzekłabym nawet, przepysznie. Jak Tom, za

którego wyszłam. A może nawet lepiej.

- Tak strasznie mi teraz głupio, Connie. Czuję się jak ostatni śmieć, ale musisz pamiętać, że to ty mnie zostawiłaś. Nie na odwrót. Ty zostawiłaś mnie.

Muszę to sobie przypomnieć. Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

- Nie próbowałaś mnie odzyskać? Przemówić mi do rozumu? Nie walczyłeś?

- Żartujesz? Ni stąd, ni zowąd rzucasz mnie dla jakiegoś pedała, a ja mam stawać na głowie, żeby cię odzyskać? O nie, Connie. Mam swoją dumę. Też!

Dałam mu popalić, to było jasne jak słońce. Złość jeszcze z niego nie wyparowała.

- Spiknęłaś się z tym krezusem i zaczęłaś nowe życie, kładąc laskę na tym, co było do tej pory. Cholera, Connie. Zresztą mniejsza z tym. Tymczasem ja któregoś wieczoru wpadłem na Fleur, wypiliśmy kilka drinków, wylałem przed nią żalę, no i wiesz...

- ...jedno poprowadziło do drugiego. Tak, tak, tak, czytałam tę książkę, widziałam film.

- To nie było tak, mała. - Tom złagodniał.

- A jak?

- Czulem, jakbym w ogóle cię nie znał, Connie. Tymczasem Fleur w ogóle się nie zmieniła. Wzięła mnie pod swoje skrzydła, mogłem u niej liczyć na wsparcie.

- A u mnie nie?

- Nie wiedziałem, że jesteś typem troskliwej kwoki, mała.

Miał rację. Sama potrzebowałam wsparcia. Ale czy Tom mi je dawał? Nie byłam pewna. Wiedziałam tylko, że serce pęka mi z bólu, czemu nie zaradzi żaden chirurg.

- Przepraszam - powiedziałam, mimowolnie roniąc łzy. - Tak strasznie mi

przykro. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu i spróbować wszystkiego naprawić, Tom. Nie chcę być z Tyem Wheatleyem. Nawet go nie znam. Boję się tego, co ma być. Chcę, żeby było jak dawniej.

Biedny Tom, on też miał nieszczęśliwą minę. Ani się obejrzałam, jak usiadł na łóżku i zaczął mnie kołysać w objęciach, zupełnie jak kiedyś, gdy byłam smutna lub zdenerwowana. Otoczona jego ramionami, ciepłem i troską, czułam się tak spokojna i bezpieczna, że dopiero po chwili coś mnie tknęło. Pachniał inaczej niż zwykle. Zaraz, zaraz, on w ogóle nie pachniał.

- Tylko mi nie mów, że już nie używasz szaławii - powiedziałam, sięgając po chustkę.

- Owszem, twoim zdaniem w nadmiarze - odrzekł z nutą irytacji w głosie.  
- Ach tak, pewnie zapomniałaś. - Był rozzalony raczej niż złośliwy, lecz jego życzliwość wyparowała bez śladu. - Krótco po naszym rozstaniu Pippo zmarł, pozostawiając mi restaurację. Tak, tak - powiedział, uśmiechając się samymi kącikami ust na widok mojej reakcji. - Nieźle, co? Utrata przyjaciela była oczywiście bardzo bolesna, ale zostać właścicielem lokalu to nie byle co. Tak czy siak otworzyłem go pod nowym szyldem, U Toma. Nie do wiary, że muszę ci o tym opowiadać...

- No i?

- No i napisałaś recenzję i wlepiłaś mi jedną gwiazdkę. Jedną gwiazdkę?

Najlepszy sposób na załatwienie restauracji. Pocałunek śmierci. Ludzie chodzą do lokali bez gwiazdek po to, aby zobaczyć na własne oczy, co to za dno, a lokale dwugwiazdkowe oferują niezłe jedzenie za małe pieniądze. Restauracje trzygwiazdkowe odwiedzają ci, których nie stać na czterogwiazdkowe, te zaś są miejscem pielgrzymek zamożniejszej warstwy społecznej, która lubi się przechwalać przed znajomymi.

Lokale jednogwiazdkowe są obiektem powszechnego lekceważenia.



- O rany. Fleur mówiła, że jestem żołą, ale myślałam, że przesadza - powiedziałam z przykrością. Czekałam, aż Tom zaoponuje, ale on milczał. Podobny cios ze strony kobiety, z którą spędził połowę życia, i to w tak istotnym momencie, musiał go strasznie zabołec. Nienawidziłam samej siebie. Co za świnią. - A co się stało z restauracją? - spytałam cichutko.

- Zamknąłem ją i przywróciłem nazwę Il Seconde - odpowiedział Tom. - Potem zaproszono mnie do programu kulinarnego i od tamtej pory jakoś się toczy. Bez obaw, Connie, nie wykończyłaś mnie, tylko na pewien czas pozbawiłaś przytomności. - Zawstydział się własnych słów, lecz ja wybuchnąłem śmiechem.

- Halo. Jest tam kto?

Szczerze powiedziawszy, ostatnia informacja sprawiła mi taką ulgę, że mało go nie pocałowałam. Zresztą chodziło mi to po głowie już od pewnego czasu. Powstrzymała mnie jedynie myśl o tym, że oznaczałoby to zdradę wobec Fleur.

Nie mogłam jej tego zrobić, chociaż ona zrobiła to mnie. Lecz zapewne nie była obiektywna w swojej ocenie.

W tej samej chwili do sali wszedł posłaniec z parującą, papierową torbą z Il Seconde.

- Chwała niebiosom! - zawołałam szczęśliwa, że niebezpieczeństwo minęło. - Nareszcie sobie podjem.

Kiedy jednak Tom przystąpił do wykładania potraw na ustawioną przedemną tacę i poczułam bijące z pojemników ciepło (pikantne kluseczki ziemniaczane, sos grzybowy), czegoś mi tam brakowało.

Wiedziłam, że *gnocchi* doprawiono świeżą bazylią, słyszałam, jak o nią prosił, a sos gulaszowy sporządzono według sekretne przepisu Pippa. Był wyborny, Tom nie ważyłby się go zmienić. Przed ugotowaniem zawsze mary-

nował mięso w czosnku i rozmarynie. Uwielbiał intensywny aromat włoskich ziół, podobnie zresztą jak ja. Jednakże w sali szpitalnej nie roztaczała się woń żadnego z nich. Czułam parę na policzkach, a nawet w nozdrzach, lecz miast zapachu rozmarynu i bazylii nie czułam zupełnie nic.

- Wszystko w porządku? - spytał Tom, rozstawiając naczynia i wciskając mi serwetkę pod brodę.

- Zmieniłeś recepturę? - zapytałam, czując lekkie zawroty głowy. - Przystałeś używać czosnku?

- Zwariowałaś? - Pociągnął nosem. - Nie czujesz?

Wciągnęłam powietrze w nozdrza. Znowu nic. Pełna obaw drżącą ręką ujęłam widelec, nabiłam nań kluskę i unurzawszy ją w sosie, podniosłam do ust. Poczulałam na podniebieniu jej jedwabistą miękkość. Strzępki mozzarelli przywarły mi do przednich zębów; odsunęłam je językiem, z wolna przeżuwiąjąc soczyste kawałki mięsa.

Było to popisowe danie Il Seconde, bez dwóch zdań.

Ale ja nie czułam jego smaku.

Nie czułam nic.

## ROZDZIAŁ 11

Okazuje się, że te chude uda sporo mnie jednak kosztowały. Dużo więcej aniżeli siłownia lub wielogodzinne modły pod adresem Pani Nieustającego Cierpienia. Poniosłam najwyższą cenę: swój smak. Oddałabym wszystko, tylko nie to. Utrata pamięci to w porównaniu z tym pestka. Zresztą powoli zaczynałam się już przyzwyczajać do tej dziwnej sytuacji i choć czasem bywała surrealistyczna lub frustrująca, ostatecznie można było z nią żyć. Chodziło tylko o dwa lata i dziewięć miesięcy życia. Poza tym istniały osoby, które pomagały mi wypełnić lukę.

Ale mój smak! To było zupełnie co innego. Bez smaku zostałam z niczym. Byłam nikim. Nawet dawna Connie, ta sprzed epoki „The New York Timesa”, używała go na co dzień w pracy i czerpała zeń przyjemność oraz chęć do życia. Bez niego przebudzenie ze śpiączki nie miało sensu. No bo jak? Istne okrucieństwo losu. Byłam załamana. Krzyczałam i płakałam, nawet widok szczupłych ud nie przynosił spodziewanej ulgi. Wolałabym odzyskać swoje pulpeciki, byle tylko móc znów odczuwać pełnię smaków i aromatów. Modliłam się, żeby zapaść w kolejną śpiączkę i umrzeć. Błagałam signorę Marinello o śmiertelny zastrzyk. Byłam zdruzgotana. Po prostu zdruzgotana.

- Rozumiem twoje zdenerwowanie - przyznał dwa dni później Marco, który wreszcie raczył do mnie zajrzeć.

Byłam tak roztrzęsiona, że prawie nie zwróciłam uwagi na jego wdzięki. Prawie. Mimo rozpaczki nadal tliły się we mnie resztki pożądania, co tylko nasiliło mój opłakany stan.

- Uraz głowy powoduje czasem utratę niektórych zmysłów - wyjaśnił. - Ale to ciekawe, gdyż smak traci się w wyniku uszkodzenia blaszki sitowej, o którym nie ma mowy w twoim przypadku, a i wówczas nie zachodzi całkowita

utrata smaku. Jesteś absolutnie pewna, że nic nie czujesz?

Czy byłam pewna? Też mi pytanie. Zmysł smaku był dla mnie ogromnie ważny. Najważniejszy. Czy Marco naprawdę myślał, że dziesięć razy bym się nie upewniła? Bez względu na resztki pożądania ten facet potrafił zaleźć za skórę. Oczywiście, że byłam pewna i nie potrzebowałam żadnych dodatkowych testów. Nie, następnego dnia po incydencie z *gnocchi* wysłałam Toma do Gray's Papaya po hot doga z musztardą, a potem do Delmonico's po homara na wynos. Fleur została wyekspediowana do Pikli Guss'a po korniszony, kiełbaski i berlinki od Rolfa z Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Ublągałam nawet matkę, aby się pofatygowała do Dwóch Czerwonych Kurek po kawałek najlepszego sernika w mieście, słodkiego, a zarazem wytrawnego, ale na próżno. Wszystko na próżno. Rozróżniałam gorące i zimne, gładkie i chrupiące, miękkie i twarde, świeże i czerstwe, jednakże nie czułam smaku ani zapachu. Wiedziałam, jak wszystko powinno smakować, ten segment mojej pamięci funkcjonował bez zarzutu, ale gdy przychodziło do degustacji, bezradnie rozkładałam ręce.

- Jak już wspomniałem, twarz i nos nie ucierpiały - podjął Marco. Położył jedną dłoń na mojej zuchwie, a drugą na czole, co normalnie doprowadziłoby mnie do szaleństwa, lecz czarne myśli przyćmiły doznania. - Przy czym widywałem znacznie łagodniejsze przypadki, gdzie doszło do uszkodzenia ścieżek neuronowych, co spowodowało zaburzenia olfaktoryczne.

- Mów po angielsku - warknęłam. - Tu chodzi o moje kubki smakowe.

- Bynajmniej - odpowiedział i ponownie dostrzegłam w nim chłód, ów lodowaty powiew, który pozbawiał go ludzkich cech. - Twoje kubki smakowe nie ucierpiały. Mówimy o nerwach. Uszkodzone nerwy z czasem mogą się naprawić i odzyskasz zmysł smaku i węchu.

- Mogą się naprawić? Chcesz powiedzieć, że w grę wchodzi również inna możliwość? Nie można tego zoperować? Musi istnieć jakieś rozwiązanie.

Przecież nie mogę tak żyć. Równie dobrze mogłabym... - Zastanawiałam się, co mogłabym robić. Leżeć godzinami, słuchając Courtney Love i paląc trawkę, jak mój brat? To niemożliwe.

- Na ageusię i dysgeusię nie ma lekarstwa - odrzekł Marco. - To fachowe nazwy twojej przypadłości. Obawiam się, że będziesz musiała z tym żyć.

- Przecież nie możesz tego tak zostawić - krzyknęłam. - Mówimy o moim smaku. O mojej pracy. - Nawiasem mówiąc, bardzo dobrze płatnej. - To wszystko, co mam.

- Wygląda na to, że będziesz musiała znaleźć sobie inne zajęcie - skwitował Marco i wyszedł.

Byłam niepokieszona. Na dodatek nie było przy mnie nikogo, komu mogłabym się wyżalić. Byłam zupełnie sama. W życiu (ani tym dawnym, ani nowym rodem z koszmaru) nie czułam się bardziej samotna. Sięgnęłam po torebkę winogron przyniesionych przez Tya, po czym oderwałam od kiści wyjątkowo dorodny egzemplarz i umieściłam go w ustach.

Przegryzłam skórkę, czując na języku soczysty miąższ, ale poza tym nic. Zero smaku.

O, losie.

Wiem, co sobie pewnie teraz myślicie. Myślicie: rany, ale koszmar, a tak się wesoło zaczęło. Poczekajcie, najgorsze jeszcze przed nami.

- Najdroższa - powiedział Ty, cmokając mnie w czoło na powitanie. - Wspaniałe wieści. Mogę cię zabrać do domu.

Do domu? Rozpacz spowodowana utratą smaku tak bardzo pochłonęła moją uwagę, że myśl o powrocie do domu nawet nie powstała mi w głowie. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Signora Marinello stanęła obok Tya i łypała na mnie nerwowo, co dodatkowo nasiliło mój niepokój. Co ją tak zdenerwowało?

- Psiakrew - zaklęłam. Gdzie ja w ogóle miałam dom? Chętnie przyjąłabym założenie, że u boku Toma, on jednak mieszkał teraz z Fleur i dzieckiem, a nie ze mną. Wyglądało na to, że ja mieszkam gdzie indziej. - Chcesz powiedzieć, że pojedziemy do twojego mieszkania? - zapytałam.

- Naszego mieszkania - poprawił. - Naszego domu. Cayenne i Jalapeno już nie mogą się doczekać.

- Cayenne i Jalapeno? - Co on u licha wygaduje?

- Koty, najdroższa. Cay-Cay i Happy. Nie mogą się doczekać, kiedy cię zobaczą. Z podniecenia masakrują meble. Czują, że coś się święci. To do prawdy niesamowite.

O mammo.

Zauważyłam, że Ty ma na sobie kolejny kremowy garnitur z lnu, równie wygnieciony jak poprzedni. Do tego założył niebieską muszkę z czerwonymi słonikami. Co gorsza, kiedy usiadł, spodnie podjechały mu do góry i zobaczyłam dobrane pod kolor niebieskie skarpetki, też w czerwone słoniki. Byłam w szoku. I to jakim. Czy teraz rozumiecie, co miałam na myśli?

Mówiąc o szoku, wcale nie żartowałam. I nie byłam wcale zdziwiona, tylko oszołomiona. Zdębiała i oniemiała. Ani się obejrzałam, jak miałam wrócić na Upper East Side, róg Sześćdziesiątej Czwartej i Parkowej, do uroczego gniazdka MC Conlan, Tya Wheatleya oraz ich dwóch Kociątek Kocialińskich (mówię poważnie), Cay-Cay i Happy.

Ty pospiesznie spakował kilka drobiazgów, które miałam w szpitalu, wręczył mi ohydne ubrania, które przywiózł „z domu” (tylko Paris nie wyglądałaby w tym jak zombi), a następnie zamówił samochód (wszędzie jeździł lincolnem, jak moja babka).

Pamiętam, że stanęłam w ciasnej, szpitalnej łazience, przyglądając się sobie w mało korzystnym świetle. Ty przywiózł też „moją” gigantyczną ko-

smetyczkę, która pękała w szwach od tajemniczych kremów i mikstur, których przeznaczenia mogłam się jedynie domyślać. W dawnym życiu wystarczył mi jeden krem, odrobina pomadki, tuszu oraz różu i byłam gotowa do wyjścia. Wolałam minimalistyczne podejście do kwestii pielęgnacji. Tymczasem MC miała pokaźną kolekcję korektorów, podkładów, pudrów, cieni do powiek, konturówek, błyszczków oraz, Boże uchronij, kremów na cellulitis. Mój mózg może szwankował, wiedziałam jednak, że na cellulit nie pomoże żaden krem. Jezu, co się ze mną porobiło?

Chcąc nie chcąc, nałożyłam na twarz oszczędną warstwę makijażu. Su-kienka i kusy żakiet do kompletu nie przypadły mi specjalnie do gustu, ale wiśniowe usta bardzo ożywiły moją karnację. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, aby zakupić wiśniową szminkę, kiedy jednak uśmiechnęłam się do lustra, ku swemu zdumieniu ujrzałam w nim atrakcyjną, a nawet piękną kobietę.

Coś mi jednak nadal nie pasowało. I nie chodziło o włosy, jasne po jednej i ciemne po drugiej stronie głowy. Ty umówił mnie na wizytę do nowego salonu Frederica Fekkai. Nie miałam pojęcia, kto zacz. Zaraz, czy to moje brwi? Hm, dawniej wyglądały korzystniej... Ewidentnie skubałam je bardziej niż kiedyś i w szpitalu zaczęły dziwnie odrastać. Celem dokładniejszej inspekcji przysunęłam się bliżej do lustra i moje odbicie uczyniło to samo. Nie, to zdecydowanie nie byłam ja!

Byłam zdziwiona. Ona nie. Byłam przerażona, lecz ona nie okazywała strachu. Byłam wstrząśnięta, ale jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Bez względu na targające mną emocje twarz w lustrze pozostawała nieruchoma.

Wypadłam z łazienki, ze zgrozą wymachując rękami. Chyba jednak rzeczywiście skończę na wózku. Byłam sparaliżowana!

- Nie mogę się ruszyć! - wrzasnęłam. - Patrzcie, nie mogę się ruszyć!

Marco podpisywał właśnie jakieś papiery.



- Moim zdaniem poruszasz się całkiem nieźle - oznajmił.

Pomimo paniki nie mogłam nie odnotować, że omiółł mnie przy tym przeciągłym spojrzeniem, co z uwagi na obecność rzekomego narzeczonego było bardzo nie na miejscu.

- Chwała Bogu, że tu jesteś - wydusiłam. - Nie mogę poruszyć twarzy, Marco. Co się ze mną dzieje? Co tu jest u licha grane?

Podał signorze Marinello papiery i posadziwszy mnie na łóżku, powiódł palcami po mojej twarzy.

- Niezła robota - oświadczył. - Wykonana na oko parę miesięcy temu. Założę się, że to dzieło Billa Howarda ze Wschodniej Siedemdziesiątej Trzeciej. Lepiej zamów sobie kolejną wizytę, strasznie długo trzeba czekać, ale to podobno najlepszy fachowiec w mieście.

- Fachowiec? - powtórzyłam jak echo.

- Od botoksu - wyjaśnił Marco. - Wypełnił ci zmarszczki wokół oczu i na czole. Nic się nie martw. Doskonale się spisał.

- Wstrzyknęłam sobie botoks?

- Jak wszyscy na Upper East Side, Connie. Wyglądasz dobrze. Rzekłbym nawet, że fantastycznie.

Nie odrywał dłoni od mojego podbródka. Z trudem koncentrowałam się na jego ostatnich słowach. Zawsze kręciłam swoim naturalnie kształtnym nosem na wszelkie próby interwencji chirurgicznej. Tutaj też zmieniałam poglądy?

- Idziemy, MC - zakomenderował Ty, podchwytyjąc napięcie pomiędzy mną a Markiem. - Samochód czeka.

- Domyślałam się, że nie wpadłeś w ostatniej chwili na rozwiązanie mojego problemu? - spytałam nieoczekiwanie ochryłym głosem à la Kathleen Turner.

- Nie - odrzekł Marco i uśmiechnął się do mnie, co stanowiło widok tak rzadki, że mało nie padłam mu w objęcia. - Ale jakby co, dowiesz się o tym

pierwsza. Odezwił się czasem. W szpitalu rzadko mam okazję do normalnej rozmowy.

Wstałam i wymieniliśmy przeciągłe spojrzenia.

- Samochód, MC - powtórzył Ty ze zniecierpliwieniem. Trudno mu się dziwić. Atmosfera w sali wyraźnie zgęstniała.

- Powodzenia, Constanzio - powiedział Marco, ujmując mnie za rękę. Następnie złożył mi na policzku lekko wilgotny pocałunek.

Przymknęłam oczy i wyobraziłam sobie jego zapach, tak odurzający, że dopiero głośne chrząknięcia signory Marinello i Tya przywołały mnie do porządku. Otworzyłam oczy i puściłam dłoń Marca.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Nie ma za co - odrzekł i już go nie było.

Możecie sobie wyobrazić moje zakłopotanie. Zaczerwieniłam się aż po cebulki tlenionych włosów i udawałam, że rozglądam się za porzuconymi drobiazgami, podczas gdy Ty ze swadą opowiadał o kotach, nie szczędząc przy tym szczegółów fizjologicznych.

Wreszcie, kiedy nie pozostawało nam nic innego, jak opuścić szpital, signora Marinello nieśmiało ujęła mnie za obie ręce i popatrzyła na mnie żarliwie brązowymi oczami.

- Nie bój się, Constanzio - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Pamiętaj, twój mózg jeszcze nie doszedł do siebie. Potrzebujesz przyjaciół. Prawdziwych przyjaciół. - Ostatnie zdanie rzuciła szeptem, dzięki czemu zrozumiałam, że jej zdaniem Ty nie należy do ich grona (podzielałam tę opinię). Jediną przyczyną, dla której postanowiłam pojechać razem z nim, było to, że nie zaproponowano mi nic innego. No i z powodu bransoletki: Fleur sprawdziła w Internecie i okazało się, że kosztowała cztery tysiące dolarów.

- W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać - wyszeptała mi do ucha signora Marinello, tuląc mnie do swej obfitej piersi. - Zawsze na posterunku. Nie zapomnij. Gdybyś tylko potrzebowała.

Koty znienawidziłam od pierwszego wejrzenia. Obydwa były tłuste i pułchate; zamiatały podłogę włochatymi brzuchami, co wyglądało tak, jak gdyby ktoś rozpruł je od spodu i wybebeszył. Kiedy weszłam do położonego na dwunastym piętrze apartamentu, Cay-Cay (a może Happy? za nic nie mogłam ich rozróżnić) wygiął grzbiet w pałąk i zamiauczał.

Mieszkanie było ogromne. Sama miałam ochotę wygiąć plecy w pałąk i miauknąć. Hol pomieściłby nasze dawne mieszkanko. Po lewej znajdowały się sypialnie, po prawej zaś jasny salon. Ruszyłam za Tyem, przytrzymując szczękę, żeby nie opadła mi do podłogi na widok luksusowej kuchni ze lśnącymi siedziskami ze stali nierdzewnej, połyskującej wszelkimi możliwymi artykułami gospodarstwa domowego, łącznie z profesjonalnym ekspresem do kawy. O takiej kuchni przeciętny człowiek mógł sobie tylko pomarzyć. Byłam oszołomiona.

Reszta apartamentu wywierała równie piorunujące wrażenie. Gustownie obsadzony roślinami taras biegł przez całą długość salonu i jadalni... Okno w kuchni wychodziło na Park Avenue. W przestronnych pomieszczeniach panował idealny ład, wszystko świadczyło o stylu, dobrym guście i zasobnej kieszeni właściciela. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiłam sobie, że wszystko jest beżowe: ściany, parkiety, zasłony, sofy, kompozycje kwiatowe, abażury, dosłownie wszystko, nawet grzbiety książek na półkach. Koty były beżowe. Obrazy, na pierwszy rzut oka bardzo cenne, również. Szczerze powiedziawszy, przydałoby się trochę ożywić otoczenie, ale czy ja się na tym znałam?

Klapnęłam na stylowy fotel i zdjęłam buty na wysokich obcasach, gymnastykując obolałe palce na perskim dywanie pod stolikiem. Gdy Ty (jak się

dobrze zastanowić, też beżowy) zniknął w korytarzu, unosząc moją torbę, siedziałam jak zaczarowana, niepokojąc się co dalej. Rozejrzałam się po perfekcyjnie urządzonej wnętrze, wypatrując śladów swojej ręki, ale na próżno.

Wszystko było zbyt gustowne. Wrócił Ty, zacierając ręce. Usiadł na stylowej sofie, wyjął zza pleców poduszkę, a następnie poklepał miejsce obok siebie, na co jeden z kotów wskoczył na nieskazitelne obicie i zwinął się w kłębek, świdrując mnie paciorkami oczu. Ty sięgnął po pilota i pokój nieoczekiwanie wypełnił się dźwiękami muzyki. Byłam pewna, że nadal lubię Madonnę i Rickiego Martina, lecz wyglądało na to, że Ty woli spokojniejszą i bardziej jednostajną muzykę.

Zrobiło się nieco surrealistycznie. Siedzieliśmy tam, on i ja, w naszym wartym ponad trzy miliony dolarów apartamencie, sprawiając wrażenie jednej z wielu zamożnych nowojorskich par, która delectuje się spokojnym popołudniem w domu dopieszczonym do granic wytrzymałości. Gdyby w naszym salonie wylądowali kosmici, uznaliby nas za najszcześniejszą parę pod słońcem. Któż nie chciałby takiego życia? Mieszkanie przy Park Avenue, bezcenne dzieła sztuki, piękna biżuteria. Mogło mnie spotkać coś znacznie gorszego, więc zamiast ulotnić się dyskretnie i wybiec z krzykiem na ulicę, co stanowiło jedną z opcji, dalej gimnastykowałam palce i nie ruszałam się z miejsca. Było dziwne, ale jak mówię, mogło być jeszcze dziwniej. Zresztą patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że cały ten okres bezpośrednio po wyjściu ze szpitala nosi znamiona snu. Wiedziałam, że nie śpię i znajduję się w prawdziwym świecie, obowiązywały tam jednak reguły świata ułudy: powstrzymanie się od jakichkolwiek pytań i bierne poddanie się losowi, bez względu na to, co krył w zanadrzu. Wiadomo chyba, co mam na myśli, mówiąc o regułach świata ułudy? Jest jak w tym śnie, kiedy Bruce Springsteen nieoczekiwanie pojawia się na twoim weselu, a ty zostajesz żoną George'a Clooneya u stóp wzgórz Nepalu

i wcale cię to nie dziwi, prawda? Nie zastanawiasz się też, dlaczego dwa tysiące jednorękich kolarzy pałaszuje węgierski gulasz. Ani nie odrywasz dłoni Johnny'ego Deppa od swojej nagiej piersi i nie przerywasz namiętnego pocałunku, aby mu oznajmić, że jesteś szczęśliwą mężatką, czyż nie? Nie, kładziesz uszy po sobie i czekasz na dalszy rozwój wydarzeń.

Poza tym byłam zmęczona. Strasznie zmęczona. Owego pierwszego dnia, usadowiona wygodnie w stylowym oceanie beżu, byłam przerażona własnym znużeniem. Powieki miałam jak z ołowiu, każde mrugnięcie kosztowało mnie mnóstwo wysiłku. Czułam, że nawet sen nic tu nie pomoże. Czułam potrzebę odkrycia innego, skuteczniejszego środka. Nie miałam pojęcia, gdzie znajduje się moje łóżko, wiedziałam jednak, że na pewno nie będę go dzielić z Tyem, bez względu na gatunek pościeli. O nie. Owszem, był miły, a do tego hojny, taktowny i wspaniałomyślny, chociaż nieco sztywny. Mogłam u niego mieszkać, lecz myśl o jego wymoczkowatym dotyku budziła we mnie żywą odrazę. Nie, pod tym względem zupełnie nie był w moim typie. Kiedy jednak dokonałam przeglądu archiwum pamięci, kartoteka pod hasłem „Jak powiedzieć narzeczonemu, że nie chcesz pójść z nim do łóżka” okazała się pusta. Cała szuflada była wywrócona na nice. Jednakże przemożna potrzeba snu kazała mi chwycić byka za rogi.

- Nie lubię twoich kotów, Ty - oznajmiłam prosto z mostu - i nie będę z tobą spać. Poza tym uważam, że powinieneś pomalować chociaż jedną ścianę na pomarańczowo. Odcień mango byłby jak znalazł.

Zapadła długa cisza. Wiedziałam, że zraniłam jego uczucia, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie miałam siły owijać w bawełnę, jak zwykłam kiedyś czynić.

- Nie lubisz kotów? - Ty przybrał ton rozżalonego dziecka. - Ale MC, przecież to nasz pieszczonek.

Drugi kot przeszedł obok mnie z zuchwale uniesionym ogonem i otarł się zadkiem o moją nogę. Miałam ochotę go wytarłosić, ale uznałam to za stratę energii.

- Nie wiem, jak z nami będzie - powiedziałam. - Sam musisz przyznać, że to dziwna sytuacja, a ja nie jestem pewna... niczego. Prócz tego, że wolę rybki. Na razie muszę skupić się na tym, aby odzyskać smak. Przepraszam, Ty, ale wiem, że dopiero wtedy wszystko wróci do normy.

Ty drgnął i zasznurował wargi.

- Tak, doktor Scarpa nie okazał się specjalnie pomocny - rzucił oschle. - Nie jesteś byle kim. Jesteś MC Conlan z „The New York Timesa”, na miłość boską. Ludzie byliby skłonni do mordy, aby zdobyć tę posiadłość.

Chyba spojrzałam na niego z niepokojem, gdyż pośpiesznie zapewnił, że ja do nich nie należę.

- Ty zdobyłaś pracę uczciwą drogą, MC, nie mieli lepszej kandydatki. Oczywiście Paris szepnęła za tobą słówko, bez tego ani rusz, ja też wtrąciłem swoje trzy grosze. Ostatecznie Toby to stary przyjaciel. Pomogłem wam obojgu. Szkoda, że doktor Scarpa nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Ale rozmawiałem z doktor Foster, MC. Obiecała, że przetasuje swój harmonogram i da ci kilka godzin dziennie, przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie. Twierdzi, że utrata pamięci może stanowić dysocjacyjny symptom syndromu stresu pourazowego. Cóż, połowa mieszkańców tego cholernego kraju cierpi na syndrom stresu pourazowego, więc czemu miałabyś być wyjątkiem? Zdaniem doktor Foster utrata smaku może się z tym wiązać. Uważa, że może ci pomóc. Masz rację, to w tej chwili nasz priorytet. Musisz odzyskać smak.

Przyznałam mu rację, lecz moja baza danych nadal zawierała pewne luki.

- Kim jest doktor Foster? - zapytałam.

- Twoją psychoterapeutką, najdroższa. Dokonała przy tobie istnych cu-

dów, mówię ci.

Chodziłam na terapię?

- Co do tej drugiej sprawy... - Ty odchrząknął - ... czyli kwestii sypialnianej, masz własny pokój, MC. Zawsze miałaś swój pokój, główną sypialnię z wyjściem na balkon. Ja śpię w pokoju gościnnym za biblioteką. Nie oczekiwałem tutaj żadnych zmian.

Mamy bibliotekę?

- Możemy powrócić do naszego środowego rytmu, gdy tylko będziesz na to gotowa, MC. Kawior, krug cios du Mesnil i... - Ty poczerwieniał i kaszlnął.

- No wiesz. Jak zawsze.

Też mi narzeczeni.

- Nie sypiamy ze sobą? - Nie żeby mi na tym zależało, byłam tylko ciekawa dlaczego. - Tylko w środy?

- Kolidujące harmonogramy, najdroższa. - Ty przechodził istne katusze. - Twoja praca. Moje alergie. Ustaliliśmy, że tak będzie najlepiej.

Jak widać, luksusowa otoczka kryła dwójkę prawdziwych dziwaków.

- No, nareszcie mogę zobaczyć, gdzie mieszkasz - oznajmiła matka, przechodząc następnego dnia przez próg.

- Ładny kolor. Taki świeży. - Z aprobatą rozejrzała się po kuchni i dodała: - Prosto i schludnie. Twój ojciec wszystko upstrzyłby kolorami. Do szafu mnie to doprowadza.

O ile mi wiadomo, ojciec nigdy nie interesował się sztuką dekoracji wnętrz. Gdyby kazać mu zamknąć oczy i określić kolor ścian, nie wiedziałby, co odpowiedzieć.

- I co, przypomniałaś sobie coś? - spytała, sadowiac się na sofie (owszem niebrzydkiej, ale okrutnie niewygodnej).

- Oczywiście prócz adresu na Park Avenue. Jak widać, tego nie zapo-



mniałaś. Nie pamiętasz, jak rzuciłaś męża, złamałaś mu serce i zniszczyłaś życie swojej matce?

Patrząc, jak wierci się na sofie, strzelając oczami na boki i szacując wartość dóbr, na które w jej mniemaniu nie zasługiwałam, poczułam nagły przypływ gniewu. Dlaczego była taka złośliwa i z jakiej racji jej na to pozwalałam?

- Wiesz co? - powiedziałam. - Jak masz mówić takie rzeczy, to lepiej wyjdź.

Szczeka jej opadła ze zdziwienia.

- Niby jakie rzeczy? Nie mam prawa ci przypomnieć, co zrobiłaś, jaki wstyd przyniosłaś mnie i tacie? Przez rok po tym, jak rzuciłaś biednego Tomcia, nie mogłam spojrzeć w oczy ojcu Francisowi. Hańba. Będę mówić, co chcę. Jestem twoją matką. Chyba że o tym też zapomniałaś.

Wolałam nie drażnić ostatniej kwestii, gdybym bowiem miała sporządzić listę osób, które chciałam zapamiętać, ona by się na niej nie znalazła.

- Mamo, nigdy nie lubiłaś „biednego Tomcia” - rzuciłam wymijająco. - Przedstawiałaś go jako „pomywacza, który skradł ci córkę”.

- Cóż, to było, zanim wystąpił w telewizji - odparowała, poirytowana moją bezczelnością. - Nigdy nie miałam okazji poznać go od dobrej strony. Bez przerwy wierciłaś mu dziurę w brzuchu.

Oniemiałam. Dziurę w brzuchu, Tomowi? Raczej nie. Przeważnie robiłam to, co chciał. Byłam rozjemcą, mediatorem, grzeczną dziewczynką, która za wszelką cenę woli uniknąć konfrontacji. Jezu, pozwoliłam mu nawet ukraść swoje marzenia i uczynić je własnymi. Chez Panisse na miesiąc miodowy, też mi coś. Nie mogłam go zmusić do niczego, nawet nie próbowałam. I siedząc w moim tak zwanym domu pod oskarżycielskim wzrokiem matki, zrozumiałam, że poczucie winy, w którym sprytnie utwierdzała mnie od wielu lat, straciło rację bytu. I wiedziałam, że za nic w świecie nie mogę dać się sterroryzować.

- Miło, że wpadłaś - powiedziałam, wstając z fotela i wskazując ręką w stronę korytarza. - Następnym razem poczęstuję cię ciastem.

Przeszło mi przez myśl, że zostanie tam, gdzie siedzi, i nie da się ruszyć z miejsca, lecz ona wstała i obciągnęła sweter.

- Zawsze miałaś podły charakter, Mary-Constance - oświadczyła. - Ale kto by pomyślał, że Woody Allen ujawni w tobie to, co najgorsze? Nigdy go nie lubiłam. Nie mam pojęcia, co Mia w nim widziała. Też mi wybór po Sina-trze. Te małe, chomicze oczka, jękliwy głos.

- Do zobaczenia, mamó - odpowiedziałam. - Muszę się zdrzemnąć.

- Taki ładny budynek, a taki lichy odzwierny - dorzuciła, kiedy otwiera-łam przed nią drzwi. - Ta liberia! I włosy sterczą mu z uszu.

- Pozdrów tatę - powiedziałam, po czym zamknęłam drzwi i oparłam czoło o ich chłodną, gładką powierzchnię.

- Widzę, że dobrze poszło - zauważył Ty, ostrożnie wysuwając głowę ze swojego pokoju.

- Myślisz?

- Cóż, przynajmniej podałaś jej nasz adres, MC. Zawsze spotykałyście się gdzie indziej. Jestem pewien, że doktor Forster będzie miała na ten temat coś do powiedzenia. Herbaty? Lapsang souchong?

## ROZDZIAŁ 12

Jeśli chodzi o gorące napoje, to prawdę powiedziawszy, wolałam kawę, lecz wyszło na jaw, że Ty nie lubi uruchamiać swego włoskiego superekspresu. Twierdził, że to za dużo zachodu. Hm, rzeczywiście miał fisia na punkcie sprzątanania: zabierał mi szklanke, nim zdążyłam postawić ją na stole, obsesyjnie usuwał kocia sierść specjalną szczotką, a jeśli ktoś miał czelność ruszyć jego kolekcję czasopism na stoliku, pieczołowicie układał ją od nowa.

Nasze mieszkanie było piękne, lecz wydawało się niezamieszkałe. Ludzie, ten facet dwa razy dziennie czyścił kuwetę: nawet koty przestrzegały harmonogramu i wypróżniały się jak w zegarku. Zgroza. Jednak pomimo dzielących nas różnic na tle higieny, przez pierwsze dni nawet nieźle się dogadywaliśmy. Nie wtrącał się do moich spraw (w sumie nie było do czego) i pilnował własnych zajęć, które obchodziły mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Generalnie rzecz biorąc, Ty w ogóle mało mnie obchodził. Spałam, kąpałam się w swojej wielkiej wannie, a potem znów kładłam się spać.

Przynosił mi nawet śniadanie do łóżka: codziennie to samo, sok pomarańczowy w kryształowej szklance oraz jajko na miękko. Na tacy leżały ponadto róża i serwetka, a Ty zjawiał się odziany w beżowy, jedwabny szlafrok narzucony na beżową piżamę. Na nogach miał (słuchajcie, słuchajcie!) karmelowe pantofle ze złotą nitką. Przypominało to życie pod jednym dachem ze statystą z „Gosford Park”, co miało swoje dobre strony.

Sok miał aksamitną konsystencję; czując na języku nieregularne kłaczkowoczu, wiedziałam, że nie pochodzi z koncentratu, lecz z sokowirówki. Mimo to nie czułam smaku: pozostało mi jedynie wspomnienie tego, jak powinien smakować dobry sok. Chciało mi się płakać za każdym razem, gdy brałam coś do ust, ale któż nie płakałby na moim miejscu? Czułam się tak, jakby ofiaro-

wany mi czek na milion dolarów okazał się bez pokrycia. Myśl o tym, co straciłam, doprowadzała mnie do obłądu.

Pewnego ranka przy śniadaniu postanowiłam jednak maksymalnie wykorzystać to, co mi zostało. Z chwilą gdy przestałam opłakiwać utratę smaku, sam rytuał jedzenia okazał się źródłem zdumiewającej przyjemności. Weźmy na przykład jajko na miękko. Białko było chłodne i zwarte, żółtko zaś ciepłe i kremowe. Czując je w ustach, z łatwością wyobrażałam sobie jego kolor. Ze smakiem poszło trudniej... przetrząsałam pamięć w poszukiwaniu dawnych aromatów, pełna zdziwienia wobec faktu, że jajka są w gruncie rzeczy słodkie. Dodawałam sól, wyobrażając sobie różnicę, jaką sprawiła owa prosta czynność, wyrazistość, jaką przydała potrawie. Potem przypomniałam sobie, jak w dzieciństwie karmiłam małego Emmeta jajkiem. Odwróciłam się na chwilę, żeby posmarować grzankę masłem orzechowym, a wtedy on pożarł całe jajko, łącznie ze skorupką. Matka mało nie wyszła z siebie, wrzeszcząc i oskarżając mnie o próbę morderstwa, choć gwoli ścisłości żądzę mordu poczułam dopiero jakieś piętnaście lat później (jako dziecko Emmet budził nawet moją sympatię). Tak czy inaczej, gdy tylko jedliśmy później jajka, matka mówiła znacząco do Emmeta (bez względu na obecność osób postronnych): „Nie pozwól, żeby siostra nakarmiła cię skorupką. To mogłoby cię zabić. Ona dobrze o tym wie”.

Ty okazał się bardzo pomocny przy próbach wskrzeszenia mojej sprawności smakowej. Odnosiłam wrażenie, iż szczegółowo omówił to sobie razem z Paris. Oboje na gwałt pragnęli, żebym odzyskała formę, ale w sumie ja też tego chciałam, więc nie było się o co czepiać. Ty utrzymywał, że powinniśmy dalej odżywiać się tak, jakby nie zaszła żadna zmiana. Powinniśmy eksperymentować, twierdził, z moimi uszkodzonymi zmysłami. I określić rzeczywisty wymiar szkód. Chyba się obawiał, że pozostawiona samej sobie ograniczę się do czekolady z niską zawartością tłuszczu, zapijanej obficie dietetyczną coca-colą,

za którą przed Woody Allenem nie przepadałam, lecz którą nauczyłam się teraz doceniać przez wzgląd na bąbelki.

- Czyli wasabi dalej działa - oznajmiłam. Łzy ciekły mi po twarzy, a nozdrza płonęły po lunchu z Matsuri w Chelsea. W wypadku słodkowodnej ryby z północy Japonii koszty dostawy nie grały roli. Rzepa piekła żywym ogniem, a nos mało nie eksplodował od środka, lecz smaku nie było. Upodobałam sobie sajgonki z krewetkami, dawniej lekceważone z uwagi na mdłe ciasto. Teraz, kiedy musiałam zadowolić się konsystencją, chrupka otoczka sprawiła mi nie lada niespodziankę.

- À propos, Paris zarezerwowała dla nas trojga stolik w Mix na dziś wieczór - oznajmił Ty, kiedy uporaliśmy się z grillowanym dorszem w mazi z sake, dla niego wybornym, dla mnie nieco zbyt oślizgłym. - Pora, żebyś zaczęła bywać na mieście.

W zamyśleniu przeżułam kawałek korzenia lotosu. Uznałam, że najwyższy czas odnieść się do kwestii rzekomej przyjaciółki.

- Co do Paris - rzuciłam - mam do niej taki sam stosunek jak do twoich kotów.

Teraz już wiem, że tego rodzaju impulsywne zachowanie należy do grupy objawów pourazowych, lecz moja wzmożona szczerłość stanowiła rażący kontrast z przesadną ostrożnością sprzed wypadku. Czasem skóra cierpnie mi na myśl o tym, co wygadywałam.

Tyowi też ścierpła.

- Ależ MC, przecież wy tak się przyjaźnicie. Świata poza sobą nie widzicie!

- Rządzi się jak szara gęś - oznajmiłam kategorycznie. - Ma zbyt proste włosy, pazury jak krogulec i nie zapamiętuje imion. Działa mi na nerwy.

- Ależ najdroższa, Paris była kluczem do twojego sukcesu. To właśnie jej

zawdzięczasz wszystkie kontrakty. Jedno słówko Paris i zostałaś krytykiem kulinarnym „The New York Timesa”. „The New York Timesa”, MC. Żegnaj, Biff Grimes! Nie, nie nie miałem na myśli „Niech odpoczywa w pokoju”, najdroższa, chodziło o do widzenia, *auf wiedersehen*, *adieu*. Nastąpiła era MC Conlan. Paris znalazła ci agenta, MC. Załatwiła umowę na książkę. Zabrała cię do Paryża, Londynu, Wenecji. Ty ją uwielbiasz.

- Do Wenecji?

- Tak, najdroższa, na kurs gotowania w Gritti Palace, pamiętasz? Ach, tak mi przykro. Naturalnie, że nie pamiętasz. Mój błąd. To musi być dla ciebie strasznie frustrujące. Mogę ci tylko współczuć. Nie płacz, najdroższa. Naprawdę. Mam zadzwonić do doktor Foster? Przynieść ci chusteczkę? A może valium? Brandy? Na miłość boską, MC, nie wiem, co robić.

Słuchajcie, jeśli macie już dość tego mazania, wyobraźcie sobie, co czułam. Z Paris w Wenecji? Co byście powiedzieli na takie rewelacje? Paris nie sprawiała wrażenia osoby, z którą warto jechać na wakacje, pracować tudzież jeść kolację w Mix. Istniało mnóstwo osób, z którymi chciałabym jechać do Wenecji. Na przykład taki jeden... który nie raczył się zjawić. Albo to ja nie raczyłam. Zresztą mniejsza z tym. Owszem, byłam skołowana, ale nie na tyle, by nie przyszło mi do głowy, że przecież musiałam kiedyś być w Wenecji: jakim cudem odtworzyłabym ją tak dokładnie we śnie? Nie miałam aż tak bujnej wyobraźni. Jeśli się dobrze zastanowić, podróż do miasta marzeń w towarzystwie najlepszej przyjaciółki jest najzupełniej logiczna. Jednakże na myśl o tym, że to z nią pochłaniałam *cicchetti* w Do" Mori i zgarniałam oliwę ciepłym chlebem w Alla Madonna, wybuchnęłam rozziewającym płaczem. I za nic nie mogłam się uspokoić.

Ty nie radził sobie z podobnymi eksplozjami emocji. Jego zdaniem nie było problemu, którego nie rozwiązałyby świeżo wyprasowana chusteczka, a

gdy okazywało się, że owszem, bezsilnie rozkładał ręce.

Wreszcie ku jego uldze zamknęłam się w swoim zaciemnionym pokoju i zmęczona płaczem zapadłam w sen.

Kiedy się obudziłam, usłyszałam głosy dobiegające z salonu. Zmysł słuchu bynajmniej mi nie ucierpiał. Słyszałam niemal każde słowo, wystarczyło tylko podejść na paluszkach do drzwi i przycisnąć ucho do szpary w drzwiach.

- I co Tobie na to? - spytała Paris.

- Cóż, muszę przyznać, że jest bardzo wyrozumiały - odpowiedział mój narzeczony. - Każdy inny wydawca postawiłby na niej krzyżyk, ale on wydaje się naprawdę lojalny, zrobiliśmy kawał dobrej roboty, Paris. Na razie łączą dziury recenzjami Amandy Hesser, która na szczęście nie liczy na stałą rubrykę. Mimo to lepiej mieć na nią oko. Ma swoich zwolenników, którzy tylko czekają, aż MC wypadnie z obiegu.

- Może lepiej powiemy MC o Amandzie, jak myślisz? Nigdy nie lubiła jej po... - Nie wiem, co potem powiedziała, ale brzmiało to jak „kerfufle na trufle” albo „kerfufle na mufle”. Zachodziłam w głowę, o co chodzi. Zawsze lubiłam Amandę Hesser, chociaż była za chuda, a ja nie miałam zaufania do chudych krytyków gastronomicznych. Zerknęłam na swoje biodra. Na śmierć zapomniałam. Przecież sama byłam chudym krytykiem gastronomicznym. Kto by się spodziewał?

- Musimy kuć żelazo, póki gorące - ciągnęła Paris. - Przez tę aferę z utratą smaku nie może pisać. Nie będę udawać, że nic się nie stało. Ale jej wypadek i rehabilitacja nadal budzą mnóstwo zainteresowania. To może nam pomóc przy książce.

Książka! Zapomniałam o książce, która tkwiła w torbie od Kate Spade na skórzanym krześle w rogu sypialni. Nie chcąc spłoszyć spiskowców, przekradłam się w tamtą stronę i wyjęłam roboczy egzemplarz „W pogoni za gwiazd-



kami: w poszukiwaniu utraconego smaku". Co za głupi tytuł. Szczyt zadęcia. Weszłam z powrotem do łóżka. Czy wspomniałam, że Ty miałś świetny gust w kwestii pościeli? Włoskie prześcieradła, kołdry, narzuty i poduszki utrzymano w wiadomym odcieniu i dobrano z wyczuciem, do jakiego sama nigdy nie byłabym zdolna. Otworzyłam książkę i zaczęłam czytać.

W przeciągu kilku sekund krew odpłynęła mi z twarzy, a świadomość upadku MC Conlan uderzyła mnie jak obuchem. Zrobiło mi się niedobrze już po wstępie, który ewidentnie wyszedł spod pióra nabzdyczonej snobki, co to zjadła wszystkie rozumy, a teraz raczy podzielić się z pospółstwem szczyptą swej bogatej wiedzy.

Imiona padały niczym grad: „Alainowie, Jean-Georgowie, Daniele oraz Mario tego świata nie jadą do Boise w stanie Idaho celem zabłyśnięcia na arenie kulinarnej, prawda?”.

Koszmar. Totalny koszmar. Zdjęta bezbrzeżną odrazą nie mogłam odebrać wzroku od tekstu. Przerzuciłam kartki i nim zdążyłam się powstrzymać, zatopiłam się w lekturze recenzji U Toma, przygryzając wargę niemalże do krwi na widok jadu zawartego w każdym zdaniu.

„Irlandczyk Tom Farrell przejął ukochaną przez miejscowych Il Seconde, zamieniając ją w uroczy lokalik". Pierwsze zdanie mówiło samo za siebie. Nazwać Toma Irlandczykiem, i to na samym wstępie? Założę się, że prędzej wolałby skonać niż przeczytać coś takiego. Na dodatek nie znosił określenia „uroczy". Nie znosił udziwnień, stawiał na autentyczność, w czym zdaniem autorki recenzji posuwał się do przesady. Napisałam, że kwiaty cukinii są wprawdzie pyszne, ale zupełnie ni w pięć, ni w dziewięć; podobno stali bywalcy szydzą z nich niemiłosiernie, uparcie domagając się pulpetów, których nie ma w menu. Byłam kelnerką w Il Seconde (napisałam) i wiem, że fartuchy muszą być czyste, woda zaś winna zawierać kostki lodu. Dodałam, że jako mój

były mąż pan Farrell na pewno mnie poznał, i wyraziłam nadzieję, że mimo to powstrzymał się od zatrucia zupy.

W sumie była to umiarkowanie kąśliwa, miejscami nawet zabawna recenzja. Lecz czytając między wierszami, zrozumiałam, jak bardzo chciałam zranić Toma. Myślę, że on też nie miał co do tego wątpliwości. To było straszne. Fleur miała rację. Byłam żołą. Niekwestionowaną królową żołą. Co za ohyda.

Następnie przeniosłam uwagę na recenzję Per Se, restauracji Thomasa Kellera, która dosłownie kleiła się od wazeliny. „Niczym dyrygent orkiestry symfonicznej, maestro Keller osiąga najwyższą harmonię smaków. Allegro, woła, i kalafiorowa *panna cotta* rozpływa się w ustach. Pianissimo, szepcze do rzodkwi, rzucając adagio pod adresem *rillette de lapin*. *Encore! Encore! Encore!*”.

Stek bzdur, pomyślałam, rzucając głupią książkę na podłogę, gdzie odbiła się od wyfroterowanych desek i uderzyła o ścianę. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i zobaczyłam głowę Tya.

- Najdroższa - powiedział - za godzinę mamy rezerwację. Czy nie powinnaś się ubierać? Paris radzi postawić na brąz. Wypijemy koktajl w bibliotece.

Nie zdążyłam mu powiedzieć, że zamierzam uciec z cyrkiem, w związku z czym ma się odwalić i zabrać ze sobą Paris, toteż z wysiłkiem zwlokłam się z łóżka i podreptałam do garderoby. Była imponująca. Sama w sobie stanowiła dobry powód, aby wyjść za kogoś, kogo prawie się nie zna. Szuflady pełne luksusowej bielizny, rzędy jedwabnych bluzek, cudowne kostiumy, bajeczne płaszcze i żakiety oraz cała sekcja poświęcona strojom wieczorowym. Takiej szafy nie powstydzilaby się Sharon Stone. Co do butów, ustawiono je na czterech półkach, biegnących wzdłuż wszystkich trzech ścian. Była tam cała bate-

ria obuwia sportowego w różnych kolorach, dalej stało kilka par czarnych szpilek, potem brązowych w identycznym fasonie oraz kremowych, też na wysokim obcasie. Pantofle wieczorowe lśniły niczym drogocenne klejnoty. Były tam buty od Manolo Blahnika, Jimmy'ego Choo. Wszystkie, o których kiedykolwiek marzyłam.

Mimo zacieklej poszukiwań nie wpadłam na trop żadnych wygodnych, porozciąganych ciuchów. Nic, w czym MC mogłaby poszwendać się po domu, żadnej spranej bluzy ani legginsów. Znalazłam wprawdzie jedną parę dżinsów, lecz nawet one miały nogawki zaprasowane w kant. Nic, w czym można by oglądać stare filmy, wylegując się na podłodze i zajadając chipsy. Moja obecna garderoba stanowiła przeciwieństwo dawnej, która wręcz do tego zachęcała. Przyszło mi do głowy, że może MC nie wolno jeść chipsów. Dokonałam pospiesznego przeglądu ubrań, rozmyślnie ignorując brązowe. Wreszcie wybrałam piękną bluzkę z czarnego lnu, znalazłam parę butów, które nadawały się do chodzenia, i dokonałam paru zabiegów upiększających.

Następnie wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w stronę biblioteki.

- Ależ kochanie - zaćwierkała niepewnie Paris - brąz bardziej pasuje do kapelusza.

- Chyba nie sądzisz, że włożę kapelusz? - burknęłam. - Przecież idziemy tylko na kolację.

Wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Kapelusz to twój znak firmowy, MC. Zawsze poruszasz się incognito, nawet jeśli akurat nie pracujesz. Nikt nie musi wiedzieć, jak jest naprawdę, na szczęście zdołaliśmy zataić smutną prawdę. Przynieś brązowy kapelusz, Ty, dobrze?

- Ani mi się waż - warknęłam na narzeczonego, który słusznie się zaniepokoił. - Nie włożę kapelusza. Czy możemy już iść? Umieram z głodu.

Jak łatwo przewidzieć, pierwszy występ w roli odrodzonej MC Conlan okazał się totalną porażką. Restauracja była wspaniała. Nie miałam pojęcia, że Alain Ducasse zniżył się do otwarcia małej filii, i choć przystawka kosztowała, bagatela, czterdzieści dolarów, nikt tu na nikogo nie patrzył z góry. Całość utrzymano w nowoczesnej bieli z akcentami oranżu, kelnerzy robili przyjazne wrażenie, a na stół podawano grzanki z masłem orzechowym domowej roboty, dżemem i masłem. Lecz Paris i Ty narzekali na wszystko: na stolik, przy którym Siedliśmy, na krzesła, wino, oświetlenie i muzykę.

Było to żenujące i do tego stopnia wyprowadziło mnie z równowagi, że kleks masła orzechowego wpadł mi za dekolt i musiałam wraz z Paris iść do łazienki, aby się go pozbyć. Następnie musiałam dalej wysłuchiwać utyskiwań, co kompletnie pozbawiło mnie przyjemności z posiłku, który co prawda wyglądał okazale, lecz smakował jak tektura. Nie mam pojęcia, po co zamówiłam sałatkę z homara (nie ma sensu jej jeść, jeśli się nie czuje smaku). Niemrawo dziobałam ją widelcem, podczas gdy Ty i Paris szukali rozwiązania mojego problemu.

Było jasne, że tych dwoje coś łączy. Może niekoniecznie coś seksualnego: Ty należał do mężczyzn o zgoła nieokreślonej orientacji (Paris też mi na taką wyglądała), lecz istniało między nimi napięcie, którego z całą pewnością brakowało w naszym „związku”. Pasowali do siebie. Założę się, że gdyby była ładniejsza, na pewno zaręczyłyby się właśnie z nią, lecz jak widać pod tym względem nie spełniała jego oczekiwań. Tymczasem zgrabna, jasnowłosa MC Conlan pasowała do zdjęć w rubrykach towarzyskich jak znalazł! Nieważne, że wychodziła za mężczyznę, który leciał na jej nową przyjaciółkę, i rozwodziła się z facetem, który wybrał starą. Uświadomiłam to sobie w połowie dorsza w marynacie z mlecza kokosowego i limonki. Ryba parowała, soczyste kawałki przywierały do widelca, lecz brak (bezsprzecznie) cudownego aromatu przelał

czarę goryczy. Z brzękiem upuściłam sztućce na stół i wybuchnęłam głośnym płaczem.

Stwierdziwszy, że nie będę w stanie się opanować, moi towarzysze byli tak zakłopotani, że zgodzili się zapakować mnie do samochodu, który odtransportuje mnie do domu, gdzie będę mogła „odpocząć”, podczas gdy oni z właściwą sobie pompą i wdziękiem dokończą posiłek (ostatnie słowa pochodzą ode mnie).

Pochylając głowę, aby ukryć łzy, wyszłam z lokalu, a serce krwawiło mi na myśl o utraconym życiu. Kiedy jednak szofer odwrócił się do mnie, pytając „Do domu?”, wpadłam na pomysł, który uciszył lęk.

Wydmuchawszy nos, podałam mu adres w West Village.

Dom. Oto czego mi potrzeba.

Oczywiście dom, do którego jechałam, nie należał już do mnie. To Fleur wpuściła mnie do środka, kiedy Wyszlochałam przez domofon, że uciekłam od Tya. W progu uderzył mnie wrzask Agnes. Zapewne na swój mały sposób była urocza, ale płuca miała doprawdy niegorsze. Z nagłą sympatią pomyślałam o kotach: nigdy nie przypuszczałam, że mogę je polubić, lecz wobec naporu decybeli ich notowania w moim prywatnym rankingu wzrosły znacząco.

- Co się dzieje, kochanie? - Fleur objęła mnie ramieniem, drugą ręką przytrzymując dziecko. - Jak to uciekłaś?

- Park Avenue jest do luftu. - Siąknęłam nosem, rozglądając się dokoła. - Nie mam dokąd pójść.

Nasze mieszkanie zmieniło się nie do poznania. Ceglane ściany, które jakoś nigdy nam nie przeszkadzały, pokryto żółtą farbą w ładnym, ciepłym odcieniu, a zniszczoną podłogę wycyklinowano, dzięki czemu deski zyskały jaśniejsze zabarwienie. Pokój umeblowano w nowoczesnym stylu, usunięto też aksamitnego Elvisa, którego dostaliśmy w prezencie z Vegas i który bardzo nas

śmieszył. Teraz w mieszkaniu nie było nic śmiesznego. Wystrój świadczył o dobrym guście, bardzo różnym jednak od gustu Tya i będącym czymś więcej aniżeli kalką z eleganckiego czasopisma. Nasza stara kuchnia, duża jak na okoliczne standardy, chociaż i tak ciasna, została całkowicie przebudowana. Dawną kuchenkę gazową, która kosztowała mnie wiele przypalonych rękawów i ścierek, zastąpił nowoczesny piec z rusztem. Pośrodku ustawiono wyspę z wbudowaną lodówką i zamrażarką; sięgała aż do salonu, tworząc podręczny kontuar i nadając wnętrzu nowoczesny ton. W rezultacie mieszkanie wyglądało tysiąc razy ładniej niż za mojej kadencji, co bynajmniej nie poprawiło mi nastroju. Łazienka, dawniej utrzymana w mało ciekawej, zielonkawej tonacji i przesiąknięta wonią wilgoci, została od sufitu do podłogi pokryta kafelkami. Co gorsza, w sypialni przybyła garderoba, nie wspominając o wielkim łóżu, na którego widok mało nie zwichnęłam nogi.

Jedyną pozytywną stroną zmian było to, że Agnes zajęła malutką sypialnię, która dawniej pełniła funkcję ukochanego przez Toma gabinetu. Byłam pewna, że Tom nie jest tym zachwycony: nie żeby mi na tym zależało, ale myśl, że życie beze mnie nie jest usłane samymi różami dodała mi otuchy. Domyślałam się, że jeszcze mniej cieszy go fakt, iż dziecięce drobiazgi nie mieszczą się w pokoju. Pluszaki oraz różne plastikowe akcesoria wysypywały się z kufra w rogu salonu, znacząco psując nowoczesny wystrój.

- Ładnie tu - oznajmiłam, usiłując nie patrzeć na bluzkę Fleur, którą szpeciła rozległa plama po wymiocinach. - Naprawdę ładnie. Świetnie się spisałaś. - Czerwona, aksamitna sofa nie wyglądała na rozkładaną, ale była dość długa, żeby na niej spać. W jednym rogu widniał fioletowy pled z moheru, pod kolor którego dobrano poduszki.

- Napijesz się herbaty albo soku? - spytała Fleur.

- Marnie wyglądasz.



Ona też nie wyglądała najlepiej. Zastanawiałam się, ile czasu zajmują Agnes wrzaski.

- Właściwie to chciałabym pożyczyć piżamę - oznajmiłam. - Muszę się przespać.

Fleur zamarła w pół kroku.

- Piżamę? - powtórzyła jak echo. - Chcesz tutaj spać? Connie, hm. Cholera. Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Co na to Ty?

- Nie musi o tym wiedzieć - odrzekłam, siadając na sofie. - Chyba mogę na tym spać. Albo pożyczymy łóżko polowe od twojej mamy. Przecież spałaś tu przed przeprowadzką na Mulberry Street, prawda?

Agnes wrzasnęła tak głośno, że mało mi nie popękały bębenki. Fleur wcisnęła dziecku smoczek do buzi, a następnie wsadziła je do chodzika. Mała zaczęła krażyć po pokoju, odpychając się nóżkami i obijając o meble, co było denerwujące, lecz przynajmniej nie groziło głuchotą.

- Connie - powiedziała Fleur, siadając na sofie i obracając mnie twarzą do siebie. - Wiem, że to dla ciebie trudne, kochana. Skoro z Tyem ci się nie układa, musimy coś na to zaradzić.

- On i Paris są tak pochłonięci organizowaniem mi życia, że prawie mnie nie zauważają - rzuciłam z pretensją. - Chodzi im tylko o to, żeby jak najszybciej wróciła do pracy i ruszyła z promocją książki.

- Kochana.

- Ta książka jest okropna, Fleur. Powinnaś ją zobaczyć. Są tam określenia typu „podrzynać” i „braterstwo”. Gdyby nie pieprzyk, w ogóle nie rozpoznałabym siebie na okładce.

- Domyślałam się, jakie to trudne, kochana, na pewno. Ty i Paris nie powinni cię do niczego zmuszać. Zwłaszcza jeśli nie jesteś do tego przekonana. Ale chodzi o to, że... Agnes! Tylko nie lampa! Jezu!



Małpiątko chwyciło lepką rączką za nisko zawieszony abażur, pozostawiając na nim brudne ślady. Na dźwięk ostrego głosu matki dziewczynka odwróciła się gwałtownie, wygięła usta w podkówkę, po czym wypluła smoczek i rozdarła się jak syrena alarmowa.

- Boże, to straszne - powiedziałam do Fleur, która i tak mnie nie usłyszała. Podniosła Agnes i próbowała ją uciszyć, lecz ta wyła wniebogłosy. Nie wyglądała na kogoś, kto łatwo daje za wygraną.

- Chodzi o to, Connie - podjęła niezmordowanie Fleur, kołysząc dziecko i poklepując je po tyle główki - że cię rozumiem i służę swoim wsparciem, ale nie możesz... Kurwa! Cholera jasna, psiakrew. Ty mała... Jezu Chryste. Ugryzła mnie w ucho! Nie do wiary. Przepraszam, kochanie. Mamusia bardzo przeprasza. Cholera, ale boli. - Agnes była tak zadowolona z siebie, że na chwilę zapomniała o wrzasku. Na uchu Fleur widniały dwa maleńkie wgłębienia, ząbki wbiły się boleśnie, ale na szczęście nie do krwi. Agnes musiała zauważyć to samo, gdyż rozkrzyczała się na nowo. Fleur sprawiała wrażenie, jakby miała pójść jej śladem. Od nowa rozpoczęła rytuał kołysania i poklepywania, lecz twarz miała ściągniętą z bólu. Ugryźć kogoś w ucho, a potem w nie nawrzeszczyć to nie byle co, pomyślałam. Głowa ciążyła mi ze zmęczenia. Chciałam się położyć. Zdjęłam buty i okryłam się pledem. Moje oczy potrzebowały odpoczynku, podobnie jak uszy. Zastanawiałam się, czy Fleur nie mogłaby uciszyć dziecka.

- Czy Agnes nie powinna aby iść spać? - zapytałam. - Pewnie jest zmęczona tym, hm, krzykiem.

- Connie - powiedziała Fleur tak ostro, że popatrzyłam na nią ze zdziwieniem. - Naprawdę rozumiem - powtórzyła - i chcę ci pomóc, i bardzo się cieszę, że znów jesteśmy przyjaciółkami, ale sytuacja jest dość skomplikowana. Nie chcę cię zranić ani zdenerwować, ale nie możesz tu zostać. Nie możesz zo-

stać w moim domu.

Chrobot klucza w zamku przerwał tę wymianę zdań i do mieszkania wszedł Tom z siatką, z której wystawał bochenek ciabatty oraz liście selera i *cilantro*. Na myśl o jego legendarnym *gazpacho* ogarnęła mnie fala przelotnego podniecenia, lecz świadomość aktualnej niemocy usunęła je w cień.

Na widok ojca Agnes wrzasnęła jeszcze głośniejsze; hałas wypełnił pomieszczenie, przygniatając nas, śmiertelników, do ścian.

- Connie - zawołał ze zdziwieniem Tom, odkładając zakupy na blat kuchenny. - Co się stało, mała? Wszystko w porządku?

- Connie chce tu zostać, Tom - oznajmiła Fleur, przekrzykując Agnes. - Uciekła od Tya.

- Chyba żartujesz. Co ten drań ci zrobił? Jezu, Fleur, czy nie możesz jej uciszyć? Co to ma znaczyć? Przecież wiesz, że Connie potrzebuje ciszy.

Fleur przerzuciła dziecko na drugie biodro, mrużąc oczy i zaciskając usta w wąską kreskę.

- Właśnie jej tłumaczę, że tutaj jej nie znajdzie, Tom.

Tom był tak zaaferowany, że mało się nie rozpląnęłam z wdzięczności. Dźwignęłam się z pozycji leżącej i zrobiłam mu miejsce obok siebie.

- Opowiedz mi, co się stało, mała.

Na te słowa Fleur obróciła się na pięcie i zabrała Agnes do jej pokoju, zapewne w poszukiwaniu czegoś innego niż poduszka. W salonie zapanowała głucha cisza.

- Ty nic mi nie zrobił - odrzekłam posepnie. - Ja po prostu go nie znam. Paris wiecznie siedzi nam na karku, oboje próbują mną rządzić. Mam już tego dość, Tom. Naprawdę dość. To jedyny prawdziwy dom, jaki znam. - Rozejrzałam się po pokoju. - Chociaż zmieniłeś go prawie nie do poznania.

Tom wzruszył ramionami z miną winowajcy.

- Cóż, to głównie sprawka Fleur - przyznał. - Mnie się podobało tak, jak było. Fleur interesuje się wystrojem wnętrz.

- No tak - skwitowałam. - Ale dzidziusia macie hałaśliwego.

- Mnie to mówisz? Kocham Agnes, jest moim małym aniołkiem, ale przy takim natłoku zajęć nie mam nawet jak się porządnie wyspać.

Sądziłam, że wystąpił w telewizji tylko gościnnie, okazało się jednak, że ma własny program. Cieszył się on tak dużą popularnością, że ludzie gorliwie rezerwowali stoliki w nadziei, że załapią się na występ w mediach.

Podczas mojej nieobecności (jak nazywałam to w myślach) Tom zyskał prawdziwą sławę. Pisywał dla czasopisma „New York”, udzielał się w Instytucie Żywnienia, czterokrotnie wystąpił w wiadomościach i prowadził rozmowy z agentem na temat napisania własnej książki kucharskiej.

- O rany - wydusiłam tylko. Popularność przydała mu pewności siebie, aczkolwiek raczej nie uderzyła do głowy. Nadal mieszkał w starym mieszkaniu, choć zapewne mógł sobie pozwolić na coś lepszego, no i oczywiście nadal traktował mnie bardzo życzliwie.

- Czytałam recenzję na temat twojej restauracji - przyznałam ze wstydem.  
- Nie wiem, jak w ogóle możesz ze mną rozmawiać. Postąpiłam strasznie, karygodnie. Gdyby się okazało, że to ty podsunąłeś Allenowi precel, nie miałabym ci tego za złe ani przez chwilę.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił, Connie - powiedział, a ja mu uwierzyłam. Kochałam go tak bardzo, że miałam ochotę wtulić się w jego objęcia, zamówić chińszczyznę, a potem żyć długo i szczęśliwie.

- I co, wymyśliliście coś? - Fleur wyszła z pokoju Agnes nieco wymięta, ale przynajmniej bez wrzeszczącego balastu.

- A co takiego mieliśmy wymyślić? - spytał Tom.

Fleur zrobiła zakłopotaną minę.

- Przecież Connie nie może tu zostać, Tom. Jest za mało miejsca. I za dużo hałasu. Poza tym tak... hm, nie można. Connie, naprawdę strasznie mi przykro. Zupełnie nie wiem, jak mam postąpić.

- Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką - rzuciłam oskarżycielsko. - My pozwoliliśmy ci u nas nocować.

- Ależ jestem twoją przyjaciółką, kochanie. Ale przez dwa lata nie byłam, a od momentu kiedy u was nocowałam, sprawy trochę się pogmatwały, nie uważasz?

- Cóż, trudno mnie winić za to, że zamieszkałaś z moim mężem - odparłam. - Nie przypominam sobie, żebym przykładała ci pistolet do głowy. - Rzecz jasna w ogóle nic nie pamiętałam, lecz Fleur dawała mi do zrozumienia, że jestem intruzem, co bardzo mi się nie spodobało.

- Ejże - wtrącił Tom. - Przecież nie wyrzucimy jej na ulicę, Fleur. To Connie.

- Moim zdaniem powinna wrócić do Tya. Jakoś do tej pory nie narzekała na jego towarzystwo.

Odpowiedziałam jej głośnym i (przyznaję bez bicia) nieco przesadnym łkaniem.

- Nie wiem, co było do tej pory - Wyszlochałam. - Wiem tylko, co jest teraz. I co było kiedyś. Nie pasuję do Tya. Urządził dom na beżowo i w kółko gada o Ericu, Jean-Georgesie i Jeffreyu Steingartenie, jakby byli jego przyjaciółmi. W dodatku prasuje pościel. To okropne.

- Jezu, Fleur. - Tom otoczył mnie ramionami. - Miej serce. - I dodał: - Oczywiście, że możesz zostać. A jeśli Agnes będzie hałasować, Fleur zabierze ją do swojej matki.

## ROZDZIAŁ 13

Jako osoba bezdzielna (chyba na tym etapie już bym się dowiedziała, gdybym miała gdzieś w wózku nieletnią latorośl), nie miałam pojęcia, że jeśli partner każe ci zabrać hałasujące dziecko do matki, równa się to niemalże zdradzie stanu i zasługuje na karę w postaci całonocnej kłótni. Sama usnęłam jak dziecko i przespałam chyba jedenaście godzin. Kiedy się obudziłam, Fleur i Agnes zniknęły, a Tom siedział przy stole szary ze zmęczenia i chory z nerwów.

- Muszę odwieźć cię do domu, mała - powiedział po tym, jak zaparzył mi kawę i wyrysował w piance serduszko. Miał podobny ekspres jak Ty i nie wahał się go zabrudzić. Wypiłam łyk. Kawa parzyła w usta i smakowała jak powietrze. Szukałam słów, aby zaprotestować przeciwko wyrzucaniu mnie z jedyne miejsce, gdzie czułam się jak u siebie.

- To jest mój dom, Tom. Jedyne, jaki znam. Musisz pozwolić mi zostać. Proszę.

- Gdyby chodziło tylko o mnie... Ale jest dziecko i Fleur. Zjawiałaś się w niezbyt sprzyjającej chwili.

- Co się dzieje?

- To, co zawsze, kiedy na świat przychodzi dziecko. No wiesz, drzemy koty, nie dosypiamy, prawie wcale się nie... mniejsza o szczegóły, Connie, ale cholera, czasem naprawdę się zastanawiam...

- Nad czym?

- Czy dobrze zrobiłem. - Był wyczerpany i zgnębiony. Głupie serce mała nie wyskoczyło mi z piersi. - Może masz rację. Może powinienem o ciebie walczyć. Ale naprawdę byłem tak wściekły, kiedy odeszłaś. Jezu, zawsze wiedziałaś, jak mnie wkurzyć, Connie, ale Ty Wheatley? To mnie po prostu dobi-

ło. Związek z Fleur pozwolił mi o tym zapomnieć. To wydawało się najprostszym rozwiązaniem. Ale czy najwłaściwszym? Nie byłbym taki pewien.

- Nie kochasz jej? - Nie wiedziałam, jakiej odpowiedzi oczekuję. Wiedziałam tylko, że na pewno uderzy ona w którąś z nas.

- Kocham - odpowiedział. - Ale nie tak jak ciebie. O mamó.

Ja też czułam to dawne, kojące napięcie między nami. Pewnie, kłóciliśmy się, aż iskry leciały, ale pokażcie mi parę, która tego nie robi. Jasne, że mnie tłamsił, ale przecież nikt nie jest doskonały. Ja na pewno nie. I pamiętajcie, że potrzebowałam opieki.

Przyszło mi do głowy, że pod nieobecność Fleur i Agnes moglibyśmy zrobić to, co zawsze zwykliśmy czynić w idealnej harmonii. Nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło, od kiedy ostatnio uprawiałam seks. Oglądałam filmy, w których pielęgniarze robili straszne rzeczy pacjentkom pogrążonym w śpiączce, ale signora Marinello na pewno nie pozwoliłaby mnie skrzywdzić. Ostatni numerek odbył się w zaciszu pokoju hotelowego w Wenecji i okazał się czczym, aczkolwiek bardzo sugestywnym wymysłem. Do diabła, nie powiem, że nie miałam na to ochoty.

Jednakże w prawdziwym świecie nie byłam aż tak rozwiązła. Straciłam pamięć i zmysł smaku, ale miałam dość przyzwoitości, aby trzymać łapy z dala od faceta przyjaciółki. Chociaż Bóg jeden wiedział, że potrzebowałam seksu, Tom zaś teoretycznie nadal był moim mężem.

- Pojadę do domu - zdecydowałam, wstając i obciągając ubranie, którego szczęśliwie nie zdjęłam. - Ale nie wracam do Tya.

Pozostawało zatem tylko jedno miejsce.

- A więc pamiętasz, gdzie mieszkamy? - Matka musiała czekać tuż za drzwiami, gdyż ledwie zdążyłam nacisnąć guzik dzwonka, ona stanęła na progu, zasłaniając sobą zagracony korytarz i zacisnąwszy usta, zmierzyła mnie

oskarżycielskim spojrzeniem, odnotowując po drodze torbę z rzeczami na zmianę, którą spakowałam pod nieobecność Tya. - Podobno następnym razem miałyśmy zjeść ciasto. Moja wina, mam zbyt dobrą pamięć. Och, przepraszam - dorzuciła, kiedy w milczeniu precyzyjnie się na korytarz. - Czy mogę mówić do ciebie w ten sposób? W moim domu? W domu, w którym chcesz nocować?

Nie było to powitanie, jakiego bym sobie życzyła, ale nie nocowałam tutaj, odkąd zamieszkałam z Tomem pod koniec lat osiemdziesiątych. Wtedy to matka na odchodne rzuciła we mnie parą starych tenisówek oraz moim jedynym misiem.

- To Mary-Constance - oznajmiła w dużym pokoju, tak jakby nie wiedzieli. - Nie układa jej się na salonach Park Avenue.

Frankie, inny niż ten, którego zapamiętałam, zeskoczył z sofy, jazgocąc jak oszalały. Rzucił się na mnie, niezwłocznie przystępując do kopulacji z moją lewą nogą. Próbowałam go strząsnąć, ale przywarł jak rzep, zawzięcie atakując lędźwiami moje spodnie od Ann Klein. Wzrok miał przy tym, że tak powiem, dość szklisty.

Emmet, który w brudnym dresie siedział przy stole, popijając kawę rozpuszczalną i kopiąc papierosa, na mój widok wyszczerzył zęby, a tata porzucił krzyżówkę i wstał, żeby mnie uściskać. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na Frankiego, który sądząc po odgłosach, znajdował się o krok od przedwczesnego wytrysku.

- Malutka - powiedział życzliwie ojciec. - Miło cię widzieć w dobrej formie. Witaj w domu.

Muszę przyznać, że jego widok przyprawił mnie o niemały wstrząs. Skurczył się znacznie, był teraz niższy ode mnie. Czy zawsze tak było? Pewnie tak. Od naszego ostatniego spotkania stracił też sporo włosów. Wyglądał jak



staruszek, ojciec kogoś innego.

- Czy możecie coś zrobić z tym psem? - zapytałam, usiłując oderwać Frankiego od swojej łydki. Jego poszczekiwanie przeszło w agonalne rżenie.

- Czy możesz mi pomóc, tato?

Ojciec skierował wzrok w dół i lekko pstryknął palcami, na co zdyszany pies natychmiast opadł na cztery łapy. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby sięgnął po jeden z papierosów Emmeta. Ojciec rzucił lubieżnemu stworzeniu głupekowaty uśmiech, po czym ponownie przeniósł wzrok na mnie.

- Dlaczego nie odwiedziłeś mnie w szpitalu? - zapytałam. - Mogłam umrzeć.

- Ależ odwiedziłem - odpowiedział z zakłopotaniem. - Mama ci nie mówiła?

- Tylko Mary-Constance mogła zginąć z powodu precla - rzuciła lekceważąco matka z maleńkiej kuchni, gdzie bez określonej przyczyny trzaskała garnkami. - Zawsze byłaś inna.

- Moim zdaniem śmierć z powodu precla to fajna rzecz - bąknął Emmet. Byłam pewna, że jest nawalony. Cóż, ostatecznie dochodziła jedenasta rano. - To lepsze niż rak. Albo cukrzyca. Taka, przy której gniją nogi i trzeba je amputować.

Powroty po latach sprawiają, że bezwiednie cofamy się do czasów dzieciństwa.

- Przymknij się, imbecyłu - warknęłam.

- Nie waż się tak mówić do brata - krzyknęła matka. - Nie będziesz się tutaj rządzić. Pamiętaj, że jesteś u nas gościem.

- No właśnie, zresztą sama się przymknij - zarechotał Emmet, pokazując mi ukradkiem środkowy palec. - Gościu.

- Pięcioliterowy wyraz oznaczający harmonię - mruknął do siebie tato,

nie odrywając wzroku od krzyżówki.

Było tak, jakbym nigdy się stąd nie ruszała, i na samą myśl przewróciło mi się w żołądku. Bez słowa sięgnęłam po torbę i poszłam do pokoju, który niegdyś dzieliłam z Emmetem. Śmierdział brudnymi skarpetami oraz czymś jeszcze, nad czym wolałam się nie zastanawiać. Na wszystkich czterech ścianach wisiały plakaty z wizerunkami tenisistek, na komodzie zaś spoczywała kolekcja fajek do marihuany. Ległam na łóżku i wpatrzona w sufit w duchu utyskiwałam na niesprawiedliwość swej pożałowania godnej sytuacji.

Tego wieczora matka podała najpodlejszy makaron z serem, jaki kiedykolwiek przyszło mi kosztować. Nie wiem, co do niego dodała, ale było to brązowe, a kawałki marchewki i buraczków kleiły się do klusek. Nie próbujcie sobie tego wyobrażać, bo straciecie apetyt. Emmet, który wypalił tyle trawy, że oczy poczerwieniały mu jak maliny, z lubością pociągnął nosem, jakby od dawna nie miał nic w ustach, ojciec zaś dziarsko wymachiwał widelcem, winszując matce co drugi kęs.

Czułam się słaba z głodu. Wiedziałam, że muszę coś przekąsić bez względu na to, jak wstrętnie wygląda. Makaron był rozmiękły, a sos tak lepki i zwarty, że przywarł mi do podniebienia wielką grudą i za nic nie dawał się odkleić. Marchew okazała się rozgotowana, buraki zaś twardawe. Po kilku kęsach, które miały mi pomóc przetrwać noc bez ryzyka śmierci głodowej, dałam za wygraną, odsunęłam talerz i grzecznie podziękowałam za posiłek.

- O co chodzi? Za niskie progi na twoje nogi? Nie to, co twoje frykasy, hm? - zauważyła kąśliwie matka.

- Nie czuję smaku - odrzekłam dyplomatycznie. - Jedzenie straciło sens.

- Musisz jeść, kochanie - upomniał z uśmiechem ojciec.

Wydawał się taki oderwany od życia i roztargniony. Zawsze taki był?

- Nic mi nie będzie - skwitowałam, całując go w łysiejącą, piegowatą

głowę. - Powinnam zadzwonić do Tya.

- Pozdrów albinosa - poleciał z pełnymi ustami Emmet.

Ku mojej uldze albinosa znowu nie było. Wiem, że Fleur zadzwoniła do niego poprzedniego wieczora, informując, gdzie jestem, dlatego nagrałam się na sekretarkę, mówiąc, że kilka dni pomieszkam u rodziców. Prosiłam, żeby nie dzwonił i nie napuszczał na mnie Paris. Prawdę powiedziawszy, mało się nie zламаłam i nie poprosiłam, aby po mnie przyjechał. Przynajmniej mogłam u niego liczyć na dobre jedzenie. No i miałam luksusową sypialnię z imponującą garderobą. Ale przypomniałam sobie, jak rozmawiał o mnie z Paris: przecież nie byłam osobą, za którą mnie brali. Zrozpaczona tą myślą rzuciłam się na łóżko i płakałam, dopóki nie ukołysał mnie sen.

Następnego ranka gmerałam w miseczce owsianki. Kiszki grały mi marsza, lecz każdy kęs przypominał żucie mokrego brystolu. Lubiłam płatki owsiane, ale zwykle kupowałam pełnoziarniste w sklepie ze zdrową żywnością, podczas gdy owsiankę matki naszpikowano barwnikami, nie wspominając o tym, że przyrządzało się ją w piętnaście sekund w mikrofalówce. Oczywiście nie czułam różnicy w smaku, ale mogłam się jej domyślić. Było to nader przykre doświadczenie, podobnie jak manewry Frankiego, który pod stołem usiłował zgwałcić mój kapeć.

- Chyba wpadłaś mu w oko - zauważył szyderczo Emmet przy wtórze natchnionych popiskiwań spod stołu.

Zaloty Frankiego zaczynały działać mi na nerwy. Był to kolejny przykład na to, jak rozchwiane stało się moje życie. Trzydziestosześcioletnie kobiety nie powinny mieszkać z rodzicami. Krytycy kulinarni nie powinni tracić smaku. Psy nie powinny zaś spółkować z obuwem.

Później, po prysznicu w maleńkiej łazience, uważnie obejrzałam swoje nagie ciało w zaparowanym lustrze. Wciąż chudłam i stawałam się sobie coraz

bardziej obca. Według wagi ważyłam obecnie pięćdziesiąt osiem kilo. Moja skóra zyskała blady i niezbyt ciekawy odcień szarości. Wyglądałam jak osoba, która lada chwila zniknie z powierzchni ziemi. Była to tak przerażająca myśl, że z powrotem naciągnęłam piżamę i wróciłam prosto do łóżka, gdzie przetrzymałam do zmierzchu, kiedy już mogłam naprawdę iść spać.

Następnego dnia Emmet kupił mi czasopismo „Gourmet”, lecz na sam widok zachciało mi się płakać. Podciągnąwszy kolana pod brodę, skuliłam się w łóżku i próbowałam zasnąć, on jednak niezmordowanie kopcił trawkę, doprowadzając mnie do ataków kaszlu. Nie miałam nawet siły wrzasnąć, żeby poszedł do diabła. Tkwiłam bezwolnie w miejscu, czując, jak dym wypełnia mi płuca, po czym wreszcie zasnęłam. Przypuszczalnie nawdychałam się tego tyle, że spokojnie mogłam przekimać do połowy następnego tygodnia.

Wieczorem ojciec przyniósł mi koszyczek truskawek. Dostał je od swego kolegi Barneya, którego syn prowadził gospodarstwo za miastem. Widok okazałych owoców najpierw mnie przygnębił, ale zawsze lubiłam truskawki, zwłaszcza miejscowe, o niebo lepsze od ich całorocznych, kalifornijskich odpowiedników. Jak się okazuje, truskawka to nie tylko smak. Weźmy na przykład szypułkę: jej wyciąganiu towarzyszyło ciche plaśnięcie, które, nie wiedzieć czemu, dodało mi otuchy. Kiedy zaś wgrzyłam się w opasty owoc, poczułam, jak miąższ ustępuje pod naporem zębów, uwalniając nagromadzone wewnątrz soki, a pestki zahaczają o podniebienie. Delektowałam się każdym kęsem, uciekając się do pomocy wyobraźni, a potem głośno przełykałam ślinę, czując, jak owoc ześlizguje się w dół przełyku.

- Nie płacz, Connie - powiedział tata, siadając na łóżku i spoglądając na mnie ze smutkiem. Rzeczywiście, nie zauważyłam, że płaczę, kiedy jednak uniosłam rękę do policzka, przekonałam się, że miał rację. Próbowałam ukryć przed sobą prawdę o swym smutnym położeniu i chyba nie bardzo mi to wy-

chodziło.

- Mama uważa, że to niezdrowo kisić się w łóżku cały dzień - powiedział tata. W jego głosie pobrzmiwał cień irlandzkiego akcentu.

- A ty co myślisz, tato?

- Myślę, że powinnaś zastosować się do jej rad.

No jasne. Zawsze wychodził z tego założenia. Kochałam ojca, naprawdę. Zawsze był w pobliżu i w razie potrzeby służył buziakiem lub krzepiącym uściskiem dłoni, przeważnie jednak ginął gdzieś w tle moich wspomnień. Grunt to życie lekkie, łatwe i przyjemne, to jego motto. Dam głowę, że każe to sobie wyryć na nagrobku. I choć byłam wdzięczna, że ofiarował mi miłość i zrozumienie, nieskończenie smucił mnie fakt, że tak niewiele o nim wiedziałam.

Usłyszałam, jak matka włącza odkurzacz i postukuje nim w zamknięte drzwi. Kiedyś dawała mi w ten sposób do zrozumienia, że pora wstawać, co też natychmiast robiłam. Zawsze bez szemrania wypełniałam jej polecenia. Zastygłam, z truskawką w uniesionej dłoni. Życie lekkie, łatwe i przyjemne. O rany. Może byłam nieodrodną córką własnego ojca, podążającą przez życie po linii najmniejszego oporu. Odłożywszy truskawkę do koszyka, odwróciłam się z powrotem do ściany.

- Dzięki za owoce, tato - powiedziałam. - Prześpię się trochę, dobrze?

- Dobrze, Connie - odpowiedział z lekkim smutkiem tato.

Czyżby dostrzegał we mnie swoje odbicie? Żałował, że niepostrzeżenie stałam się taka jak on? Wiedziałam, że nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie. Usłyszałam, jak wychodzi z pokoju, mamrocze coś do Królowej Odkurzaczy, po czym nastąpiła błoga cisza.

- Kiedy masz zamiar wreszcie ruszyć tyłek? - zapytał następnego dnia Emmet. Przyszedł do pokoju, aby zmienić jeden brudny dres na drugi. - Rola

najbardziej aktywnego członka rodziny średnio mi się uśmiecha. Poza tym wolałbym mieć pokój tylko dla siebie, gdybyś więc mogła łaskawie wrócić do narzeczonego... Stary całymi dniami ogląda kanał historyczny. Stanowczo przyswajam za dużo wiedzy. Pora na randkę z Anną Kournikova.

- Od kiedy tata bez przerwy ogląda telewizję? - Myślałam o tym całą noc, pomiędzy jednym koszmarnym snem a drugim.

- Dajże spokój - burknął Emmet, wachając parę skarpetek. - Czterdzieści lat reperował buty. Chyba zasłużył na odpoczynek.

Ojciec pracował ciężko w warsztacie szewskim Joego Rivery na Lexington, wychodząc codziennie o ósmej rano, a wracając o szóstej. Nie zbił fortuny, ale nigdy nie brakowało mu niczego prócz wakacji. Wszystko przez matkę. Twierdziła, że gdy jeden raz w życiu opuściła Manhattan, ocean groził sztormem, a poza tym nigdzie nie jest lepiej niż tu, więc po co zawracać sobie głowę? Biorąc pod uwagę dochody rodziców, wszyscy chodziliśmy w bardzo przyzwoitych butach. W warsztacie obowiązywała zasada, że obuwie nieodebrane w przeciągu sześciu miesięcy przechodzi na własność firmy. Joe miał cztery małe córeczki, które przez całe życie nosiły czwórkę, ja zaś mogłam się poszczycić okazałą stopą rozmiar dziewięć. I tak byłam prawdopodobnie jedyną licealistką, która do dzinsów z lumpeksu wkładała buty o wartości trzystu dolarów.

- Ale co to za życie, Emmet, łatanie butów i oglądanie kanału historycznego?

- A bo ja wiem? - Emmet spojrzał w lusterko ścienne i nastroszył sobie włosy. - Chyba normalne. Przecież jest dobrym ojcem, nie? Nie chlał, nie przepuszczał kasy, nie uciekł z sekretarką. - Odwrócił się do mnie i ku swemu zdziwieniu zobaczyłam na jego twarzy zdenerwowanie. - Musimy pogadać, siostruniu - powiedział. - Wiem, że to pewnie nie najlepsza pora, ale zawarli-



śmy umowę, dlatego chciałbym wiedzieć, kiedy dostanę tych dwadzieścia partyków.

- Słucham?

- Daj spokój, Connie, mówię o dwudziestu tysiącach, które obiecałaś mi pożyczyć. Są mi bardzo potrzebne. Czekałem cały miesiąc, pamiętasz, kiedy byłaś w śpiączce, ale teraz naprawdę mam nóż na gardle.

Byłam tak przygnębiona, że nie starczyło mi sił nawet na niedowierzenie. Wiedziałam, że Emmet jest zdolny do najpodlejszych zagrywek, ale żeby upaść tak nisko? Własny brat wykorzystuje moją amnezję, żeby wyciągnąć ode mnie pieniądze? Trudno o większe dno.

- Emmet, powinieneś wiedzieć, że w czasie operacji nie pozabawiono mnie mózgu - oznajmiłam lodowatym tonem.

- Ale siostra - wyjęczał - przecież obiecałaś. Gość potrzebuje pieniędzy do końca tygodnia. Inaczej interes życia przejdzie mi koło nosa.

- Emmet, narkotyki trudno nazwać interesem życia. Równie dobrze mógłbyś te pieniądze wziąć na podpałkę, jak już nieraz bywało. Jezu, co się z tobą dzieje?

- Dzięki za zaufanie, Connie. Mówiłem ci przed, no wiesz, całą sprawą z Woodym Allenem. Mój kumpel Ron potrzebuje kapitału, żeby rozkręcić biznes z dystrybutorami gorących ręczników. Jeśli się nie dorzucę, wykluczy mnie ze spółki, a szkoda by zmarnować taką szansę, mówię ci.

- Wiesz co, Emmet? - Miałam już tego dosyć. - Nawet nie wiem, czy dysponuję taką kwotą, ale jestem pewna, że i tak byłbyś ostatnią osobą, której bym ją powierzyła. Ile już jesteś mi winny? Wpłacałam za ciebie kaucję chyba ze sto pięćdziesiąt razy. Cóż, może tym razem ktoś powinien wpłacić ją za mnie. Przyszło ci to kiedyś do głowy? A tak à propos, kiedy następnym razem będziesz chciał wyłudzić ode mnie kasę, wymyśl coś lepszego niż rzewna hi-



storyjka o dystrybutorach gorących ręczników. Żenada.

- Już wiem, co mama miała na myśli - odpowiedział - kiedy mówiła, że się obudzisz jeszcze gorsza. - Wychodząc, trzasnął głośno drzwiami.

Długo myślałam o tym, co powiedział o ojcu. Miał rację. Był dobrym ojcem i nigdy nic nie wskazywało na to, że jest niezadowolony z życia. A pamiętajmy, że ożenił się z moją matką. Później tego samego dnia wyszłam z sypialni i przez chwilę pooglądałam z nim kanał historyczny. Frankie mierzył mnie z sofy lubieżnym spojrzeniem, ślina ciekła mu z otwartego pyska. Ignorując jego dychawiczny oddech, usiłowałam się skupić na „Tajemnicy Stonehenge”, co nie było łatwe.

Po powrocie ze sklepu matka zrobiła ojcu (oraz z pewnym ociąganiem mnie) kanapkę z podsmażaną wołowiną.

I chociaż mięso ciążyło mi na żołądku jeszcze długo po posiłku, muszę przyznać, że całość okazała się nie najgorsza. Nic nie było zepsute ani nie usiłowało uciec z talerza, wszystkie składniki zaś posiadały odpowiedni kolor i temperaturę.

- Dobra kanapka, mamó - pochwaliłam, odnosząc talerze do kuchni.

- Wreszcie zrobiłam coś jak należy. - Wzięła talerze, nawet na mnie nie patrząc. - Chwała niebiosom. Czym sobie zasłużyłam na takie wyróżnienie?

W milczeniu wróciłam do pokoju. Widząc, że Frankie oblizuje się na mój widok, umknęłam do sypialni i poszłam spać.

Nocą ponownie przyśnił mi się koszmarne sen i leżałam po ciemku zlaną zimnym potem, a serce biło mi jak szalone. Walczyłam z przemożnym lękiem, że podobny stan ducha będzie mi towarzyszył do końca życia. To było nie do zniesienia. Przyszłość nie rysowała się zachęcająco. Coś musiało się zmienić, i to na lepsze. Człowiek nie może żyć w takiej rozpacz. Ogarnięta paniką przewracałam się z boku na bok, po czym nad ranem usłyszałam, jak drzwi

wejściowe otwierają się z hukiem i z korytarza dobiegły ciężkie kroki Emmeta. Zamiast swoim zwyczajem zwalić się na sofę w dużym pokoju, wpadł do naszej sypialni, zapalił światło i na mój widok krzyknął ze zdziwienia.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam.

Wyglądał okropnie. Miał rozbiegany wzrok, oklapnięte włosy i obficie się pocił.

- Kurwa - powiedział. Popatrzył na mnie, a potem znów na siebie. - Jezu.

- Zachwiał się i runął na komodę, przewracając kosmetyczny arsenał MC.

Część flakoników i słoiczków z hałasem pospadała na podłogę.

Wyskoczyłam z łóżka i pomogłam mu je pozbierać.

- Bądź cicho, Emmet, obudzisz rodziców - syknęłam, ale było już za późno. Serdelkowate ciało Frankiego wparowało do pokoju, a za nim zamajaczyła postać w żółtej pikowanej satynie: matka.

- Rany, zaraz puszcze pawia - wydusił Emmet, po czym przemknął obok nas i wpadł do łazienki, gdzie niezwłocznie opróżnił żołądek. Nie był to miły odgłos.

- Zadowolona? - zapytała matka, spoglądając na mnie z obrzydzeniem. - O to ci chodziło? Co? A bez ciebie było nam tak dobrze.

Na takie dictum rozboleło mnie serce. Dosłownie. Nie wiem, jakim cudem uodporniłam się na nią w przeszłości, ale miarka się przebrała. Zewnętrzna skorupa, którą stworzyłam wokół siebie, aby uchronić się przed jej złością, przestała istnieć. Nie mogłam się odwrócić i udawać, że mnie nie zraniła, nie mogłam jej wyśmiać ani szukać pocieszenia w ramionach kogoś innego. Tego kogoś zabrakło. Byłam zdana wyłącznie na siebie. Leżałam na dnie, a ona tkwiła tuż nade mną. Ale dlaczego?

- Nie było wam dobrze - odparłam. - Nigdy nie było wam dobrze.

Na widok jej wstrząśniętej twarzy mało nie przystanęłam w pół kroku.

Bałam się matki tak, jak boimy się kogoś, kto może wytoczyć przeciwko nam najcięższą artylerię i sprawić najwięcej bólu. Kiedy jednak stałam w swoim dawnym pokoju obok nadnaturalnej wielkości zdjęcia Venus Williams, wsłuchana w nieprzystojne odgłosy dobiegające z łazienki, pod gradem nieuzasadnionych oskarżeń, zrozumiałam, że matka nie może zranić mnie już bardziej. Pora skończyć z filozofią łatwego życia. Pora się zmienić, i to na lepsze.

- Oczywiście, że nie jestem zadowolona - dodałam. - Z czego tu się cieszyć? W tej rodzinie jest tylko jedna osoba, która wydaje się zadowolona z życia. Trudno się dziwić, przecież spędza większość czasu w odległych epokach.

- Ani mi się waży mówić tak o własnej rodzinie - warknęła matka, tak mocno zaciskając szlafrok pod brodą, że kostki jej zbieleły. Frankie siedział u jej stóp z postawionymi uszami i świdrował mnie jednym okiem. - Z naszą rodziną jest wszystko w porządku.

- W porządku? Jezu, mamó, nigdy nie słyszałaś określenia „dysfunkcyjna”?

- Nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno pod moim dachem!

- Nie wzywam, mamó, mówię o nas! - Mówiłam coraz głośniejszym głosem, dając upust nagromadzonym emocjom.

- Jeszcze jedno słowo, a pójdiesz na bruk, Mary-Constance, i to głową naprzód, może to nauczy cię moresu!

Odwróciła się na pięcie i pomknęła w stronę kuchni, zamiast jednak przełknąć gorzką pigułkę i iść spać, ruszyłam za nią. Trzaskała drzwiczkami od szafek w poszukiwaniu szklanki, którą wreszcie napełniła wodą, by zaraz wyłączyć ją z powrotem. Ręce jej się trzęsły, była cała rozdygotana.

Kim jest ta kobieta, pomyślałam. I dlaczego jest taka zła? Czy zawsze była taka zła? Stałyśmy tak przez chwilę, ona kipiąca gniewem, ja wpatrzona w jej zeszywniałe plecy i olśniona nagłym odkryciem. Niczemu nie zawiniłam.

O nie. Nie była zła, że opuściłam męża, mało nie zginęłam z powodu precla czy doprowadziłam do tego, że Emmet męczył się w toalecie. Była po prostu zła, koniec i kropka.

- Dlaczego taka jesteś? - spytałam cicho, pełna nieskrywanego zdumienia. - Kto ci to zrobił?

Pytanie kompletnie zbiło ją z tropu. Opuściła ramiona i wydała z siebie mimowolne westchnienie. Widziałam w szybie odbicie jej twarzy, za wszelką cenę próbowała się opanować.

- Przecież nie daję ci powodu do gniewu, mamó. Jestem dobrym człowiekiem, dobrą córką. Przepraszam, że ukradłam precel Woody'emu Allenowi i zapadłam w śpiączkę. Nie pamiętam połowy rzeczy z ostatniego okresu, ale...

Zaraz, zaraz, przecież ja wcale nie mówiłam szczerze. Prawda wyglądała tak, że miałam powyżej uszu przeprosin za domniemane przewinienia.

- O nie. - Ta nagła zmiana taktyki przeraziła nawet mnie samą. - Wiesz co? Wcale nie jest mi przykro. Przydarzyły mi się okropne rzeczy, mamó. Byłam bliska śmierci, straciłam pamięć i nie czuję smaku, co oznacza, że najistotniejszy aspekt mojego życia legł w gruzach. Nie mam obowiązku za to przeproszać, bo ty tak chcesz. Na miłość boską, twój syn jest zaćpanym trutniem, który żeruje na tobie od urodzenia, a mąż spędzi kolejnych dwadzieścia lat na oglądaniu filmów o rycerzach, nawet twój pies jest dewiantem. Dlaczego wszystko zwalasz na mnie?

Dobre pytanie. Dlaczego zawsze ja byłam wszystkiemu winna?

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to właśnie ja mogłam być twoją najlepszą inwestycją? Czy kiedykolwiek o tym pomyślałaś? Ja. Została mi może połowa mózgu, nie mam męża, narzeczonego ani smaku, zrezygnowałam z luksusów, ale wciąż jestem twoją najlepszą inwestycją. Dlaczego więc zawsze się na mnie wyładowujesz, mamó? Dlaczego nie padnie na tatę? Albo na

Emmeta? Zawsze jesteś na mnie wściekła, a ja nie wiem za co. Próbowałam jakoś to obejść albo przeskoczyć, ale dłużej już nie dam rady. Nie dam! - I oczywiście się rozryczałam. - Jezu, czy ty mnie w ogóle słyszysz? Co się z tobą dzieje?

Nadal zwrócona do mnie plecami otworzyła lodówkę i wyjęła resztki ohydneho makaronu z serem, którego widok dodatkowo mnie rozeźlił.

- Schowaj to świństwo - załkałam. - Twoje obiady są niejadalne. W ogóle nie powinnaś się brać do gotowania, tylko marnujesz składniki. Słuchasz mnie, mamó? Czy ty mnie słuchasz?

Nie wierzyłam, że to mówię. Ba, w gruncie rzeczy nie byłam pewna, czy te słowa płyną z moich ust. Czułam się tak, jakbym dryfowała gdzieś w górze, śledząc sytuację z pewnej odległości. Podobne uczucie często towarzyszy osobom po urazach głowy, ale jeszcze o tym wówczas nie wiedziałam. Nadal balansowałam na pograniczu jawy i snu. Tak czy inaczej, kiedy tak unosiłam się pod sufitem, zobaczyłam coś, co sprawiło, że na chwilę zapomniałam o złości. Po pierwsze to, że pod kloszem tkwiła masa zdechłych much, po drugie zaś to, jak drobna jest moja matka. W gniewie stanęłam tuż za nią i byłam ogromna, pomimo chudych ud. Zdjęta furią zawisłam nad jej kruchą sylwetką z pięściami przyciśniętymi do boków i wysuniętym podbródkiem. Wcale nie wyglądałam na uciśnioną ofiarę, za którą się uważałam. Wiecie, jak wyglądałam? Jak prześladowca.

Tknięta ostatnią myślą powróciłam do swego ciała, które skurczyło się i sflaczało jak przekłuty balon.

- Mamó - wykrztusiłam w nagłym przypiływie strachu. - Przepraszam. Ja nie chciałam. Bardzo cię przepraszam.

Lecz ona też jakby opadła z sił. Oparła się o lodówkę, zgięta jak przecinek nad miską z resztkami obiadu. Gniew wyparował bez śladu.

- Mamo? - W miejsce złości pojawił się lęk. - Proszę. Przecież powiedziałam, że przepraszam.

Ani drgnęła. Kiedy się odezwała, pozbawiony zwykłego rozdrażnienia głos zabrzmiał, jakby należał do kogoś innego.

- Nie masz pojęcia, jakie masz szczęście, Mary-Constance - powiedziała.  
- Nigdy nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Nigdy nie zrobiłam ci krzywdy. Nigdy nie podniosłam na ciebie ręki. Nigdy cię nie ukarałam. Ani razu.

- Nigdy mnie nie ukarałaś? Mamo, przecież ty mnie bez przerwy karzesz.

- Ty nie wiesz, co to znaczy - odrzekła. Postawiła miskę na blacie, nie wypuszczając jej z rąk. - Są rzeczy...

Powiedziała to takim tonem, że ciarki mnie przeszły; odgłosy miasta ucichły, pozostała tylko przestrzeń między nami.

- Opowiedz mi - poprosiłam cicho. - Chcę wiedzieć.

- Dlaczego miałabym ci opowiadać? Dlaczego miałabym opowiadać komukolwiek? Kogo to obchodzi? - Ale w jej głosie brakowało sarkazmu.

- Dlatego że sekrety gniją, ropieją i zamieniają się... w coś innego - odpowiedziałam. Domyślałam się, że kobieta, która od czterdziestu lat nie rozmawia z własną matką i nigdy nie wymawia jej imienia, kryje w zanadrzu niejedną tajemnicę.

- Za kogo ty się uważasz? Za psychiatrę? Niektóre rzeczy lepiej pozostawić w spokoju. Warto to sobie uzmysłwić.

- Ale może to pomogłoby nam się zrozumieć, mamo.

- A co tu rozumieć?

- Mówiłaś, że nigdy mnie nie ukarałaś, ale istnieją różne sposoby, aby zranić tych, których kochamy. Zawsze mnie poniżasz. Nigdy nie jesteś ze mnie zadowolona. Wszystko robię źle. Źle wyglądam. Źle mówię. Źle siedzę. Mam beznadziejne włosy. Nie uważasz, że to też jest rodzaj kary?

- Estelle? - Ojciec stanął w progu w piżamie, „pożyczka” z włosów zmierzwiła mu się po jednej stronie. Z niepokojem spoglądał na matkę. - Wszystko w porządku, Estelle?

Odpowiedziała mu takim spojrzeniem, że w przypiływie olśnienia zrozumiałam, dlaczego wszyscy jesteśmy, jacy jesteśmy. I w moim sercu wezbrała taka miłość do ojca, że wybaczyłam mu wszystkie niedociągnięcia. Nigdy nie uważałam swoich rodziców za kochanków stulecia, raczej skłaniałam się ku stwierdzeniu, że ojciec zasługuje na miano króla męczenników, czasami też zachodziłam w głowę, co też matka w nim widzi. Jak na kobietę tak bardzo rozczarowaną życiem, zawsze była dziwnie usatysfakcjonowana jego skromną pensją, wąskim kręgiem znajomych oraz brakiem ambicji. Lecz teraz zrozumiałam, że w razie potrzeby zawsze stawał za nią murem. Umiał ją ocalić, a właśnie tego potrzebowała. Pozwalała mu się kochać i kochała. Naprawdę go kochała. Była zdolna do miłości i miała to wypisane na twarzy.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała. - Wracaj do łóżka, Patricku. Zaraz przyjdę. - Patrzyła, jak szurając kapturami, zmierza z powrotem do sypialni, po czym zdjęła folię z miski, rozprostowała ją i nałożywszy z powrotem na miskę, schowała naczynie do lodówki. - Twój ojciec poprosił mnie o rękę w niedzielę kwadrans po piętnastej - dodała, nie patrząc w moją stronę. - Staliśmy w windzie, mieliśmy iść na spacer, ale ja wróciłam prosto na górę i spakowałam walizki. O godzinie piętnastej pięćdziesiąt pięć byłam w jego mieszkaniu i więcej nie odezwałam się do tej kobiety.

No właśnie. Oto całe wyjaśnienie. Nic więcej od niej nie wyciągnę. Przyszło mi do głowy, że może powinnam zadzwonić do Tya i poprosić o numer doktor Foster. Raptem poczułam się jak ktoś, kto bardzo potrzebuje terapii.



Ale to nie wszystko. Towarzyszyło mi dziwne uczucie, które ogarnęło najpierw palce u stóp, a następnie powędrowało wyżej, wprawiając w drżenie całe ciało i przyprawiając mnie o ciarki. Wreszcie dotarło do mózgu i zastukało do środka, żeby je wpuścić. Byłam o krok od przełomowego odkrycia.

Matka kaszlnęła.

- Zresztą, co ci po wyciąganiu tych starych brudów - skwitowała, a w jej głos ponownie wkradła się ironia. - Gdybyś nie obudziła się wredna, nigdy by nie doszło do tej rozmowy. Jeśli złapię zapalenie płuc i umrę od tego łożenia po nocach, będzie to dla ciebie nauczka, Mary-Constance. Są tematy, których lepiej nie poruszać. Czy kiedykolwiek brałaś to pod uwagę?

Drzwi łazienki otworzyły się z hukiem i Emmet wytoczył się na korytarz. Począł prosto do sypialni i zwałił się na łóżko, aż jęknęły sprężyny. Wyglądało na to, że dzisiaj ja śpię na sofie.

- Nie, mamó - odpowiedziałam. - Nigdy nie brałam tego pod uwagę. A jeśli złapiesz zapalenie płuc i umrzesz, obiecuję, że będzie to dla mnie nauczka.

Zmrużywszy oczy, obciągnęła żółtą, pikowaną podomkę, zawołała Frankiego, który zapadł w postkoitalny sen na mojej stopie i bez słowa ruszyła do sypialni. Pies na pożegnanie liznął mnie w palec od nogi i pobiegł za panią. Nagle przypomniałam sobie „Dzikie łabędzie”, książkę, którą zaczęłam czytać kilka lat temu. Pamiętam swoje oburzenie na wieść o tym, że w przedrewolucyjnych Chinach kobiety bandażowały córkom stopy, aby zachować ich mały rozmiar w myśl upodobań mężczyzn. Robiły tę straszną rzecz dlatego, że tak samo postępowały ich matki. Taka była kolej rzeczy. Na tym polegały prawa historii.

W pewnym sensie to samo stało się ze mną. Zrozumiałam to, wycierając ślinę Frankiego papierowym ręcznikiem. Matka nie była zła ze względu na

moje domniemane przewinienie. Taka była kolej rzeczy. Na tym polegały prawa historii. Obandażowała i skrepowwała nie moje stopy (choć dam głowę, że miała na to ochotę), ale mnie, moje wewnętrzne ja, ponieważ to samo uczyniono z nią samą. Ja też mogłabym być nieprzyjemna i zgorzkniała, jeśli taka moja wola. Mogłabym postąpić w myśl rodzinnej tradycji. Mogę jednak rozpętać osobistą rewolucję: właśnie ta myśl na gwałt dobijała się do mojego mózgu. Jeśli zechcę, mogę wybaczyć matce, zdjąć niewidzialne bandaże, rozruszać palce i osiągnąć taki rozmiar, jaki mi się żywnie podoba. Ostatnia myśl dała mi poczucie wolności. Co za ulga! Nie muszę kierować się jej zachciankami, wystarczy, że będę sobą.

Co więcej, uświadomiłam sobie ze wstrząsem, że nigdy nie doszłabym do tak odkrywczych wniosków, gdyby nie moja rzekomo wredna reinkarnacja, a konkretnie precel, który mało nie pozbawił mnie życia.

I światełko rozproszyło mrok, który otaczał mnie od tak dawna.

## ROZDZIAŁ 14

Kiedy obudziłam się rano, Frankie leżał w poprzek mojej klatki piersiowej niczym nadzarty przez mole futrzany szal, a na szyi miałam kleks tak obrzydliwej substancji, że wolałam nie dociekać źródeł jej pochodzenia. Emmet siedział przy stole, pałaszując różowo-pomarańczowe płatki o dość toksycznym wyglądzie. Tata zdążył wpasować się w swój fotel i czule dzierzył pilota, a matka odkurzała poduszkę, na której spoczywała moja głowa.

- Co to jest, do cholery? - spytałam ze złością, wycierając szyję.

- Hm, gdyby coś wypadło mu z pyska, na pewno bym zauważył - oznajmił Emmet i siorbnął. Jak na amatora nocnych rozrywek, wyglądał wprost kwitnąco.

- Złaż ze mnie, obrzydliwcu - burknęłam, spychając psa na podłogę i unosząc nogi, żeby matka mogła pod nimi odkurzyć. Patrzyłam, jak sprząta w skupieniu, starannie unikając mojego wzroku. Nocne tête-à-tête w jej mniemaniu zapewne nic nie zmieniło, kiedy jednak zerknęłam na swoje stopy, nadal uniesione w powietrzu, uśmiechnęłam się mimowolnie. Poruszyłam palcami.

- Ogłaszam rewolucję - oznajmiłam pod adresem matki, odpychając rurę odkurzacza i zeskakując z sofy. - Jestem stopami chińskiej dziewczynki.

- Czy wszyscy w tej rodzinie mają kręcka na punkcie historii? - marudził Emmet. - Nie słyszeliście, ludzie, o kanale rozrywkowym?

- Myślicie, że w szpitalu rzeczywiście naprawili jej mózg? - rzuciła w przestrzeń matka. - Mam nadzieję, że przez pomyłkę nic tam nie zostawili, jak u tej kobiety, której zaszyto nożyczki. Pamiętasz, Patricku? Czy może to był wacik? Umarła, biedaczka. Zaraz, zaraz, czy ona aby nie zamieniła się w mężczyznę?

Musiałam się stąd ewakuować, i to szybko. Trudno gimnastykować palce,

jeśli bandaż wciąż znajduje się na widoku. Ale dokąd miałam iść?

Szukałam odpowiedzi na to pytanie w łazience, gdzie zmyłam pod prysznicem niezidentyfikowaną wydzielinę Frankiego, gdy naraz wpadł mi w ręce podarowany przez matkę medalik ze świętym Judą, który tak zirytował signorę Marinello. Tkwił na dnie kosmetyczki. Kiedy obracałam go w palcach, myśl o obfitej piersi, na której można by wypłakać smutki, wydała mi się nadzwyczaj kusząca. Potrzebowałam pociechy, ot co. Potrzebowałam kogoś, kto mi pomoże, kto wskaże właściwą drogę. Czyż nie mówiła, że w razie potrzeby mogę się do niej zwrócić?

- Minęłyście się - oznajmił siwowłosy rybak z mojej śpiączki, kiedy niepełna godzinę później przestąpiłam próg Szpitala Świętego Wincentego. - Skończyła zmianę. Poszła do domu.

Oddział neurologiczny, na którym spędziłam kilka ostatnich tygodni, tętnił życiem. Nawet jeśli zostałam rozpoznana, nikt nie dał nic po sobie poznać. Nieprzytomna, znajdowałam się w centrum zainteresowania, lecz stojąc o własnych siłach, czułam się jak rekwizyt, który można przerzucać z jednego końca białego korytarza na drugi.

Straciłam równowagę, unikając zderzenia z felczerem, który okazał się taksówkarzem z pierwszego kursu do Gritti Palace. („Halo. Halo. Czy pani mnie słyszy?" - wszystko jasne). Odzyskałam równowagę, po czym biegnąca pielęgniarka mało nie zbiła mnie z nóg. Wskoczyłam w jakieś drzwi, gdzie wpadłam na dwoje starszych ludzi o załzawionych oczach i twarzach poszarzałych ze zmartwienia. Spanikowana zrobiłam krok w tył i bliska łez rzuciłam się na poszukiwanie windy. Naraz poczułam na ramionach dwie silne dłonie, które powoli obróciły mnie w drugą stronę. I zobaczyłam pięknego Marca.

Rany boskie, co też ten człowiek ze mną wyprawiał! Gdybym miała możliwość wepchnięcia go do schowka na miotły i oddania się aktom nierzędu,

uczyniłabym to bez wahania. Ale takowego nie było, a wiercie mi, dobrze się rozejrzałam. Założę się, że doskonale wiedział, co mi chodzi po głowie, gdyż w jego oczach czaił się lekko kpiący uśmiezek. Jak łatwo się domyślić, z miejsca przeistoczyłam się w błyskotliwą królową elokwencji.

- Jestem stopami chińskiej dziewczynki - wypaliłam. - Muszę rozruszać palce.

- Nigdy nie byłem fanem poezji - odrzekł gładko Marco. - Jak tam życie w realnym świecie?

- Nie chodzi o same stopy - tłumaczyłam pokrętnie.

- Chodzi o bandażowanie. Rozbandażowanie. Myślałam o chińskich dziewczynkach. Wiesz co? To w sumie trudno wyjaśnić. Pewnie masz zamiar wezwać ochronę albo wsadzić mnie w kaftan bezpieczeństwa, ale ja tylko szukam signory Marinello, rozmyślam o małych Chinkach i jak zwykle robię z igły widły. Mam na myśli to, że bez bandażu stopy mogłyby urosnąć. Tak, to właśnie miałam na myśli. A życie, owszem, jakoś się kręci. - Marco wyglądał na nieco strapionego moją tyradą, ale ja czułam, że odzyskuję grunt pod nogami. - A ty? - zapytałam uprzejmie. - Co u ciebie?

- Bez zmian - odpowiedział. - Ratuję świat, wskrzeszam umarłych. Dziś przyjeżdża ekipa telewizyjna z Kanady, robią o mnie program. W czwartkowych wiadomościach pokazywano moją jedenastogodzinną operację i zostałem poproszony, aby wygłosić o niej odczyt na przyszłorocznej konferencji w San Diego. I właśnie dostałem telefon, że dostarczono moje nowe porsche, a więc jak widzisz, wszystko gra.

Pokiwałam głową, udając szczerze zainteresowanie oraz przytomność umysłu. Marco zmierzył mnie wzrokiem.

- Dobrze wyglądasz, Connie - oświadczył. - Powiem więcej, wyglądasz fantastycznie.

Rozpaczliwie usiłowałam wymyślić coś mądrego, żeby dłużej zatrzymać go przy sobie.

- Czy mogę pofarbować włosy? - zapytałam. - Boję się, że chemikalia mogą przeniknąć do mózgu i coś uszkodzić.

- Nigdy nie słyszałem o podobnym przypadku - odpowiedział. - Moim zdaniem nie ma przeciwwskazań. Miło byłoby znów zobaczyć cię z jasnymi włosami.

Oblałam się pąsem. Dajcie mi gondolę, krzyknęłam w duchu.

Zapadła niezręczna cisza.

- Nie powiedziałam tego na głos, prawda? - zapytałam.

- Czego?

- O gondoli.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie, wspomniałaś tylko o stopach małych Chinek. Poczułam przyływ bezbrzeżnej ulgi.

- Na mnie już czas - oznajmił. - Miło było znów cię spotkać, Connie. Wyluzuj. Rozjaśnij włosy.

Niedorzecznie pokiwałam głową i odprowadziłam go wzrokiem. Te ramiona. Te biodra. O karku nie wspominając. Gdybym była postacią z komiksu, oczy wyszłyby mi z orbit na sprężynach. Chyba nawet trochę się zaśliniłam.

- Proszę, kogo my tu mamy, nasz Tadek-niejadek. - Salowa w esy-floresy wdarła się w moje lubieżne rozmyślania, przechodząc obok z wózkiem, wyładowanym po brzegi talerzami. Z ulgą pomyślałam o tym, że nie czuję zapachu ich zawartości. - Przyszłaś po dokładkę?

Nagły powrót do rzeczywistości nie pozbawił mnie przytomności umysłu.

- Właściwie to szukam signory Marinello - odpowiedziałam. - Pewnie

pani nie zna jej adresu?

- A wyglądam jak książka telefoniczna?

- Nie, raczej jak ktoś, kto prędzej nasika do zupy, aniżeli ją skosztuje.

Dam głowę, że nieraz to pani robiła.

Salowa dosłownie wrosła w podłogę. Podejrzliwie spojrzałam na pulpety.

- Mądrała z ciebie, wiesz?

- To nowa ja - odparłam bez skruchy.

- Podoba mi się - odpowiedziała. - Marinello poszła na śniadanie do baru U Nicka, róg Czternastej i Dziewiątej Ulicy. Ona też nie lubi mojego jedzenia. Nie wiecie co dobre.

Co prawda, to prawda. Zatem do Nicka. Ledwie zdążyłam wejść do windy, kiedy ktoś zawołał mnie z korytarza.

- Constanza Conlan! Constanza Conlan! - Kobieta w klapkach na wysokim obcasie zmierzała w moim kierunku z irytacją na twarzy i złożoną kartką w dłoni. - Proszę - powiedziała, wciskając mi kartkę do ręki. - Nie wiem, jak pani tego dokonała, ale to dla pani. - I rzuciła mi na pożegnanie nienawistne spojrzenie. Winda odjechała, a ja zajrzałam do kartki. „Naprawdę chciałbym cię zobaczyć z jasnymi włosami - brzmiała treść liściku. - Zadzwoń". I na dole widniał numer telefonu Marca.

Prawie frunąc nad ziemią, udałam się pod adres wskazany przez salową. Marco, najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam, i lokalne bożyszcze kobiet, chciał, żebym do niego zadzwoniła. Ma się ten urok, co?

Krótko mówiąc, byłam na tak. Podobało mi się to nowe wcielenie. Mogę być, kimkolwiek zechcę. Grzeszne myśli ponownie zawirowały mi w głowie, a przed oczami ujrzałam nieprzyzwoite sceny ze mną i Markiem w rolach głównych.

Kiedy zobaczyłam signorę Marinello przez szybę baru, wbiegłam do



środka jak na skrzydłach. Pomimo upału na fartuch narzuciła rozpinany sweter. Wyglądała jak góra włóczki. Jednym susem przebyłam odległość dzielącą mnie od jej stolika.

- Signora Marinello! - wykrzyknęłam w podnieceniu. - To ja! *Buon giorno!*

Na dźwięk mojego głosu uniosła swą piękną, gładką twarz i aż się rozpromieniła, a moje serce wezbrało takim szczęściem i nadzieją, iż nawet nie zauważyłam, że nie jest sama. Rzuciłam jej się w objęcia.

- Tak strasznie za panią tęskniłam - wymamrotałam w wełniany rękaw. - Po prostu strasznie!

- Ja też - odrzekła signora Marinello. - Puść mnie, Constanzio, bo nie mogę oddychać.

Cofnęłam się, spoglądając na nią z uwielbieniem. Trzymała w ręku nadgryzioną smakowicie wyglądającą kanapkę z grillowanym serem. Obok talerza stała szklanka z oranżadą.

- Witam - odezwał się lekko schrypnięty głos w okolicach mojego łokcia. - Kogo to ja widzę?

Serce podskoczyło mi w piersi. Znałam ten głos: wypowiedział kiedyś słowa, jakich nigdy w życiu nie słyszałam.

Luca.

Siedział naprzeciw signory Marinello i miał na sobie koszulę z jasnego dzinsu, która podkreślała zieleń jego oczu oraz srebrzysty odcień włosów. Wyglądał jak okaz zdrowia. Wszystkie problemy stały się nieważne na wspomnienie ciepła, jakim nappełniły mnie jego słowa na *squero*.

- Nie stój tak - powiedział. - Usiądź.

Machinalnie spełniłam jego polecenie.

- Co się dzieje, Connie? - W głosie signory Marinello zabrzmiały figlarne

nutki. - Odebrało ci mowę?

- Czy ja pana znam? - zapytałam.

Z błyskiem w oku uniósł brwi.

- Właściwie to nie - odrzekł. - Ale ja znam ciebie. Luke Scarpa. - Wyciągnął rękę. Podałam mu swoją, czując na dłoni suche załamania jego skóry. - Miło mi cię wreszcie poznać.

- Scarpa? - powtórzyłam tępo, nie wypuszczając jego ręki.

- Scarpa senior - wtrąciła signora Marinello. - Ojciec Marca. Zastanawiam się, czy nie zamówić frytek. Mam ochotę na frytki.

Wreszcie puściłam dłoń Luki, ale nie wiedziałam, co mam począć z rękami. Położyłam je bezwładnie na stole, a potem z wysiłkiem przeniosłam je na kolana. Ojciec Marca. Naturalnie! Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Przecież dobrze o tym wiedziałam. Dlaczego nikogo o niego nie zapytałam? Gdzie ja mam głowę?

- Co u ciebie? - spytał cicho Luca.

- Skąd mnie znasz? - Czulałam jego fizyczną bliskość.

I choć świat zapachów był przede mną zamknięty, naszło mnie nagle wspomnienie subtelnej woni cytryn, która oczarowała mnie we śnie rozgrywanym się na przystani.

- Właściwie to nie znam - przyznał. - Ale spędziłem przy tobie kilka dni w szpitalu, kiedy przychodziłem w odwiedziny do Marca i Eugenii.

- Ma pani na imię Eugenia? - zapytałam signorę Marinello, która skinęła głową i zawołała kelnera, naburmuszonego Greka, żeby zamówić frytki. Nigdy nie wpadłam na to, aby zapytać o jej imię i zawstydziałam się własnego egoizmu. Nie żebym skończyła z egoizmem. Na razie nie.

- Ale dlaczego do mnie przychodziłeś? - zapytałam, kiedy signora Marinello pochłaniała swoją kanapkę, a hałaśliwa frytownica robiła konkurencję

piosence zespołu Fleetwood Mac.

- Miałem do załatwienia sprawy - odrzekł Luca, spoglądając na leżącego przed nim cheeseburgera - które zajęły mi mniej czasu, niż planowałem, dlatego zaglądałem do was, żeby zobaczyć, co sływać.

- Trudno o lepsze zajęcie niż monolog w towarzystwie ładnej dziewczyny, nie? - mruknęła signora Marinello.

- Cóż, wyglądałaś na kogoś, kto potrzebuje towarzystwa - skwitował prosto linijnie Luca. Zupełnie jak w moim śnie. Przy nim czułam się tak, jakbyśmy znali się od zawsze, jakbym była najważniejsza na świecie.

- Byłeś jej najmilszym gościem - oznajmiła signora Marinello. - Powinieneś zobaczyć matkę. Fiuuu. - I dorzuciła po portugalsku coś, co brzmiało jak stek przekleństw, powstrzymany dopiero widokiem kopiastego talerza idealnie wysmażonych frytek.

- A Tom? - zapytałam. - Też przecież mnie odwiedził. W końcu. No i Fleur. Co pani o niej myśli?

- Ach tak. - Signora Marinello pokiwała głową. - Mąż ożenił się z jej najlepszą przyjaciółką, ale ona nic nie pamięta.

- Niepamięć wsteczna? - Luca nie krył podziwu.

Ze smutkiem skinęłam głową.

- Hm. - Ugryzł burgera. - Rzadki przypadek. Poza tym chyba wszystko w porządku?

- Utraciłam zmysł smaku - dodałam, maczając jedną z frytek signory Marinello w keczupie, co kiedyś było nie do pomyślenia. Za sprawą Toma w kwestii frytek byłam raczej snobką. Wolałby się zastrzelić niż umieścić je w menu. A co do keczupu... Lepiej go o niego nie prosić. - Co jest prawdziwą klęską, gdyż podobno jestem krytykiem kulinarnym „The New York Timesa”.

Signora Marinello upiła łyk oranżady.

- MC Conlan - powiedziała, wskazując mnie podbródkiem.
- No proszę. - Luca pokiwał głową. - I utraciłaś zmysł smaku? Fatalnie.

Uraz blaszki sitowej czy też nerwów olfaktorycznych?

- A co, jesteś neurochirurgiem?
- A skąd - odparł. - Jestem lekarzem. To dwa odrębne gatunki.

Strzępy urojonej rozmowy dryfowały w mojej głowie niczym lipcowe obłoczki, co rusz zmieniając kształt. Czułam, że jego słowa nawiązują do scenariusza ze snu, ale nijak nie umiałam tego sprecyzować.

- Nie lubisz chirurgów?
- Tego bym nie powiedział. Mój syn jest chirurgiem. I to bardzo dobrym.
- Ale coś ci nie pasuje.
- Wolałbym, żeby spędzał więcej czasu wśród żywych
- wyjaśnił Luca, po czym odsunął od siebie pusty talerz.
- Ale gdyby nie on, wielu spośród żywych nie byłoby już wśród nas - ar-

gumentowałam, poklepując kieszeń, w której spoczywała kartka z numerem Marca, ale straciłam nieco ochotę, aby go wykręcić. - Uratował mi życie - dodałam.

- Uratował mi życie.

Zadrzał mi głos i ku swemu niewymownemu zakłopotaniu wybuchnęłam płaczem. Miałam nadzieję, że owe wybuchy hysterii w restauracjach wkrótce mi miną, bo jeśli tak dalej pójdzie, żaden kapelusz świata nie ukryje mojej tożsamości.

Nie przerywając jedzenia, signora Marinello sięgnęła wolną ręką po serwetki i popchnęła je w moim kierunku.

- Dobrze jest, jak jest, Constanzio - oznajmiła rzeczowo. Następnie łypnięciem jednego oka przywołała gburowatego kelnera. - Pora na placek.
- Ja chyba wciąż kocham Toma, chociaż ma dziecko z Fleur - załkałam. -

Ale jestem zaręczona z mężczyzną, który nosi buty ze skóry kucyka. Napisałam koszmarną książkę, jestem żoną i nie czuję smaku, choć podobno uchodzę za najlepszego krytyka kulinarnego pod słońcem. - Głośno wydmuchałam nos w serwetkę, usiłując się opanować. - Nie cierpię mieszkać u rodziców, jestem na to za stara. Ojciec całymi dniami tkwi przed telewizorem, brat od dwudziestu lat eksperymentuje z narkotykami, matka wysysa odkurzaczem tlen z powietrza, a ja... - Zaszlochałam jeszcze żałośniej. - ...nie mam dokąd pójść.

- Ejże, daj spokój - rzucił krzepiąco Luca. - Nie jest jeszcze tak źle.

- Ukradłam Allenowi precel - krzyknęłam. - Wszyscy o tym wiedzą oprócz mnie. - Ku mojemu zdziwieniu ów upust emocji okazał się nader terapeutyczny, gdyż fala rozpacz przystąpiła do odwrotu. Po chwili przestałam płakać i tylko siąkałam nosem.

- Ludzie robili gorsze rzeczy dla dobrych precli - oświadczył Luca, a ja ponownie zdumiałam się jego dobroduszością.

- Placek z wiśniami - powiedziała signora Marinello na widok ciasta, które stało na stoliku. - Ten to dopiero jest wart grzechu. Z powodu placka z wiśniami mój kuzyn Cleber ożenił się z kobietą, chociaż jest gejem. Istnieją dziwniejsze rzeczy aniżeli kradzież precla Woody'emu Allenowi.

I tu mnie miała, przyznałam, podziwiając placek z wiśniami. Miał kruchą, złocistą skorupkę, a jaskrawoczerwone nadzienie wylewało się na talerz jak w ciastach domowej roboty.

- Jak to nie masz dokąd pójść? - zapytała pomiędzy jednym kęsem a drugim. - Co się stało z mężczyzną w białym garniturze?

- Trzyma na widoku włoskie czasopisma o wystroju wnętrza, a nawet nie zna włoskiego - powiedziałam. - Śpimy w osobnych pokojach. Wszystko jest beżowe. Próbowałam wrócić do dawnego mieszkania, ale niestety mąż mieszka tam ze swoją nową rodziną.

- Rozwiedliście się? - spytał Luca.

Kiwnęłam głową.

- Prawie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Nie pojechałam na nasz drugi miesiąc miodowy. Tom wylądował sam w Wenecji, a ja skończyłam jako narzeczona Tya Wheatleya.

- Zrezygnowałaś z wyjazdu do Wenecji? Cóż, to wszystko wyjaśnia. - Nawet jego szorstki ton był pełen uroku.

- Co wiesz o Wenecji?

- Stamtąd pochodzili moi dziadkowie - wyjaśnił Luca. - Z położonej w lagunie małej wyspy o nazwie Mazzorbo, która słynie z kaczek.

Serce podeszło mi do gardła. Co to miało znaczyć?

- Czy twój dziadek budował gondole? - W oczekiwaniu na odpowiedź wstrzymałam oddech.

- Nie, hodował pomidory. Wyemigrował do Ameryki, żeby zapewnić synom lepsze życie. - Wyrzwał przez okno, jakby chciał sprawdzić, czy jego dziadek trafił w odpowiednie miejsce. Podążywszy za jego wzrokiem, doznałam szoku. Kiedy ostatnio patrzyłam na skrzyżowanie Hudson z rogiem Dziewiątej i Dwunastej Ulicy, nie było tam praktycznie nic prócz sznura pojazdów oraz rzędu pustych magazynów. Obecnie okolica roiła się od skąpo odzianych ciał, przesiadujących w licznych restauracjach i kafejkach.

- Kiedy to się do licha stało? - Byłam wstrząśnięta. Jeszcze trzy lata temu bruk spływał krwią bydła ubitego w okolicznych masarniach. Teraz rozbrzmiewał stukotem pantofli na szpilkach.

- Wiem, co masz na myśli - odrzekł Luca. - Świat wokół nas się zmienia.

- Mieszkaś tu? - zaryzykowałam.

Signora Marinello prychnęła, rozsiewając wokół okruszki.

- Ależ skąd - odpowiedział Luca. - Mieszkam na Shelter Island. Byłaś tam?

Potrząsnęłam głową. Wiedziałam, że to gdzieś pomiędzy północnym i południowym rozwidleniem wschodniego Long Island, ale nigdy nie zaglądałam w tamte rejony. Tylko raz byłam w Hamptons. Fleur, Roberta i ja wykupiłyśmy kiedyś na spółkę wczasy ze znajomymi Roberty. Pamiętam, że tęskniłam za Tomem, który wolał zostać w domu, i strasznie peszyła mnie obecność tylu nieznanym osób.

- Spodobałoby ci się tam, Constanzio - uznała signora Marinello, ze smakiem oblizując łyżeczkę. - To tylko dwie godziny jazdy autobusem.

- A ty skąd wiesz? - spytał Luca. - Od dziesięciu lat bezskutecznie próbuję nakłonić cię do wizyty.

- Pochodzę z Jersey - odparła signora Marinello, tak jakby to wszystko wyjaśniało. - Ale Constanzia nie ma gdzie mieszkać, a ty siedzisz sam w wielkim domu. Trudno o lepszy zbieg okoliczności. - Najedzona, odsunęła talerz.

- Poradzę sobie - zapewniłam.

- Poradzi sobie - potwierdził Luca.

Signora Marinello wzruszyła ramionami.

- Potrzebny ci dach nad głową oraz trochę ciszy i spokoju - oznajmiła. - A ty - dodała, zwracając się do mężczyzny - powinieneś trochę wyjść do ludzi. Dziwaczejesz. - Z tymi słowami dźwignęła się z krzesła i obciągnęła sweter na wydatnym brzuchu. - A teraz wybaczenie, idę do pedikiurzystki, a potem mam spotkanie z hydraulikiem.

Uściskawszy mnie, nachyliła się nad stołem i nadstawiła Luce do pocałowania oba policzki. Następnie znikła, pozostawiając nas wpatrzonych w opustoszałe miejsce przy stole.



- Skoro ja potrzebuję ciszy i spokoju, a ty towarzystwa, teoretycznie nie tworzymy zgranej pary - oznajmiłam. Luca odpowiedział mi krzepiącym uśmiechem. Pokazał przechodzącej kelnerce swoją opróżnioną filiżankę. Dziewczyna była młoda i ładna; zerknęła na niego zalotnie spod rzęs, ale chyba nie zwrócił na to uwagi. Dobrze się trzymał, jak na pięćdziesięcioletka. Na dodatek było mu to chyba obojętne.

- Masz ochotę na kawę? - spytał, ale odmówiłam. Siedzieliśmy chwilę w przyjaznej ciszy i obserwowaliśmy ruch w jadalni, tak jakbyśmy czynili to w każdy poniedziałkowy ranek. Czterech wymiętych imprezowiczów obgadywało przy sąsiednim stoliku kogoś o imieniu Clarence, a po drugiej stronie przejścia elegancko ubrani turyści karmili grzanką swoje dziecko. Brak mi słów na opisanie więzi łączącej mnie i Lucę, wydawała się bowiem kojąca i najbardziej naturalna pod słońcem.

- Często odwiedzasz Eugenię? - zapytałam.

- Kiedy tylko mogę.

- Pracowaliście razem?

- Owszem, u świętego Wincentego. Miałaś szczęście, że na nią trafiłaś.

Nie wszystkie są takie, o nie.

- Nie? - Wiedziałałam, że signora Marinello jest kimś szczególnym, sądziłam jednak, że reprezentuje typowe cechy przedstawicielek swojego zawodu.

- Miała co do ciebie dobre przecucia, Connie - powiedział. - Bywa, że osoba w twojej sytuacji nie potrzebuje nic więcej pomimo tego, co twierdzą lekarze. Potrzebuje odpowiedniej osoby z dobrymi przecuciami. Ona w ciebie uwierzyła. Tak po prostu.

Ciarki przeszły mi po plecach.

- Nie wiedziałam - odrzekłam. - Ja nadal nic nie wiem.

Uśmiechnął się tylko.

- Nie jesteś w tym odosobniona.

Spojrzeliliśmy na siebie, po czym Luca przeniósł rękę nad blatem i ujął moją dłoń, ot tak, po prostu. Ogarnął mnie taki spokój, że zastygłam bez ruchu, wpatrzona w jego oczy. Pragnęłam, aby ta chwila trwała bez końca. Była to najdziwniejsza, a zarazem najnormalniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić.

- Na miłość boską, tato, kiedy ty wreszcie przestaniesz odgrywać dobrego samarytanina? - Głos Marca wdarł się między nas niczym odgłos wystrzału. Gwałtownie cofnęłam rękę.

- Marco - zawołałam z wymuszonym ożywieniem. Był przystojny, nawet kiedy się złościł, ale nie musiał nas napadać tak zniechęca.

- Usiądź, synu - powiedział Luca, wskazując miejsce, które opuściła signora Marinello. - I mów, co ci leży na wątrobie.

- Dajże spokój. - Marco potrząsnął głową.

Luca wzruszył ramionami.

- Piję kawę i rozmawiam ze starymi przyjaciółmi. Co cię tu sprowadza?

- Connie nie jest twoją starą przyjaciółką, tato. Przyszedłem ci coś oddać.

Nie będę tego potrzebował. - Rzucił na stół brązową kopertę i popatrzył na mnie. - Dostałaś moją wiadomość?

Kiwnęłam głową.

- To dobrze. - I zakręciwszy biodrami, wyszedł z lokalu. Większość ludzi poczułaby się skrepowana, ale nie Luca, który przełknął to ze stoickim spokojem.

- Dlaczego tak się na ciebie wścieka? - zapytałam.

- Och, z wielu powodów - odpowiedział. - Za długo by o nich opowiadać. Jego zarzuty są w większości uzasadnione. Ale ostatnio dlatego... - Podniósł brązową kopertę. - ...że go namawiam, aby rzucił pracę w szpitalu i pomógł mi

prowadzić centrum medyczne na Shelter Island. Mój partner wyjechał na Florydę i chciałbym, żeby Marc go zastąpił.

Parsknęłam śmiechem.

- Ale to nie ta liga, prawda?

- Zdecydowanie - przyznał Luca. - Właśnie dlatego próbuję go nakłonić do powrotu. Chłopak powinien spędzać więcej czasu wśród osób w pozycji wertykalnej.

- Skoro większość twoich pacjentów to osoby w pozycji wertykalnej, to czy naprawdę potrzebujesz drugiego lekarza? - zapytałam, moim zdaniem całkiem sensownie.

- Cóż, są na pewno w lepszym stanie niż ci tutaj - burknął Luca. - Z twoim chlubnym wyjątkiem.

- Och, w końcu nie byłam jego pacjentką - zauważyłam. - On mnie tylko operował. Rehabilitacja to już nie jego broszka.

Luca dopił kawę.

- Właśnie to miałem na myśli. - Popatrzył na zegarek.

- Lece, bo się spóźnię na pociąg.

Uśmiechnęłam się z przymusem i spojrzałam na tłum przetaczający się po chodniku za oknem.

- Co zamierzasz? - spytał.

Zadawałam sobie to samo pytanie, lecz odpowiedź nadal była niewiadomą. Przyjdzie mi chyba poszukać hotelu. Jeszcze nie sprawdziłam stanu konta, ale chyba mnie stać na kilkudniowy pobyt w hotelu, do czasu kiedy jakoś się nie pozbieram (cha, cha). Ale jeśli to potrwa dłużej?

- Connie? - powiedział Luca. - Masz dokąd pójść?

- Nie bardzo - przyznałam.

Odchrząknął.

- Właściwie to Eugenia ma rację: mieszkam sam w wielkim domu. Jeśli więc chciałabyś u mnie pomieszkać, nie mam nic przeciwko temu.

- Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

- Może i tak. Ale wielokrotnie przekonałem się w przeszłości, że Eugenia Marinello rzadko się myli, jeśli więc jej zdaniem potrzebujesz ciszy i spokoju, a ja towarzystwa, jestem skłonny przyznać jej rację.

- Jakoś nie jestem przekonana.

- Cóż, nie jest to najgorsza z możliwych opcji, Connie. Miałabyś własny pokój, chodziłabyś na plażę, pomagała mi przy moich staruszkach. Muszę przyznać, że odkąd Herb wyjechał do Boca, porządnie dają mi w kość.

Przecież ja cię nawet nie znam, miałam na końcu języka. Poza tym nikt tak po prostu nie wyjeżdża z nieznanym. Nawet jeśli spotkał go wcześniej we śnie.

- Nie mogę - powiedziałam.

- Dlaczego?

Właściwie żaden argument nie przychodził mi do głowy. Odezwała się jedynie naturalna ostrożność, która dawno nie dawała o sobie znać.

- Mieszkasz blisko wody?

- Dwa kroki od plaży.

- Zgadzam się.

I na tym stanęło.

## ROZDZIAŁ 15

- Dokąd? - zapytała z niedowierzaniem matka, kiedy zdradziłam się z zamiarem pobytu u obcego mężczyzny. - Twój własny dom nie jest dla ciebie dość dobry? Musisz jechać do człowieka, którego spotkałaś tylko raz? Co cię do tego skłoniło? - Spojrzała na ojca w nadziei, że ją poprze. - I do tego nad oceanem. Ona nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nie wie, co się może zdarzyć.

- Jest lekarzem, mamó - odrzekłam. - Myślałam, że będziesz zadowolona.
- A od kiedy to dla ciebie istotne?

Biorąc pod uwagę, że katowała mnie tymi wywodami przez jakieś sześć czy siedem godzin, łatwo zrozumieć, że następnego ranka wybiegłam z domu jak na skrzydłach. Emmet, kochany chłopak, odprowadził mnie na przystanek linii Hamptons na Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i nawet przekonująco przykazał, abym na siebie uważała. W razie potrzeby mam do niego zadzwonić, powiedział. Mógłby nawet z nami zamieszkać, zwłaszcza jeśli Luca ma telewizor panoramiczny. No i niech mnie głowa nie boli o te dwadzieścia pacyków, jakoś to przeżyje.

Siedziałam w autobusie, wyglądając przez okno, za którym zamiast ruchliwych nowojorskich ulic widziałam teraz autostradę Long Island. I choć kochałam swoje miasto całym sercem, z ulgą się z niego wydostałam.

Polubiłam Sag Harbor od pierwszego wejrzenia. Tom nie przepadał za Hamptons, lecz pokryte gontami domki z ogrodami kipiącymi soczystą zielenią z miejsca ujęły mnie swą bajkową malowniczością. Okolica wyglądała tak, jakby nic złego nie mogło się tu wydarzyć. Jakby wszyscy byli dla wszystkich uprzejmi. I jakby nikt nie słyszał tu o sieciach handlowych. Mimo to, kiedy wysiadłam z autobusu przy budynku straży pożarnej, ogarnęło mnie zdener-

wowanie. Przy bliższej inspekcji co drugi samochód okazał się mercedesem, dokoła roilo się od sklepów z antykami, a wszystkie kobiety nosiły białe rybaczkę. Lecz gdy autobus odjechał, po drugiej stronie ulicy zobaczyłam Lucę. Stał oparty o starą zieloną furgonetkę, jakby żywcem wyjęty z filmu z Jamesem Deanem. Należał do ludzi, którzy wszędzie czują się jak u siebie, co na szczęście było zaraźliwe. Z uśmiechem ruszył w moim kierunku. Chwyciwszy walizkę, rzucił ją na tył furgonetki i otworzył mi drzwi po stronie pasażera.

Na moim miejscu siedział tłusty rudy kot. Wpatrywał się prosto przed siebie i nie raczył nawet odwrócić głowy w moją stronę.

- O co chodzi z tymi kotami? - zapytałam. - Czyżby coś mi umknęło? Wyglądają tak, jakby się szykowały do przejęcia władzy nad światem.

- Poznaj Gertrudę - powiedział Luca. Przeszedł na moją stronę i niefrasobliwie zepchnął kota na środek przedniego siedzenia. - Jest trochę ekscentryczna.

- Jest wielka jak koń - oznajmiłam. - I dlaczego patrzy przed siebie? Zupełnie jakby chciała mnie zignorować. - Byle tylko nie próbowała uprawiać ze mną seksu, pomyślałam. Damy radę.

- Przyzwyczaisz się - powiedział Luca, wsiadając za kierownicę. Ruszyliśmy drogą, która jak głosił napis, prowadziła na przystań. Widok wszechobecnej zieleni podniósł mnie na duchu. Od razu poczułam się lepiej. A kiedy płynęliśmy promem z New Haven w kierunku Shelter Island, moje samopoczucie poprawiało się z minuty na minutę. Podróż trwała zaledwie pięć minut, ale i tak wysiadłam z samochodu, stanęłam na tyle promu i patrzyłam, jak srebrzysta tafla wody wypiera oddalający się i malejący ląd. Przymknęłam oczy i zaczerpnęłam w płuca morskiego powietrza, czując, jak słońce smaga mi twarz. Tak błogo czułam się ostatnio w Wenecji, która okazała się snem. Ale to dobrze, stwierdziłam w duchu. Przynajmniej umiem oddzielić rzeczywistość

od fantazji, a dobre samopoczucie na jawie oznaczało milowy krok naprzód.

Wykorzystując chwilę nieuwagi, Gertruda ponownie zajęła moje miejsce i za nic nie mogłam zepchnąć jej z powrotem. Luca przyszedł mi z pomocą.

- Dzięki za powitanie, Gertrudo - powiedziałam sarkastycznie. - Jestem ci wielce zobowiązana.

Kocica dalej patrzyła przed siebie jak gdyby nigdy nic, po czym wyemitowała głośnego bąka. Szczeka opadła mi z wrażenia. Co za tupet!

- Witaj na Shelter Island - oznajmił Luca i gdy koła furgonetki potoczyły się po wyboistej drodze, wybuchaliśmy głośnym śmiechem. Gertruda z pełnym wdzięku samozadowoleniem liznęła sobie łapkę. Ten kot miał charakter. Ot co.

Shelter Island stanowiła przeciwieństwo Manhattanu. Przed nami rozciągała się szeroka droga z gęstym lasem po obu stronach. Domy kryły się za okazałymi drzewami wypieszczonych ogrodów. Jakiś kilometr od przystani skręciliśmy w senną, wysadzaną drzewami ulicę, która poprowadziła nas na szczyt wzgórza, a potem znowu w dół, w kierunku malowniczej zatoki. Zastanawiałam się, jak można uważać owo wybrzeże za niebezpieczne. Odnosiłam wrażenie, że to najbezpieczniejszy zakątek, jaki kiedykolwiek przyszło mi odwiedzić: wymarzone antidotum na hałaśliwą aglomerację, spokojne, czyste i pozbawione ostrych krawędzi. Patrzyłam jak urzeczona. U stóp wzgórza, kiedy znaleźliśmy się prawie na plaży, Luca skręcił na usłany liśćmi podjazd. Gertruda i ja utkwiliśmy wzrok w skąpanym w słońcu wielkim, drewnianym domu, którego okna wychodziły prosto na ocean. Ujrzałam werandę, biegnącą przez całą szerokość fasady oraz wieńczący dach wielki kamienny komin. W takim właśnie domu zamieszkałby Daniel Boone, gdyby przyszło mu żyć w dwudziestym pierwszym wieku.

Zanim Luca zdążył oprowadzić mnie po obejściu i zainstalować w moim



pokoju, gorąco pokochałam dom, zatokę i całą wyspę. Nawet Gertruda wzbu-  
dziła we mnie pewną sympatię. Gdziekolwiek się ruszyłam, kroczyła przede  
mną z postawionym ogonem i miała zwyczaj raptownie zakręcać tuż pod mo-  
imi nogami.

- O co jej u licha chodzi? - zapytałam, kiedy za pierwszym razem mało  
nie wybiłam sobie zębów.

- Mówiłem, że jest ekscentryczna.

Istotnie. Kiedy otworzyłam walizkę z zamiarem wypakowania swoich  
rzeczy, kocica wskoczyła na wierzch, po czym zwinęła się w kłębek i za nic  
nie dała się ruszyć. Ważyła chyba tonę. Mając na uwadze dobro swego kręgo-  
słupa, dałam za wygraną i zesłam na dół.

Luca wyszedł do pracy, przykazując, abym czuła się jak u siebie. Mysz-  
kując po domu, stwierdziłam, że ma świetny gust. Wnętrze było utrzymane w  
drewnie, a na podłodze rozłożono ludowe dywaniki. Nie brakowało tu miękk-  
kich foteli, lamp oraz półek z książkami. Lodówka w staroświeckiej kuchni  
okazała się wypełniona po brzegi, co nasunęło mi przypuszczenie, że Luca wo-  
li gotować aniżeli stołować się na mieście. Miałam tylko nadzieję, że nie bę-  
dzie mnie dręczył finezyjnymi dziełami sztuki kulinarnej, gdyż myśl o opłaka-  
nym stanie moich kubków smakowych chwilowo zeszała na dalszy plan.

Po chaotycznych oględzinach salonu, mających przybliżyć mi prawdę o  
moim gospodarzu (co za myśl), rozsunałam szklane drzwi i wyszłam na we-  
randę.

Pomiędzy domem a plażą widniała tylko droga, którą przyjechaliśmy:  
prowadziła do domów położonych dalej wzdłuż linii brzegu. Kończyła się u  
wejścia do małej zatoczki o szklanej tafli, najeżonej równymi słupkami falo-  
chronu. Widywałam takie miejsca w filmach. Było tu trochę jak w „Nad Zło-  
tym Stawem”, po którym nabrałam ochoty na wędkowanie. Wokół panowała

cisza, macona jedynie śpiewem ptaków. Luca wspominał, że linia brzegowa Shelter Island przyciąga rzesze gatunków chronionych: sieweczka blada, rybitwa mała, rybołowy. Nie miałam pojęcia, jak wyglądają. Umiałam odróżnić na talerzu bażanta od przepiórki, lecz, hm, nie miały one zazwyczaj wiele do powiedzenia. Tymczasem ptactwo wokół mnie prześcigało się w trelach. Cóż za różnica w zestawieniu z kakofonią miasta. Dźwięki nie dudniły warstwowo: szum pojazdów nie zagłuszał zgrzytu śmieciarek, klaksony nie stawały w szranki z syrenami alarmowymi, a niemowlęta nie krzyczały przy wtórze młotów pneumatycznych. Morza szum i ptaków śpiew. Usiadłam na jednym z krzeseł i popatrzyłam na rozmigotane morze. Było to najspokojniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek gościłam.

Posiedziałam tak przez jakiś czas, a potem wybrałam się na spacer po plaży. Właściwie był to pomysł Gertrudy. Po powrocie z łazienki ruszyłam bezmyślnie jej śladem i ani się obejrzałam, jak przecięłam drogę, wstępując na ciepły piasek zatoki Smith. Miałam na sobie zgniłozieloną minispódniczkę i podkoszulek, wygrzebane w szafie u Tya (jedyne ustępstwo na rzecz luzu, jakie udało mi się znaleźć, chociaż obie nosiły metkę Ralph Lauren). Na tle błękitnego nieba, zielonych drzew oraz lśniącego pasma wody moje chude kończyny straszyły bladością. Czułam, jak skóra chłonie słońce, ładując mi baterie. Było cudownie.

Po powrocie zrobiłam sobie późny lunch, złożony z kanapki z masłem orzechowym, selerem oraz twarogiem, który zaspokoił przynajmniej część moich ocalałych zmysłów. Następnie ucięłam sobie drzemkę w swoim pokoju z widokiem na ocean. Kiedy się obudziłam, zapadał zmierzch, malując niebo wszystkimi odcieniami różu i fioletu. Narzuciwszy sweter, zeszałam na dół. W kuchni ktoś poprzestawiał niektóre sprzęty. Na blacie stał robot kuchenny, obok którego widniał słoik z miodem oraz butelka octu balsamicznego. Pod-

niosłam gruzłowaty korzeń imbiru i podrapałam skórę, przepelniona tęsknotą za swoim węchem, po czym udałam się na poszukiwanie gospodarza.

Znalazłam go na zewnątrz, na skarpie prowadzącej z trawnika na drogę. Wcześniej nie zauważyłam, że widnieją na niej tarasowate grządki, gęsto obsadzone ziołami i warzywami. Cukinie, sałata, fasolka szparagowa, ziemniaki, bazylia, ogórecznik i szczaw. W połowie skarpy zobaczyłam Lucę, ukrytego za krzaczkiem szałwii; jego srebrzyste włosy i ogorzała skóra harmonizowały z czerwonym odcieniem kwiatków. Spulchniał ziemię małym rydłem; widziałam napięte żyły na rękach oraz żebra rysujące się pod sfatygowaną koszulką ze znakiem Jankesów. Z wrażenia zabrakło mi tchu. Przecież już to widziałam. Na *squero* w moim śnie. Cóż to mogło oznaczać?

Wreszcie mnie dostrzegł i przysiadł na piętach, wycierając pot z czoła.

- Witaj - powiedział. - Jak minął dzień? W porządku?

Tępo skinęłam głową i podeszłam bliżej, po czym usiadłam na trawie z kolanami pod brodą. Zerwawszy kilka kwiatków, zmięłam je między palcami i bez większej nadziei podstawiłam sobie pod nos.

- A jak u ciebie?

- Tak sobie. Nasza recepcjonistka uciekła z placu boju i mamy większy bałagan niż zazwyczaj.

Ponownie przykląkł i nachylił się nad szałwią.

- Polodowcowa gleba Long Island - oznajmił. - Chyba najbardziej żyzna w całym kraju. Lubisz grzebać w ziemi?

- Coś ty, na Manhattanie? Zresztą za rogiem mam warzywniak.

- No tak - odrzekł Luca. - Ale nie ma nic lepszego niż własnoręcznie wyhodowane warzywa.

- Dla mnie to i tak teraz bez różnicy.

- Ależ to nie ma nic wspólnego ze smakiem - zaoponował.

- Luca, jedzenie i smak są ze sobą nierozzerwalnie związane!

- Aromat to nie wszystko - odpowiedział, nie przerywając pracy. - Nie stanowi sensu sam w sobie. Ja po prostu wolę moją fasolkę.

- Bo sam ją wyhodowałeś?

- Bo lubię ją hodować. Ponieważ tu jest ładnie, i nie ma w tym ani odrobiny przesady. Jest wprawdzie kompost - dodał, ponownie przysiadając na piętach i wskazując na taczkę wypełnioną nawozem. - Pewnie nie masz ochoty mi pomóc?

Nie miałam serca odmówić. Zresztą miał rację, tam naprawdę było ładnie. Sam pobyt wśród warzyw i ziół w jego towarzystwie sprawiał mi nie lada przyjemność. Oczywiście nie działał na mnie jak jego syn, lecz czułam się przy nim tak błogo, jakbym właśnie przełknęła kruchy kawałek placka z jabłkami.

- Weź odrobinę nawozu na szpadel i zmieszaj go z ziemią - powiedział, demonstrując, jak należy to robić. I tak przesuwaliliśmy się wzdłuż grządki: ja niezdarnie zajęłam się przednią połową, a Luca tylną. Było cicho, nie licząc śpiewu ptaków, odległego plusku fal oraz dziwaczego pomiaukiwania Gertrudy, która leżała na trawniku brzuchem do góry, walcząc z wyimaginowanym dobermanem, a potem zrywała się znienacka i ganiała w kółko.

Próbowałam określić zależność pomiędzy ginącą sztuką budowania gondoli a rozrzucaniem kompostu, ale jakoś nic nie przychodziło mi do głowy. Chodziło pewnie o jakąś zasadę. Ba, ale jaką? No i miało to coś wspólnego ze związkiem pomiędzy ojcem i synem.

- Dlaczego uważasz, że Marco powinien spędzać więcej czasu wśród żywych? - zapytałam po około dziesięciu minutach milczenia. - Czyż nie jest kimś w rodzaju geniusza? Ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat, a już piszą o nim artykuły i kręcą filmy. Nie jesteś z niego dumny?

- Oczywiście, że jestem. - Luca niezmordowanie nawoził ziemię.

Wyczułam w powietrzu jakieś ale.

- Ale co? - naciskałam.

- Ale nic.

- Jak to nic? - nie ustępowałam.

Luca parsknął śmiechem i jakby się odprężył.

- Chyba martwi mnie to - powiedział - że on codziennie chodzi do szpitala i trzyma w rękach ludzkie życie, dosłownie. Wyciąga mózgi z czaszek, dokonuje z nimi cudów, a potem myje ręce i wychodzi, jakby patrzył na wszystko z wysokości dziesięciu metrów i nic nie mogło go ruszyć.

- Nie rozumiem, co w tym złego. - Uprawianie ziemi to nie przelewki: rozboleła mnie ręka i miałam skurcz w nodze, ale Gertruda zakończyła potyczki z niewidzialnym wrogiem i nie spuszczała ze mnie oka, w związku z czym postanowiłam zacisnąć zęby.

- Niby nic, ale... - Wyrwał chwast i rzucił go na jedną z licznych kupek rozsianych po idealnie przystrzyżonym trawniku. - Jesteś chyba pierwszą pacjentką od roku, z którą nawiązał rozmowę. Masz pojęcie?

Poczułam falę radości. Zawsze wiedziałam, że Marca i mnie łączy coś szczególnego.

- I to najprawdopodobniej dzięki Eugenii - ciągnął Luca, bezlitośnie pozbawiając mnie złudzeń. - Ona ma jakiś szósty zmysł. Naprawdę. Ta kobieta jest święta. Tymczasem Marc uważa się za wybawcę. Cóż, w pewnym sensie nim jest, ale to tylko statystyka. - Czułam się zupełnie jak na weneckiej przystani, jakbyśmy podjęli dawno przerwany wątek. - Dla niego życie to liczba. Nie dba o osobę, która za nią stoi. Nie zadaje sobie trudu, aby ją poznać. Operacja się udaje lub nie, w jego wypadku raczej to pierwsze. Ale on nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje z człowiekiem, który ją przetrwał. Twierdzi, że ciąg dalszy to nie jego działka. Interesuje go tylko to, że stanął na wysokości

zadania. Nie wie, czy mózg, który trzymał w rękach, zachowa dawne zdolności czy choćby wspomnienia. Nie wie, czy jego właściciel będzie mógł chodzić, czy skończy na wózku inwalidzkim, będzie włókł za sobą jedną stopę albo dokończy żywota zwinięty w kłębek w zaciemnionym pokoju. Nie wie, jak matka owego skulonego ciała poradzi sobie z dożywotnią opieką nad sparaliżowanym dzieckiem. Nie wie, jak potoczą się losy małżeństwa faceta, który stracił mowę, ani jak człowiek z urazem mózgu oplakuje osobę, którą był dawniej, a która nie wróci już nigdy. To przerasta jego wyobraźnię.

Przerwałam pracę i patrzyłam na niego jak skamieniała, podobnie zresztą jak Gertruda. Nagle przyszło mi do głowy, że może i ona doznała urazu mózgu. Jedno ucho? Ekscentryczne zachowanie? Nagłe zwroty w lewo? Byłam gotowa pójść o zakład. Słowa Luki wyprowadziły mnie z równowagi, nie dlatego że mówiły o jego synu, ale głównie z tego powodu, iż odnosiły się do mnie. Ostatecznie ja też byłam pacjentką z urazem mózgu. Ale czy oplakiwałam osobę, którą kiedyś byłam i która nie wróci już nigdy?

Cholera. A to mi zabił ćwieka. Klapnęłam na siedzenie, szpadel wylądował na grządce.

- Hej - zawołał przestraszony Luca. - Nic ci nie jest? - Kucnął obok mnie, z jedną ręką na moim ramieniu, a drugą na kolanie, i zajrzał mi w twarz. Ptaki rozćwierkały się na całego, a ja nagle opadłam z sił.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby oplakiwać dawną siebie - powiedziałam. - Nie sądziłam, że to „ja” znikło na dobre. Sądziłam, że wróci.

- Przykro mi, Connie.

- Uważasz, że na zawsze utraciłam smak? - Ostatnia myśl była niczym ciemna, głęboka studnia, na której dnie wyobraziłam sobie własne nieruchome ciało.

- Connie - odpowiedział z czułością, która niezmiennie budziła moje



zdumienie. - Moim zdaniem liczy się w tobie coś więcej niż smak.

Więcej niż smak? A skąd on mógł to wiedzieć? Była to jedna z owych niezwykłych rzeczy, które traktował jak coś najbardziej oczywistego pod słońcem. Jak to, pomyślałam. Przecież przed wypadkiem nie liczyło się nic innego. Ta dawna Connie, którą opłakiwałam, nie miała w życiu innych celów. Cóż mogło być ważniejszego?

- Chodź - powiedział. - Wejźmy do domu. Robi się coraz chłodniej.

Robił pesto z ziół ze swojego ogródka, dlatego wyjął robota. Usiadłam na blacie, podczas gdy on mieszał liście kolendry i mięty z ziarnami sezamu, imbirem, octem balsamicznym, miodem i czosnkiem. Wyobraziłam sobie jego możliwy smak i z aprobatą skinęłam głową. Dobrze. Niezbyt włoskie, Tom dostałby apopleksji, ale mnie by smakowało. Następnie rozsmarował grubo pesto na przekrojonej bułce, obsmażył dwa hamburgery, dodał świeżą rucolę, plaster miejscowego cheddara oraz parę korniszonów i kolacja gotowa. Wszystko wyglądało wspaniale. Pieczywo było świeże, z chrupiącą skórką i puszystym środkiem, podobnie jak sam hamburger. Czulałam na języku grubo zmielone pesto. Fakt, że sam wyhodował kolendrę i czosnek, to nie byle co. Miał całkowitą rację. Prawdę mówiąc, wrażenia towarzyszące mi podczas posiłku były tak wspaniałe, że migiem pochłonięłam swoją porcję, i Luca musiał mi dosmażyć drugiego hamburgera.

- Czy byłeś neurochirurgiem, zanim zostałeś „odrębnym gatunkiem lekarza”? - zapytałam.

Niespodziewanie wydało mi się to równie oczywiste jak uraz Gertrudy.

- W rzeczy samej - potwierdził Luca, serwując mi dokładkę. - Nie takim dobrym jak Marc, ale blisko. Na dodatek podobnie się zachowywałem. Przez wiele lat też nie zastanawiałem się nad dalszym ciągiem. A kiedy to zrobiłem...  
- Przerwał w pół słowa i poszedł do lodówki po piwo. - Chcesz?



Skinęłam głową.

- To co? - Korniszon pasował do hamburgera jak ulał.

- Kiedy to zrobiłem, stwierdziłem, że nie jestem już zdolny do pracy.

Tymczasem moja piękna żona przestała mnie kochać, podobnie zresztą jak wszyscy inni.

Rozumiecie, co miałam na myśli, mówiąc o niezwykłych rzeczach?

Ostatnia informacja została rzucona zdawkowo, jakby podobne zwierzenia stanowiły naszą codzienność.

- A co cię skłoniło do przemyśleń? - zapytałam, popijając piwo. Zawsze wolałam wino, lecz jego picie nie miało obecnie żadnego sensu. Nowa ja lubiła bąbelki. Polubiła nawet czkawkę.

- Poznałem kogoś - odrzekł, przygotowując kolejnego hamburgera. - Ośmioletnią dziewczynkę, potrąconą przez taksówkę na Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Cóż, osiem lat rokuje w podobnym przypadku duże szanse na wyleczenie, ale ta dziewczynka, Megan, była w kiepskim stanie. Wykonałem cztery, może nawet pięć zabiegów z rzędu, aby usunąć zakrzepy z płatu czołowego. Za każdym razem kiedy myśleliśmy, że najgorsze już za nami, ona znów zaczynała krwawić i musieliśmy zaczynać od nowa. Operacja trwała trzynaście godzin. Pisano o tym od Londynu aż po Sydney. Wszyscy trąbili o moim wielkim sukcesie.

Oparty łokciami o stół ugryzł hamburgera. Nałożył frytki, najpierw na mój talerz, a potem na swój.

- Co się stało z dziewczynką?

- Przeżyła operację, co było dla mnie najistotniejsze. Resztę, prawdę mówiąc, miałem w nosie. Ale któregoś dnia przyszła do mnie Eugenia i powiedziała, że musi mi kogoś pokazać. Zaprowadziła mnie do sali, gdzie zobaczyłem Megan, słodką i uśmiechniętą jak kot z „Alicji w krainie czarów”.

- Co nazwałbyś pomyślnym zakończeniem - odpowiedziałam.

- Co nazwałbym pomyślnym zakończeniem - potwierdził. - Ale kiedy tam byłem, przyszła ładna, młoda kobieta z pudełkiem kredek i stertą dziecięcych czasopism. Megan zaczęła płakać i dopytywać się, kim ona jest. Eugenia próbowała ją uspokoić, ale dziewczynka rozkręciła się na całego. Chciała, żeby kobieta sobie poszła i zostawiła ją w spokoju. Nie przestała płakać, dopóki ta nie spełniła jej żądania.

- I cóż w tym dziwnego? - zapytałam. - Na czym polegał problem?

- Problem polegał na tym, że ta kobieta była jej matką - odrzekł Luca. - Po wypadku Megan przestała ją rozpoznawać.

Ze wstydem pomyślałam o tym, jak gorliwie skłonna byłam wykreślić własną matkę z listy znanych mi osób. Ale mi przeszło. Poza tym nie miałam ośmiu lat.

- To straszne - powiedziałam.

- Jeszcze jak - przyznał Luca. - Mózg kryje wiele takich niespodzianek. Możemy spróbować go naprawić, ale nie mamy nigdy pewności co do tego, jak zareaguje. Myślmy, że zjedliśmy wszystkie rozumy, ale nie wiemy nawet ułamek tego, co powinniśmy. Tak czy siak zastanawiałem się, kogo mam bardziej żałować: czy Megan, wierzącej, że matka ją porzuciła, przekonanej, że ma przed sobą obcą kobietę, czy jej mamy, która musiała się pogodzić z faktem, że córka nie akceptuje jej obecności i reaguje krzykiem na każdą próbę wejścia do pokoju. Sęk w tym, że z chwilą gdy zacząłem się nad nimi litować, moje dni w zawodzie neurochirurga były policzone. I w ciągu kilku miesięcy zwinąłem manatki.

- A twoja żona?

- Odeszła - powiedział, wycierając usta serwetką. Mimowolny grymas stanowił zaprzeczenie szorstkiego tonu. Ogarnęło mnie współczucie. - Trudno

ją winić. Zostawiła mnie dla właściciela winnicy z North Fork. Mieszkają teraz w Napa i produkują całkiem niezłe chardonnay. Jest szczęśliwa - skwitował, pociągając łyk piwa. Wiedziałam, że należy do osób, które cieszą się z cudzego szczęścia i na pewno mówi szczerze, co dodatkowo utwierdziło mnie w przekonaniu, że trafiłam we właściwe miejsce. Byłam w dobrych rękach.

Zapadła swobodna cisza, przerwana donośnym „prrrruut” Gertrudy. Nie miałam pojęcia, że zwierzęta są zdolne do takich odgłosów.

- Masz mi coś jeszcze do powiedzenia na temat tego kota? - zapytałam.

- Wiesz już wszystko - odpowiedział i wstał od stołu, aby sprzątnąć talerze.

Kiedy następnego ranka otworzyłam oczy, głowa Gertrudy spoczywała na poduszce obok mnie. Kotka spała jak człowiek, przykryta kołdrą aż po samą szyję. Jakby czując na sobie mój wzrok, otworzyła oczy i odwzajemniła spojrzenie.

- Hmm - powiedziałam. - Jesteś najbardziej energicznym stworzeniem, jakie ostatnio spotkałam, jeśli nie liczyć Frankiego. Czyż to nie przygnębiające?

Naprężyła łapki i oparła je miękko o moją pierś. Był to tak przyjazny gest, że zrobiło mi się ciepło na sercu. Kto wie? Może jednak polubię koty.

Wstałyśmy z łóżka i obie zjadłyśmy na śniadanie otręby pszenne z mlekiem. Gertruda siedziała na stole i chlipała swoją porcję z miski takiej samej jak moja, z tym że poradziła sobie bez łyżki. Miała wyborne poczucie humoru, jak na kota.

Luca zostawił mi liścik z prośbą, żebym przyjechała do ośrodka i pomogła mu na zajęciach wychowania fizycznego dla starszuchów. Napisał, że w piwnicy jest rower. Poradził też, abym włożyła kask. U dołu kartki widniała prosta mapa. Ośrodek medyczny znajdował się zaledwie kilka kilometrów od

domu.

Kiedy wyszłam spod prysznic, rozdzwonił się telefon. Odebrałam, myśląc, że to Luca. Lecz ku swemu przerażeniu usłyszałam w słuchawce głos Ty-a. Kochany Emmet musiał dać mu numer i nieborak dosłownie wychodził ze skóry z przejęcia.

- Najdroższa, jak mogłaś tak bez słowa wyjechać? Paris i ja zamartwialiśmy się na śmierć. Nie możesz tak po prostu zaszyć się w głuszy, MC. Wyzdrowiałaś na tyle, że możemy pomyśleć o twoim harmonogramie. Nie stać nas na dalsze opóźnienia. Pora zastanowić się nad promocją. Chcemy prosić o pomoc Toma Colicchio, on cię uwielbia. Potem tournée, na razie mamy siedemnaście miast. Jesteś gwiazdą, Paris chce kuć żelazo, póki gorące. Co ty na to?

Nic. Kompletnie nic. Miałam wrażenie, jakby zwracał się do niewłaściwej osoby. I najchętniej odwiesiłabym słuchawkę, żeby popedałować do ośrodka. Nie zależało mi na książce, tournée ani narzeczonym, który zajmuje się bzdurami, zamiast zainteresować się faktem, że ani myślę za niego wychodzić, o czym zresztą nawet nie wspomniał.

- Cóż, przy takim natłoku zajęć łatwo zapomnieć, że mamy w planach jakiś ślub - rzuciłam posepnym tonem. - Tylko praca, praca i praca. Dobrze wiedzieć, że masz jasno określone priorytety, Ty. - Było to okropne z mojej strony, gdyż oczywiście nie miałam zamiaru go poślubić. Ale co tam.

- Najdroższa! - Przynajmniej starczyło mu przyzwoitości, aby okazać poruszenie. - Tak mi przykro. Planujemy ślub dopiero na wiosnę, więc nie uważałem za konieczne poruszać tego tematu, ale oczywiście masz rację. Będzie bajecznie: najcudowniejszy dzień naszego życia. Wierz mi, nie miałem nic złego na myśli. Po prostu Paris się zaharowuje, a ty znikasz jak kamień w wodę, nic dziwnego, że trochę się zdenerwowałem. Bardzo się zdenerwowałem.

Cay-Cay i Happy też za tobą tęsknią, najdroższa. Odkąd cię nie ma, Happy dwukrotnie zrobiła kupkę na wykładzinie w przedpokoju. Nie mam pojęcia, jak Consuela zdoła wywabić te plamy, naprawdę.

- Muszę lecieć, Ty - powiedziałam. - Pogadamy później.

Odłożyłam słuchawkę, ale nie ruszyłam się z miejsca.

Na myśl o bajecznym ślubie z facetem, którego koty robiły „kupkę” na wykładzinie, dosłownie wrosłam w podłogę. Pomyślałam o najcudowniejszym dniu mojego życia, czyli pierwszym ślubie: kwiatkach cukinii, tańcach w Il Seconde, poczuciu, że wszyscy, których kocham (i ich sąsiedzi) widzieli, jak mąż przysięga dozgonną miłość mnie i tylko mnie... Otrząsnęłam się z odrętwienia i bez namysłu ponownie chwyciłam za słuchawkę, po czym wykręciłam swój stary numer w idiotycznej nadziei, że Tom odbierze telefon. Tym razem Fortuna okazała się łaskawa. Odebrał.

- Cześć, mała - powiedział, a Agnes zagulgotała coś do słuchawki. - Miło słyszeć twój głos. Jak się miewasz? Emmet wspomniał, że wyjechałaś na Shelter Island i zamieszkałaś nad oceanem. Connie, czyś ty zwariowała? Estelle dostanie szału. Co się dzieje?

- Och, pomagam znajomemu lekarzowi - skwitowałam nonszalancko, przeklinając gadułę Emmeta. - Pobyt w rodzinnych pieleszach stanowił zagrożenie dla mojej higieny psychicznej.

- To mi dopiero niespodzianka. Ożeż cholera. Możesz chwilkę poczekać?

- Usłyszałam, jak rozmawia z dzieckiem. - Naprawdę musisz? To już trzeci raz od wyjścia mamusi. Jezu. No dobrze, może wreszcie tak. Jesteś tam, Connie?

- Jestem - odrzekłam z mimowolnym smutkiem.

- Co się dzieje?

Działo się tyle, że nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Tęsknię za tobą - szepnęłam do słuchawki. - Tęsknię za naszym daw-

nym życiem. - Przyszło mi do głowy, że gaworzenie Agnes pewnie zagłuszyło moje słowa.

Lecz gdy się wreszcie odezwał, jego głos również zabrzmiał smutno.

- Ja też za tobą tęsknię, mała. I za naszym dawnym życiem.

- Masz przynajmniej żonę i dziecko. Tego zawsze pragnąłeś.

- Owszem, może i tak, ale niekoniecznie w takiej konfiguracji.

Umilkliśmy. Ogarnął mnie żal, nad nim i nad samą sobą. I nad naszym porąbanym życiem.

- O co chodzi, Tom?

Zaśmiał się gorzko.

- O to, że między mną a Fleur w ogóle się nie układa. Nie daję rady, Connie. Mam swój program, mam restaurację, której muszę pilnować, bo inaczej przepadnę z kretesem. Niestety, doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, tymczasem Fleur chce, żebym zrobił to, zrobił tamto. Na dodatek bez przerwy chodzi tak wkurzona, że najchętniej w ogóle bym nie wracał do domu.

Zrobiło mi się żal Fleur. Byłam przekonana, że ona też wymarzyła sobie inne życie. Jednak miała przecież kochającą rodzinę i mieszkanie. Ja nie miałam nic. Próbowałam zdobyć się na wyrzuty i rozgoryczenie, ale było to ponad moje siły. Czułam tylko wszechogarniający smutek.

- Na mnie już czas - powiedziałam. - Niepotrzebnie zawracam ci głowę. Przykro mi, Tom. Ja tylko... chciałabym, żebyś tutaj był.

- Ja też - odrzekł łagodnie.

Łzy napłynęły mi do oczu. Trwaliśmy oboje bez słowa, ze słuchawkami przyciśniętymi do uszu, dopóki szanowna Gertruda nie przywędrowała po blacie i nie rozłączyła nas jednym machnięciem ryżej łapy.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytałam. - Wiedz łaskawie, że przerwałam mi rozmowę z mężem. - Ale ona tylko swoim zwyczajem skreśliła w

lewo i poprowadziła mnie do piwnicy, gdzie przystanęła przed staroświeckim rowerem. Z wiklinowego koszyka, przytwierdzonego do kierownicy wystawał czarny kask, którego widok chwilowo przepędził moje smutki.

Minęło ładnych parę lat, odkąd ostatnio jeździłam na rowerze, ale pocieszałam się myślą, iż jest to umiejętność, której nigdy się nie zapomina. Ja zapomniałam i nie miało to nic wspólnego z preclem. Jak pamiętacie, moja sprawność fizyczna pozostawiała wiele do życzenia. Przy kilku pierwszych próbach okiełznania pojazdu za każdym razem lądowałam z hukiem na ziemi, a Gertruda niewzruszenie spoglądała na ocean, jakby całe to żenujące widowisko budziło w niej niesmak. Potem, kiedy wreszcie załapałam, o co chodzi, i skoordynowałam ruchy nóg celem utrzymania roweru w pionie, kotka uparcie wchodziła mi pod koła, zmuszając do przystanku. W końcu zeszłam z roweru i zapytałam, o co chodzi. Patrzyła na koszyk, a więc chcąc nie chcąc, wyjęłam idiotyczny kask i włożyłam go na głowę. Gertruda niezwłocznie zajęła jego miejsce w koszyku. Jechała nosem do przodu, co nadawało jej wygląd figury na dziobie okrętu wypływającego w daleki rejs.

Jadąc w kierunku South Ferry Road, musiałyśmy tworzyć dość osobliwy widok. Gruby kot i nieporadna cyklistka. Miałam poważne obawy, że emeryci na zajęciach wychowania fizycznego nie będą mieli ze mnie wielkiego pożytku.

Na szczęście droga była mało uczęszczana, toteż stanowiłam zagrożenie tylko dla siebie i Gertrudy, która w gruncie rzeczy służyła jako balast.

Miejsce pracy mojego gospodarza nie przypominało żadnego ze znanych mi ośrodków medycznych. Był to rozłożysty, pokryty gontem budynek otoczony wysokimi dębami, z ładnie utrzymanym ogrodem oraz białą palisadą płotu. Przypominał miejsce zamieszkania czyichś dziadków. Gertruda wyskoczyła zwinnie (a jak!) z koszyka, a ja podążyłam za nią do drzwi.



- Cześć wam - powiedział zza biurka Luca. Miał okulary na czubku nosa i plik dokumentów w rękach. - Chwileczkę, pani Hansen - zwrócił się do udreżonej matki, której maluch zrezygnował z budowania wieży na rzecz rzucania klockami w Gertrudę, która po stoicku przyjmowała świstające nad jej głową pociski. - Muszę przedstawić naszym emerytom nową instruktorkę aerobiku.

- Instruktorke aerobiku? - powtórzyłam ze zgrozą, kiedy popychał mnie korytarzem w kierunku wielkiej sali, gdzie czekała na nas barwna ekipa starszuchów odzianych w stroje do ćwiczeń. Zauważyłam z niepokojem, że rozgrzewka trwa w najlepsze.

- Przedstawiam wam Connie - ryknął Luca, po czym zwrócił się do mnie ściszym głosem: - Musisz krzyczeć, inaczej nie usłyszają ani słowa.

- Dzień dobry, Connie - odwrzasnęła malownicza gromadka, oprócz jegomościa w obscenicznych, jaskrawopomarańczowych spodenkach kolarskich, który odezwał się z kilkusekundowym opóźnieniem i powitał mnie jako Bonnie.

- Connie poprowadzi dziś zajęcia - krzyknął Luca, ciągnąc mnie do staroświeckiego magnetofonu kasetowego. - Po prostu naciśnij „play”, a potem przerzuć kasetę na drugą stronę. Większość i tak jest głucha jak pień. Idąc zgodnie z ruchami wskazówek zegara, najpierw masz Doris, potem Daisy, Ginger, Hanka, Maryanne, Lil, Nancy, Jenny, Meg i Paddy'ego. Gość, który śpi na ławce, to Marshall; uważaj na niego, ma wszędobylskie ręce.

- Ale ja nie znam się na aerobiku - zaprotestowałam, zdjeta przerażeniem. - Myślałam, że będę ci pomagać. Ja wolę chodzić, Luca. Albo biegać. W zależności, z kim akurat rozmawiasz. W życiu nie byłam w siłowni. O ile mi wiadomo.

- No to improwizuj - poradził z uśmiechem Luca, niewzruszony moją przemową. - Nacisnął „play” i z głośnika huknęły „Great Balls Of Fire” Jerry-

'ego Lee Lewisa. - Jak skończysz, zabiorę cię na lunch - dodał. - Powodzenia. - I poszedł.

Nancy, Jenny i Meg wysforowały się do przodu i utworzyły rząd, naśladując mój każdy ruch, choć na razie tylko podrapałam się w rękę i rozejrzałam bezradnie za Gertrudą.

- Słaba - zawyrokowała głośno Nancy. - Nawet nie umie się kołysać.

Posłusznie zakołysałam się w rytm muzyki, coraz niżej uginając kolana. Trzy niewiasty vis-à-vis wiernie powtórzyły moje ruchy.

- Jane Fonda macha rękami - krzyknęła Meg do Hanka w kolarskich spodenkach, który z tyłu markował ćwiczenia, nie spuszczać wzroku z pokazanego siedzenia Daisy.

Pomachałam ramionami w przód i w tył zgodnie z tym, co widziałam w telewizyjnych reklamach sprzętu do ćwiczeń.

- Rany boskie! - wyrwało mi się, kiedy zaprzestałam skłonów i jęłam przestępować z nogi na nogę, zawzięcie młócąc przy tym rękami powietrze.

- Dobra jest! - wrzasnęła Jenny. - Lepsza niż córka Doris. Ta gruba z owłosionymi pachami.

Doris energicznie podskakiwała tuż za nią, głucha na wszystko prócz muzyki. W sumie było nawet zabawnie. Potem przyszła kolej na Elvisa i jego „Blue Suede Shoes”. Musiałam przyznać, że choć staruszkom było daleko do pierwowzoru, umieli kręcić biodrami jak należy.

Skończyliśmy czterdzieści minut później hałaśliwym wężykiem na korytarzu: najpierw Gertruda, która dołączyła do nas w połowie zajęć, potem ja, a za mną wesoła czereda podopiecznych poza Marshalllem, który dalej spał na ławce. Śmiechom i wywijaniu nogami na boki nie było końca.

Później były już tylko słowa uznania i serdeczne uściski dłoni. Miłą atmosferę zmaciła sprzeczka pomiędzy Maryanne i Lil, która rzekomo pod-

szczypywała Doris w sadelko podczas ostatniego tańca. Podobno chodziło o chłopaka, o którego pokłóciły się w czterdziestym piątym.

- Gdybyś chciała - mruknęła nieśmiało Ginger, biorąc mnie na stronę, kiedy pozostali szurali w kierunku wyjścia - mogłabym coś zrobić z twoimi włosami.

Cóż, jak pamiętacie, zamierzałam rozjaśnić włosy, obecnie postrzępione i wielobarwne. Ginger nosiła ładną fryzurę na pazia, w pięknym miedzianym odcieniu, który harmonizował z brwiami, wyrysowanymi precyzyjnie w miejsce jej własnych.

- Jesteś fryzjerką?

- Pierwsza z miejscowych miałam w ręku suszarkę - oznajmiła, klepiąc mnie konspiracyjnie po ramieniu.

- Wpadnij jutro po południu. Luke powie, jak masz iść. Upiekę ciasteczka!

Na wzmiankę o ciasteczkach Marshall zerwał się jak oparzony i zaczął wymachiwać rękami, jakby wiosłował.

- Znowu przegapiłeś zajęcia, stary głupku! - zawołała Ginger. - Tylko sobie nie myśl, że się wymigasz od składki.

- Nie marudź, kobieto - rzucił gburowato Marshall.

- Kto tu jest lisem?

- Nie zwracaj na niego uwagi - poradziła Ginger. - Do zobaczenia jutro. Chodźże, ty - pociągnęła staruszka za rękę. - Nie pozwolę ci zrobić jej tego, co zrobiłaś tej miłej dziewczynie z Greenport. Łapy przy sobie, Marshall.

Potem Luca zabrał mnie do drogerii na lunch. Nie miałam pojęcia, że takie miejsca uchowały się jeszcze na terenie Stanów Zjednoczonych, dwie godziny drogi od Manhattanu, ale proszę: weszliśmy do drogerii, w której mieściła się również kafejka.

Usiedliśmy przy kontuarze, Luca zamówił colę i cheeseburgera, a ja wybrałam bułkę z kremowym serem i cebulą. Owo chrupiąco-kremowe połączenie bardzo przemawiało do mojej wyobraźni.

- Doris wspomniała, że byłaś niezła - powiedział Luca, popijając colę. - Widać improwizacja ci służy.

- Są zwinni jak na swój wiek - zauważyłam.

Pochłonęłam kanapkę w mgnieniu oka.

- Dieta ci odpowiada?

- Jeśli uważasz, że teraz jestem przy kości, powinieneś zobaczyć mnie kiedyś - oznajmiłam. - Jestem przysłowiowym cieniem samej siebie.

- Śmiem wątpić - odrzekł i ugryzł cheeseburgera. Wyglądało na to, że lubi cheeseburgery. Musiałam przyznać, że ten prezentował się całkiem niezle: świeża bułka z sezamem, kotlet z chudej wołowiny, chrupiąca sałata oraz gruby plaster sera w maślanym kolorze. Luca miał w kąciuku ust kropkę musztardy; bez namysłu wytarłam ją kciukiem.

Spojrzał na mnie z błyskiem w zielonych oczach, a mną targnął milion sprzecznych emocji.

- Śniłeś mi się, wiesz? - powiedziałam. - Kiedy byłam w śpiączce. To znaczy, wówczas nie wiedziałam, że to sen, wszystko wydawało się takie rzeczywiste. Spotkałam ciebie, a ty budowałeś gondolę i byłeś na bakier ze współczesnością. Podobnie jak teraz.

Wcale się nie zdziwił. Prychnął śmiechem.

- Co robiłeś, kiedy przy mnie siedziałeś, Luca?

- Trzymałem cię za rękę, coś mówiłem. Czasami do Eugeniei, czasami do ciebie.

- Co takiego?

- Ach, takie tam bzdury. O mnie, o Marcu, o tobie, choć w tej ostatniej

kwestii byłem raczej oględny.

- Ale dlaczego? Dlaczego wybrałeś mnie?
- Tak jak mówiłem, wyglądałaś na osobę, która potrzebuje towarzystwa.
- Przecież na oddziale było wielu takich pacjentów.

Uśmiechnął się lekko.

- Ale żaden z nich nie miał u boku Eugenii - odpowiedział. - Chciała, żebym z tobą porozmawiał, więc to zrobiłem.

- Hej Luke, pozwolisz na chwilę? - zapytał farmaceuta.

- Judy Watley znowu przyszła z wysypką. - Zerknął na mnie. - Pani wybaczy, że przeszkadzam w posiłku. Przeniosła jej się na udo, Luke. Chce dokupić maść, ale moim zdaniem...

Luca wstał i powiedział, że zaraz wróci. Wzięłam cynamonowego pączka z tacy na kontuarze i ugryzłam. Cukier zazgrzytał mi między zębami, jednakże bez smaku było to przygnębiające doświadczenie.

- Gdzie Luke? - zapytała Ursula, kelnerka, która stała ze słuchawką w rękę i rozglądała się za moim towarzyszem.

- Ktoś chce z nim rozmawiać.

Boże, zupełnie jak w serialu z lat pięćdziesiątych. Ci ludzie nie słyszeli o telefonach komórkowych.

- Jest z farmaceutą. Zaraz przyjdzie - odpowiedziałam.

- Zaraz przyjdzie, skarbie - zagruchała do słuchawki Ursula, dość kokieteryjnie jak na osobę, która dobijała do osiemdziesiątki. - Przekazać coś jego znajomej? - Zmierzyła mnie wzrokiem, a następnie odwróciła się, przez co musiałam wyteńczyć słuch. - Nie wiem, wysoka, chuda, z dziwnymi włosami. Jakaś taka wyskubana, jak piosenkarka czy coś w tym stylu. Tak. Tak. Jasne, że przekażę, skarbie. Oczywiście wpadniesz z wizytą, prawda? Kopę lat. Pa.

Gertruda, której najwidoczniej znudziło się czekanie w samochodzie,

wystraszyła mnie nie na żarty, wskakując na sąsiedni stół. Ursula drgnęła i złapała się za serce.

- Ten kot przyprawia mnie o ciarki - oznajmiła, na co Gertruda wysunęła pazurki i wbiła je w winylową tapicerkę.

- Proszę uważać na słowa - poradziłam. - Ona długo chowa urazę.

Ursula popatrzyła na mnie jak na wariatkę, kiedy jednak odwróciła się plecami, Gertruda jednym ruchem zadka przewróciła cukiernicę. Następnie spojrzała mi prosto w oczy, zeskoczyła ze stołka i wymaszerowała na zewnątrz.

- Na mnie już czas - powiedziałam do Ursuli, wręczając jej dwadzieścia dolarów. W przeciwieństwie do Manhattanu tutaj była to całkiem niezgorza sumka.

- Bądź tak miła i przekaz Luke'owi, że dzwonił Marc, dobrze? - odpowiedziała, przyprawiając mnie o palpitację samą wzmianką ostatniego imienia.

- Wygląda na to, że złoży nam wizytę.

- Naprawdę? - spytałam, siląc się na obojętność. - Kiedy?

- Tego nie powiedział - odrzekła. - Ale pewnie niedługo, skoro zadał sobie trud, żeby do mnie zadzwonić.

Niedługo? O rany. Farbowanie włosów zacząć czas. Odrobina depilacji też nie zaszkodzi, ot co.

## ROZDZIAŁ 16

Następnego ranka spróbowałam się przebiec, chcąc ustalić swój stosunek do joggingu. Pokonawszy kilometr plaży, byłam tak zziębnięta, że musiałam dać za wygraną. Zdenerwowało mnie, że Gertruda truchta obok bez większego wysiłku, a ja rzezę jak stary akordeon i mam kolkę. Rażnym krokiem wróciłyśmy do domu i zadzwoniłam do Ginger z pytaniem, czy oprócz pofarbowania włosów zgodzi się wydepilować mi nogi. Marco istotnie potwierdził swą wizytę podczas późniejszej rozmowy z ojcem. Oczywiście depilacja nie miała z nim nic wspólnego. Nie zamierzałam iść z nim do łóżka tylko dlatego, że raczy przyjechać, mącić mi w głowie swymi ponętnymi biodrami i... sami rozumiecie.

Ginger mieszkała w uroczej chatynce schowanej za okazałymi dębami na Chase Creek. Pies wielkości słonia stał na ganku i ujadł jak szalony, ale wystarczyło jedno spojrzenie Gertrudy dumnie rozpartej w koszu, aby wziął nogi za pas i skomląc, zniknął za węglem.

Ginger miała wielką kuchnię żywcem wziętą z lat pięćdziesiątych. Na półkach widniały równo poustawiane słoiki konfitur, a każdą wolną przestrzeń zdobił wazon z kwiatami. Wszystko było utrzymane w odcieniach żółci, co mnie trochę zaniepokoiło, ale Ginger wyjęła przybory fryzjerskie i bez ceregie-li przystąpiła do dzieła. Przeprosiła za brak lusterka, ale ja nie narzekałam, pomna szpitalnych doświadczeń i wspomnienia swej unieruchomionej boto-ksem twarzy.

Wyrównała mi włosy (piosenkarka rockowa, też mi coś), a kiedy skończyła, miałam na głowie uroczego pazia. Uzyskała fryzurę podobną do własnej, z tą różnicą, że po jednej stronie, nad blizną, miałam nieco krótsze włosy. Ale pomijając asymetryczny kształt, ciemne odrosty i jasne końcówki, całość



prezentowała się chyba nieźle.

Kiedy czekałyśmy, aż farba chwyci, Ginger nie szczędziła mi rewelacji na temat sąsiadów, ich dzieci oraz potomstwa tych ostatnich, a także osób, które zamieszkiwały wcześniej ich domy. Ginger mieszkała na wyspie od urodzenia, podobnie jak jej mąż Harvey, właściciel sklepu z artykułami metalowymi opodal apteki. Twierdziła, że miasteczko oparło się większym zmianom. Letnicy, którzy pobudowali sobie wielkie domy, przyjeżdżali raz na jakiś czas; czasami mijał rok, a człowiek nie natykał się na żadnego z nich, skoro zaś było to najpiękniejsze miejsce na ziemi, ich obecność nie miała większego znaczenia.

Naturalnie miałam ochotę zapytać ją o Marca, ale krążyłam wokół tematu, wypytując o bzdury typu, gdzie można kupić najlepsze ryby (u Boba), najświeższe warzywa (u Pete'a) i największego shake'a (w kafeterii u Jima).

- Nie wykazali wielkiej inwencji, wybierając nazwy, co?

- Cóż, nie trzeba nam nic wymyślniejszego, prawda? Bob sprzedaje ryby, Pete warzywa, a Jim koktajle. Czegóż chcieć więcej?

- Jaka była mama Marca? - zapytałam wreszcie.

- Ach, Serena była chyba najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałam - oznajmiła Ginger. - Ależ ona miała włosy, Connie. Czarne jak smoła, sięgały jej aż do pasa. Podejrzewam, że była za młoda na małżeństwo. Zaledwie dwadzieścia lat i od razu w ciąży. Przyjeżdżali tu latem, kiedy Luke był na studiach, tuż po urodzeniu Marca. Luke junior dorabiał na stacji benzynowej Piccozziego, chociaż wcale nie musiał. Luke senior posłał go na akademię medyczną, ale Luke nigdy nie mógł wysiedzieć w miejscu. A potem miał tyle pracy w szpitalu, że Serena i Marc przyjeżdżali na lato bez niego. Widzę ją jak dziś, jak pcha wózek, ubrana w kwiecistą sukienkę i wielki słomkowy kapelusz.

Pasowała mi na bohaterkę F. Scotta Fitzgeralda, która mogła wiecznie przesiadywać, snując niewesołe rozmyślenia. Założę się, że Marco chciałby poślubić właśnie taką kobietę.

- Potem się rozwiedli i Luke został tu sam, biedaczysko. Wszyscy próbowali go wyswatać, ale on powtarza, że drugi raz nie popełni tego samego błędu. I mówi, że rozpozna tę jedyną, jeśli tylko ją spotka. Ale nie spotkał! Coś ta farba nie chce chwycić, Connie. Musimy jeszcze poczekać parę minut.

Postanowiłyśmy skrócić sobie czas oczekiwania depilacją nóg. Wbrew moim oczekiwaniom Ginger nigdy nie stosowała do tego celu wosku. Przed moim przyjściem pobiegła do drogerii i kupiła zestaw Veet. Przecież to nie może być trudne, powiedziała.

A jednak. Zgodnie z instrukcją przyklepiła lepki pasek do mojej łydki, ale gdy przyszło do odrywania, oznajmiła, że się boi.

- Zrób to - uspokajałam. - No już. To nic nie boli.

Srodze się myliłam. Bolało tak bardzo, że mało nie wyskoczyłam przez sufit. Robiła to zbyt wolno, a może za szybko, w każdym razie przy drugim pasku nie było lepiej. Przy trzecim załapała się łzami, Gertruda zaczęła miauczeć, ja zaś mało nie popadłam w kolejną śpiączkę, a dopiero uporałyśmy się z wąskim fragmentem skóry. Pasek na drugą nogę przyklepiłam i oderwałam własnoręcznie. Jak na salon piękności, było to dość traumatyczne przeżycie. Z chwilą gdy Ginger osuszyła łzy i przestała dygotać, obie zgodnie doszłyśmy do wniosku, że tył nóg i strefę bikini pozostawimy na inną okazję.

Oczywiście trwało to dłużej, niż planowałyśmy, i dopiero gdy głowa zaśwędziała mnie niebezpiecznie, przypomniałam sobie o farbie.

- O rany - powiedziała tylko Ginger, kiedy splukała mi głowę nad kuchennym zlewem. Spojrzawszy w przyniesione wreszcie lustro, zrozumiałam ten wykrzyknik. Moje odbicie miało fioletowe włosy.

- Właściwie to nie są zupełnie fioletowe - zauważyła Ginger i miała rację. Fioletowe były tylko rozjaśnione końcówki, odrosty zaś nosiły ładny, czekoladowy odcień, który mógł nawet uchodzić za naturalny. Ale przez ten cały fiolet nikt nie zwróci na niego uwagi. I co u licha pomyśli sobie Marco?

- Czy Jenny, Nancy i Meg nie mają identycznego koloru włosów?

- Hm, owszem - przyznała Ginger. - Ale myślałam, że na tobie będzie wyglądać inaczej.

Jak się okazało, była to jedyna farba, jaką dysponowała. Poza tym wyszło na jaw, że Ginger pracowała jako fryzjerka zaledwie przez trzy tygodnie w latach sześćdziesiątych. Dawny salon spłonął po tym, jak ktoś (ciekawe, kto?) zostawił gorące wałki za blisko lakieru do włosów w Święto Dziękczynienia.

Było za późno, aby biec do drogerii po nową farbę, a zresztą zdaniem Ginger moje włosy i tak by jej nie przyjęły. Tłumiąc panikę, wyraziłam w duchu nadzieję, że Marco woli zobaczyć mnie z fioletowymi włosami aniżeli łąsą. Ostatecznie przecież to tylko włosy, prawda? Włożyłam kask i popedałowałam do domu.

Na mój widok szczeka Luki opadła aż do podłogi. Miał przy tym minę, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

- To tylko włosy - warknęłam.

Natychmiast odzyskał przytomność umysłu.

- Podoba mi się - oznajmił. - Bardzo ładnie. Pomyślałam o Serenie z gęstwiną czarnych włosów i pokazałam mu dwa rozognione paski na goleniach.

- Chcesz maszynkę, żeby dokończyć tył i boki? - zapytał, przystępując do rozpakowywania zakupów.

Nie chciałam, ale zrobiło mi się miło, że o tym pomyślał.

Poszłam na górę i udawałam, że wcale się nie szykuję na przyjazd Marca. Tuż przed siódmą usłyszałam na podjeździe samochód. Pociągnęłam usta

błyszczkiem. Na dźwięk dzwonka straciłam odwagę i owinęłam głowę jedwabnym szalem, jak somalijska żona Davida Bowie. Wyglądałam bardziej na brytyjską jaśnie panią posługaczkę aniżeli somalijską supermodelkę, ale przynajmniej ukryłam tragiczny kolor włosów. Dzwonek do drzwi zabrzmiał ponownie. Pewnie Luca był w ogrodzie i nie słyszał. Z sercem bijącym jak oszalałe, żądzą w łędźwiach i zaciśniętymi zębami zesłam za Gertrudą po schodach i w chwili, gdy gość niecierpliwie zadzwonił po raz trzeci, szarpnęłam za kłamkę.

Ty stał na progu z wielkim bukietem lilii oraz dziwacznym człowieczkiem w kucharskim fartuchu u boku.

- Co ty masz na głowie, MC? - spytał ze zgrozą.

- Co ty tu robisz? - zapytałam. Nie znałam osoby, której widok sprawiłby mi tyle zawodu. Jeśli Marco był dziesiątką na mojej skali, narzeczony zasługiwał na zero. Ba, nawet mniej.

- Najdroższa, przywiozłem monsieur DuCroix z Le Petit Cochon, żeby przyrządził ci kolację - oznajmił Ty, spoglądając czule na człowieczka, który z kolei wskazał na trzy skrzynki z artykułami żywnościowymi, wyładowywane właśnie przez szofera. - Możemy wejść? - spytał nerwowo Ty.

Szczerze powiedziawszy, odpowiedź brzmiała nie, ale cóż miałam robić? Uchyliłam szerzej drzwi i Gertruda hycnęła przez próg. Zmierzała prosto w kierunku Francuza. Z chwilą gdy otarła się rudym cielskiem o jego nogawkę, człowieczek poczerwieniał jak burak i zaczął kichać, bełkocząc coś histerycznie w swym ojczystym języku.

- Czy mogłabyś, MC? - rzucił błagalnie Ty.

- Czy mogłabym co?

- Zrobić to, o co prosi monsieur DuCroix - wrzasnął, przekrzykując miauczenie kota i paplaninę kucharza.

- Przecież ja nie mam pojęcia, co on mówi, nie znam francuskiego.

- Ależ znasz - zawołał. - Nauczyliśmy cię. Madame Solange z Instytutu cię nauczyła. Przecież nie zapomniałaś!

Monsieur podskakiwał w miejscu z Gertrudą uczepioną kurczowo jego nogawki. Wyglądało to dość pociesznie. „Fa, fa, fa, fa”, trajkotał. „Aaa-psik. Fa, fa, fa, fa”.

- Pozbądź się tego kota, MC - wrzasnął Ty. - Monsieur ma alergię. Co się stało temu zwierzęciu? A tak w ogóle co to za kot?

Nadszedł Luca, niewątpliwie zwabiony hałasem. Rzucił na podłogę naczynie z warzyw i przystąpił do rozdzielania walczących, informując, że Gertruda potrafi wyczuć alergików na kilometr i lgnie do nich jak rzep do psiego ogona.

- To jest Ty, mój, hm...

- Narzeczony - uzupełnił bez ogródek Ty, podając Luce rękę. - Zapewne mam przyjemność z doktorem Scarpą seniorem. Brak mi słów, aby wyrazić wdzięczność za pańską opiekę nad MC. Oczywiście mam nadzieję ściągnąć ją z powrotem do miasta i przywiozłem w tym celu monsieur DuCroix. Czy moglibyśmy skorzystać z pańskiej kuchni, doktorze? Wiem, że przyjechaliśmy bez zapowiedzi, ale chciałem wykorzystać element zaskoczenia. Proszę wybaczyć nam to najście. Panie kierowco, proszę wrócić po nas około jedenastej.

- Mam na imię Luke - odpowiedział Luca. - Żaden kłopot. Do dzieła, panie DuCroix. Czy wasz kierowca chciałby się czegoś napić przed odjazdem? Masz na coś ochotę, kolego? Nie? Zajedź do Jima na No Ferry Road. Podają tam świetne cheeseburgery. - Następnie zwrócił się do roztrzęsionego kucharza i podniósłszy jedną ze skrzynek, poprowadził go do kuchni, pozostawiając mnie z Tyem.

- Powinieneś mnie uprzedzić - oświadczyłam i wyszłam na ganek, wiedząc, że pójdzie za mną. - Wybiłabym ci z głowy cały ten przyjazd.

- MC, po naszej wczorajszej rozmowie czuję się okropnie. Pewnie sobie myślisz, że martwię się tylko twoim tournée, ale to nieprawda. Martwi mnie mnóstwo rzeczy, podobnie jak nas wszystkich. Twoje zdrowie, nasz ślub. Oczywiście powinienem był o tym wspomnieć. Ja naprawdę próbuję ułatwić ci życie, MC. Po to przyjechałem. Chcę, żebyś wróciła do domu.

Słuchajcie, ja naprawdę nie mam serca z kamienia. Nie miałam go ani przed presem, ani po. Było mi żal Tya, widziałam, że nie radzi sobie z sytuacją, podobnie zresztą jak ja. Na dodatek za nic nie mogłam zrozumieć, jakim cudem się w nią wpakowałam. Był miły, ale po prostu nie w moim typie. Doprawdy nie rozumiałam, cóż on takiego widzi we mnie. Pomijając fakt, że pisałam dla „The New York Timesa”, ja też nie byłam w jego typie. A że moja dalsza kariera stała pod znakiem zapytania, nasz związek był związkiem niedosłego członka elity z grubym portfelem oraz mnóstwem alergii z kobietą, na której posadzie mu zależało i która najprawdopodobniej tę posadę straci.

- Dlaczego chcesz się ze mną ożenić? - zapytałam, podczas gdy Ty krążył nerwowo po ganku, skwapliwie unikając ostatnich, rozwodnionych promieni zachodzącego słońca.

- Ależ najdroższa, przecież jesteśmy dla siebie stworzeni - odpowiedział, po czym dobył z kieszeni chustkę w kropki i wytarł spocone czoło. - Pasujemy do siebie jak dwie połówki pomarańczy. Lubimy te same rzeczy, darzymy sympatią tych samych ludzi, mamy identyczne cele i marzenia. - Pocił się obficie i wyglądał cokolwiek nieswojo. - Chcę, żeby było jak dawniej, MC. Jak wówczas, kiedy wiedziałem, czego chcesz. - Drgnął, gdy mucha zabręczała mu koło nosa, i dziko zamachał rękami. - Rozmawialiśmy o tym, aby się razem zestarzeć, mieć „własny” stół u Daniela, spędzać wakacje w Paryżu, stołować się w l'Arpège i odwiedzać Le Louis Quinze w Monte Carlo.

- Naprawdę? - zapytałam ze szczerym zdziwieniem. Przecież nie mógł

jeść pszenicy, nabiału, orzechów ani owoców morza.

- Naprawdę, najdroższa. Rozmawialiśmy o książkach, które napiszesz o serze, francuskim pieczywie i szampanie. Rozmawialiśmy o „Timesie”, cyklu felietonów, wspólnej przyszłości w Nowym Jorku.

- Nic nie pamiętam - odpowiedziałam, bardziej do siebie niż do niego. Ponownie zabrzączał dzwonek u frontowych drzwi. Głowa swędziała mnie pod turbanem i postanowiłam go zdjąć, ukazując fioletowe włosy światu i Tyowi, któremu oczy mało nie wyszły z orbit. Chwiejnie podszedł do krzesła i usiadł, wachlując się zawzięcie. Nieważne, że Marco zobaczy mnie z fioletową czupryną, skoro rzeczony narzeczony spadł jak grom z jasnego nieba i udaremnił moje śmiałe plany.

Zobaczyłam przez szybę, że Luca otwiera drzwi, zachowując się przy tym dość oficjalnie, co było bardzo do niego niepodobne. Okazało się jednak, że za drzwiami wcale nie stał Marco.

Był to mój mąż.

- Tom!

Trzymał oburącz wielki kosz piknikowy, który Luca odebrał mu z nieco krzywym uśmieszkiem. Wpadłam na desperacki pomysł wypchnięcia Tya przez barierkę na trawnik, lecz po namyśle wbiegłam do domu i rzuciłam się w objęcia dawnego ukochanego, zasłaniając mu widok na ganek.

- Co się stało z twoimi włosami, mała? Jesteś... hm, zupełnie do siebie niepodobna. - Mimo to otoczył mnie ramionami i przytulił tak mocno, iż mogłam jednoznacznie stwierdzić, że bez względu na stan włosów widok byłej żony sprawił mu niemałą frajdę, o ile wiecie, co mam na myśli. - Mmm, ładnie pachniesz.

- Co ty tu robisz? - zapytałam. - Gdzie Fleur?

- W domu. Słuchaj, mała, musimy porozmawiać. Macie tu jakieś ustronne



miejsce?

Speszyłam się, lecz Luca przyszedł mi z pomocą.

- Ja się tym zajmę - oświadczył. Miałam nadzieję, że nawiązuje do kwestii narzeczonego na ganku oraz jego wspólnika w kuchni. - Pokaż Tomowi górę.

Chwyciwszy męża za rękę, pociągnęłam go w stronę swojego pokoju.

- Zaraz wracam - rzuciłam z wdzięcznością do wspaniałomyślnego gospodarza. To, co wyprawiałam w jego domu, zakrawało na istne szaleństwo: zamieniałam go w cel pielgrzymek byłych mężów, obecnych narzeczonych oraz ewentualnych przyszłych kochanków. Liczyłam na jego zrozumienie.

Zachowanie przytomności umysłu kosztowało mnie sporo wysiłku.

- O co chodzi, Tom? - zapytałam, siadając na łóżku. Niezdarnie przysiadł obok mnie.

- Mówiłaś, że za mną tęsknisz. I chcesz, żebym przyjechał.

To prawda, tak właśnie mówiłam, przygnębiona perspektywą ślubu z Tyem. Ale to było wczoraj.

- Odszedłem od Fleur - oznajmił Tom. - Bez ciebie moje życie nie ma sensu, Connie. Chcę, żebyś do mnie wróciła.

W mojej głowie zapanował kompletny chaos.

- Zostawiłeś Fleur? - powtórzyłam ze zgrozą. - I Agnes? - Kolejna fala przerażenia. - Dla mnie? - Promyk nadziei. Przyływ współczucia. No i atak mdłości, tak dla równowagi. - Ty chyba zwariowałeś!

- Bynajmniej, Connie. Nie rozumiesz? - Odwrócił się w moją stronę z twarzą wykrzywioną udręką. - Moje miejsce jest przy tobie. Nigdy nie powinniśmy się rozstawać. Powinienem od razu wrócić z tej Wenecji, przyjechać prosto do Nowego Jorku i walczyć o ciebie ze wszystkich sił. Znamy się na wylot, mała, tyle nas łączy. Myślę tylko o tobie. Doprowadza mnie to do obłą-

du. Chcę, żeby było tak jak dawniej, Connie. Tylko ja i ty, dawna ty, z brązowymi włosami. Nieważne, że nie czujesz smaku. Nie musisz pracować dla „Timesa”. Zajmę się tobą jak należy. Ty i ja stanowimy jedność, wiesz, że tak jest.

Był drugim mężczyzną w ciągu pół godziny, który deklarował jedność z moją osobą. Ale czy kiedyś też tak mówił? Albo Ty? Usiłowałam dociec, coż naprawdę znaczy owa jedność, która przypisuje mi miejsce przy tej, a nie innej osobie, ale nie potrafiłam tego określić.

- A co z Fleur i dzieckiem, Tom?

- Nic na to nie poradzę, Connie. Odkąd wyszłaś ze szpitala, myślę tylko o tobie. Postąpiłem źle, pozwalając ci odejść i spotykając się z Fleur, ale mogę to naprawić. Fleur sobie poradzi, jest silna, silniejsza niż my dwoje. Na początku będzie jej ciężko, ale może liczyć na moją pomoc, no wiesz, finansową. Liczy się to, żeby wszystko wyprostować.

Nagły przyjazd Tya wyprowadził mnie z równowagi, ale deklaracje dożgonnej miłości z ust Toma przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Przypomniałam sobie, jak tęskniłam za nim w szpitalu, ale nie wiedziałam wówczas o Fleur i dziecku. Czy mogłam rozbić rodzinę, rodzinę mojej najlepszej przyjaciółki, aby odzyskać mężczyznę, którego kochałam i pewnie nadal Kocham? Czy zależało mi na mężczyźnie, który gotów był to zrobić?

Coś mi tu nie pasowało.

- Co jest w koszu? - spytałam, chcąc zmienić temat.

- Zrobię ci twoje ulubione potrawy - oświadczył z uśmiechem, który przygnał falę miłych wspomnień. - Kwiatki cukinii, parmigianę, risotto, pieczoną doradę i czekoladowe *zabaglione*? Co, już ich nie lubisz?

- Pewnie mi nie uwierzysz - odpowiedziałam, czując przykry ucisk w żołądku - ale w kuchni może być dzisiaj dość tłoczno. - Próbowałam zbagateli-

zować sytuację. - Nie jesteś jedyną osobą, która ma plany kulinarne, Tom. Jak by to powiedzieć...

Tom zrobił zdumioną minę.

- Ty przyjechał - oznajmiłam pogodnie. - Zjawił się tuż przed tobą.

Tom zaczął kiwać głową, powtarzając pod nosem „ta, ta, ta”, jakby gorliwie przyznawał mi rację, co w świetle zaistniałej sytuacji uznałam za wielce nieprawdopodobne. Poza tym ja w ogóle nic nie mówiłam.

- No, no, no - powiedział, przygryzając mocno wargę. - A ten tu po co? Jakie лихо go tu przyгнаło? - Wyraźnie tłumił gniew, co nasiliło niemiłe uczucie w moim żołądku.

- Cóż, czy mi się to podoba, czy nie, nadal jesteśmy zaręczeni, Tom - powiedziałam ostrożnie. - Chciał mnie zaskoczyć romantyczną kolacją. A że sam nie umie gotować, przywiózł monsieur DuCroix.

- DuCroix? Z Le Petit Cochon? Ten palant miałby dla ciebie gotować? Francuski pedzio, co on tam umie?

Nie, no teraz wkurzył mnie na dobre. Jasne, sytuację trudno nazwać przyjemną: mój były mąż zostawia narzeczoną, moją najlepszą przyjaciółkę, i dziecko dla mnie, zaręczonej z facetem, który zjawia się w towarzystwie jednego z najlepszych nowojorskich kucharzy, aby porozmawiać o ślubie. Ale moje położenie też nie było komfortowe, a nie darłam włosów z głowy, chociaż (Bóg jeden wie) miałam ku temu niejeden powód.

- Co ci takiego zrobił monsieur DuCroix? - zapytałam Toma, który spacerował po pokoju, trąc podbródek.

- Nic, tylko przyczynił się do obsesji na punkcie Francuzików. Jezu, ilu tych cholernych zabojadów mieszka w Nowym Jorku? Zaledwie garstka, ale tu wątróbka gęsia, tu znowu Ducasse, bla, bla, bla. Rzygać mi się chce na samą myśl.

Znałam tę śpiewkę jeszcze ze starych czasów i już wtedy uważałam ją za idiotyczną. Jakie to ma znaczenie, że nowojorczycy lubią kuchnię francuską? Kogo to obchodzi?

Próbowałam go udobruchać.

- To nie znaczy, że nikt nie lubi Włochów, Tom. Ale może porozmawiamy o tym kiedy indziej.

- Jasne - odparł Tom. - Wobec tego zajmijmy się kwestią twojego rozstania z Tyem. Ten facet jest skończonym durniem, ty to wiesz, ja to wiem, wiedzą to wszyscy.

- Nie wyjdę za niego - odpowiedziałam. - Pewnie zdążyłabym mu to zakomunikować, gdybyś nie wyskoczył jak filip z konopi i nie storpedował moich romantycznych planów.

- Dobra, idź i daj mu rozkaz do wymarszu - zażądał Tom. - Niech zabiera Francuzika i spada.

Jego zachowanie działało mi na nerwy. Co on sobie wyobrażał? Jeśli odwołam ślub, zrobię to z osobistych powodów, a nie dlatego, że życzy sobie tego mój były mąż.

- Nie mów mi, co mam robić - burknęłam, czując w środku znajome ukłucie. Znów ktoś zadzwonił do drzwi. Tym razem to musiał być Marco (nie kryłam już żadnych absztyfikantów w zanadrzu). Serce podskoczyło mi do gardła. Wyślizgnęłam się z pokoju i zbiegłam na dół, gdzie Luca właśnie witał się z synem.

- Wiedziałem, że to ty - oznajmił Marco, gdy onieśmielona stanęłam u stóp schodów. - Chociaż spodziewałem się ujrzeć blondynkę.

Miał na sobie białą koszulkę, granatowe dżinsy i skórzane mokasyny. Beżową marynarkę nonszalancko przerzucił przez jedno ramię.

- A o co chodzi? - dopytywał się Luca.

- O to, że u ciebie mieszka - odrzekł Marco, a następnie podszedł bliżej i pocałował mnie w policzek. Uścisk ręki trwał odrobinę dłużej, niż było to konieczne.

- A ten to, kurwa, kto? - spytał Tom, złącząc na dół dokładnie w chwili, gdy tonęłam w płomiennych oczach Marca.

- Mój syn, Marc - odpowiedział uprzejmie Luca. - Właśnie stanął w kolejce.

- W kolejce? - Marco rozejrzał się dokoła i ogarnął wzrokiem monsieur DuCroix w kuchni, spoconego Tya na ganku oraz Toma, który złowieszczo zawisł na poręczy schodów tuż nade mną. - Co się tu dzieje?

- To mój były mąż, Tom - dokonałam prezentacji. - A to mój narzeczony Ty. Ten pan w kuchni to monsieur DuCroix, który przygotowuje dla nas kolację.

- Po moim trupie - oświadczył Tom, spychając mnie z drogi i krocząc do kuchni, gdzie wyśmiał zawartość misek i talerzy, a następnie pokręcił nosem na bordeaux. Monsieur DuCroix zawołał coś histerycznie do Tya, który wszedł do domu, przywitał się z Markiem i na widok Toma ponownie zrejterował na ganek.

Brakowało nam tylko Bustera Keatona. To była farsa, mówię wam. Spojrzałam błagalnie na Lucę, mojego jedyne prawdziwego sprzymierzeńca, ale on tylko rzucił mi złośliwy uśmiezek i zaproponował synowi piwo.

- Nie, dziękuję - odpowiedział chłodno Marco. Następnie zwrócił wzrok na mnie. - Właściwie to przyjechałem do ciebie.

Oczywiście zarumieniłam się jak idiotka i utkwiłam wzrok w jego klamrze od paska.

- Jak sobie chcesz - skwitował gładko Luca i poszedł, pozostawiając nas w salonie. Z kuchni dobiegały odgłosy sprzeczki, a Ty trajkotał na ganku przez

komórkę.

- Chodźmy na spacer - zaproponował Marco. Podreptałam za nim jak owieczka na rzeź, po schodkach w dół, przez drogę, aż na gładkie kamyki plaży.

- Przyjechałeś, chociaż nie byłeś pewien, że to ja? - zapytałam, kiedy wędrowaliśmy wzdłuż brzegu.

Z uśmiechem skinał głową. Te zęby. Te usta. Ten dołek w brodzie.

- Wywarłaś na mnie niesamowite wrażenie, Connie - przyznał. - Chciałbym cię lepiej poznać.

- Cha, cha - powiedziałam ponuro. Było jak we śnie. Moim śnie. Przystojny gondolier zwraca uwagę na niepozorną gęś o fioletowym upierzeniu.

- Prawdę mówiąc, zarezerwowałem dla nas stół na dziś wieczór, w restauracji Swawolna Ostryga w Greenport - poinformował. - Tylko my dwoje. Zwykle trzeba robić rezerwacje z dużym wyprzedzeniem, ale udało mi się skołować szefową sali. To najlepszy lokal na North Fork, prawdziwa perełka.

- Zarezerwowałeś stół dla nas dwojga? - upewniłam się z niedowierzaniem. - Masz na myśli randkę?

- Tak - roześmiał się. - Właśnie tak.

Miałam ochotę przystanąć i przewrócić go na piasek. Co tam Swawolna Ostryga, ja byłam swawolną ostrygą. Nie musiał mnie karmić, wykosztowywać się na kolację ani przechwalać swoją władzą nad szefową sali. Wystarczyło, że przyjechał tu specjalnie z mojego powodu. Czułam bezgraniczną wdzięczność, że ktoś tak zabójczo przystojny jak Marco, ktoś, kogo nawet Fleur (moja była, obecna, a wkrótce znów była najlepsza przyjaciółka) uznałaby za zbyt wysokie progi na nogi zwykłej śmiertelniczki, raczył skierować na mnie swoje boskie spojrzenie. Mnie nigdy nie przytrafiały się takie rzeczy.

- A moje włosy? - zapytałam, szarpiąc za fioletowy kosmyk.

- Lepiej nałóż kapelusz - poradził. - Idziemy.

- Lepiej zajrzyjmy do twojego taty.

- To nie ma nic wspólnego z moim tatą - warknął Marco, niecierpliwie kopiąc kamyk.

- Nie chcesz spędzić z nim trochę czasu?

- Constanzio. - Aksamitny głos Marca niósł obietnicę spełnienia moich najskrytszych i najbardziej obscenicznych marzeń. - Przecież mówiłem, że przyjechałem do ciebie.

Przyciągnął mnie bliżej, bardzo blisko, i poczułam, że on też cieszy się na mój widok. Ale zamiast, jak przy Tomie, skromnie cofnąć biodra, zrobiłam coś dokładnie wręcz przeciwnego. Poczułam, jak gorączka ogarnia mnie od stóp aż po czubek głowy i (o wstydzie!) z moich ust wyrwał się donośny jęk, dobitnie świadczący o tym, jak dawno nie byłam w podobnej sytuacji.

Ale jęk nie trwał długo. Marco położył mi na ustach jeden ze swoich cudownych palców, mocno przytrzymując mnie drugą ręką. Pogładził mnie po policzku i zatknął za ucho fioletowe pasmo włosów. Był tak piękny, że prawie musiałam odwrócić głowę. Lecz jego oczy, mroczne i pełne pożądania, nieubłagane ciągnęły mnie ku sobie.

- Proszę - powiedziałam. - Proszę. - Nie miałam pojęcia, o co prosiłam. Wiedziałam tylko, że obecny stan rzeczy absolutnie mi nie wystarczał. Marco przytłaczał mnie, nie wiedziałam, jak mam się zachować. Odeszliśmy od wody, a następnie Marco powoli, delikatnie położył mnie na piasku pomiędzy dwoma przewróconymi czółnami, leżącymi pod wierzbą. Nie odrywając ode mnie wzroku, wsunął mi kolano pomiędzy uda i opuścił się na łokciach. Nawet nie zdążyłam sobie przypomnieć, że jestem siedem lat starsza od niego.

- Jesteś taka piękna - szepnął, przesuwając usta na moją szyję i prowadząc mnie w rejony, których dawno nie miałam okazji odwiedzić. - Taka pięk-



na, Connie - mruknął. - Chcę cię mieć tutaj, na plaży. Tak bardzo cię pragnę. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Przyznaję, gadka wydała mi się dość niedorzeczna, nigdy nie byłam zwolenniczką relacji na bieżąco, lecz istotne było to, co robił, a nie co mówił. Postanowiłam wyłączyć nadwreżony mózg, niech ciało odwali całą robotę.

- Jesteś niesamowita. - Przymknęłam oczy, a on dalej szeptał mi do ucha, powodując wyładowania elektryczne w moim układzie nerwowym. - Cudowna. Jesteś... Kurwa mać! - Zmiana nastąpiła bez ostrzeżenia: Marco zaczął podrygiwać jak raniony. - Co to, kurwa, jest? - wrzasnął, rzucając się na wszystkie strony, co było dla mnie dość bolesne. - Zdejmij to ze mnie! Do jasnej cholery, natychmiast to ze mnie zdejmij!

Zerwał się na równe nogi, pozostawiając mnie leżącą plackiem na ziemi, dzięki czemu zobaczyłam, o co chodzi.

Gertruda.

Mała diablica wskoczyła mu na plecy i przywarła do nich niczym plecak, wczepiona pazurkami w delikatną bawełnę drogiej koszulki, a tym samym w skórę boskiego Marca.

Oszołomiona wstałam i próbowałam oderwać niesfornego kota, który jednak wczepił się jeszcze mocniej, powodując kolejną serię wrzasków.

- Stary drań - krzyknął Marco. - Cholerny stary drań!

- To Gertruda - oznajmiłam, nie ustając w bezowocnych próbach uwolnienia go od napastniczki. - Kotka.

Wreszcie Marco sięgnął ręką przez ramię i chwyciwszy kotkę za kark (co, śmiem twierdzić, przypłacił kilkoma ugryzieniami), oderwał ją od siebie i z rozmachem rzucił w krzaki, gdzie z rozdzierającym miaukiem spadła na ziemię.

Wiem, że musiało go boleć, kiedy się tak wczepiła, ale chyba trochę

przesadził. Podbiegłam do Gertrudy i z ulgą zobaczyłam, że potrząsa głową, jakby nie wierzyła w to, co przed chwilą zaszło.

- Już dobrze, malutka - powiedziałam, gładząc ją po grzbiecie.

- Pieprzony kot - wypluł Marco. - Założę się, że dobrze go wytrenował.

Łatwo się domyślić, że nastrój prysł jak bańka mydlana.

- Luca? Ma ważniejsze sprawy na głowie niż szczucie upośledzonym kotem.

- On nie ma na imię Luca, Connie, tylko Luke - burknął Marco. - A ja nie jestem Marco, tylko Marc. On i Marinello wymyślili te włoskie bzdury dla zabicia czasu. Jezu, co to stworzenie zrobiło z moimi plecami?

Zdjął koszulkę. Muszę przyznać ze wstydem, że choć jego kąśliwe uwagi bardzo mnie zaboląły, ponownie nabrałam ochoty na amory. On naprawdę należał do wzorcowych przedstawicieli gatunku (oczywiście pomijając krwiste ślady pazurów, którymi Gertruda rozorała tę śniadą skórę).

- Hmm - mruknęłam i podeszłam bliżej, aby się lepiej przyjrzeć. Cóż mogę rzec? Ten mężczyzna działał na mnie w sposób wytłumaczalny jedynie na płaszczyźnie hormonalnej.

- No i? - ponaglił. - Kiepsko to wygląda?

- Chyba powinniśmy wrócić do domu i zdezynfekować skaleczenia - oznajmiłam. - Moim zdaniem będzie potrzebna nowa koszulka.

- A potem spadamy z tej dziury, dobrze? Zabieram cię do Swawolnej Ostrygi, a potem wracamy na Manhattan. Nienawidzę tego zadupia. - Obnażony do pasa ruszył w kierunku domu, a ja bezwolnie podreptałam za nim.

Co ja zrobię na Manhattanie, pomyślałam? Czy Marco nie pojmuję, że dom jego ojca to w zasadzie mój jedyny dach nad głową? Czy zaopiekuje się mną tak jak Luca? Dopilnuje, żebym jadła, chociaż nie jestem głodna? Wstawi do wazonu świeże kwiaty? Obserwowałam grę mięśni pod opaloną skórą, za-

łując w duchu, że tak na mnie działa, gdyż - jak się okazało - nie był specjalnie miły.

W chwili gdy to pomyślałam, Gertruda wykonała przed nim jedno ze swych okrzyków. Wykorzystując chwilę nieuwagi zwierzęcia, Marco wymierzył mu solidnego kopniaka w siedzenie. Kotka ważyła dziesięć kilo i bynajmniej nie pofrunęła w powietrze, a Marco odczuł uderzenie niemal równie dotkliwie jak ona, niemniej jednak miauknęła z bólu i upokorzenia. Poczułam, jak krew uderza mi do twarzy.

- Zostaw ją, draniu jeden - krzyknęłam. - Jezu, to było podłe, Marco.

- Przecież ci mówiłem, że mam na imię Marc - burknął, potrząsając nogą.

- Kogo obchodzi ten głupi kot?

- Mnie - odpowiedziałam. - I Lucę. Nie możesz przyjechać sobie ot tak i katować jego zwierzęcia. To obrzydliwe.

- Już cię omotał, co? Nie pozwól, żeby owinał cię wokół palca, Connie. Nie jesteś w jego typie, naprawdę.

Był wściekły na ojca, dosłownie kipiał gniewem. Widziałam to równie wyraźnie jak Gertruda, która ostrożnie przysiadła na obolałym zadku. Był inteligentnym, dwudziestodwuletnim pyszałkiem, który odgrywał się na ojcu za przewinienia z przeszłości. Luca ciężko pracował i zaniedbał rodzinę. Ale był tego świadomy, prawda? Żałował, czyż nie? Tymczasem Marco zachowywał się jak rozpuszczony bachor, a ja wiedziałam z doświadczenia, że jeśli hołdujemy urazom, nic dobrego z tego nie wynika. I nawet najpiękniejsze rysy nie ukryją brzydoty, która powstaje w nas za ich sprawą.

- Dlaczego miałabym ci zaufać? - zapytałam, biorąc się pod boki. - Nawet cię nie znam. Najpierw mnie ignorujesz, a potem wyskakujesz ni z tego, ni z owego z jakąś rezerwacją, a ja mam ci ufać? Nic z tych rzeczy. Myślę, że jesteś nadętym, zapatrzonym w siebie neurochirurgiem, który nie, może się pogodzić

z rozwodem rodziców. Najwyższy czas, Marc. Jesteś już dorosły. Pora przestać dręczyć ojca i zająć się własnym życiem.

Wyminąwszy go, chwyciłam kota i wbiegłam do domu, gdzie czerwony na twarzy Tom szykował się do bójki z monsieur DuCroix, którego fartuch nosił plamy od przecieru.

- Wracaj do swego kraju i przestań nas zatruwać tym pseudowykwintnym gównem! - wrzeszczał Tom.

Zobaczyłam, jak wisi nad biednym Francuzem, i zrozumiałam, że nijak do siebie nie pasujemy. Nie chciał mnie takiej, jaką się stałam, jaką pragnęłam się stać, a ja nie chciałam być taką, jaką sobie wymarzył. Próbowałam, co wyprowadziło go z równowagi, a mnie zmusiło do rezygnacji z planowanej podróży do Włoch. Nie potrzebowałam pamięci, aby zrozumieć, że z nami już koniec. Tom mógł sobie udawać Włocha, ale ja miałam dość udawania.

- Gdzie Ty? - zapytałam, wpadając mu w słowo.

- Twój chłopak ma migrenę - oznajmił sztucznie przesłodzonym tonem. - Postanowił uciąć sobie drzemkę na górze. Gdzie ty się, kurwa, podziewałaś?

- Cholera jasna, ten stary drań nie ma nawet apteczki - wrzeszczał z łazienki Marc. - Connie, czy nie mogłabyś mi przynajmniej pomóc?

Serce ciążyło mi w piersi, a kotka na rękach. Ależ ona była ciężka. Ostrożnie postawiłam Gertrudę na podłodze, przepaszając za rolę, którą mimowolnie odegrałam w jej męczarniach. Rzuciwszy mi przyjazne spojrzenie, pobiegła do drzwi, upewniając się przez ramię, czy za nią idę. Poszłam. W tym domu nie było osoby, dla której warto by zostać.

Luca klęczał nad rządkiem młodych marchewek. Kiedy podeszłyśmy bliżej, podniósł wzrok znad grządki.

- Cześć wam - powiedział łagodnie. - I po co te łzy?

Płakałam, no jakżeby inaczej. Łzy płynęły mi po policzkach i kapały na

obojczyki. Chciałam coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Rozpacz odebrała mi głos. W panice pomachałam rękami, jak Ty na widok muchy.

- Oddychaj - powiedział Luca i wstał. - Oddychaj, Connie. Już dobrze. Tylko oddychaj. - I poprowadził mnie przez trawnik w stronę ławki, częściowo ukrytej pod pnączem porastającym rozchwiany płot, oddzielający ogród od zaśnieżonego terenu sąsiada.

Próbowałam oddychać, co z powodu płaczu przychodziło mi z największym trudem.

- Spokojnie - perswadował Luca, gładząc mnie po plecach. - Dobrze ci idzie, naprawdę. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść, hm?

- Marco... - zaczęłam. - A Ty... No i Tom... - Dźwięk ostatniego imienia wywołał nieznośny ból. - On mnie nie chce - załkałam. - A zresztą ja i tak nie jestem sobą. - Proszę, zaczęłam już pleść od rzeczy.

- Wyrzuć to z siebie - zachęcił Luca. - Zaczynij od początku, Connie.

- Dlaczego to musiało mnie spotkać? - zaszlochałam.

- Moje życie jest klęską. Nie wiem, z kim powinnam zostać, co robić, a bez zmysłu smaku czuję się jak piąte koło u wozu, niezapisana tabliczka. Nie wiem, kim jestem, Luca. To tak jakby Marco stracił ręce i nie mógł już operować. Albo gdybyś ty stracił... - Szukałam odpowiednich słów.

- ... gdybyś stracił ręce, głos... i nogi - dodałam. Lecz nie było to adekwatne porównanie. Może właśnie dlatego Luca chciał, żeby Marco wrócił na ziemię i zaczął przebywać wśród żywych. Może był zbyt jednowymiarowy. Może warto korzystać ze wszystkiego, co dał nam los, zamiast polegać na jednej, jedynej rzeczy, którą tak łatwo stracić, na przykład po wypadku z preblem.

Luca dalej w milczeniu gładził mnie po plecach. Czknęłam głośno i łzy jakby się cofnęły.

- Naprawdę uważasz, że liczy się we mnie nie tylko zmysł smaku? - za-

pytałam, a on pokiwał głową. - Myślisz, że i bez tego stać mnie na dobre życie? - Ponownie skinął głową.

Po raz pierwszy rozważyłam to na poważnie, tym razem bez strachu. Nadal będę mogła spacerować, prowadzić zajęcia aerobiku dla staruszków, popijać piwo na ganku, czuć pod palcami miękkie futerko Gertrudy. Będę robić zakupy, chodzić do kina i do fryzjera (raczej prędzej niż później), a nawet pojedę do Hiszpanii lub Włoch. Wciąż mogę pisać, rzeczywiście nie przyszło mi to do głowy. Może napiszę książkę o świecie bez smaku, która sprzeda się lepiej aniżeli wcześniejsze dzieło, tak zawzięcie promowane przez Tya i Paris. I może powstanie film na jej podstawie, z Charlize Theron w roli głównej.

Wybuchnęłam śmiechem.

Uniósł brew i uśmiechnął się.

Może powinnam pójść za jego radą i zacząć od nowa. Przecież moje dawne życie wcale nie było usłane różami. Dlaczego tak kurczowo się go trzymałam? Owszem, byłam krytykiem kulinarnym „The New York Timesa”, wszechmocnym arbitrem smaku, a teraz mi to odebrano. Ale przecież to tylko praca! Są inne zajęcia. Przecież nadal widzę, słyszę i czuję, prawda? Przyptyły optymizmu połaskotał mnie w trzewia. Spojrzałam na Luce, który nie odrywał ode mnie wzroku, czytając w moich myślach. Był zadowolony, ba, nawet dumny, tak jakby czekał, aż wyciągnę powyższe wnioski.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytałam.

- A guzik tam wiem - odpowiedział. - Wiem tylko to, co widzę. Istnieją znacznie gorsze rzeczy niż bycie niezapisaną tabliczką.

Nagle poczułam ciepło bijące od jego nogi, przyciśniętej do mojego uda.

- Śniłeś mi się - powiedziałam. - Kiedy byłam w śpiączce. Wspominałam ci o tym.

- Owszem - potwierdził.

- Marco też tam był - dodałam ostrożnie. - I signora Marinello. Chodziliśmy po Wenecji, racząc się miejscowymi specjałami.

- Po Wenecji, tak? - Luca sięgnął pod ławkę i wyjął z przenośnej lodówki dwie puszkę z piwem. Nie wiem, jak długo tam stały, nie były lodowato zimne, ale fantastycznie ugasiły pragnienie. Nie wspominając o bąbelkach, które dodatkowo podniosły mnie na duchu.

- Zaczęliśmy od Do" Mori, gdzie zjedliśmy *cicchetti* - powiedziałam. - No wiesz, coś jak *tapas*, ale po wenecku.

- Wiem, wiem - odrzekł Luca. - A *polpette*? Pulpeciki?

Skinęłam głową. Zupełnie jakbyśmy znów znaleźli się na *squero*.

- I tuńczyka - uzupełniłam. - No i świeżo upieczony chleb signory Marinello ze smażonymi krewetkami i cukinią. Potem poszliśmy gdzie indziej i jadłam ciężarne sardynki, faszerowane orzeszkami pini i chlebem. I *fondi*, serca karczochów. Boże, ależ to było pyszne. Ale okazało się, że wcale tam nie byłam.

- Ależ byłaś - zaproponował Luca i pociągnął łyk z puszkę. - Po prostu inaczej.

- Luca, leżałam w śpiączce, w szpitalu.

- *Cenando con gli angeli* - odparł rzeczowo. - Biesiada z aniołami. Tak nazwała to moja babcia. Jej przytrafiło się to samo. „Biesiadowałam z aniołami”. Zawsze uważałem, że to brzmi nieźle.

Krew zapulsowała mi w żyłach.

- Nonnina, ta dopiero kochała jeść - podjął Luca. - Zawsze gotowała to, co własnoręcznie wyhodowała albo kupowała produkty od znajomych hodowców. Tak przynajmniej twierdziła.

- Była w śpiączce?

- Miała wylew, bardzo poważny. Spędziłem kilka nocy przy jej łóżku,



opowiadałem jej różne historie. Przez większość czasu była nieprzytomna, ale któregoś ranka otworzyła oczy. „Biesiadowałam z aniołami”, powiedziała. Twierdziła, że jadła fasolkę po bretońsku z cielęciną, faszerowane kraby, risotto oraz *pollastro in squaquaciò*, czyli kurczaka przyrządzonego w jej ulubiony sposób.

- A anioły?

- Karmiły ją, tak mi powiedziała. Była tam również jej babka. I koleżanka ze szkoły, która utonęła w dzieciństwie. I mój dziadek. Podobno ja również. Bardzo podniosło ją to na duchu. Przestała się bać.

Znowu zaczęłam płakać.

- To takie smutne - powiedziałam. - Czy ona...?

Luca pokiwał głową.

- Niespełna godzinę później, ale nie masz racji, to wcale nie było smutne. Była szczęśliwa. Biesiada z aniołami miała odtąd trwać wiecznie. Tak właśnie powiedziała. Wierz mi, bywają w życiu gorsze zakończenia niż to.

- Myślisz, że mnie spotkało to samo? Biesiadowałam z aniołami?

- Uhm. Owszem, tak właśnie uważam. Ale twoje anioły nie chciały cię zabrać, Connie, tylko sprowadziły cię z powrotem na ziemię. Mogłaś umrzeć, ale nie umarłaś. Najpierw uratował cię Marc, potem Eugenia, a teraz...

Był w moim śnie. Cóż to mogło oznaczać?

- A teraz co? - zapytałam.

- Teraz już nie potrzebujesz aniołów. Nikogo nie potrzebujesz. Radzisz sobie sama. I świetnie ci idzie.

Miał rację. Było to niczym transfuzja nadziei z innego wymiaru. Przytknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech... byłam niezapisaną tabliczką, ale mogłam teraz wyryć na niej to, co mi się podobało. Nie musiałam upodobnić się do matki ani zastosować do poleceń męża, ani sprostać oczekiwaniom in-

nego ponętnej idioty. To byłem ja, Connie Farrell. Owszem, lubiłam to nazwisko i miałam zamiar przy nim pozostać.

Otworzyłam oczy i spojrzałam z uśmiechem na Lucę.

- Chodź - powiedział. - Chcę ci coś pokazać.

Zeszliśmy ze skarpy w kierunku płaskiego spłachetka ziemi, gdzie rósł uczepiony płożący krzak pomidora. Mimo bujnego listowia wisiał na nim tylko jeden dojrzały pomidor.

- Myślałem o babci cały dzień - oznajmił Luca, dotykając go palcami. - Przywiozła te nasiona z Mazzorbo. Ten krzak kryje w sobie kawałek historii. Co roku zbierała nasiona i hodowała nowe fance. Moja mama robiła to samo. W życiu nie kosztowałem lepszych pomidorów. Na szczęście matka mroziła nasiona na zapas, gdyż przez ostatnich kilka lat miałem pecha. Czasami fance marniały już we wczesnym stadium. Czasami rosły, ale owoce nigdy nie zdążyły dojrzeć. Staralem się, a tu nic. I oto dziś rano go zobaczyłem. Ujawnił się w całej krasie. - I jednym ruchem ręki zerwał pomidora z krzaka.

- Luca! - zawołałam. - Trzeba było go zachować na jakąś szczególną okazję!

- Taka się właśnie nadarzyła - odpowiedział, po czym wyjął scyzoryk, jednym ruchem przekroił pomidor na pół i wręczył mi dolną część.

Była ciepła i gładka jak kamień. Sok spływał mi do ręki. Luca z roziskrzonym wzrokiem ugryzł swoją połówkę i na sam widok ślinka napłynęła mi do ust. Ja też ugryzłam, czując, jak sok cieknie mi po brodzie i przedramieniu. I doznałam wstrząsu. Kwas wypełnił mi usta, uderzając w podniebienie jak obuchem, aż ścierpły mi zęby. A gdy przeżułam miąższ, obracając na języku pestki, poczułam w przeliku echo słodczy. Słodczy.

Odzyskałam smak.

- Boże - wyszeptałam. - Luca. O mój Boże.

- I co? - Uśmiech był jak zwykle łagodny, a zielone oczy spoglądały na mnie bez zdziwienia. - Twoim zdaniem potrzeba soli?

Potrząsnęłam głową, oblizując wargi. Sól była zbędna. Pomidor krył w sobie pełnię smaku. Był idealny. I do tego przepyszny.

## EPILOG

Ejże, na pewno spodziewaliście się szczęśliwego zakończenia. Może nie w momencie gdy byłam w opłakanym stanie, ale po przyjeździe na Shelter Island chyba coś wam zaświtało? Ten najazd samców to dopiero było coś. Hm, wyglądało na to, że szczęśliwe zakończenia pchały się jedno przez drugie: Marco (akurat!), Tom (bynajmniej), a nawet (w razie gdybym zapałała uczuciem do detergentów) Ty.

Ale Luca?

Cóż, byłam głupia (wybaczcie), nie widząc tego wcześniej. Powiedział mi we śnie, że ma wszystko, czego potrzebuję, że powinnam mu zaufać, bo wszystko będzie dobrze. Gdyby nie seksualna obsesja na punkcie jego syna, zaborczość byłego męża i natarczywość wielbiciela higieny, być może dostrzegłabym to w odpowiednim momencie. Wystarczyło cofnąć się o krok i ocenić sytuację z dystansu.

A kiedy tak właśnie zrobiłam, wiedziałam, że to jest to.

Trochę trwało, zanim się dotarliśmy. Ostatecznie dzieli nas piętnastoletnia różnica wieku i mamy na pewne tematy odmienne zdanie. Na przykład kwestia dzieci. Jemu marzy się dwójka, ale ja wolę się nad tym dobrze zastanowić. Na pewno byłyby urocze, wystarczy spojrzeć na Marca, ale grunt to nie wpakować się w kolejny związek, w którym ktoś próbuje mnie kształtować na własną modłę. Przede wszystkim nie mieszkamy razem. Luca został na wyspie,

a ja zamieszkałam w fatalnie urządzonym mieszkanku na Siedemnastej Ulicy. Spędzamy razem weekendy oraz jedną lub dwie noce w ciągu tygodnia, kiedy to leżymy przytuleni w otoczeniu pustych kartoników po chińszczyźnie. Pijemy budweisera i wyjadamy płatki prosto z pudełka. Pamiętacie ser, który niebawem miał dojrzeć? Cóż, nie dałam mu na to szansy. Co więcej, zjadłam go na ździebko niedosolonym chlebie z dżemem pigwowym, z którego musiałam zeskrobywać pleśń. Odkąd odzyskałam smak, nie przestąpiłam progu czterogwiazdkowej restauracji i prawdopodobnie tego nie uczynię, chyba że ktoś zaprosi mnie do Per Se, oczywiście na własny koszt. Tymczasem regularnie zaglądam do Czerwonego Kota, mojego ulubionego bistro za rogiem i z lubością pałaszuję cheeseburgery na plaży z Lułą bądź frytki i placek U Nicka z Eugenią.

Zmysł smaku powrócił, ale jakże odmieniony. Przestałam dbać o to, czy turbot jest podawany z sosem bearnaise, a nóżki wieprzowe z octem wyrabianym na bazie sześćdziesięcioletniego wina, proszę ja was bardzo. Lubię rozkoszować się jedzeniem, a nie o nim pisać, i nie omieszkałam oznajmić tego Tobiemu, wydawcy z „The New York Timesa” podczas naszego kolejnego spotkania. Odczuł wyraźną ulgę: musiałam kiedyś dać mu w kość. Zresztą sam mnie o tym poinformował.

Jednym słowem, z profesją krytyka kulinarnego skończyłam definitywnie. Wydawcy jednomyślnie odwrócili się do mnie plecami, a książka nigdy nie trafiła na półki księgarń. Nadal pisuję dla „Timesa”, lecz moje felietony dotyczą hodowców oraz drogi, jaką przebywa żywność, zanim trafi na nasz stół. Partycupuję też w corocznym wydaniu „Gourmet”, co daje mi mnóstwo satysfakcji. Spotykam się z ekscentrycznymi właścicielami kurzych ferm, hodowcami buraków organicznych, postrzelonymi piekarzami i nawiedzonymi cukiernikami. No i mam czas na robienie tego, co lubię, czyli spacerować po par-

ku, uprawę ogródka, który założyłam na tarasie, oraz unikanie kawałków pieczonego jabłka, którymi z lubością obrzuca mnie Agnes, kiedy opiekuję się nią w każdy czwartek.

À propos, Fleur i Tom nadal są razem i moim zdaniem tworzą bardzo udany związek. Ona nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać i w przeciwieństwie do mnie umie postawić na swoim. Naprawdę do siebie pasują. Tom lubi wcisnąć kit, ale nie z Fleur te numery. Oczywiście nigdy nie wspomniałam przyjaciółce o jego przyjeździe na Shelter Island i nie mam takiego zamiaru. Z nim też nie poruszam tego tematu: wiem, że mój związek z Lułą jest mu solą w oku, ale przynajmniej nie jestem z dandysem, który skusił mnie luksusowym życiem w oparach nonsensu i sosie pretensji. Skoro o tym mowa, ku mojemu zdumieniu Ty i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Mówiłam wam, że jest w porządku, po prostu nie chciałam za niego wychodzić, a i on po moim wypadku stracił na to ochotę. Podejrzewam, że któregoś dnia zdobędzie się na szalony krok i odleci w nieznaną z Paris tudzież chórzystą teatru niezależnego, tymczasem jednak spotykamy się regularnie w Fairway Café na brioszkę. Bywa, że (uwaga, uwaga) towarzyszy nam Emmet.

Okazało się, że dystrybutory gorących ręczników nie były wcale przykrywką szemranych interesów. Emmet rzeczywiście zdołał wycygnąć od Tya wspomniane dwadzieścia tysięcy, które następnie pomnożył, oddał z procentem i teraz opływa w gotówkę. Oczywiście nadal mieszka z rodzicami, dla czegoż by nie? Ograniczył jednak narkotyki wyłącznie do celów rekreacyjnych i często odwiedza nas na Shelter Island, gdzie wcinamy hamburgery, gramy w remika, pijemy piwo i nabijamy się z siebie oraz wszystkiego dokoła.

Chciałabym móc wam powiedzieć, że Marco, przepraszam, Marc też wpada z wizytą i tworzymy wielką, szczęśliwą rodzinę. Ale po pierwsze, byłoby to cokolwiek niezręczne, po drugie zaś, jeszcze nieraz dał się nam we

znaki. Wszem wobec demonstrował oburzenie związkiem ojca z dużo młodszą kobietą, która znajduje się wśród żywych tylko dlatego, że on, Marc, raczył uratować jej życie. Dobrze sobie. Ostatecznie to ja spotykam się z mężczyzną, którego syn był niegdyś obiektem moich westchnień. Prawdę powiedziawszy, długo nie dawałam sobie z tym rady, ale obecnie korzystam z pomocy neuropsychologa o imieniu Harvey, fantastycznego gościa, dzięki któremu nabrałam dystansu do minionych wydarzeń. Pomaga mi nie tylko przebrnąć przez pole minowe rekonwalescencji pourazowej, ale ostatnio zajęliśmy się również kwestią Estelle. Wiedziona chęcią rozwikłania zagadki pod kryptonimem „matka”, postanowiłam nawet odwiedzić swoją babkę. Wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętałam z dzieciństwa, i ku mojemu zdziwieniu bez słowa wpuściła mnie do domu. Mieszka w ogromnym, luksusowym apartamencie, ale wiecie co? W całym cholernym domu było tylko jedno, jedyne zdjęcie, pyszniące się nad kominkiem. Kogo przedstawiało? Wspomnianego szpetnego buldoga. Po początkowej gadce-szmatce próbowałam nawiązać prawdziwą rozmowę, ale babcia była... jak by to powiedzieć? ... ostrożna. Nie mam pojęcia, co nią kierowało. Strach? Żal? Samotność? W każdym razie zapytałam ją o matkę, na co ona zaproponowała mi martini. Przy drugim drinku zrozumiałam, że nawet jeśli zna odpowiedzi na dręczące mnie pytania, na pewno nie puści pary z ust. Nie będę się więcej dobijać do tych drzwi, po prostu delikatnie zamknę je za sobą, pozostawiając niektóre kwestie w zawieszeniu.

Nie odzyskałam utraconych dwóch lat i dziewięciu miesięcy życia i zdaniem Harveya najprawdopodobniej nigdy nie odzyskam, ale powoli przestają być dla mnie istotne. Nauczyłam się akceptować fakt, że niektóre drogi prowadzą donikąd. Skupiam się raczej na tym, kim jestem obecnie, a w tym wypadku przeszłość nie odgrywa większej roli. Często rozmyślam o dniu, kiedy po porannej sprzeczce o masło wyszłam z domu i po rozmowie z Tyem zrezygnowa-



łam z wyjazdu do Wenecji. Harvey uważa, że jest to bardzo istotne i najprawdopodobniej stanowi jakiś punkt zwrotny. Radzi jednak, abym nie przypisywała temu zdarzeniu roli klucza uniwersalnego, który doprowadzi mnie do rozwikłania zagadki. Mogło być tak, że zwyczajnie miałam dość dominacji Toma i postanowiłam wziąć los we własne ręce.

No dobrze, powiecie, ale po cóż od razu zamieniać się w MC Conlan? Przecież była okropna. Jasne, dużo o tym myślałam i w pewnym sensie przyznaję rację Fleur: miałam powyżej uszu bycia sobą, ale nie starczyło mi rozsądku i siły, aby ustalić, kim tak naprawdę chcę być. Ty Wheatley spadł mi jak z nieba: wskoczyłam na jego srebrną patere, doprawiłam się do smaku i przystroiłam pietruszką. Potrafię zrozumieć swoje ówczesne dążenie do władzy, pieniędzy i powszechnego uznania, ale nie kosztem „nieświeżej bielizny” oraz nadużywania rzekomo uprzywilejowanej pozycji. Nie, pod tym względem MC jest mi obca.

- Tak sądzisz? - spytał Harvey, kiedy mu o tym wspomniałam. Oboje analizowaliśmy „W pogoni za gwiazdkami” w poszukiwaniu wskazówek. - Bez tej całej pompy MC Conlan jest tylko zwykłą, zagubioną kobietą nowego milenium - skwitował, wzruszając ramionami. - Kimś, kto w poszukiwaniu własnej tożsamości staje się tym, kim nie jest.

Cóż, muszę przyznać, że taki punkt widzenia przydaje jej nieco człowieczeństwa i oznacza krok we właściwym kierunku. Oboje podążamy tam krok po kroku, Harvey i ja. Z precl'em też wiązaliśmy spore nadzieje. Zdaniem Harveya, jeśli rzeczywiście cierpię na syndrom stresu pourazowego, wówczas precle mogłyby wywołać reakcję, która pomoże nam wypełnić luki z przeszłości. Lecz gdy dwudziesta próba nasunęła mi tylko przelotną myśl o Woodym oraz wiernym druhu głodzie, daliśmy sobie spokój. Harvey zauważył przekornie, że nabrał awersji do precli i doprawdy się dziwi, że nigdy nie mam ich



dość (trudno nazwać to psychologiczną kwestią, ale wyglądał na szczerze zaintrygowanego).

Aha, tak w ogóle to już nie jestem chudą blondynką. To było chyba nieuniknione. Prawdziwa ja nie ma z powyższym opisem nic wspólnego. Ważę około siedemdziesięciu kilo, wybieram tradycyjną metodę depilacji i mam pomarszczone czoło oraz ciemne włosy, które niebawem ponownie sięgną mi ramion, co bywa źródłem wielu zabawnych utarczek pomiędzy mną i Luca. Zaraz dowiecie się dlaczego.

Od początku podziwiałam jego niezachwiane stanowisko we wszystkim, co mówił i robił. Kiedy jednak ugryzłam pomidora i zobaczyłam, jak się do mnie uśmiecha, zrozumiałam, że nie wynika to tylko z jego charakteru. On po prostu był pewien nas i naszej przyszłości. Ale jak to możliwe?

- Skąd wiedziałeś? - zapytałam go później tego samego wieczora.

- *Cenando con gli angeli* - odrzekł z wolna. - Nonnina. Przecież ci mówiłam, że byłem jednym z jej aniołów.

Kiwnęłam głową.

- Twierdziła, że w jej śnie też miałem swojego anioła. - Roześmiał się z nietypowym dla siebie zakłopotaniem. - *La ragazza dei capelli viola*, dziewczynę z fioletowymi włosami. Nigdy nie przykładałem do tego większej wagi, dopóki nie wróciłaś od Ginger.

Przypomniałam sobie spojrzenie, jakie mi wówczas rzucił, tak jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

- Przedtem nie byłeś pewien? - spytałam i serce zatrzepotało mi w piersi.

- Od początku miałem pewne podejrzenia - odparł - ale pokaż mi faceta, któremu nie przyda się czasem odrobina anielskiej interwencji.

Czy teraz rozumiecie, dlaczego jestem wdzięczna Soon-Yi za to, że pamiętnego dnia nie upiekła ciasteczek? Chodzi o to, że precel nie zrujnował mi

życia, tylko je ocalił. Nie wiem, kim byłabym bez niego, ale na pewno nie sobą. I nie miałabym u swego boku mężczyzny, który nie tylko wierzy w anioły i robi świetny masaż stóp, ale zadowoli się każdą zawartością talerza, byleby tylko jadła wraz z nim.

Zaraz, zaraz, chyba właśnie idzie, słyszę jego kroki na wyszczerbionych schodach. Poszedł na Rialto po mątwę i świeże kwiaty. Ach, wspomniałam wam, że jesteśmy na wakacjach? Tak, od tygodnia mieszkamy u jego kuzyna w Castello w pobliżu słynnej przystani, przed nami jeszcze jeden cudowny tydzień. Woda Canal Grande nie pluska może tak jak pod oknami Gritti Palace, ale najbliższe *vaporetto* znajduje się zaledwie pięć minut drogi stąd. Hej, takie jest życie. Mamy ograniczony budżet.

Nie pamiętam, jak nasz pobyt ma się do Wenecji, którą odwiedziłam z Paris, lecz wspomnienia snu stają mi przed oczami jak dziś.

Zacznijmy od tego, że *cicchetti* najlepiej smakuje w Alla Vedova w Cannaregio. Nie zrozumcie mnie źle, warto odwiedzić Do" Mori przynajmniej kilkakrotnie, lecz w Alla Vedova jest irlandzki barman, który pod względem gościnności bije na głowę nawet Eugenię Marinello, mówię wam. A *tagliatelle*, po którym jedliśmy pieczoną kaczkę w Maddalena, ulubionej restauracji rodzinnej Luki na Mazzorbo? Tego nie mogłabym wymyślić. Bomba. Po prostu bomba.

W gruncie rzeczy każdy widok, każdy dźwięk i zapach przechodzą moje najśmielsze oczekiwania. Każdy poranek w tym uroczym, wodnym mieście zatyka mi dech w piersi z zachwytem. A dziś wieczorem, kiedy owe magiczne, perłowe kolory zgasną wraz z zachodzącym słońcem, ów zachwyty będzie trwał nadal, bez związku z grą świateł, przydających malowniczości najzwyczajszym zakątkom Wenecji. Będzie trwał, ponieważ Luca stoi obok mnie, prawdziwej mnie, w przyćmionym świetle przytulnej, zagraconej kuchni, gdzie siekamy

pietruszkę na sos, doprawiamy sałatkę i snujemy plany na kolejny wieczór, tydzień, miesiąc oraz całe życie.

I wiem, że nic, co wyobrażałam sobie nawet w najśmielszych snach, nie dorówna smakiem spaghetti popitego tanim chianti przy blasku pojedynczej świecy, która rzuci na ścianę cienie nas dwojga, razem.

RS